ISSN 2083-2494

Migotania

Gazeta literacka

Nr 1 (74) 2022 kwartalnik

JUBILEUSZ!
2002 - 2022
PISMO UKAZUJE SIĘ JUŻ XX LAT

Polecamy:
Czesław Sobkowiak, wiersze
Jan S, Smalewski, XX lecie MIGOTAŃ
Małgorzata Dorna Wendrychowska, Wiesława Markowskiego malarstwo...
Andrzej Walter, Marek Wawrzkiewicz
Roman Warszewski, Kapitan Nemo przybywa do Chile, reportaż
Marian Lech Bednarek, wiersze
Anna Krasuska, *Smoka pokonać trudno*, esej
Hilde Domin, wiersze

Fundacja
ŚwiatłoLiteratury

„Cena urosła
Granice zaznaczyły się
I jest tylko jedno wyjście"
(Czesław Sobkowiak)

Zbigniew Joachimiak

Pytania do Nieprzyjaciół Moskali

Czy wielki naród to ten, który jest liczny i posiada wielkie ilości okrętów,
ten który jest silny i strzela z wielkich armat,
który ma długie granice będące zawsze za krótkie?

Czy ten naród jest wielkim, który zwycięża i tylko wiktorie dają mu chwałę,
który zwycięża słabych na pociechę, bo słabi są godni tylko pogardy,
który pokonuje sąsiadów, bo są i bo są wciąż niezniewoleni?

Czy wielki naród to ten, który jest groźny, który jest postrachem pokoju,
który łamie wszystko to, co jest kruche i łamliwe,
to ten naród, który twarde obcasy sprawdza na kościach nieprzyjaciół?

Czy wielkim narodem jest ten, który wokół widzi wrogów,
który ma tylko nieprzyjaciół,
to ten naród który jest otoczony przez cały świat?

Czy wielkiemu narodowi nienawistne są wszystkie języki świata,
czy przeciwko jego okrętom wieją wszystkie wiatry na wszystkich oceanach,
a rozpięte płótna nad ptakami-żaglowcami na horyzoncie są znakiem wojny i śmierci?

Czy wielki naród to ten, który maluczkich rozetrze w proch,
którego hymn jest pieśnią strachu, lęku, znakiem czarnej chmury,
która niech wisi wysoko widoczna dla wszystkich nawet za horyzontem?

Czy wielki naród to ten, który słyszy swój wielki głos
i nie słyszy cichych i maluczkich, i tych tam, i tych obcych,
bo oni, Inni, zawsze i wszędzie piszą spiski i plany wielkiego narodu zagłady?

Czy wielki naród to ten, który chętnie umiera za swą wielkość i potęgę,
który cierpi i znosi znużenie wytrwale i długo, i stale,
który, gdy umiera przykrywa się sztandarem nie smutku lecz chwały?

Czy wielki naród to ten, który wydaje wielkich poetów a ich nie chce słuchać,
który buduje wielkie mosty po których nikt nie chce i nie będzie chodzić,
i stawia budowle w których pustka głucha tylko swego echa szuka?

Erazm Felcyn

W numerze prezentujemy prace fotograficzne Erazma Felcyna
Plakat artystyczny: Erazm Felcyn
Plakat poetycki: Małgorzata Borzeszkowska

Gazeta literacka ISSN 2083-2494 Fundacja Światło Literatury Gdańsk 2022

Czesław Sobkowiak

x

Na stole szklanka rozłożone kartki
Różne słowa którym trudno dać wiarę
Są w bezładzie ale mają jakieś zadanie
W kalendarzu data zimny koniec lutego
Jeszcze tyka zegar który trzeba naprawić

Jaki świat chce wyniknąć z chaosu
Przelatują dzikie gęsi na pobliskie jeziora
Nie potrzebna im odpowiedź bo one wiedzą
Odzywa się telefon komórkowy więc mała przerwa
Zaraz wrócę do pisania ale w jakim celu

x

Niepotrzebne są słowa potrzebny chleb
Woda lekarstwa i dach nad głową
To co zrobisz w tej domowej chwili
Będzie klęską lub domu obroną

Nastały ciężkie dni człowieka
Któremu śni się że jeszcze żyje
Prawda nie pomylona z dowolnością
Gdy nawet zielsko nie rośnie dowolnie

x

W późnej godzinie
Otworzyliśmy oczy
Jeszcze raz stało się
W naszym życiu
Bezgraniczne teraz

Otworzyliśmy oczy
Chcemy lub nie chcemy
Cena urosła
Granice zaznaczyły się
I jest tylko jedno wyjście

x

Nie ma innej poezji
Jest tylko ta za którą
Przychodzi zapłacić
Każdemu bez wyjątku

Nie ma poezji na niby
Piękna i dobra na niby
Nie będziesz tego mylił
Patrząc sobie w oczy

x

Przyszło na ten świat dziecko
W podziemiach metra dalekiego miasta
Snem otulone ciepłem matki
Jego policzek kryje miękki koc

Mnie to obchodzi co się stanie
Gdy zabiją dającą światło elektrownię
Może jednak przetoczy się coś innego
I poranek potwierdzi poranka rację

x

Dom stół i krzesło jest jak było
Nie mogę się skupić
Czytać jakichś zdań
Nawet dzwonić do kogoś
By mówić o tym samym

Na tym teraz polega życie
Każdego dnia wielka niewiadoma
A raczej niewyobrażalne zniszczenia
Co jeszcze postanowią zrobić
Bo przecież mogą wszystko

x

Czy woda nie przestanie płynąć w kranach
Czy wypieki chleba dotrą do sklepów
Czy przyjdzie wiosna jak każdego roku
Czy ktoś okaże się już tylko szaleńcem

x

Podali że
Papież Franciszek
Poszedł osobiście
Do ambasady Rosji

x

Piszę wiersz
Który nie jest wierszem
Tylko przyznaniem
Że inne są sprawy
Ważne dla poezji

Tak to wygląda
I tak trzeba potwierdzać
W ludzkim życiu
Niczego nie tłumaczyć
Zapomnieniem

x

Jeśli nie obchodziło cię
Żadne „tak” ani „nie”
I nie poczułeś nigdy blisko
Oddechu muru
Żadnego muru
I ciemny głos z daleka
Nie niepokoił cię
To powiedz
Kim jesteś

x

Tam broni się tej nocy miasto
W ogniu pożarów w ciemności
Blok rozpłatany na pół żelastwem
Widać wypalone okna auta i wozy

Gdzieś okoleni mrokiem idą
Ludzie którzy mają odwagę
Po prostu są na swoim miejscu
I jeszcze nie utracili wiary

Są sami na sam ze śmiercią
Ale nie dla śmierci ich życie krwawi
I nikt nie nazywa tego klęską
Po prostu nie idą życia zdradzić

Teraz patrzę jakbym nie chciał
W martwy ekran przed sobą
Co oni tam mężczyźni i kobiety
Jeszcze muszą w ciemności zrobić

x

„Mniam mniam jaki pyszny ugotowałam barszcz”
„Właśnie wróciłem z ogrodu po zgrabianiu liści”
„Warto wsłuchiwać się w siebie i rozpieszczać do maksimum”
„Już blisko wiosna” „Sroki donośnie skrzeczą”
„Podrożał papier i z książkami będzie trudno”

To są zdania by za wszelką cenę nie mówić
O tym samym czym oddychamy codziennie
Takie bezradne i kłamliwe nasze unikanie strachu
Że przyjdzie na nas kolej i czy będziemy zdecydowani
Łamie się niebo i ludzie muszą siebie udowodnić

x

Dzisiaj rano
W Kijowie
Na ulicy Telihy
Rozstrzelali dziewczynkę Polinę
(Jej oczy nadal patrzą)
Która uczyła się
W czwartej klasie
W szkole nr 24

Roman Warszewski

Dla Daniela Passenta

(ur. 1938 - Iwano-Frankiwsk, zm. 2022 - Warszawa)

W grudniu 1994 roku w „Szpilkach" (nr 51/94, strony 16–17) ukazał się mój wywiad z Gabrielem Garcią Marquezem pt. „Jestem jak balon, balon na uwięzi". Zamówił go u mnie Zdzisław Smektała, który w tamtym czasie blisko współpracował z tą redakcją.

W styczniu roku następnego, w „Polityce" (nr 1.(1966)/1995) Daniel Passent tekst ten uczynił jedną z osnów swojego felietonu z ostatniej strony tygodnika. Tekst nosił tytuł „Dwa wywiady".

Passent pisał: „Polecam wywiad ze wspaniały pisarzem Gabriele Garcią Marquezem jaki – ku mojemu zaskoczeniu – przeczytałem z zazdrością w… nowych „Szpilkach". „Nie obawia się pan tego – cytował ów wywiad – że kiedyś potomność będzie panu miała za złe pańskie silne sympatie lewicowe – także teraz, gdy większość reżimów komunistycznych upadła, a nieliczne pozostałe pewnie wkrótce upadną?

„Nie, akurat tego się nie obawiam, mówił Marquez (Passent cytował dalej), tym bardziej, że wcale nie jest jasne, komu historia ostatecznie przyzna rację . (…) z perspektywy Ameryki Łacińskiej, a więc: z perspektywy głodu, braku szkół, braku wszystkiego i niebotycznego nagromadzenia bogactwa w rękach oligarchii – sprawa wygląda jeszcze inaczej. (…) U nas czołgi na ulice wypuszcza prawica; lewica prawie zawsze była opozycja. Jakikolwiek rozwój emocjonalny i intelektualny był możliwy tylko w opozycji do władzy, a więc do prawicy. Latynoska siła ciążenia zawsze znosiła na lewa…"

– A Vargas Llosa, wybitny pisarz, faworyt prawicy? – w wywiadzie padało kolejne pytanie.

„Vargas Llosa to wyjątek, który potwierdza regułę. On sam zresztą zaczynał od lewicy, lecz szybko zaczęła go deprawować władza, której stał się pieszczochem, a która zawsze mu imponowała. Ja jednak nie żałuję swoich politycznych wyborów, nie zamierzam się wypierać, ani koniunkturalnie ich zmieniać".

Przy najbliższej okazji odwiedziłem Daniela Passenta w redakcji „Polityki". Było o czym rozmawiać – nie pamiętam, czy był już po ambasadorowaniu w Chile, czy przed. Sprawy latynoamerykańskie były mu znane i bliskie, zwłaszcza gdy dotyczyły tamtejszych intelektualnych szczytów. Na koniec spotkania zaproponowałem, że – jeśli go to interesuje – prześlę mu do „Polityki" tekst o Marquezie i Llosie. Powiedział: „Koniecznie. Jak najszybciej".

Artykuł napisałem, a następnie wysłałem. Po pewnym czasie okazało się, że jakimś cudem nie dotarł do redakcji. Wysyłkę ponowiłem. Skutek był podobny.

Niedługo potem sprawa poszła w zapomnienie, bo działo się wiele różnych rzeczy. Inne moje teksty ukazywały się w „Polityce" (o Peru, o Ekwadorze, o Świetlistym Szlaku – *Sendero Luminoso*), a tamten artykuł przepadł gdzieś w niebycie.

Gdy dotarła do mnie wiadomość o śmierci Daniela Passenta, przypomniałem sobie tamto jego zlecenie – zlecenie, które nigdy nie doczekało finału na łamach. Poczułem ukłucie w sercu, zrobiło mi się jeszcze smutniej. Uświadomiłem sobie, że do dziś w zasadzie jestem Mu winny ten artykuł i że teraz już nigdy nie będę w stanie tego nadrobić. Zacząłem gorączkowo szukać tego tekstu, ale bezskutecznie. Co za złośliwość rzeczy martwych… Mogłem go co najwyżej go odtworzyć, by Daniel Passent, tam gdzie teraz jest, mógł go w jednak przeczytać (i może się uśmiechnąć).

Gabo (po prawej) i MVLl (po lewej) na początku lat 70.–tych, gdy żyli jeszcze w najlepszej przyjaźni

Poniżej więc jego nowa wersja, którą dedykuję Wielkiemu Felietoniście…

Kto komu i dlaczego dał popalić, czyli bijatyka dwóch noblistów

Ponoć chodziło o kobietę…

Prawie wszystkie rozmowy o pisarstwie Mario Vargasa Llosy i Gabriela Garcíi Márqueza, nawet po najbardziej wysublimowanym i literackim początku, swój finał znajdują w wypowiadanym przyciszonym głosem pytaniu: „a jak o było z tą słynną bijatyką między nimi?" „Ponoć chodziło o kobietę". Rzecz w tym, że po tym, jak już do tej bójki doszło, ani jeden, ani drugi jej uczestnik nie palił się do powracania do niej i żaden nigdy publicznie nie opowiedział, o co tak naprawdę chodziło. Do dziś w dużej mierze jesteśmy skazani na domysły i na relacje świadków tego zdarzenia, które miało miejsce już blisko 40 lat temu.

Do kwestii tej w pierwszej polskiej biografii Mario Vargasa Llosy powraca Urszula Ługowska i stara się ją wszechstronnie naświetlić. Całe zdarzenie umieszcza w kontekście związków Garcíi Márqueza i Vargasa Llosy z Kubą. Gdy doszło do bijatyki przyszłych literackich noblistów, ten pierwszy był gorącym zwolennikiem Fidela Castro i jego coraz bliższym przyjacielem, natomiast Vargas Llosa, po swym pierwszym zachłyśnięciu się entuzjazmem dla rewolucji kubańskiej, w roku 1976 roku coraz bardziej się od niej dystansował i zaczął ją publicznie potępiać.

Jest to o tyle istotne, iż ten polityczny antagonizm bardzo popsuł stosunki między tymi największymi latynoamerykańskimi piórami i jego narastanie mogło się stać podskórnym katalizatorem, który wyzwolił wymianę ciosów z całkiem innego powodu. Doszło do tego 12 lutego 1976 roku, w stolicy Meksyku. Tego dnia w Palacio de Bellas Artes miał się odbyć zamknięty pokaz filmu Álvaro Covacevicha „La Odisea de los Andes", nakręconego według scenariusza Vargasa Llosy.

Jak pisze Ługowska, do amfiteatru „przybył również García Márquez. Ujrzawszy z daleka Maria, którego nie widział od prawie dwóch lat, zmierzał ku niemu z otwartymi ramionami, chcąc go uściskać. Zamiast tego, znienacka dostał pięścią w twarz, tak silnie, że upadł na ziemię. Świadkowie mówili, że padły przy tym słowa: «za to, co powiedziałeś Patricii w Paryżu»".

Natychmiast utworzyło się zbiegowisko. Znana meksykańska pisarka Elena Poniatowska w te pędy pobiegła do pobliskiego bistro po kawałek zimnego surowego mięsa, które użyła na okłady na podbite oko i skroń Garcíi Márqueza (wyobrażacie sobie tę scenę!?) i do projekcji filmu nie doszło. Ługowska: „Vargas Llosa natychmiast wrócił do hotelu, gdzie Patricia [jego żona, a jednocześnie kuzynka – przyp. RW] zrobiła mu (podobno) awanturę […]". Natomiast „García Márquez wraz z żoną […] udali się nie do szpitala, by nie robić skandalu, ale do… fotografa Rodriga Moya, dzięki czemu zachowały się zdjęcia obrażeń i siniaków". *Notabene* – zdjęcia zostały wyciągnięte z szuflady owego zakładu fotograficznego dopiero w dniu 80. urodzin Garcíi Márqueza. Opublikowała je meksykańska „La Jornada".

Przy tej okazji dziennikarze zwrócili się do Rodriga Moyi o komentarz zdarzeń sprzed kilku dekad. Będący znajomym rodziny Márquezów fotograf miał im powiedzieć: „W tamtym odległym czasie, przebywając w Paryżu, Márquezowie starali się pośredniczyć w rozwiązaniu konfliktów małżeńskich między peruwiańskim pisarzem a jego żoną, która im się zwierzała. Kiedy jednak małżonkowie Vargas Llosa się pogodzili, zdali sobie sprawę z tego, że ich sekrety wyszły na światło dzienne. Nie byli z tego zadowoleni, a Mario poczuł się «urażony» do tego stopnia, że rzucił się z pięściami na Gabo [czyli na Gabriela Garcíę Márqueza – przyp. RW]".

Ługowska dalej eksploruje ten wątek i pisze: „Być może García Márquez nadużył roli «spowiednika» żony Vargasa Llosy, która miała problemy z mężem. (…) Zgodnie z jedną z wersji, miały [one] dotyczyć romansu Vargasa Llosy ze szwedzką stewardesą, a według innych – z fińską. Pewien kolumbijski profesor prawa, Francisco J. Bastida, który mieszkał w Barcelonie na tej samej ulicy, co García Márquez uściślił, że w rozmowie Gabo z Patricią (…) cała sytuacja była (…) [niezwykle] delikatna i poetycka. Jak twierdził, spotkanie [Márqueza z Patricią] odbyło się w kawiarni i po wysłuchaniu [jej] żalów (…) García Márquez chciał ją uspokoić, mówiąc że czasami mężczyźni potrzebują więcej niż jednej kobiety, ale mało kto wie, że każda

kobieta potrzebuje sześciu mężczyzn (...)".

– Naprawdę? – Patricia się zdziwiła.

– Oczywiście. Możesz mi wierzyć – odparł Gabo. I – wpadając w rytm swej prozy – zaczął wymieniać: pierwszy z nich to mąż, który daje dom i rodzinę; drugi to wieczny narzeczony na całe życie, który uosabia romantyzm, niewinność i poezję; trzeci – kochanek, dzięki któremu kobieta doświadcza rozkoszy cielesnych; następnie – *tinieblo*, „mroczek" – człowiek zamożny, który zabiera na wypady w egzotyczne miejsca i pozwala pławić się w luksusie; piąty to *trueno*, „piorunek", w którym jest się zawsze zakochanym i którego się pragnie, ale on nigdy na tę wzdychającą do niego kobietę nie zwraca uwagi; i wreszcie *aspiryno*, „aspirynek" – jest to gej, który towarzyszy w zakupach i jest jej powiernikiem, a ona zawsze wspaniale się przy nim czuje, wiedząc, że nie jest przedmiotem jego pożądania.

Potem Gabo zapytał:

– A teraz, Patricio, powiedz, którym z tych mężczyzn ja miałbym być dla ciebie?

Czy tak było? Tembr powyższego wywodu jest bardzo marquezowski, być może są to więc rzeczywiście słowa Gabo, które usłyszała Patricia. Faktem jest, że w wywiadzie telewizyjnym przeprowadzonym przez Beto Ortiza Vargas Llosa odżegnywał się od politycznej, kubańskiej wykładni bijatyki i – jak pisze Ługowska – energicznie „odmówił dalszej rozmowy na ten temat". Ja sam, gdy rozmawiałem z MVLl w Londynie i czego zapis znalazł się w mojej książce „Skrzydła diabła, rogi anioła", pytając o tło rękoczynów, do których doszło w Meksyku, usłyszałem jedynie, że „chodziło o kobietę" – nic ponad to. Tak więc wydaje się, że najbliższa prawdy jest wersja, zgodnie z którą bezradna Patricia, stojąc w obliczu rozpadającego się małżeństwa, otrzymała od przyszłego kolumbijskiego literackiego noblisty bardzo konkretne rady, jak przeprowadzić rozwód i jak zachować prawo do opieki nad dziećmi. Ługowska: „Kiedy Vargas Llosa dowiedział się, że sprawy zaszły już tak daleko (...), natychmiast wrócił na łono rodziny i, wściekły, [przy pierwszej nadarzającej się okazji] rzucił się z pięściami na tego, kto doradził Patricii praktyczne rozwiązanie problemu".

Można przypuszczać, że do tej zemsty MVLl przymierzał się długo i że nie była ona tylko spontanicznym porywem. W gronie przyjaciół Gabo krążą wręcz pogłoski, iż na organizatorze przedpremierowego pokazu filmu „La Odisea de los Andes" celowo wymógł, by ten zaprosił Márqueza. A późniejsza niechęć Llosy do wracania do tego incydentu wynika po prostu z tego, że zdaje on sobie sprawę, iż w zasadzie nie ma nic na swoją obronę. Dlatego odmawia jakiejkolwiek rozmowy na ten temat.

Niechęci obu pisarzy do siebie przez kolejne dziesięciolecia nic nie zmniejszyło. Sprzyjał temu coraz większy castryzm Márqueza i coraz bardziej zdecydowany antycastryzm Vargasa Llosy. Poza tym Márquez znacznie wcześniej niż MVLl (bo w 1982 roku) otrzymał literacką Nagrodę Nobla, podczas gdy Llosa od bardzo dawna uważał, iż ta nagroda należy się jemu. (Ostatecznie dostał ją dopiero 28 lat po Márquezie, w 2010 roku.) Zakazał też wznowienia i tłumaczeń swojej książki poświęconej twórczości Gabo – „García Márquez: historia de un deicidio" („García Márquez: historia pewnego zabójstwa boga"). I uległ w tym względzie dopiero w 2006 roku, gdy pozycja ta miała wejść do edycji jego dzieł wszystkich.

Roman Warszewski

Przy pisaniu korzystałem z książki Urszuli Ługowskiej „Mario Vargas Llosa" (biografie Sławnych Ludzi), PIW, Warszawa 2012

Spis treści

Czesław Sobkowiak, wiersze....str.2
Roman Warszewski, Dla Daniela Passenta, reportaż....str.4
Marek Wawrzkiewicz, Dedykacje (23)....str.6
Kacper Szydłowski, Kalýteros, proza....str.7
Alina Biernacka, wiersze....str.8
Andrzej C. Leszczyński, Co własne, co otrzymane, esej....str.9
Barok niemiecki, wiersze....str.12
Anna Krasuska, Smoka pokonać trudno, esej....str.13
Kazimierz Sopuch, wiersze....str.20
Dariusz Pawlicki, Za rozdziałem & przeciw uśrednianiu....str.21
Dariusz Pawlicki, wiersze....str.23
Irena Nyczaj, Aż wypełnię swój los, proza....str.24
Marian Kisiel, Mały cmentarz (6)....str.26
Andrzej Gierych, wiersze....str.31
Roman Warszewski, Kapitan Nemo, reportaż....str.32
Hilde Domin, wiersze....str.33
Tomasz Witkowski, proza....str.34
Janina Sokołowska, wiersze....str.37
Zofia Maria Smalewska, Opętanie, proza....str.38
Marian Lech Bednarek, wiersze....str.40
Zbigniew Kresowaty, Transcendentna huśtawka, Rozmowa z Edytą Kulczyk....str.41
Krzysztof Bencal, wiersze....str.44
Małgorzata Dorna - Wendrychowska, Wiesława Markowskiego malarstwo faktu....str.45
Malwina Krawczyk, wiersze....str.48
Jan S. Smalewski, XX lecie gazety literackiej Migotania, JUBILEUSZ....str.49
Małgorzata Borzeszkowska, wiersze....str.51
Roman Warszewski, Analia, która stała się Victorią, reportaż....str.52
Mateusz Wabik, wiersze....str.54
Roman Warszewski, Poezja i córka, polemika....str.55
Andrzej Walter, Andrzej Wawrzkiewicz, omówienie....str.56
Ryszard Biberstajn, wiersze....str.59

Recenzje....str.60
Roman Warszewski, W stronę zdrowia
Mateusz Wabik, Czuku, Poezja o atmosferze literackiej dyskusji
Anna-Maria Tryba, Kobietą być, czyli o literackich noblistach
Andrzej Walter, Barwa dźwięku poezji
Mateusz Wabik, Przyroda i klasycyzm
Jan S. Smalewski, Nad lekturą tomiku Z. Joachimiaka

Adam Buszek, Zaproszenie na warsztaty literackie....str.66
Krótkie info o autorze zdjęć....str.66
Leszek Szaruga, Wyprasowanie....str.68

MIGOTANIA, JESZCZE WIĘCEJ
Tadeusz Zawadowski, wiersze....str.69
Maria Jentys - Borelowska, Wspomnienie o Cz. Dziekanowskim, Wspomnienie....str.70
Robert Gawłowski, wiersze....str.72
Jerzy Lengauer, Przystojniaczek, TEATR....str.73
Leszek Szaruga, Podróż do i od siebie, omówienie....str.74
Anna-Maria Tryba, Kobietą być... O noblistkach....str.78
Marek Jagliński, aforyzmy....str.80
Roman Warszewski, Maciej Kuczyński. Pisarz i wizjoner....str.81
Milena Tejkowska, wiersze....str.84
Krystian Medard Manteuffel, ...było, minęło, powraca, esej....str.85
Teodozja Świderska, wiersze....str.88
Marek Wawrzkiewicz, Okruchy (3)....str.89
Monika Telka, wiersze....str.92

FELIETON

Marek Wawrzkiewicz

Dedykacje (23)

Do tej pory pisałem o dedykacjach autorów na podarowanych mi przez nich książkach. A teraz pomyślałem, że może poinformuję Czytelników o dedykacjach, które sam wpisuję w swoich , że tak powiem, dziełach.

To mi się podoba: amerykańscy autorzy sprzedający w księgarniach swoje książki ograniczają się do złożenia autografu. Rzadziej wpisują imię kupującego. A potem ktoś sprzedaje książkę z autografem premiera Kanady za kilkadziesiąt tysięcy dolarów. Mam niewielkie szansę na to, żeby ktoś kupił mój tomik wierszy z dedykacją za np. dwadzieścia złotych. Więcej: nie mam wielkiej pewności, że ktoś obdarowany przeczyta coś więcej niż moją dedykację. Ale nadzieja umiera ostatnia.

To przygnębiające: po wieczorze autorskim autor siedzi i biedzi się nad dedykacjami dla kilkunastu osób. A w tym czasie pozostała publiczność udaje się do sali bankietowej i kiedy strudzony autor się w niej pojawia, stół jest spustoszony i widnieją na nim żałosne resztki garniru.

Ze znajomymi pół biedy. Najgorzej jest kiedy kogoś niby znamy, ale nie możemy sobie przypomnieć ani imienia, ani nazwiska. Mimo to staram się każdemu wpisać coś innego. Bo wyobrażam sobie, że dwie osoby zadedykowane porównują wpisy – A mnie napisał tak samo. Wolę się nie wstydzić.

Pięć lat temu podpisywałem w warszawskim Klubie Księgarza swoją książkę pt. „Mogło być gorzej". Podeszła do mnie Kira, córka Gałczyńskiego. Napisałem: Pani Kiro, od lat marzę, żeby przejść z Panią na Ty. Przeczytała dedykację i powiedziała: - Dobrze, Marku.

W ubiegłym roku w czasie Poznańskiego Listopada Poetyckiego wywieziono nas do Wągrowca, gdzie nam zgotowano królewska gościnę. Opiekowała się mną przewodnicząca rady miasta, pani Małgosia. Pochwaliła się, że zakupiła przez Allegro moją wyżej wspomniana książkę, ale ostrzegła, że jest już w niej moja dedykacja. Przeczytałem ją: Drogiemu Leszkowi Żulińskiemu z pradawną przyjaźnią… Nie sądzę, żeby Żulowi powodziło się aż tak źle, by zmuszony był wyprzedawać księgozbiór. Mam kilkanaście jego książek z czułymi dedykacjami, mógłbym je sprzedać, ale jeszcze nie jestem nędzarzem.

Tyle o dedykacjach. A teraz post scriptum wcale nie a propos.

28 grudnia byłem na pogrzebie Józefa Tejchmy, najlepszego ministra kultury w powojennej Polsce. Jakiś czas później na łamach „Gazety Wyborczej" pięknie i sprawiedliwie napisały o nim Agnieszka Holland i Krystyna Zachwatowicz – Wajda. Śledziłem uważnie prasę i nie znalazłem nekrologu od Ministerstwa Jakby Nie Było Kultury. Ani Osobiście Pana Ministra. Nie sądzę też, że zdobył się on na wieniec.

Taką to dziś mamy kulturę. Przez małe k.

Marek Wawrzkiewicz

Erazm Felcyn

Kacper Szydłowski

Kalýteros

Prowadzący ćwiczenia nauczyciel wpuścił nas do klasy, na co my płochliwi żacy rozbiegliśmy się po ponurym pomieszczeniu, zajmując w pierwszej kolejności najdalsze ławy, jakby bojąc się bliskości tego nieznanego nam jeszcze, nierozczytanego przez naszych łamaczy gordyjskich węzłów mężczyzny. Twarde krzesła próbowały nas utrzymać w ryzach, lecz dławiące nas psychopatyczne lęki, nie pozwalały nam trwać w bezruchu, łaskocząc nas i podgryzając wywoływały wśród naszej społeczności maciupkie, dostrzegalne jedynie przez lupy drżenie, które niosąc się ścianami, oknami oraz fundamentami, gdyby nigdy nie przerwane mogłoby zmienić nasze osoby w rój wielkich, humanoidalnych świerszczy. Nagle salą przeszedł niespodziewany huk - to nasz protekt ujarzmił nas przy pomocy pojedynczego sygnału, monoruchu, czego oczywistym następstwem było wtargnięcie na nasz teren puchatej, stworzonej z bezgłosu mgły.

Cisza unosiła się ponad naszymi głowami przez kilka ponadprogramowych minut, w czasie których wpatrywaliśmy się niemo w górującego nad nami pedagoga. Z mojego siedzenia wydawał się mieć on przeszło dwa metry, jednak wraz ze swoją stojącą, kruczą czupryną mógłby fałszywie osiągnąć wynik osiemdziesięciu pięciu cali. Jego przeraźliwie chude ciało gubiło się w połaciach materiału spowijającego go garniturу. Spod jego smolistej marynarki wystawiała swoje hebanowe kołnierze bacznie się nam przypatrująca koszula, a spomiędzy jego nogawek oślepiały nas węglowe, dokładnie wypastowane mokasyny. Z czernią jego ubioru kontrastowała narzucona na jego twarz i kończyny skóra – przeraźliwie niezdrowa, zapadnięta, blada. W tamtej chwili pomyślałem, że na ziemie zszedł sam Lucyfer, lecz myliłem się, ten człowiek okazał się być tylko kapitalistą.

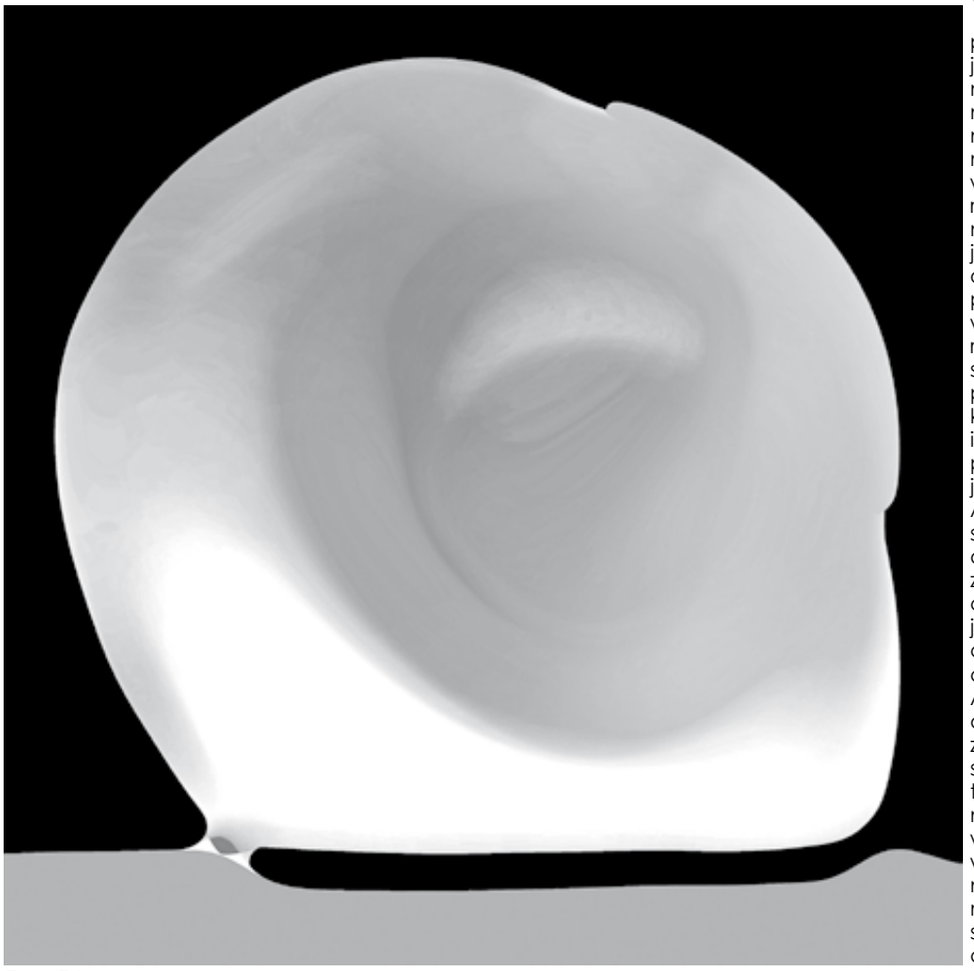

Erazm Felcyn

-Zapiszcie – wnet głos nauczyciela przerwał panowanie ciszy - na jednej stronie kartki co jest waszą pasją, a na drugiej w czym możecie być najlepsi na świecie!

Rozkaz rozpalił w otaczających mnie studentach ogień, przeklęty płomień chciwości rozprzestrzeniał się z ich umysłów na sterty leżącego przed nimi papieru, bezczeszcząc go nieodwołalnie słowami herezjami. Przeżegnałem się ku sufitowi w imieniu torturowanych arkuszy, lecz bardziej od ich mesjanizmu przerażało mnie samo stwierdzenie – „być najlepszym na świecie".

No bo czyż „bycie najlepszym na świecie" nie jest tylko abstrakcyjnym, nieistniejącym, godnym co najwyżej naiwnego bachora pojęciem? Niemożliwym jest bycie najwybitniejszym muzykiem czy też najsprawniejszym spośród wieszczy, a co z tego wynika tym bardziej nieodwołalnie bycie najlepszym w jakiejkolwiek, nawet skrajnie nieznaczącej dyscyplinie jest tylko surrealistyczną, godną sennej mary mrzonką.

Przykład – pewien pięściarz ogłasza się najlepszym bokserem na globie, oczywiście za jego tezą stoi parę argumentów; lata treningów, dziesiątki wygranych pojedynków, doświadczenie, czy też wiedza teoretyczna oraz praktyczna, ale to wszystko można obalić. Z iloma ludźmi ten człowiek mierzył się w czasie swojego życia (maksymalnie setką?), przecież ta liczba jest niczym kropla w oceanie. Moje stwierdzenie nie jest w żadnym stopniu przesadzone, z czystej matematyki wynika, że nasz champion walczył z jednym i dwudziestoma dziewięcioma setnymi pomnożonymi przez dziesięć do potęgi minus szóstej procenta ludzkości. To oznacza tylko i aż tyle, że jeśli chce się on nazywać *kalýteros*, to powinien zmierzyć się z resztą niepoznanej przez niego na ringu ludzkości, nieważne czy jego przeciwnikami mieliby być szwedzcy rybacy, hinduscy infanci, drwale ze wschodniej Boliwii, czy meksykańscy mariachi. Co zresztą nie jest jedyną przeszkodą, w końcu każdego dnia rodzą się setki tysięcy ludzkich istnień, które czy tego chcą czy też nie, są rzucającymi wyzwanie graczami. Co gorsza nawet pokonanie jakiegokolwiek z pretendentów nie sprawia, że jest on od niego lepszy, przecież pokonał go on w danym momencie, jednostce wciąż nieubłaganie tykającego czasu, co oznacza, że po zaledwie milisekundzie jego zwycięstwo staje się przedawnione, a pojedynek powinien być powtórzony. Tak więc tworzy się z powodu tego paradoksu nigdy nie rozwiązywalny problem, bo kiedy niby ten człowiek miałby znaleźć takie podkłady nieskończoności, by pozwoliły mu one udowodnić swą wyższość.

Czuje, że powinienem jeszcze się odnieść do pewnego idiotycznego sposobu myślenia, które według niektórych mogłoby nieznacznie, ale jednak ułatwić osiągnięcie supremacji. Otóż wśród poniektórych krytyków sportowych popularna jest koncepcja, iż (ponownie przykładowo) jeśli tenisista A pokonał tenisistę B, a ten co dopiero wygrał z C, to oznacza, że A>B>C, jednak gdy dochodzi do meczu pomiędzy A i C to ten drugi wychodzi z niego zwycięsko, burząc przy tym całe domino. Bezspornie wiąże się to w jakimś stopniu z problemem zwycięstwa w danym czasie, o czym pisałem powyżej, jednak poczułem potrzebę obalenia tego stwierdzenia.

*

Pisałem tak długo, aż zapełniłem całą kartkę gniewnymi słowami, tak że stała się ona od ich atramentu ciężkawa, jednak lukę w mym poglądzie stworzyłem ja sam, gdyż zabrakło mi odwagi by wygłosić ją w eter, zamiast tego pozwoliłem mówić reszcie prawiących głupoty i dyrdymały żaków. W ciszy przyjmowałem ich wywołujące we mnie niestrawność kłamstwa, milczałem chociaż kaleczyły mnie w uszy ich argumenty o tym, że jeśli wystarczająco się postarasz to możesz być najlepszym we wszystkim czym tylko chcesz. Od ich durnych słów kiwałem głową, lecz nie potrafiłem podnieść ręki, brakowało mi odwagi by wypowiedzieć swoje myśli. Przegrałem tą dysputę nie wypowiadając ni sylaby, za to oni ze mną wygrali nie wiedząc, że istnieje jakiś konflikt interesów. Nikt się nie cieszył po tej znanej jedynie mi dyskusji.

Kacper Szydłowski

Alina Biernacka

Biografia

Wskrzeszanie przy pomocy biografii
jest skutecznym działaniem.
Umarli krzątają się po swoim domu,
szykują, zakładają żaboty
i czyszczą staromodne buciki.
Pojawią się w komplecie i ustawią w kolejce
do podpisania książki.
Autor wreszcie zobaczy ich z bliska –
dotąd polegał na opiniach świadków
którzy śledzili artystów w szale pracy.
Teraz upewni się, czy rzeczywiście
oglądają świat tak błyszczącymi oczami,
jak to opisywano i czy otaczają ich płomienie
dzikiej energii, która spala.
Autor i bohaterowie jego książki wiedzą,
że jest to pierwsze i ostatnie spotkanie,
badają się z zachłannością
wygłodniałych hien.
Pośród tłumu zebranego na promocji,
usiłują wysłyszeć same czyste nuty
w tworzonej ad hoc partyturze.
Kiedy się rozstają, ogarnia ich tęsknota
za dokładnym opisem każdego dnia życia,
ale niestety zostają tylko niedopowiedzenia.
W ich takt oddalają się od prawdy,
która jest zastrzeżona dla zapadającego
za oknami zmierzchu.

Sumienie

Sumienie jest narowistym bułankiem.
Uczymy się go ujeżdżać, ale ponosi,
mija przydrożne drzewa tak blisko,
że musimy wyszarpywać nogę ze strzemienia,
swoim mocnym barkiem miażdży lusterka
zaparkowanych samochodów.
Nigdy nie wiemy, kiedy puści się galopem
i każe nam dokonywać czynów,
o jakie nie podejrzewaliśmy się.
Sumienie liczy na naszą szlachetność,
nawet jeśli ta leży wygodnie odpoczywając.
Budzi ją i porywa za sobą.
Płytkie morze, którego brzegiem idziemy,
obmywa nasze ślady.
Wodne ptaki biorą je za pismo linearne B.

Nicość

Nicość obywa się bez tlenu, siły ciążenia,
moralnych pożytków, bez planów na przyszłość.
Definicja nicości, jako przestrzeni pozbawionej czegokolwiek,
nie wydaje się ścisła.
A jednak wszyscy wiedzą znakomicie
co to jest nicość i starają się omijać miejsca
wyzute z treści i formy.
Być może czarne dziury mogą odpowiadać pojęciu nicości,
lecz ich łapczywość w pochłanianiu
zbliżonych do nich ciał niebieskich,
przeczy obojętności, o jaką jest pomawiana nicość.
Wydaje się, że każdy pielęgnuje ideę nicości inną,
niż pozostałe rzesze istot, zalęknionych możliwością
nagłego zapadnięcia się w pustkę
o wymiarze kosmicznym.
A może już teraz wszyscy znajdujemy się w nicości,
której drugie dno stanowi niedoceniana przez nas
codzienność bytowania?

Manna z nieba

Liczenie na mannę z nieba opłaca się,
o ile człowiek dość przekonująco wpływa
na sypiących ją bogów.
Jak dotąd świetnie mi się to udaje.
Zaklepałam sobie miejsce koniuszego u Heliosa
i pomocnika kowala u Hefajstosa.
Prace dorywcze (szpiegowanie dla Hery)
liczą się też, a zwłaszcza noszenie za Apollinem
jego lutni.
Często trzymam lustro przed Afrodytą
i chwalę jej nieprzemijające piękno.
Jednak brak mi dostępu do Zeusa,
który nie znosi lobbystów.
Utrzymuję się z napiwków, udaje mi się też
łyknąć ambrozji z kraterów odstawionych do zmycia.
Rankami chodzę po stokach Olimpu
i zbieram śmieci pozostawione przez Hermesa,
który nosi ciągle swoje cenne przesyłki.
Raz udało mi się zajrzeć do Hadesu,
ale Cerber poszczuł mnie, uciekałam łąkami
i prawie wyprzedziłam swój cień.
Mam legowisko koło lisiej nory.
Czasem odwiedzają mnie mądre ptaki,
przynoszą resztki pochwyconych łasic,
opowiadają o tym, co zdarzyło się
w pobliżu morza, potem wzbijają się w niebo,
ich sylwetki tracą ostrość.
Sama nie wiem, co mnie tu trzyma tyle lat.

Co własne, co otrzymane

Andrzej C. Leszczyński

Natchnienie

Piszę list wiedząc, co chcę w nim powiedzieć. Mówię co u mnie, pytam co u adresatów, delikatnie wyrażam swe oczekiwania (może to one są rzeczywistym powodem sięgnięcia po pióro?), na końcu serdeczności, kropka. Przed włożeniem listu do koperty czytam go jeszcze raz. Ze zdziwieniem odnajduję słowa i zwroty, które znakomicie wkomponowały się w tekst, choć nie pamiętam, bym świadomie się do nich odwoływał. Skądś sfrunęły, pojawiły się mimowiednie zadziwiając swą urodą i trafnością. Zdarzyło się tak niejednokrotnie, z czego nie chcę wysnuwać daleko idących wniosków. Cóż jednak, skoro zdarza się to twórcom wybitnym i powszechnie znanym. Mówiąc o przypływie mocy twórczej przyznają, że obok stanów świadomych znajdują w sobie momenty ciemne, gdy podmiotowe „ja" rozpływa się w bezosobowym „się". U Martina Heideggera owo „Się" (*das Man*) oznaczało anonimową opinię publiczną anektującą jednostki i przynoszącą im spokój właściwy automatom. W tym wypadku trafniejsze wydaje się ujęcie Edwarda Stachury, dla którego „się" oznacza indywidualne „przebudzenie" pozwalające przekroczyć opozycję podmiotowo – przedmiotową. Oto kilka świadectw.

Czesław Miłosz: „Przyznam się szczerze, że ja naprawdę nie bardzo rozumiem, w jaki sposób napisałem mój *Traktat teologiczny*. Mam bardzo silne poczucie, że nie jestem za niego odpowiedzialny, że nie jestem jego autorem, że napisałem to pod pewnym przymusem. Pod przymusem Dajmoniona, jak ja to nazywam. I basta". Jarosław Iwaszkiewicz: „Jechałem wtedy, wczesną wiosną, z Budapesztu do Rzymu. Pomiędzy Florencją a Rzymem ujrzałem na lewo od drogi żelaznej miasteczko na wysokiej górze, rozsypane jak pudełko zabawek. Zdaje się, że było to Castiglion Fiorentino. Nad miasteczkiem tkwiła wysoka wieża. A nad wieżą na wiosennym włoskim niebie jak punkt nad literą »i« stała krągła chmura. I nagle na tle tej chmury objawiła mi się w momentalnym objawieniu cała treść *Sławy i chwały*, z całym swoim skomplikowanym deseniem". Krystyna Bednarczyk (Oficyna Poetów i Malarzy): „Jeszcze nigdy mi się nie zdarzyło, abym usiadła po to, aby napisać wiersz. Moje wiersze piszą się same, przychodzą nieproszone i znienacka. Czasem to jest sygnał, rzecz zewnętrzna, która przywołuje myśl, a tę trzeba przerzucić w słowa, co często rodzi niepokój. Mój wiersz rzadko powstaje od razu, częściej rozkłada się na dni i tygodnie. Ten stan tworzenia jest bardzo pięknym stanem ogromnej dobroci, skupienia, wejściem w krąg jasnego światła". Edward Munch: „Spacerowałem z dwoma przyjaciółmi. Zachód słońca. Niebo stało się nagle krwistoczerwone. I poczułem dotknięcie melancholii. Zatrzymałem się, oparłem o poręcz na moście śmiertelnie zmęczony. Ponad granatowym fiordem i miastem wisiały chmury jak krew i jak języki ognia. Przyjaciele moi poszli dalej, a ja wciąż stałem, drżąc z przerażenia. Poczułem, że głośny, nie kończący się krzyk przeszywa naturę...". Pablo Picasso: „Artysta jest odbiorcą wzruszeń, które płyną wszystko jedno skąd: z nieba, z ziemi, z kawałka papiery, z przechodzącej postaci, z pajęczyny zawieszonej przez pająka".

Józef Czapski: „Natchnienie – to znaczy praca w gorączce połączonej z jakąś wzmożoną, chłodną jasnością". O natchnieniu mówiła Wisława Szymborska w swym wykładzie noblowskim – że nie jest wyłącznie stanem doświadczanym przez artystów. „Jest, była, będzie zawsze pewna grupa ludzi, których natchnienie nawiedza. […] Bywają tacy lekarze, bywają tacy pedagodzy, bywają tacy ogrodnicy i jeszcze setka innych zawodów". To ci, dla których świat jest tajemnicą, źródłem zdziwienia i ciekawości, co wyrażają za pośrednictwem dwóch małych („Małych, ale mocno uskrzydlonych") słów: nie wiem.

Apollo, Dionizos

Mówiąc o twórczości natchnionej nie sposób pominąć wydanej w Lipsku w 1872 roku książki Fryderyka Nietzschego pt. *Die Geburt der Tragödie aus dem Geiste der Musik* (*Narodziny tragedii z ducha muzyki*). Graniczące z szaleństwem natchnienie uosabia tu Dionizos przeciwstawiony trzeźwemu Apollinowi. Nie jest to jednak, jak zobaczymy, pełna odmienność.

Apollo (Ἀπόλλων), utożsamiany ze słońcem (ἥλιος), zwany też φοῖβος (jaśniejący). Syn Zeusa i Latony, brat Artemidy. Przewodnik muz (Ἀπόλλων Μουσηγέτης), bóg nakazujący tańczyć (ὀρχέο). Cechy najczęściej wiązane z Apollonem to jasność, świadomość, kultura, harmonia, kształt, etyczność. Bóg solarny, ale jednocześnie chtoniczny (χθόνιος), „podziemny" (χθών-ziemia), bliski bóstwom tellurycznym, związanym ze śmiercią, ciemnością, ziemią i jej płodnością. Uchodzący za boga jasności - był w istocie bogiem mrocznym, pozbawionym hamulców, zaślepionym. Pietro Citati w szkicu zatytułowanym Greccy bogowie zamieszkują nowoczesną powieść wskazuje, że określający go przymiotnik atasthalos (ἀτάσθαλος) – co znaczy: bezczelny, butny, niegodziwy – był tym samym określeniem, które odnoszono się do Achillesa pastwiącego się nad ciałem Hektora, czy też do towarzyszy Ulissesa pożerających trzody Heliosa. „W tym tkwi największy paradoks greckiego ducha. Apollo nie miał ani jednej z cech, które nazywamy »apolińskimi«. Był gwałtowny, niepohamowany, był grzesznikiem i mordercą. Grzeszył przesadą i brakiem umiaru. A przecież to właśnie on nauczył ludzi równowagi w moralności, poszanowania miary, spokoju ducha, gestu, który jest znakiem uspokojenia i zgody, najwyższej harmonii cytry".

O wyszukanej apollińskiej (greckiej) harmonii przeciwstawionej pospolitej frygijskiej melodii mówi okrutna opowieść o „muzycznej" rywalizacji Apolla i Marsjasza. Instrument Apolla, wielostrunowa lira, symbolizuje „harmonię mundi", ład świata będącego kosmosem, czyli porządkiem (κόσμοζ – jego zaprzeczeniem jest chaos, χάοζ). Flet Marsjasza zdolny jest wydobyć ledwie łatwo wpadającą w ucho, jednowymiarową melodię. Za brak szacunku i tupet, jakim było wyzwanie Apolla na muzyczny pojedynek, bóg karze barbarzyńcę wieszając go na drzewie głową w dół i obdzierając ze skóry (według jednej legendy z łez lanych przez mieszkańców lasu bierze początek rzeka Marsjasz, inna mówi o wstydzie Apolla, który w akcie skruchy zamienił Frygijczyka w tę rzekę). W każdym razie trudno łączyć greckiego boga z harmonią oznaczającą zgodność: to harmonia sprzeczności. Krzysztof Rutkowski, pisarz i tłumacz, w *Pasażu dwuznacznym* wychodzi poza opis Fryderyka Nietzschego mówiącego wyłącznie o jasnej stronie boga. To bóg życia, ale i śmierci; światła, ale i ciemności; radości, ale i wielkiego cierpienia. W Apollinie tkwi coś „przeraźliwego i okrutnego" - o czym mówi samo jego imię Ἀπόλλω: ἀπόλλυμι znaczy: zniszczyć, zabić. Leczył ludzi, ale i zabijał ich, zwłaszcza młodzieńców i mężczyzn, strzałami ze srebrnego łuku; strzegł stad i roślinności, ale i przynosił zarazę (λοιός).

Dionizos (Διονύσιος) kojarzony jest najczęściej z ciemnością, bezświadomością, szaleńczym żywiołem, pędem do przemiany życia w śmierć i odwrotnie. Co szczególne – każe szukać dopełnienia aż do zatraty istnienia. Łączy na powrót człowieka z zapomnianą Naturą. A wszystko niezależnie od reguł i norm; poza dobrem i złem, poza rozumem i jego prawdami.

Był synem Zeusa i śmiertelniczki Semele. Gdy za podstępną namową zazdrosnej Hery brzemienna Semele domaga się od kochanka ukazania swej właściwej postaci, ginie ujrzawszy boga ognia i gromu. Dionizos, donoszony w ojcowskim udzie (stąd: „dwa razy narodzony"), był jedynym nieśmiertelnym dzieckiem boga i ziemianki. Inny od ogółu Greków (blondyn), porażony przez Herę szaleństwem, zyskał sławę jako odkrywca winnej latorośli1. W orszaku otoczony był przez syleny, bachantki, czyli menady (μαινάδες - szalejące), tyjady i satyrów. Klemens Aleksandryjski nazywał go choiropsáles (χοιρόπσάλης - „ten, co dotyka łona"), od: choirothlips [χοιρόθλιψ] – lubieżnik; chorion [χοιρίον] – świnka; żeński organ płciowy.

Ku Apollinowi kierowano peany (παιάν), Dionizosa czciły dytyramby (διθύραμβος), zbliżone do dzisiejszych panegiryków. W zakończeniu *Narodzin tragedii*… Nietzsche mówi o koniecznym związku obu bogów: „Dionizos przemawia językiem Apollina, ten zaś w końcu językiem Dionizosa […]. Z owego fundamentu wszelkiej egzystencji, z dionizyjskiego podziemia świata do świadomości ludzkiej jednostki może dotrzeć tylko tyle, ile owa apollińska moc rozjaśniania może ponownie przezwyciężyć, i w efekcie oba te popędy artystyczne zmuszone są rozwijać swe siły w ścisłej wzajemnej proporcji wedle praw wiecznej sprawiedliwości".

Świątynia

Po letnich szaleństwach Dionizos przez trzy zimowe miesiące wypoczywał w świątyni, nieobecnego tam wtedy, Apollina w Delfach (Δελφοί). Siedziba słynnej wyroczni położona była w głębokiej szczelinie skalnej u stóp Parnasu (Παρνασσός) w samym centrum Hellady, w Fokidzie, krainie leżącej nad Zatoką Koryncką. Miała kształt doryckiego czworokąta z sześciokolumnową →

fasadą (περίπτερος εξάστυλος). Nad przedsionkiem (πρόναος) widniały dwa napisy: przypisywany Solonowi „Γνῶθι σεαυτόν" (poznaj samego siebie), oraz „Μηδέν ἄγαν" (niczego za wiele).W świętym audytonie (ἄδυτον - niedostępny), poza trójnogiem na którym siadała Pytia, posągiem Apollina i sarkofagiem Dionizosa, znajdował się półokrągły kamień uważany za pępek świata (ομφαλός). Poza murami znajdowało się źródło kastalskie, w którym obmywali się przybysze oczekujący na słowa wyroczni (μαντεῖον).

Pierwotna nazwą świątyni brzmiała Pytho (Πύθω). Być może wzięła się od chtonicznego węża Pytona, którego strzałami zabił Apollo. Albo od tego, że zabity – gnił (pyth, πύθ), co prowadziłoby do pytania o możliwość wyrastania apollińskiej jasności i harmonii z dionizyjskiej mierzwy. Podobna niejasność wiąże się z nazwą Delfy. Bywa łączona z herosem Delfosem (Δελφός), który użyczył swego imienia miastu słynnemu z wyroczni. Wywodzi się tę nazwę także od Apolla przemienionego w delfina (δελφίνι) i prowadzącego w morzy statek. Można też spotkać interpretacje odwołujące się do słowa macica (δελφύς), mającego symbolizować pramatkę Naturę.

Apollo, bóg znamionujący światło i świadomość, za swe kapłanki miał bezświadome, natchnione Pytie. W rolę wieszczek wcielały się miejscowe kobiety, początkowo wykształcone, z czasem były to opiekujące się stadami kóz i owiec pasterki. Żuły liście laurowe, piły wodę ze świętego strumienia, przybierały imię Pytia (πυθία ιερήια - kapłanka pytyjska). Żyły o wiele krócej niż inne kobiety. Wprowadzane do podziemnej komory (audytonu), odziane w koszulę z krótkimi rękawami (χιτών), siadały na trójnogu[2]. Stąd, w boskiej ekstazie, wypowiadały pozbawione związku słowa, z których wyjaśniającą wypowiedź formował kapłan-prorok (προφήτης).Trudno uniknąć wątpliwości, kto był tam, w audytonie, właściwym wieszczem: Pytia odnajdująca w sobie - i dająca im wyraz - tajemne impulsy i wskazania, czy raczej ich trzeźwy interpretator[3]? Proroctwa jest zapowiedzią, można ją tylko przyjąć[4]. Wskazuje przyszłość odnajdując dla niej ponadczasową, uniwersalną konieczność. Pytia mówiła nieswoim głosem; jego jedyny literacki ślad, to mamrotanie Kasandry w *Agamemnonie* Ajschylosa: „ototototoi popoi da/ Apollo, Apollo…". Jej ekstatyczny stan tłumaczy się dziś wdychanym na trójnogu halucynogennym etylenem. Już Plutarch z Cheronei (Πλούταρχος ὁ Χαιρωνεύς), arcykapłan wyroczni, pisał o oparach mających przyjemny, słodki zapach. Podobny obraz przedstawia Eurypides w *Ionie*: „Dym suchej mirry/ Ulatuje ku dachom Feba,/ Zasiada kobieta z Delf na boskim trójnogu/ I śpiewa Grekom głosy,/ Które jej podszepnie Apollo".

Talent, geniusz

Twórczość apollińską zwykło się pojmować jako rzemiosło, wykonywanie czynności podług prawideł uznanych przez twórców i oswojonych przez odbiorców. Tak pojmował swą twórczość Friedrich Dürrenmatt mówiąc, że natchnienie miewa w godzinach pracy. Ktoś taki określany bywa jako talent, co oznacza połączenie uzdolnienia z wynagrodzeniem[5]. Respektowanie reguł czyni sztukę zrozumiałą, łatwo znajdującą odbiorców. O pułapce podobnego urynkowienia pisał Konstandinos Kawafis (*Niezależność*, 1907): „Na pisarza, który uważa za rzecz pewną albo bardzo prawdopodobną, że będzie sprzedany cały nakład jego książki, a może także następne nakłady, nieraz oddziałuje ten jego przyszły sukces handlowy. Choćby był szczery i wierny swoim przekonaniom, będą się jednak zdarzały – niemal wbrew jego woli, niemal wbrew jego wiedzy – takie chwile, kiedy zdając sobie sprawę z tego, co publiczność mniema, jakim hołduje gustom i co kupuje, posunie się do różnych ustępstw: coś wyrazi inaczej, coś innego pominie zupełnie. A dla Sztuki nic nie jest tak zgubne (cierpnę na samą myśl o tym), jak powiedzenie czegoś inaczej, jak pominięcie czegoś".

Twórczość dionizyjska jest zaprzeczeniem tamtej trzeźwości. Fryderyk Nietzsche: „Czy to pod wpływem narkotycznego napoju, o którym wszyscy pierwotni ludzie i ludy mówią w hymnach, czy to za przepotężnym, całą przyrodę rozkosznie przenikającym zbliżaniem się wiosny, budzą się owe dyonizyjskie wzruszenia, w których potęgowaniu podmiotowość zanika w zupełnym samozapomnieniu" (tłum. Leopold Staff). Zanik podmiotowości oznacza oddanie się mocy wyższej, komuś lub czemuś - właściwemu „autorowi", dla którego człowiek staje się medium, środkiem wyrazu. Natchnienie można porównać do stanu nirwanicznego (nirwana to zgaśnięcie Ja), lub orgiastycznego: orgazm (ὀργάω – nabrzmiewać, pęcznieć) oznacza wypełnienie – kimś, czymś - prowadzące do zatraty Ja. Orgazm seksualny, określany przez Francuzów jako mała śmierć (la petit mort) jest faktycznym zatrzymaniem akcji serca prowadzącym do niedotlenienia mózgu, co budzi uczucie rozkoszy (nagrody za przedłużenie gatunku?). Grecka orgia (ὄργια) była tajemną część dionizyjskiego kultu wypełnioną praktykami misteryjnymi (□ργιασμός), zwanymi też telete (τελετή).

Zatratę Ja określano różnie, jako ekstazę (□κστασις - wyjście z siebie, trans), entuzjazm (ενθουσιασμός - owładnięcie przez boga), szał tworzenia (μανια ποιητική). Przekroczenie świadomości – „światła" - daje poczucie przynależności do wyższego porządku, na co wskazuje w *Hymnie do nocy* Novalis (Fryderyk von Hardenberg): „Bardziej niebiańskie niż gwiazdy świetliste zdają się nam nieskończone oczy, które w nas otworzyła noc". Podobną myśl można spotkać u Carla Gustava Junga, odróżniającego twórczość psychologiczną, świadomą, wynikającą z doświadczenia życiowego, i twórczość wizjonerską, zakorzenioną w zbiorowej nieświadomości. „Nic tu nie przypomina obszaru ludzkiego dnia, nabierają zaś życia marzenia senne, nocne lęki i mroczne przeczucia ciemności duszy". Grecy łączyli natchnienie z obecnością demona (δαίμων), bytu usytuowanego między tym, co boskie i tym, co ludzkie[6]. Słowo to, dziś naznaczone negatywnie, miało sens neutralny i było dookreślane: dobry duch (ἀγαθ□ς δαίμων), zły duch (κακοδαιμων, κακός δαίμων), demony czyniące zło (δαίμονεζ κακοιοι) itp. Platon w Fajdrosie pisze o największych dobrach, jakie zyskuje człowiek dzięki boskiemu szaleństwu; o poetach, przez których „bogowie przemawiają w zachwyceniu".

Rzymskim odpowiednikiem demona jest genius, bóstwo opiekuńcze, często identyfikowane z samym człowiekiem. Słowo to po raz pierwszy pojawia się u Titusa Plauta (Plautusa) w III w. p.n.e. jako boska obecność, boska inspiracja (ĭnspīrō – oddychać; ĭnspīrātiō – tchnienie, wdmuchnięcie). Stąd bogactwo spokrewnionych ze sobą wyrażeń mówiących o genezie, generowaniu, płodzeniu: gignō, gignere – tworzyć, sprawiać, płodzić: genitālis – płodny, żyzny, urodzajny; geniālis lectus – łoże, w którym następuje poczęcie; gēns – lud, klan; genus – rod, rodzaj; genius meus nominatur, quia me genuit (nazywają go moim Geniuszem, bo mnie spłodził); ingenium (zbiór zalet i cnót tego, kto się rodzi); indulgere Genio (łaskawy Geniusz).

Opiekunkami sztuk i boginiami natchnienia były znane z imion Muzy (Mo□σαι), córki Zeusa i Mnemosyne (Μνημοσύνη - pamięć). Nie jest przypadkiem podobieństwo leksykalne Muzy (Mo□σα) i muzyki (μουσικη). Metafizyczny sens muzyki, widoczny przede wszystkim w tradycji pitagorejskiej i platońskiej („filozofia jest muzyką największą", *Fedon*). Pitagoras mówił o muzyce jako harmonii przeciwieństw ujawniająca naturę liczb, czyli istotę wszystkich rzeczy. Plotyn dostrzeże w harmonii dźwięków źródło odczucia piękna. Muzy były pierwotnie boginiami śpiewu, dopiero z czasem stały się także opiekunkami poezji, sztuki, różnych dziedzin nauki. Przy muzyce pozostała Polihymnia (πολ□υμνος – bogaty w pieśni, opiewany, sławny). Obok szaleństw profetycznych (Pytia) i rytualnych (Dionizos), Platon wymienia szaleństwo będące opętaniem (κατοκωχή) właśnie przez Muzy. Dzięki ich łasce, pisał Herodot, niektórzy ludzie są poetami (μουσοποιός), co znaczy, że otrzymują moc prawdziwej mowy. Hezjod, który według legendy stał się kapłanem Muz, tak zaczyna swoją *Teogonię*: „Wdzięczne ciała obmywszy w rzeźwiących nurtach Permesu muzy, Olimpu dziewice, korowód piękny zawiodły na Helikonu wyżynach, stąpając pieśniom do wtóru. Stamtąd, ruszywszy gromadą, w całuny mgielne spowite, szły pośród nocy w dolinę, śpiewając głosem przecudnym. One to niegdyś Hezjoda uczyły pięknego śpiewania u Helikonu podnóża, gdzie owce pasł białorunne. Kostur dały mi potem do rąk, ułamawszy laurową gałąź pięknie rozkwitłą - i boską natchnęły mnie pieśnią".

Ryzyko

Geniusz przerasta ludzkie ego; genialne jest to, co bezosobowe. „Nie ja tworzyłem pieśni, ale one mnie" – mówił Johann Wolfgang Goethe. Amerykański pisarz i krytyk literacki, Malcolm Cowley, tak ujmuje różnicę między talentem i geniuszem: „Człowiek może władać talentem, ale geniusz włada człowiekiem". Podobnie włoski filozof Giorgio Agamben: „Geniusz jest naszym życiem o tyle, o ile życie nie jest przez nas tworzone, ale nas stwarza". Friedrich Wilhelm Joseph Schelling pisał o genialności jako boskości w człowieku. „Geniusz różni się od wszystkiego, co jest tylko talentem, z tym, że talent podlega wyłącznie empirycznej konieczności, która jest przypadkowością, geniusz zaś konieczności absolutnej. Każde prawdziwe dzieło sztuki jest dziełem absolutnie koniecznym; takie, które równie dobrze mogłyby być lub nie być, nie zasługują na tę nazwę… Już Leonardo d Vinci, poprzednik niebiańskiego geniuszu Corteggia, powiada: malarzu, jeśli pragniesz blasku sławy, nie obawiaj się ciemności i cieni…". Człowiek utalentowany poprzestaje na sztuce pojętej jako technika (τέχνη), nie ryzykuje wykroczenia poza jej zasady, przyjęcia tajemnego impulsu. Heraklit z Efezu: „Jeśli nie oczekujesz nieoczekiwanego, nieoczekiwanego nie znajdziesz".

Talent przynosi zysk (talenty), geniusz, nie respektujący reguł, wyprzedza epokę i bywa że umiera w nędzy. Luis Aragon: „Funkcją geniusza jest dostarczanie myśli, które kretyni zrozumieją dwadzieścia lat później". Może najbardziej symptomatycznym pod tym względem jest przypadek

Vincenta van Gogha. Za życia jego brat, Theo, zdołał sprzedać jeden obraz (*La vigne Rougne* – Czerwona Winnica) belgijskiej malarce Annie Boch. Po śmierci (29.07.1890; Theo umrze sześć miesięcy później) rozległy się żądania fanatyków, by spalić obłąkane dzieła „szatana", krytycy piszą o obrazach „odstręczających, przerażających". Zyskają uznanie kilka lat później dzięki zabiegom Johanny, żony Theo. W ostatnim przed samobójstwem liście do brata Vincent pisze: „Za moje malarstwo płacę ryzykiem życia, ono zabrało mi połowę rozumu". Karl Jaspers (*Strindberg i Van Gogh. Próba analizy patograficznej z porównawczym przywołaniem Swedenborga i Hőlderlina*) zastanawiał się nad wpływem psychotyków na kształt kultury: „To spektakularne, że dzisiaj wielu artystów-schizofreników wywiera taki wpływ za sprawą swoich dzieł stworzonych w okresie choroby". Swą uwagę skupia na Van Goghu, u którego znajduje objawienie się „ostatecznego źródła egzystencji". „Kiedy w 1912 roku podczas wystawy kolońskiej oglądałem owe cudowne dzieła europejskiej sztuki ekspresjonistycznej powstałej wokół Van Gogha, robiące wrażenie niejakiej monotonii, niekiedy nachodziło mnie poczucie, że Van Gogh był jedynym wzniosłym indywiduum wbrew woli »szalonym« pośród tylu innych, którzy chcieli być szaleni, lecz byli aż nazbyt zdrowi". W czasach sztuczności i naśladownictwa – Jaspers pisze te słowa na początku lat dwudziestych XX wieku – gdy duchowość staje się fabryczną instytucją; być może w takich czasach doświadczenie schizofreniczne jest jedynym warunkiem autentyczności.

Friedrich Hölderlin (w liście do Ulricha Böhlendorffa): „Dawniej z ogromną radością witałem nową prawdę, lepsze rozumienie tego, co istnieje nad nami i wokół nas, a teraz lękam się, czy w końcu nie stanie się ze mną jak ze starym Tantalem, co więcej otrzymał od bogów, aniżeli mógł strawić". Za symbol geniuszu uchodzi Pegaz (Πήγασος), skrzydlaty koń unoszący w krainę natchnienia. Jego matką była Meduza, najgroźniejsza z Gorgon ukarana przez Atenę ohydną postacią za profanację jej świątyni, jaką był seks z Posejdonem. Gdy Perseusz odrąbuję jej głowę, z otwartej rany wyleciał Pegaz. Sztuka, mówi mit, bierze się z rany, cierpienia, jest owocem profanacji i szaleństwa.

Andrzej C. Leszczyński

---

1. Mówiono, że Demeter dała ludziom chleb, a Dionizos wino: niczego więcej do życia nie potrzeba.
2. Św. Jan Chryzostom (Ἰωάννης ὁ Χρυσόστομος – Jan Złotousty), biskup Konstantynopola (IV/V w.) w Homilii do Koryntian pisze, nie podając źródeł swej wiedzy: „Pytia, będąca jakąś tam kobietą, siedzi niekiedy na trójnogu Apollina, rozkraczając uda; po czym wtedy przykry opar, wyziewający z dołu i przez jej płodne członki, napełnia kobietę obłąkaniem […]".
3. Przeciwko proroczym objaśnieniom przemawia pierwotna niejasność sugerująca, że Apollo nie chce, by człowiek zrozumiał objawienie. Mówi o tym Heraklit z Efezu: „Pan, którego wyrocznia znajduje się w Delfach, nie mówi i nie ukrywa, a tylko daje znaki".
4. Od zapowiedzi powstrzymała się Roza Weneda w dramacie Juliusza Słowackiego: „Lecz nie mówcie nic jutrzejszym trupom".
5. Talanton (τάλαντον) – jednostka wagi przejęta z Babilonii, w Atenach odpowiadająca ok. 26 kg.; suma pieniędzy równa talentowi złota bądź srebra. Jeden talent zawierał 60 min, 6 tys. drachm, 36 tys. oboli.
6. Sokrates, podobnie jak przytoczony wcześniej Czesław Miłosz, używali zdrobnienia „daimonion" (δαιμόνιον), czyli duszek.

Erazm Felcyn

Simon Dach

CHRZEŚCIJAŃSKA POCIECHA

Muszę opuścić życie,
To jest twarde prawo,
Chcę teraz należycie
Obiecać poprawę.
Jezu, weź mnie w swe ramiona
Jako swego Simeona.

Panie, widziałem Ciebie,
Człowieka zbawienie.
Ocal, tego czekałem
Na twoje skinienie.
Niosę ci w mej wiary dłoni
Skarb największy duszy mojej.

Ty wskazujesz mi ścieżkę,
Tyś drogą i torem,
Bramę niebios i przestrzeń
Stawiasz mi otworem,
Zatem w przejściu mi pomoże,
Że mnie przez nie wiedziesz, Boże.

Po prawicy zasiadasz,
Boska moc cię chroni,
W swoich nocach posiadasz
Grzech, świat, śmierć i płomień.
To, co wynosi świat we wszechświat
Ustanawia twój majestat.

Twą chwałę opiewają
Anielskie głosy,
Języki cześć oddają
Ojcu po wsze czasy,
Tyś honoru jest obrońca,
Tyś nagrodą jest bez końca.

Pozwól mi tam dostąpić,
Uwolnij od tego,
Co mnie w tym świecie więzi,
Bym u boku twego
Chwalił ciebie pocieszony,
Na wiek wieków wyzwolony.

Martin Opitz

CARPE DIEM

Mam wrażenie, mój ty Plato,
że niemal do świtania
przy tobie wciąż się słaniam.
Czas, aby spojrzeć na to,
gdzie źródło się wydobywa
i przejść się wśród zieleni,
co się kwiatami mieni
tam, gdzie sieć stawia rybak.

Po cóż się z księgami mierzyć,
tak trudzić się nie umiem!
Tymczasem płynie strumień
naszych zwykłych ludzkich przeżyć,
w jego środku wnet będziemy,
po koniec niespodziany:
aż bez ducha i wiary
odnajdziemy swój kres w ziemi.

Hej, młodzieńcze, pytaj stale,
gdzie najlepszy trunek tam
i napełnij winem dzban!
Wszystkie smutki, skargi, żale,
które ciągle tu znosimy,
niech nam Kloto zgromadzi,
my w winnym soku radzi
pospołu je utopimy.

Kup melony, to ci powiem,
o cukrze nie zapomnij,
zobacz, że to nie szkodnik!
Każdy może dbać o zdrowie,
kogo skarby oraz złoto
bawią, bez żalu może
nie syty kłaść się w łoże;
ja się pokrzepię z ochotą!

Proszę, bracia ukochani,
do szklanki i do pieśni!
Nic nie ulży boleści
ponad trunek i taniec.
W spadku bogactw nie dostanę,
lecz szlachetne wino mam!
Gdybym inne wypić chciał,
umrzeć musiałbym nad ranem.

tłum. Leszek Szaruga

Anna Krasuska

Smoka pokonać trudno, ale starać się trzeba

„Smoka pokonać trudno, ale starać się trzeba." – czytamy w komentarzu do ilustracji *Jak smoka pokonać* zamieszczonej w *Nowych Atenach* Benedykta Chmielowskiego. A ponieważ w ikonografii, zwłaszcza chrześcijańskiej, smok jest symbolem zła, które należy unicestwić, historia kultury, w tym literatury, nie szczędzi prac ukazujących takie próby. Nie jest jednak moim celem ich przytaczanie czy omawianie, bowiem skupić się chciałam na prześwietnych fraszkach Sergiusza Riabinina, których zbiór kończy się jednoznacznie brzmiącym apelem:

„Nie pisz pan fraszek – radzą mi szczerze –
fraszki przeszkodzą panu w karierze,
bo potem będą się mściły fisze,
że pan o fiszach we fraszkach pisze!
Niech się pan puknie! Szarpać się, po co?
Myślisz pan SŁONIA USTRZELIĆ PROCĄ?"

– Myślę! A nie potrzeba tutaj proroka, że PROC MILIONY ZNISZCZĄ I SMOKA!

Apel:
Strzelajmy celnie obywatele,
wszak smoków u nas jest jeszcze wiele!

Oj, wiele, zbyt wiele – jeśli spojrzeć na sytuację z perspektywy czasu aktualnego.

Aby jednak nie ulec aż nadto nasuwającym się skojarzeniom natury socjologicznej czy politologicznej, konkretnym odnośnikom do tu i teraz, skupię się na interpretacji samych fraszek. Jeśli pisze je mistrz (a Riabinin niewątpliwie mistrzem fraszki był), mają one tę cechę gatunkową, że wychodząc od opisu czy komentarza sytuacji jednostkowej, ukazują jej mechanizm, odsłaniając ponadczasowe zasady działania tegoż mechanizmu.

Jak rzecz się ma w powyższej fraszce?

Podczas jej lektury w pierwszej kolejności, niejako automatycznie, nasuwają się dygresje związane z często wykorzystywanym w tekstach kultury toposem walki ze smokiem i użytą w tej walce bronią. Ale próżno by szukać prostej analogii ze świętym Jerzym, najbardziej znanym motywem z tego obszaru tematycznego. Miecz (lub lanca – w zależności od wersji) zostaje tu zastąpiony… procą, co nadaje opisanej scenie groteskowy wymiar. Walka jest zdecydowanie bardziej nierówna, nawet jeśli smoka pomniejszyć by do smoczka, słonia. Proca była bowiem bronią skuteczną, ale w czasach… neolitu, ponieważ już od średniowiecza oddała pole orężu wykorzystującemu doskonalsze rozwiązania techniczne. Jaka więc może być siła rażenia procy w starciu, które miałoby się odbyć współcześnie (a nie chodzi tu bynajmniej o stłuczenie szyby w oknie złośliwego sąsiada)? Wynik takiej potyczki nie pozostawia złudzeń co do jej efektywności.

Dlaczego więc Riabinin stawia na procę?

Bo to broń najłatwiejsza do wykonania, w dodatku można ją zrobić z dostępnych materiałów. Każdy więc – jeśli tylko chce – może mieć ją w swoim arsenale. Można więc rzec, że autor proponuje uzbrojenie ogólnodostępne. Co więcej, proca jest bronią miotającą. I przy tej jej cesze też warto się zatrzymać. Co znaczy „miotać"? *Słownik języka polskiego PWN* definiuje miotanie jako rzucanie czymś z wielką siłą, z mocą wstrząsu. A wstrząsnąć to przecież zaburzyć dotychczasowy stan rzeczy. Gdyby pokusić się o zabawę językową i dodać niewinnie brzmiące „się", miotanie przyjmie całkowicie odmienne znaczenie – „miotanie się" będzie określało chaotyczne, bezładne działanie, daremne wysiłki w osiągnięciu celu, bezradność, niemoc w podjęciu decyzji. To zestawienie znaczeń „miotania" i „miotania się" jeszcze bardziej podkreśla celność wyboru procy jako broni przeciwko smokowi. Broni miotającej.

Bo czymże jest owa proca?

Riabinin nie skazuje czytelnika na domysły. Podaje odpowiedź wprost: To fraszka. Tekst. Słowa. Język, jaki zostaje użyty. Stają się one bronią w walce ze smokiem. I to bronią na tyle skuteczną, że budzi obawy dygnitarzy. Bo fraszka smaga ironią, ukazuje relacje w krzywym zwierciadle lub – może częściej – to my jako czytelnicy skłonni bylibyśmy wierzyć, że mamy do czynienia ze światem w karykaturze krzywego zwierciadła, choć w prezentowanym obrazie rzeczywistości żadnego przerysowania nie ma. Słowa fraszki po prostu skrzą się dowcipem, kpiną, szyderstwem. A pełnią – najogólniej rzecz ujmując – funkcję przemyślanej krytyki. Ba, a co jeśli fisze tylko sobie przyznają prawo krytyki, prawo używania języka w dowolnej dla siebie formie? Odpowiedź też nasuwa się automatycznie – toż będą ścigali tych, którzy, „miotając" słowa, tym samym będą bronili transparentności obrazu, jawności działań. Po prostu – fisze będą starali się ich zakneblować. Zatem nie bez podstaw życzliwi radzą autorowi fraszek, by ten ich nie pisał. I przestrzegają przed mściwością za nieposłuszeństwo. Zemsta za słowa krytyki nie jest przecież wyimaginowana. Różni decydenci na różnych szczeblach sprawowania władzy tępili/tępią niesubordynację twórców, a możliwości ograniczania ich wolności słowa mieli/mają wiele. Wystarczy przyjrzeć się różnym sytuacjom z przeszłości lub rozejrzeć się wokół. Do rangi heroizmu można zatem zaliczyć wszelkie działania służące obronie „fraszek" czy niepokorną i romantyczną nadzieję, że *proc miliony zniszczą i smoka*. Chyba że zadziała samospełniającą się wiara w nader rzadkie zjawisko, kiedy ilość miałaby przejść w jakość?

W omawianym utworze Riabinin akcentuje karę przewidzianą za nieposłuszeństwo, czyli pisanie fraszek – jest nią przeszkodzenie w karierze. Nasuwa się więc pytanie, dlaczego właśnie kariera stała się aż tak pożądaną wartością, że jej zablokowanie byłoby jedną z najboleśniej doznanych strat?

Czym jest kariera?

To pojęcie względne, ponieważ dotyczy różnych płaszczyzn, chociaż łączy je jedna nadrzędna cecha stała – kariera oznacza awans (czy to zawodowy, czy społeczny, finansowy lub inny), najczęściej związany z prestiżem i podziwem. „Robienie kariery" ma więc swój konkretny wymiar, swoją miarę, którą jest na przykład piastowane stanowisko, społeczne uznanie, posiadany majątek. Oznacza wspinanie się po kolejnych szczeblach drabiny, coraz bliżej wybranego celu, który ma zapewnić i zapewnia danej osobie poczucie życiowego spełnienia. Celowo nie precyzuję tu owych „szczebli drabiny", ponieważ wszelkie dookreślenia przeczyłyby istocie tego pojęcia, jako że kariera ma wymiar zarówno obiektywny, jak i subiektywny, od osiągniętej pozycji społecznej po uzyskany rozwój osobisty.

Jakkolwiek by patrzeć, skoro ludzi we współczesnym świecie ocenia się według tego, czy zrobili karierę, czy nie, a raz po raz pojawiające się podręczniki o metodach sprzyjających uzyskaniu awansu sprzedają się jak ciepłe bułeczki, trzeba mieć świadomość, iż wykreowanie się jest dla współczesnego człowieka niezwykle pożądaną wartością.

I tak słowo „kariera", wywodzące się z francuskiego *carriere* oznaczającego drogę lub tor wyścigowy, rozszerzyło swe znaczenie, każąc nam stanąć do wyścigu w pięciu się w górę. *Słownik Wyrazów Obcych PWN* prezentuje dzisiaj trzy znaczenia tego słowa. To po pierwsze *zdobywanie coraz wyższych stanowisk w pracy zawodowej, naukowej, społecznej itp.*, po drugie *osiągnięcie jakiegoś celu zapewniającego dobre widoki na przyszłość; dobra pozycja życiowa i po trzecie to także przebieg pracy zawodowej człowieka w ciągu jego życia.*

Jeśli przymierzymy do tychże definicji pojęcie twórcy, to przeszkodzenie mu w karierze staje się równoznaczne z unicestwieniem go jako artysty. Zablokować karierę twórcy to tak, jakby pisarzowi zabrać pióro, malarzowi pędzel, rzeźbiarzowi dłuto, muzykowi instrument czy aktorowi scenę. Słowem to tak, jakby każdemu artyście odebrać środki, za pomocą których przekazuje swoje emocje, wyraża opinie, kontaktuje się ze światem zewnętrznym. Jakby uczynić go niemym, →

niewidocznym w społecznym wymiarze. Jakby pozbawić go skrzydeł, istoty Życia.
Jest więc, co stracić.
Jest więc, o co walczyć.

Droga do ogólnie pożądanej kariery – w odróżnieniu od innych dróg – ma swoje dwa kierunki. Bowiem chcąc robić karierę, należałoby się piąć, ale – jak życie pokazuje – można się też... staczać. Riabinin każe jednak zaobserwować jeszcze jedno „komunikacyjne" rozwiązanie, łączące oba powyższe.

Droga do kariery
często tym się odznacza,
że im wyżej wejść chcesz w górę,
tym się niżej musisz staczać.

O tym – czy przysłówek „często" w tym kontekście autor zastosował, aby zwrócić uwagę, że jest to zjawisko obecne w wielu przypadkach, czy też zachodzi więcej razy niż tego oczekiwalibyśmy – czytelnik musi zdecydować sam. Na szczęście pozostaje nadzieja, że „często" nie jest synonimem „zawsze". A z nią pozostaje też wiara (jak to ona: ślepa), że „piąć się" i „staczać" to ciągle sytuacje przeciwstawne.

Jeśli jednak tak bardzo zaprząta nas myśl o robieniu kariery i obserwowanie, jak robią ją inni, warto przyjrzeć się, do jakich wniosków dochodzi w tym zakresie Riabinin.
Innymi słowy –
Jaka jest cena kariery według poety?

Żeby odpowiedzieć na to pytanie, należałoby – w kontekście całego tomu – zadumać się nad słowami: *tym się niżej musisz staczać*. Bo staczanie się to w tym przypadku nic innego jak doświadczanie moralnego upadku. I tenże moralny upadek jest u Riabinina poddany dogłębnej analizie. Poeta wskazuje na wiele zachowań, które – choć prowadzą do osiągnięcia wpływowej i prestiżowej pozycji – nie mają nic wspólnego z możliwościami intelektualno-organizacyjnymi, które taki sukces powinny gwarantować. Jeśli więc nie kultura umysłowa człowieka, jego inteligencja, zdolności, całokształt wiedzy i doświadczeń, to co?
Riabinin wskazuje na wiele możliwości innego pokonania dystansu dzielącego od wybranych szczytów. Jedną z nich jest schlebianie zwierzchnikom.

Jeśli nie śpiewasz
z wiodącym chórem
- kto cię wywinduje w górę?!
Dlatego
Życiowa mądrość
mądrze ci radzi:
z Władzą bądź się milczy,
bądź się Władzy kadzi!

Recepta jest nad wyraz prosta: służalczość zamiast kompetencji odpowiadającej danemu stanowisku. Aby pokonać kolejne szczeble drabiny awansu, należy po prostu wkraść się w łaski swojego mocodawcy. I nie jest to żadne odkrycie. Wystarczy sięgnąć do etymologii słów: rdzeniem słowa „schlebiać" jest „chleb", jako że chwalono „dla chleba". Należało kogoś „dowartościowywać", wyolbrzymiając jego pozycję, atrakcyjność, aby wzbudzić zaufanie, życzliwość i w perspektywie daleko idące własne korzyści. Z kolei w skład „kadzenia" wchodzi „czad", co w językach słowiańskich oznaczało specyficzny dym (np. czes. čad 'swąd, spalenizna, dym', ros. čad 'swąd, duszący dym', słoweń. čâd 'dym, czad, para, opar'). Można więc dać się uwieść – *mnie to kadzą* – ale można też w oparach czadu zginąć (przed czym już Krasicki przestrzegał). Mamy więc sytuacje, które sugerują (już na poziomie języka), że *kadzenie Władzy* nie jest niewinną igraszką, ale służy wymuszeniu „dobroci" tejże władzy, która przysporzy korzyści schlebiającemu (niekoniecznie schlebionemu). Dlatego

Gdy zapewnisz sobie „chody",
niepotrzebne ci są schody,
wówczas szybko i bez zgrzytów
windą wzlecisz aż do szczytów!
Ponieważ
Niejeden ideowiec
podchodzi do idei
jak do strzyżenia owiec!

Dzięki ich wełnie,
idąc przez życie,
ma zapewnione ciepłe okrycie!

I tak na różnych piętrach społecznych relacji. Tworzy się w ten sposób układ zamknięty, choć owce, jak to owce, niekoniecznie zdają sobie sprawę, jaką rolę pełni ich wełna. Z kolei w interesie tzw. ideowców jest walka o dostarczycieli *ciepłych okryć*.
Ale, ale... obecność antonimów „piąć się" i „staczać" nie musi być w karierze warunkiem koniecznym. Skoro jednak Riabinin rozpatruje te właśnie przypadki robienia kariery, warto prześledzić jego wywód. Wszak to spostrzeżenia człowieka, który w życiu miał możliwość – jako długoletni pracownik uniwersytetu – wiele różnego typu sukcesów i „sukcesów" zaobserwować. Można więc, zestawiając wybrane z tomu fraszki, ułożyć *vademecum* najszybszej i najbardziej lukratywnej drogi kariery.
Co jest punktem startu? Przy braku uzdolnień intelektualnych w wybranym kierunku ratunkiem okazuje się posiadanie uzdolnień tak zwanych innych, jak o tym traktuje poniższy tekst:

Nie wymyśli prochu
ani nawet proszku,
lecz ma zdolności polnego groszku,
po byle tyczce,
po byle górze
piąć się ku górze…
Stąd
wszystkie jego walki, potyczki
są o te mury
i o te tyczki!

I oczywiście równie niezbędne w tej wspinaczce jest także posiadanie popleczników. Kumoterstwo po prostu ma się dobrze – ludzie związani pokrewieństwem czy przynależnością do jakiejś społeczności popierają się nawzajem, aby osiągnąć wyższą pozycję społeczną czy/i korzyści materialne. Potencjał intelektualny nie jest brany pod uwagę, ponieważ

Najważniejsze przy dobrym starcie
dobre poparcie.
Bo ono nawet na chrome nogi
wkłada ostrogi.

Argumenty rzeczowe
dzisiaj psu na buty,
jeśli kumoterstwem
nie jesteś podkuty.

w ewolucji człowieka
ten fakt ma coś z hecy:
zbędny zdaje się kręgosłup,
a niezbędne plecy.

Gdy za ćwierkanie
chcesz mieć uznanie
i uznania tego znak,
musisz najpierw dobrze wiedzieć
ćwierkać o czym, z kim i jak!

Każda praca,
choćby „trzy po trzy",
choćby po prostu „chała",
gdy opiniują ją kumotrzy,
może się stać wspaniała!

Dydaktycznie – raczej zero,
naukowo – raczej dwa,
lecz rokują mu karierę:
on gdzieś „w górze" ciotkę ma!

Gdzieś „w górze" „jakaś ciotka"... itd. To zasady powszechnie znane. Więc jeśli nul robi karierę, zdobywa stanowisko, któremu powinien odpowiadać pokaźny zasób wiedzy merytorycznej i organizacyjnej, a tak nie jest, trudno mówić o transparentnej drodze do tegoż prestiżu i odpowiadających mu finansów (bo najczęściej te dwie wartości są z sobą mocno powiązane). Całość nie składa się na przypadek. I najczęściej tajemnicą poliszynela staje się: kto – komu – co, choć nie zawsze tylko wiadomo: za co. I nie zawsze wiadomo od razu.

A jak się w tym tyglu odnajduje uczciwość czy szlachetność? Dużo zależy od kontekstu.

… że dwa razy dwa jest cztery –
możesz mówić albo w domu,
albo dobrze wiedząc komu,
bo dwa razy dwa przeważnie
bywa dziesięć, siedem, pięć… -
gdy na taki właśnie wynik
władza twa wyraża chęć!

I tak dojdziemy do sedna mataczenia, którego istotę lapidarnie ujął Riabinin w zaledwie czterech wersach:

Chcąc usankcjonować nieetyczne normy,
należy bezprawiu badać prawa formy.
Wówczas można już dowieść – rzecz to oczywista –
że nawet i kałuża jest źródlanie czysta!

Zawsze, kiedy czytam tę fraszkę, w tyle głowy pojawia się pytanie: Sergiusz Riabinin zmarł w 1997 roku – co napisałby dzisiaj? Bez wątpienia przenikliwość myśli i celność jej ujęcia pozwoliła autorowi mistrzowsko pokazać daną sytuację w zwierciadle, bynajmniej nie krzywym, ale zapewne mógł nie przewidzieć tak dużego upowszechnienia, wręcz spowszechnienia opisanych zachowań. Ba, nie tylko częstości występowania mataczenia wśród różnego rodzaju decydentów, którzy traktują taką „taktykę" jako metodę utrzymania swojej władzy, ale także niepokojące przyzwyczajenie się odbiorców do takiego traktowania. Chciałoby

się oczekiwać, że opisane przez Riabinina sytuacje są tak jednoznacznie naganne, iż budzić mogą tylko sprzeciw. Dlaczego więc niektórym odpowiadają? Dlaczego nepotyzm, kumoterstwo, wszelkie nieetyczne sposoby zdobywania pozycji i wpływu na innych spowszechniały tak bardzo, że nie budzą tak zdecydowanego sprzeciwu, jakiego należałoby oczekiwać? A nawet jeśli budzą, to i tak ci o zdolnościach polnego groszku rozpleniają się, zagłuszając wołających na puszczy.

Jedną z metod stopniowego podporządkowywania sobie innych jest niewątpliwie demagogia, która ma służyć odwracaniu uwagi od istoty rzeczy i faktycznych problemów. Można – co aż nadto udowadniają różni decydenci – operując mataczeniem, pustosłowiem czy tylko bełkotem, nie tylko wprowadzać chaos do świadomości odbiorców, ale przede wszystkim próbować w ten sposób zbić własny kapitał, wypromować się przy braku jasnych zasad, transparentnego przekazu.

Przy ocenie dorobku
– to fakt, a nie kpiny –
waży się wszystko,
nawet łupiny.
Więc gdy na jakość
oczy się mruży
wychodzi z wagi
dorobek „duży".

Zawładnięcie umysłami innych ma ostatecznie służyć jednemu – zdobyciu władzy i jej utrzymaniu. Ach, ta władza!

Ach, te majonezy żreć (choć dzisiaj Witkacy zapewne zamieniłby majonezy na coś bardziej wykwintnego).

Ach, ten głód bogactwa, to ciągłe więcej i więcej. I jeszcze pamiętanie, aby odwracać uwagę innych od sposobu własnego bogacenia. Choć i tak pojęcie bogactwa jest względne: czy to ma być wyjazd raz w roku na krótkie wczasy czy posiadanie milionów, czy kilku (kilkunastu) willi.

A wszystkie te achy i ochy, te niekończące się apetyty spaja jedna idea – *idea koryta*.

Jedna idea koryta
w różną cielesność bywa spowita!
Lecz świnie nagie i wyfraczone
przez wszystkie wieki prą w żłobu
stronę! →

Erazm Felcyn

Ten to drogowskaz wskaże jedynie
w każdym przebraniu każdziutką świnię!
Kiedy głód bogactwa rośnie,
a moralność w człeku ginie,
nawet małe ludzkie prosię
wnet się zmienia w dużą świnię!

Wszystko się zmienia i wszystko płynie,
chociaż bywają niezmiennie świnie!

Riabininowi wierzyć należy. Był bowiem biologiem, nauczycielem akademickim, kierownikiem zakładu na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej, autorem książek naukowych z zakresu biologii środowiskowej. Co jak co, ale na zwierzętach się znał. I to, jak widać, znakomicie.

Powyższy problem ześwinienia można rozpatrywać – jak chcą autorzy fraszek – biorąc pod uwagę także zakres i trwałość tego zjawiska od początków istnienia. Taki na przykład obraz Genesis zaproponował Artur Maria Swinarski (zm. 1965):

Gdy Pan Bóg świat stworzył,
ogród wielki, tak zwany Raj, założył.
Rosły tam palmy, kaktusy i dynie,
pasały się pumy, żyrafy i świnie.
„Niedobrze, by świnia była sama!" –
powiedział Pan Bóg i stworzył Adama.

Inny wywód, iście naukowy, dotyczący genezy powstania na naszym rodzimym podwórku zwierzokumotra waplaka przedstawił Anatol Ulman (zm. 2013). Nie mogę się oprzeć przytoczeniu jego fragmentów, jako że charakterystyka „osobnika" – choć dokonana w innym gatunku literackim i za pomocą innych środków językowych, i trochę później – zdaje się być bardzo, bardzo zbieżna.

Mówi się, że chytrus waplak powstał z przypadkowego parzenia się importowanego na potrzeby wsi szakala ze zbiegłą z klatki cyrkową hieną. Ale w naszym narodowym bestiarium nie ma zwierzaków afrykańskich. Istnieje tylko chytrusieńki lisek i wroga wszelkiej kulturze słowiańska świnia błotna. To ich połączył szalony szał miłosny w rozkisłym dole za jakąś chlewnią, gdzie gromadzi się i buzuje złotobarwna polska gnojowica. (...) Oto duchowe dziedzictwo waplaka. To dlatego nie ma we wnętrzu tej istoty ani pojęcia sumienia, ani godności

Erazm Felcyn

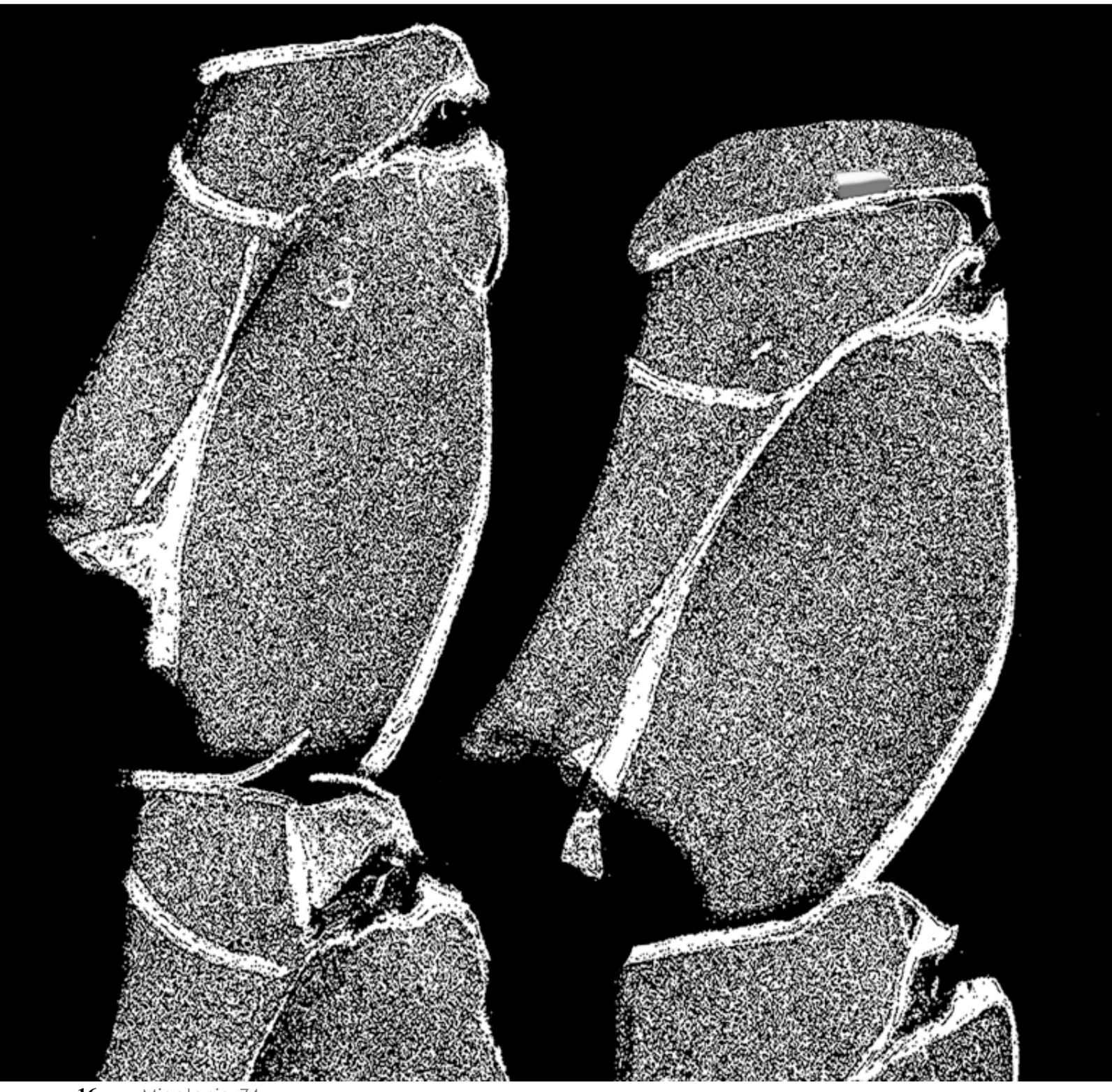

czy honoru, ani wrażliwości czy współczucia dla obcych czyli spoza wsi. Jego odwieczne środowisko stanowią bowiem tylko umiłowani krewni oraz kumy i kumotrzy, na których się opiera i którzy go fanatycznie, bezwzględnie wspierają w każdym czynie, zwłaszcza w podłościach i niegodziwościach, służących interesom z reguły spokrewnionej gromady. (…) Waplak nepota boleśnie rwie ze smacznego cielska Rzeczypospolitej najlepsze kawały dla siebie i swoich. (…) I czyni (to) pod pozorem najświętszych uczuć zrodzonych z bezinteresownego pragnienia służenia ojczyźnie, którą kocha, żywi i broni. (…) Za tę najwyższą szczerą i pełną hipokryzję naród wiejski waplaka uwielbia i nagradza godnościami, a przede wszystkim władzą umożliwiającą realizację doskonałego, chłopskiego egoizmu.

I tak wracamy do słowa, które pojawia się jak mantra: władza.

Bo żądza władzy stoi u genezy koła zamachowego historii.

Riabinin zauważył jeszcze jedną prawidłowość. Tę mianowicie, że

Każdy mały
kocha piedestały!
Dlatego
Niejeden głupek
wbił do swej głowy,
że z niego mąż jest
opatrznościowy!

Przekonanie o własnej ważności dystansuje wszelkie przymioty, jakie powinny cechować człowieka zajmującego dane stanowisko, podejmującego decyzje ważące na losach, nawet życiu innych. Na nic zasady elementarnej przyzwoitości (czy to słowo aby nie staje się archaizmem), jeśli

Prawidłowość taką
wszyscy dobrze znamy:
każdy mały człowiek
wejść chce w duże ramy.

To jedna z plag grożących światu:
SERYJNY CZŁOWIEK MINI FORMATU

Dziś
już na nikim wrażenia nie sprawia,
gdy zwykły wróbel
udaje pawia,
bo tak nagminne są te krzyżówki:
bogate piórka x ubogie główki!

Fraszki Riabinina wpędzają mnie w zakłopotanie, kiedy piszę ten tekst. Powód jest jeden. Powinno się te teksty tylko cytować, bo każde dodawanie uwag staje się niestosownością. Niepotrzebnym dodatkiem tłumaczącym oczywistość. No bo cóż dodać do takich aforystycznych stwierdzeń:

Nul zostanie zawsze nulem,
choćby go wybrali królem!

Nie pomogą gronostaje,
kiedy zero z nich wystaje…

Nie pisz pan fraszek
Nie, nie, właśnie pisz pan fraszki.

Te krótkie utwory Riabinina to jedno z moich najciekawszych odkryć czytelniczych ostatnich miesięcy. Minimum słów, maksimum treści – w ukazaniu małości naszego czasu. Choć nie tylko naszego. To uchwycenie i nazwanie wprost zachowań, sytuacji, metod znanych i stosowanych od wieków. Problemem jest tylko ich skala. Aby nie rozrosły się, nie stały normą. Akceptowalną. Usankcjonowaną. Groźną.

Zjawiska zanotowane przez Riabinina nie umknęły też innym twórcom. Dla przykładu:

Bajeczka o kameleonie Bogdana Brzezińskiego (zm. 1980)
Pewien sprytny kameleon
zawsze dowiódł, że to nie on…
Nawet dziś się wykaraskał,
że był anty, kiedy klaskał.
Rada Jana Sztaudyngera (zm. 1970)
Nie narzucaj światu
swojego formatu.
Bezwarunkowo Andrzeja Waligórskiego (zm. 1992)
I hasło bezwarunkowo:
Mniej dupą, a więcej głową!!!

– *Sposób* Jana Bolesława Ożoga (zm. 1991)
  Chcąc przepłynąć przez koryta
  tonący sitwy się chwyta.
– *Kariera polityczna* Zbigniewa Skupińskiego (zm. 1988)
  Trzeba mieć nie lada spryt,
  żeby stoczyć się na szczyt.
– *Budowa* Włodzimierza Ścisłowskiego (zm. 1994)
  Na dole spór o fundamenty,
  na górze wieniec już przypięty.

Oczywiście można byłoby przytaczać fraszek znacznie więcej, ja wybrałam tylko przykładowe utwory i to twórców już nieżyjących, którzy świat obserwowali w podobnym czasie jak Riabinin, zmarły w 1997 roku. Zza ironii wyłania się wcale nie śmieszny osąd rzeczywistości.

Lektura fraszek Riabinina zwraca uwagę na jeszcze jeden aspekt społecznego życia – wychowanie do mądrości.

W akcie fundacyjnym uczelni z 1600 roku zostały zapisane słowa kanclerza Jana Zamoyskiego (czasami błędnie przypisywane Andrzejowi Fryczowi Modrzewskiemu lub Stanisławowi Staszicowi, który je przytoczył w „Uwagach nad życiem Jana Zamoyskiego"): *Takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie*. Stwierdzenie to, ze względu na częste cytowanie, zdołało utrwalić się w społecznej świadomości. I dobrze, ponieważ podkreśla zasadniczą zależność: *takie – jakie*. Mądre wychowanie młodzieży skutkować będzie ukształtowaniem mądrego, świadomego społeczeństwa. I odwrotnie: odpuszczenie poziomu nauczania będzie wpływało na jakość późniejszego funkcjonowania społeczeństwa. Tylko tyle, aż tyle. Najlepiej wiedzą o tym politycy, różni decydenci, którzy co rusz staczają walkę o rząd dusz młodych ludzi – swoich potencjalnych wyborców. Walka o władzę nad młodymi to nic innego jak narzucanie im, czego się mają uczyć, jakie mieć wzorce, ideały. Dlatego:

Zbiorowa modlitwa uczonych
dzisiaj byłaby taka:
„Chroń nam, Boże, naukę
od instrukcji głuptaka!".

Słowa Riabinina porażają dzisiaj ze zdwojoną siłą!

I choć Poeta włączył się swoim głosem w dyskusję o modelu wyższej uczelni (ten poziom nauczania był mu z racji wykonywanej pracy najbliższy), to ciągle należy pamiętać, że koncepcja wychowania i nauczania rodzi się w głowach mocodawców jako ciągłość, którą najłatwiej przeforsować na niższych poziomach, niż wprowadzać ją w broniących swej autonomii uczelniach. Ja wygląda diagnoza polskiego szkolnictwa?

Wciąż pichcą na patelni
koncepcję wyższej uczelni,
lecz wśród pichcących
rzadko się zdarza
dostrzec kucharza!

PS
Po co kucharz?! Wszak i tak,
jaki będzie jadła smak,
jakiej użyć receptury,
podyktują biura z góry!

Nowa w nauce specjalizacja:
REORGANIZACJA!

Jak ma dojrzewać w nauce treść
i jak kształtować się forma,
gdy co chwila jest REFORMA?!

W kontekście wcześniejszej modlitwy: *Chroń nam, Boże, naukę od instrukcji głuptaka* świadomość, że trzeba się uciec do modlitwy, jeśli rzeczywistość skrzeczy – powtórzę – poraża ze zdwojoną siłą! Bo jak zaczarować tę rzeczywistość, żeby odwróciła się sytuacja i okoliczności takie, jak opisane poniżej, nie miały miejsca:

Mało ważne, co masz w główce,
ważne, co na wizytówce!
W Polsce
skróty: prof. dr doc.
czarodziejską mają moc!

A co zrobić, żeby ci z bezpodstawnie zawłaszczonymi skrótami nie mieli prawa wpływać na istotne rozstrzygnięcia, zawiadywać ważnymi decyzjami? Aż chce się odpowiedzieć: *Smoka pokonać trudno, ale starać się trzeba*.

Co ciekawe, Riabinin odnosi się w tej fraszce do czarodziejskiej mocy, która się bezwstydnie zadomowiła. Ale przecież nie jest ona wytworem pomachania czarodziejską różdżką. To konsekwentny wynik dokładnie wypracowanej strategii, począwszy od pokonywania przeszkód za pomocą zdolności polnego groszku. I koło się zamyka po raz wtóry. W ogóle cały tom fraszek Poety stanowi zbiór elementów (150 fraszek w pierwszym wydaniu z 1993 roku i 219 w wydaniu drugim z 2014 roku, rozszerzonym o 69 niepublikowanych wcześniej fraszek), które układają się jak puzzle, tylko, niestety, z układanki wychodzi obraz dosyć ponury. Ponury, bo nie wyimaginowany. Ot, życie po prostu.

Prawdziwa cnota krytyk się nie boi – napisał ponad 200 lat temu Ignacy Krasicki w „Monachomachii". Ale trzeba mieć pewność, że ma się do czynienia z prawdziwą cnotą. Riabinin widocznie takiej pewności nie miał, skoro, choć pisał fraszki przez całe życie, zdecydował się je opublikować po →

zakończeniu swojej naukowej działalności, w wieku 75 lat. W *Słowie od Autora*, zamieszczonym we wstępie tomu, napisał: *Środowisko naukowe jest mi bardzo dobrze znane, brałem bowiem udział w jego życiu już od roku 1944. Przedstawione tu fraszki powstały więc na gruncie realiów nauki polskiej ostatniego 45-lecia, odbitych w krzywym zwierciadle*. Jakie ono krzywe? – moglibyśmy z późniejszej już perspektywy, z naszego tu i teraz, podyskutować.

Ważnym też jest, że choć Poeta zapewnia, iż fraszki odnoszą się do „realiów nauki polskiej ostatniego 45-lecia", to na pewno miał świadomość, że opisane przez niego mechanizmy społecznego funkcjonowania są na tyle uniwersalne, iż daleko wykraczają poza deklarowane ramy. O czym świadczy na przykład ironiczna prowokacja:

> Samodzielne myślenie –
> nierentowne szalenie!

Aż chciałoby się – czytając tę aforystyczną fraszkę – zaprotestować: nie, tak źle z naszym myśleniem nie jest. Ale zanim zaprzeczenie by wybrzmiało, zostaje przygniecione przez argumenty, że jednak sytuacja zdaje się być krytyczna, żeby tylko przytoczyć coraz bardziej nasilający się wtórny analfabetyzm, nie zastawiające złudzeń dane dotyczące czytelnictwa (publikowane przez Bibliotekę Narodową), pogłębiające się zjawisko czytania bez zrozumienia itp., a co za tym idzie – coraz większą podatność na manipulację i wszelkiego rodzaju socjologiczne gry, pozwalające na zawłaszczenie cudzego zachowania i myślenia. I, co nie mniej ważne, zgodę na przejęcie cudzego myślenia jako swojego. To oddziaływanie na innych zdaje się najgroźniejsze, kiedy do władzy dochodzą „zawodowi ogłupiacze narodu" – o których pisał Lech M. Jakób (*Błahostki*, 2021) – *Taki blask bije z ich wysoko uniesionych czół, / że ślepną pospołu: mrówka, koń i wół.* (*Zawodowi ogłupiacze narodu*). A ślepnąc nie wolno, bo umyka nam wówczas świadomość, jak to się dzieje, że: *Ze szczebelka na szczebelek / skacze szary wróbelek. / A ze szczytu rozgląda się wokół / jak jakiś sokół.* (*Wróbel i drabina*). Oj, nie będzie nam wtedy dany czas na zdziwienie, kiedy otworzony zostanie ten czy ów testament, a tam jednoznaczny zapis: *Dobrze, że żyłem, / bo wielu pięknie wykończyłem.* (*Z testamentu sadysty*). I niby można było tę deklarację działania wyczytać dużo wcześniej, ale, niestety, *W nadzieję zakuty człek / z wieku po wiek.* (*Najlepsze kajdany*). I dlatego na pytanie: *Co tam panie w polityce?* współczesny ankietowany najczęściej odpowiedzi udziela w zależności od „punku siedzenia", gdyż *w zależności od punktu siedzenia / ustawia punkt odniesienia*. (*Wygodniś*). Po latach niektóre fraszki w „Błahostkach" Lecha M. Jakóba (zm. 2021), które tu cytuję, mogą być odczytywane tylko jako zręczny pomysł autora, funkcjonujący w oderwaniu od kontekstów politycznych, społecznych czy obyczajowych, jednak dzisiaj niejako automatycznie nasuwają czytelnikowi znaczące skojarzenia. Na przykład:

> Rozrywają go zajęcia, / o których nie ma pojęcia. (O pewnym aktywiście),
> Raport o stanie oświaty / rozśmieszył zaświaty. (Usłyszałem, że),
> I każdy długopis / ma swój scenopis. (Z życia długopisów),
> Nieistotny spór, / gdy z cokołów mur. (Spór o cokoły).

Kiedy czas będzie zacierał wymowną genezę niektórych fraszek, znawcy będą tworzyli do nich przypisy lub też zostaną potraktowane jako uniwersalne spostrzeżenia. Ot, siła czasu.

Siła, która wpływa także na rozwój cywilizacyjny, postęp techniczny – a przy tej okazji także odsłania to i owo. Jak zauważył Stanisław Lem (zm. 2006), kiedy komputer był jeszcze dobrem luksusowym: *Nie wiedziałem, że na świecie jest tylu idiotów, dopóki nie poznałem Internetu*. Dzisiaj moglibyśmy dopowiedzieć, parafrazując: *Nie wiedziałem, że na świecie jest tylu idiotów, dopóki nie poznałem* niszczącej siły hejtu. Spór o liczbę idiotów w populacji oraz ich wpływ na życie innych i tak ostatecznie zakończyłby Lech Niekrasz (zm. 2014), który sięgnął do prapoczątków, pisząc *Genesis*:

> Ulepił Pan Bóg figurę z błota,
> tak przyszedł na świat pierwszy idiota.
> Wtrącając te dygresje tylko pozornie
> odbiegłam od tematu, który mocno
> mnie zajmuje, a jest nim wychowanie
> do mądrości. Nie do uległości. Po to,
> aby móc rozpoznać, że
> Często
> czyimś wielkim zdaniem
> kupczą mali dranie!

I aby umieć zdekodować manipulację zobrazowaną za pomocą ironii i satyry w zapisie:

> Na tym cała opiera się rzecz,
> że postęp nie musi iść naprzód,
> że postęp może iść wstecz!

To wyjątkowo trudne zadanie, jeśli przyjdzie rozejrzeć się wokół i rozpoznać konteksty, w jakich wychowanie do mądrości miałoby przebiegać. Dlaczego? Bo jak okiem sięgnąć – diagnozuje Riabinin – dopadło nas schamienie.

> W bezklasowym naszym narodzie
> wyrównało się wszystko szalenie –
> nawet schamienie!
>
> Nie tylko kudłate chłopaki
> mają w wychowaniu braki,
> dziś i duchowa nasza śmietanka
> w dobrych manierach ma spore manka.

Skarlały na duchu osobnik miałby wskazywać ideały, narzucać wzorce? Brzmi jak groteska. Chyba że przyjmiemy, iż zadomowiliśmy się czy też skazaliśmy na tę kategorię estetyczną? Na trwałe połączenie jednocześnie występujących wartości przeciwstawnych, takich jak tragizm i komizm, piękno i brzydota, realizm i mrzonki sprzedawane jako zapowiedzi realności?

Sławomir Mrożek stworzył przed laty w swoich dramatach opozycję mędrka i chama, a Jan Błoński, znakomity interpretator jego tekstów, tę opozycję podkreślał. Dziś potrzebny byłby autor, który w równie przenikliwy sposób uchwyciłby, że mędrek i cham to jedność.

Nie zostały wypracowane strategie, jak się bronić przed głupotą. Droga do sukcesu daleka. Mimo to Riabinin wierzy, a ja wierzę razem z nim, że *smoka pokonać trudno, ale starać się trzeba*.

Pisanie fraszek to broń przeciw smokowi.

Fraszka zawsze zawiera jakąś materię, którą jest sytuacja, jakiś bohater czy jego historia, lub tylko jakieś sformułowanie. Ale obojętnie, czy opowiada story, czy tylko pointuje stanowisko, zawsze jest nacechowana dowcipem, ironią, satyrą. Jej orężem jest mocno skonkretyzowana celna myśl, podkreślona komizmem, parodią. Nie można jej także odmówić ekspresji wynikającej z efektywnego igrania z językiem.

Jako że wnikliwa i cięta, możemy się w niej przejrzeć jak w krzywym zwierciadle. Choć nie zawsze jest to krzywe zwierciadło. Przeważnie to nasza rzeczywistość. Albo może właśnie dlatego, że to nasza rzeczywistość, fraszki zaistniały już przed wiekami. Do naszej literatury wprowadził je Jan Kochanowski (wydane po raz pierwszy w 1584 r.) i od razu pokazał ich całą tematyczną gamę: od żartobliwych, biesiadnych, miłosnych po pochwalne czy refleksyjne. Bawiąc, prowokują do myślenia. Podziwiamy ich kunsztowną artystyczną formę, ale i podziwiamy za odważne błyskotliwe treści. Na przykład kiedy czytamy *O kaznodziei* mistrza z Czarnolasu:

> Pytano kaznodzieje: „Czemu to, prałacie,
> Nie tak sami żywiecie, jako nauczacie?"
> (A miał doma kucharkę.) I rzecze: „Mój panie,
> Kazaniu się nie dziwuj, bo mam pięćset na nie;
> A nie wziąłbych tysiąca, mogę to rzec śmiele,
> Bych tak miał czynić, jako nauczam w kościele."

Fraszka (wł. *frasca* – gałązka, drobiazg, bagatela, błahostka) tylko z pozoru wydaje się błahostką i drobiazgiem, w rzeczywistości ma siłę, która jednych przyprawia swą treścią o strach, wzbudzając m.in. złość i chęć odwetu, jeśli odnajdują między wersami siebie lub „swoich", innych po prostu tylko rozbawia, jeśli patrzą na opisaną sytuację jako na jeszcze jeden dowód ułomności człowieka. Tak czy owak nie można twórcom tych miniaturowych utworów odmówić przenikliwych obserwacji, błyskotliwości ujęć, empatii i wirtuozerii w posługiwaniu się językiem. Fraszki miały i mają się dobrze, bo oko aforysty wypatrzy, co zgrzyta, i zapisze. Lech M. Jakób spreparował przepis na tworzenie fraszek, dosyć prosty i dlatego warto go przypomnieć: *Trzy czwarte myśli, ćwierć igraszki.* Ja w niniejszym tekście skupiłam się na pierwszym jego składniku, zabiegi formalne zostawiając w tle. Analiza „igraszek", czyli pokazanie „od kuchni" pracy autora w języku (omówienie m.in. leksyki, frazeologii, środków stylistycznych i zabiegów kompozycyjnych), wymagałaby znacznego rozbudowania tego tekstu. Oczywiście nie można oddzielić obu elementów z przepisu Jakóba, ponieważ tylko razem znaczą to, co znaczyć mają. Zatem moje rozważania i tak mogłyby przypominać daremny zabieg, analogiczny do tego, jak z dobrze przyrządzonego i doprawionego dania wydzielić po jego przygotowaniu każdy ze składników, z pieprzem i solą włącznie. Działanie tyleż niemożliwe, co z góry skazane na porażkę w tekście nie mającym naukowych ambicji.

Dlatego chciałabym wrócić do tego, co we fraszkach uwodzi mnie najbardziej, czyli do ich myśli i siły tkwiącej w nieustannej aktualności. Mimo że zmieniają się warunki ideowe, polityczne, ekonomiczne, środowiskowe czy kulturowe, słowem – mimo że zmienia się i to naszych oczach cały czas

otaczający nas świat – fraszki się nie starzeją. Ponieważ nawet jeśli mają swoje umocowania w czytelnych w danym momencie sytuacjach i powstają z zainspirowania twórcy jakąś bieżącą sprawą, to i tak te aktualia stają się tylko ilustracją do pokazania samego działania danego mechanizmu. Wychodząc od szczegółu, uogólniają. Uniwersalizm fraszek polega na rozpatrywaniu takich ludzkich spraw, które dotyczą człowieka zawsze, bez względu na epokę, ponieważ motywem jego postępowania są wielkie namiętności, w tym walka o władzę, o prestiż, żądza bogactwa, uczucia o wyeksponowanej skali. W takiej sytuacji niezbędna wydaje mi się refleksja jakże trafnie zapisana przez M. Gogola w końcowej scenie „Rewizora": *Z czego się śmiejecie? Z samych siebie się śmiejecie!* (tłum. J. Tuwim).

Żyjemy w tak ciekawych czasach (nie na darmo przeklinano: „obyś żył w ciekawych czasach"), że rzeczywistość, współczesne igrzyska, zbyt często przekraczają nie tylko nasze oczekiwania, ale i wyobrażenia. Jak pisał Riabinin:

Ileż ludzkiego myślenia
wprzęgnięte jest w dzieło niszczenia?!

To prawda. Ale w naturze człowieka tkwi równoległe pragnienie, aby nie poddawać się przeciwieństwom „losu". Stąd apel poety, aby proc miliony zniszczyły smoka, aby się bronić choćby i fraszką. Słowem, które na co dzień jest bronią dostępną każdemu z nas.

Język, którym się posługujemy, kształtuje nasz sposób myślenia, nasze wyobrażenia, postawy. Dlatego jest tak ważny i dlatego każdy mocodawca chciałby wprowadzić swój „kod" jako obowiązujący, zostać cenzorem przekazywanych za jego pomocą wartości. Zatem walka o wład**z**ę sprowadza się bardzo często do walki o język. A obrona transparentności i kultury języka staje się obroną godności. Demagogia, dezinformacja, perswazja, różnego rodzaju chwyty retoryczne nie są czczą zabawą, popisem mówiącego – za nimi czają się nie do końca uświadomione przez odbiorcę cele (przynajmniej nie od razu uświadomione), dlatego jest on wobec nich bezbronny. Słowa stwarzają pewną rzeczywistość – dlatego właśnie Riabinin zwraca uwagę na ich siłę.

Literatura tłumaczy otaczający świat, pomaga rozeznać sytuacje, uczy empatii, jest *ćwiczeniem z wrażliwości,* jak mówił Leonard Neuger. Nie da się jej przecenić. Już Słowacki chciał zakląć rzeczywistość i nadać jej moc przerobienia ludzi w anioły. Choć to zadanie pozostało w sferze li tylko nadziei, to i tak trzeba mieć świadomość, że „fraszki" tylko z pozoru niewinne są. Toteż przekonuje Ryszard Koziołek, że *dobrze się myśli literaturą*. Ja też chcę zobaczyć, zwłaszcza w formach krótkich: fraszkach, aforyzmach, felietonach, bajkach, jak literatura mi ten świat wyjaśnia, ile w tym tłumaczeniu odnajduję siebie, a co stanowi inspirację do przemyśleń czy dyskursu.

Nie można także pominąć i tej prawdy, że Poeta często widzi więcej i jego głos wybrzmiewa jak ostrzeżenia Kasandry. Dlatego właśnie zamieściłam w tekście daty śmierci autorów, co w kontekście tu i teraz nadaje ich słowom dodatkowe znaczenie i skłania do refleksji. Tyle tylko, że historia się powtarza (choć żaden Apollo nie rzucił na twórców przekleństwa po odrzuceniu swoich awansów) i gnębi nas kompleks Kasandry (zwany też dylematem lub syndromem jej imienia), zgodnie z którym ignorujemy uzasadniony niepokój i lęk, a przestrogi traktujemy jako bezzasadne. Chociaż córka Priama wiedziała o nadchodzącej zagładzie Troi, to nie mogła ani zmienić przyszłości, ani przekonać mieszkańców do swoich racji. Historia nas nie uczy?

Co pozostaje?

Może – w tym zakresie – nic innego, jak odrobić lekcję z czytania, oczywiście z czytania ze zrozumieniem. Po prostu czytać i myśleć.

I wierzyć Riabininowi, *że PROC MILIONY ZNISZCZĄ I SMOKA!*

Dlatego

Strzelajmy celnie obywatele,
wszak smoków u nas jest jeszcze wiele!

Anna Krasuska

Erazm Felcyn

Kazimierz Sopuch

Jeremiady

Nic się nie zmieniło -
wszystko od wieków tożsame

Góry
rozsypują się w piasek
Nasze czyny
jakże Wielkie
znikają pod wodą

Nicość
przeistacza się
w Wieczność

Aby trwać Tam
musimy być Tu

Czy będzie to
wieczny lot
czy tylko
sen wiekuisty?

x x x

Usychają
jałowce słabe
Mocne
pną się ku słońcom

x x x

Myśląc o Wieczności
zapominamy
o chlebie powszednim

Dlatego
trzeba siać żyto

A po żniwach
siadamy nad Styksem
po stronie życia
i wpływamy
do morza

Olsztyn, 27.05.21

Zachodzą mi oczy

Zachodzą mi oczy
łzami

Muszę je wycierać
by żyć

Taki los -
napisałem
pijąc poranną kawę

Dla kogo?

Dla nikogo -
pusto u mnie

Jestem nadpalony -
niedługo spłonę

Rozsyp prochy
opiekunko moja
na Sopuchowej Roli

… której nie ma

Olsztyn, 18.03.21

Moja modlitwa poranna

Czekam na Ciebie tak jak Żydzi
na brzegu Morza Czerwonego
na laskę starca łaskę Boga
i tak usycham jedząc mannę
przez Ciebie rzadko mi podaną
I tylko cielców złotobrzuchych
nie rzeźbię sobie – no bo skądże
za biedny jestem aby w złocie
a glina jest niegodna Ciebie
Wciąż czekam tak jak Anioł
na Służebnicę czekał bożą
może mi powiesz – niech się stanie
niech we mnie wzrasta radość Twoja

Nie czekam na ukrzyżowanie
bo wiem że dłonie Twoje małe
młota nie wezmą nie przebiją
rąk które znają Twoje ciepło

Jestem tylko ziemskim bogiem
który krzyż dźwigać ledwie może
a wisieć na nim – to rzecz Boga
który choć wieczny lecz w Ogrójcu
modlił się – Oddal Ojcze kielich

Teraz Cię błagam – niech się stanie
niech się dopełni miara Twoja
tylko mi nie bierz z życia Hani
Daj krzyże dźwigać i daj rany
bolesne po nich i głębokie -
tylko mi zostaw dłonie szybkie
dłonie jak balsam z Twego grobu
które gdy spoczną na mych oczach
otworzą je na ścieżki Twoje

Olsztyn, 1959 rok.

Dariusz Pawlicki

ZA ROZDZIAŁEM & PRZECIW UŚREDNIANIU

ESEJ

„[…] Państwo w tamtych czasach [mowa o średniowieczu] mogło posyłać ludzi na stos, ale nie miało ich jeszcze tak całkowicie i kompletnie na własność, jak miewa państwo dzisiejsze, posyłające ludzi do szkół podstawowych […]",
Gilbert K. Chesterton, esej *Święty Tomasz Morus*.

I.

Tym, co przychodzi na myśl, chyba każdemu, gdy słyszy o rozdziale czegoś od państwa, jest Kościół. I chyba wszędzie w świecie zachodnim został on dokonany. Było to rozciągnięte w czasie, a zostało dokonane z mniejszymi bądź większymi oporami. I na razie nic nie wskazuje na to, że miałby nastąpić proces odwrotny.

Moim zamiarem jest jednak poruszenie kwestii innego rozdziału. A mianowicie –szkoły od państwa. I nie chodzi tu o żadną przenośnię, lecz o dosłowność.

O rozdziale, o którym mam zamiar pisać w tym eseju, nie mówi się – mam na myśli początek XXI w. – w ogóle bądź bardzo niewiele. Napisałem „bardzo niewiele", gdyż biorę pod uwagę to, że jeśli na ten temat w ogóle się dywaguje, to wyłącznie w cichości gabinetów (takich czy innych). Ale za najbardziej prawdopodobne uważam, że nikt nie podnosi tego tematu. Nie dziwi mnie to w ogóle, gdyż od wielu dziesięcioleci dominuje przekonanie, że państwo winno mieć dominujący wpływ także na szkolnictwo elementarne i średnie. W przypadku lewicy ma ono na celu stworzenie ujednoliconego, wręcz sformatowanego ucznia, potem obywatela. Taki ,,średniak" doskonale wpisuje się w akcentowany mocno postulat budowy społeczeństwa egalitarnego. Jego urzeczywistnieniu ma służyć państwo, które gdy uchwyci kolejny sznurek stanie się jeszcze silniejsze. A gdy już będzie bardzo silne – to znaczy, gdy trzymać będzie w garści wszystkie sznurki – stworzone zostaną idealne warunki ku temu, aby człowiek mógł być zadowolony – nareszcie – z siebie i ze świata dookolnego. Prawica, jeśli marzy o silnym państwie – nie jest to jednak w jej przypadku regułą – to takim, które jest silne siłą swych obywateli (silnych także dzięki nabytej wiedzy, nie tylko jednak tej, do bólu, praktycznej); stąd m. in. pochwała indywidualizmu. Nie jest więc jej zamiarem uczynienie państwa zdolnym do stworzenia nowego człowieka. Raczej – pisząc w pewnym uproszczeniu (tak, jak i w przypadku poglądów lewicy) – ma na celu pielęgnowanie dotychczasowych wartości.

Podkreślam wagę siły mieszkańców/obywateli, gdyż tylko wtedy będą oni w stanie oprzeć się państwu chcącemu zawładnąć ich życiem. Będzie ono bowiem przez nich kontrolowane. A przede wszystkim – im służyć będzie. Dlatego fundamentalnego znaczenia nabiera to, co obywatele będą sobą reprezentować. Nie jest jednak możliwe, aby wszyscy prezentowali najwyższy poziom, ani przynajmniej poziom wysoki. Choćby z tego względu, że ma miejsce to, co Roger Scruton tak oto scharakteryzował:

„Nie ulega wątpliwości, że weszliśmy w okres pogłębiającej się zapaści systemu edukacyjnego, w wyniku której część uczniów przyswaja sobie masę wiedzy, ale masy przyswajają sobie niewiele lub nic" (*Kultura jest ważna*).

To spośród osób reprezentujących najwyższy poziom winna wywodzić się elita (przynależność do niej nie powinna być w żadnym razie dziedziczna, lecz wynikać z indywidualnych przymiotów ducha). Zasada, że każdy (każdy, czyli także ten nie spełniający jakichkolwiek wymogów intelektualnych) może być np. prezydentem kraju, już na krótszą metę będzie destrukcyjna, a na dłuższą – zabójcza. Zdaniem Clive'a Staplesa Lewisa owo nie branie pod uwagę kwalifikacji, prowadzi „do powstania narodu bez wielkich ludzi, narodu składającego się głównie z ludzi niedouczonych, pełnych zarozumiałości ignorantów karmionych pochlebstwami, gotowych warczeć i kąsać, gdy padnie najsłabszy głos krytyki […] kiedy spotka się on na polu walki z narodem, w którym uczniowie musieli pracować, utalentowani ludzie zajmowali wysokie stanowiska, a rzeszy ignorantów nie dopuszczano wcale do głosu w sprawach publicznych, to wynik jest z góry przesądzony" (esej *Krętacz wznosi toast**).

W egalitaryzmie, a sprzyja mu właśnie szkoła państwowa, podaż jednostek wyrastających ponad przeciętność (za sprawą uzdolnień i wiedzy) zostaje zdecydowanie ograniczona. Podejrzewam, że trwanie takiego szkolnictwa przez pokolenia sprawi, że taka podaż będzie wręcz niemożliwa. Ratunkiem będzie mogła być tylko rodzina kultywująca szczególne uzdolnienia bądź zajęcia pozalekcyjne prowadzone przez jakąś osobowość. (Z tym, że na zachodzie Zachodu rodzina zaczyna być coraz gorzej widziana, jako siedlisko opresji). Natomiast nauczyciele sprzeciwiający się takiemu szkolnictwu, prędzej czy później znajdą się poza nim, gdyż system wymaga od nich pełnej akceptacji. I za to, tylko za to, gotów jest im płacić.

Szkoła państwowa, w dominującej obecnie postaci egalitarna, nastawiona jest na uśrednianie (ta średnia nie musi być wcale niska, ale zawsze będzie średnią). W przypadku szkół podstawowych wynika to oczywiście z tego, że jest ona obowiązkowa i każdy skończyć ją musi. Potem są szkoły średnie różnych typów; je – na szczęście – nie wszyscy muszą ukończyć (jeszcze). Ale nauka w nich służy przede wszystkim przygotowaniu uczniów do tego, aby jak największy ich odsetek, zdobył taki zasób wiedzy, który pozwoliłby zdać im egzaminy końcowe (także maturę). Odsiew, już z założenia, ma być niewielki, a najlepiej by go w ogóle nie było. Celem ostatecznym jest bowiem to, aby jak najwięcej obywateli legitymowało się dyplomem ukończenia, jakiejkolwiek, szkoły średniej (także wyższej), także zdaną maturą. Ta masowość skutkuje w efekcie obniżaniem poziomu nauczania. Innymi słowy, obniżanie poziomu nauczania sprzyja powszechności posiadania (jakichkolwiek) dyplomu. (Podobnie jest w przypadku szkolnictwa – często pompatycznie – zwanego wyższym, gdzie zwiększającej się liczbie studentów towarzyszy obniżający się poziom kształcenia).

Rejonizacja czyli obowiązek uczęszczania dzieci do placówek szkolnych znajdujących się w miejscu ich zamieszkiwania (czy to wsi, czy to miejskich osiedli) także sprzyja uśrednianiu.

A przecież przeciętni ludzie niczego ponad przeciętnego – nie wspominając o wybitnym – nie stworzą. Tak jak i nie stworzyli dotąd. Brakuje im bowiem i zdolności, i wiedzy.

Systemy lewicowe, czyli utopijne, gdyż mówią o zaprowadzeniu na Ziemi wiecznej szczęśliwości, milczą o wolności (także tej dotyczącej wyboru szkoły podstawowej dla dziecka przez rodziców), lecz mają wiele do powiedzenia na temat równości. Lecz nie o równości w biedzie, w niewiedzy. O niej, w takich postaciach, milczą… I jest to znamienne.

*

Poziom nauczania to jedno, tym drugim jest to, czego się naucza. A wspomniana lewica, w swym dążeniu do uszczęśliwiania gotowa jest wyrzec się prawdy – pokazała to na przykładzie, chociażby, poczynań bolszewików i stalinistów – gdy ta będzie stała w sprzeczności z zakładanymi celami. No bo jak napisał Terry Eagleton „każda metoda czy teoria, która przyczyni się do strategicznego celu ludzkiego wyzwolenia, do tworzenia «lepszych ludzi» poprzez socjalistyczną transformację społeczeństwa, jest możliwa do przyjęcia".

Gdy dojdzie do stworzenia społeczeństwa egalitarnego – dotąd mieliśmy tego, na szczęście, tylko próby, ale i one najczęściej były okupione śmiercią milionów ludzi – nie będą milkły zapewnienia, że teraz, to już na pewno będą rządy wszystkich (nad wszystkimi). I będzie to kolejnym oszukiwaniem tych, którzy swoją szansę na lepsze życie upatrują w państwie egalitarnym. Marzą o nim, gdyż uważają, że gdy ludzie staną się równi sobie, to znikną wszelkie problemy. A przecież, jak uczy historia, warstwa rządząca i korzystająca z tej władzy, pojawi się na pewno i niezwłocznie (wzdragam się jednak przed nazwaniem jej elitą).

W ludzkich zbiorowościach – poza tylko tymi najprymitywniejszymi – zawsze ktoś sprawuje władzę: król, prezydent, premier, pierwszy sekretarz… Skoro inaczej być nie może, bo nie może, to kwestia podstawowa polega na tym, aby ubiegający się o sprawowanie władzy, byli najbardziej do tego predestynowani. W społeczeństwie uśrednionych przeciętniaków, przy obsadzaniu, takich czy innych stanowisk, będzie decydowała, tylko i wyłącznie, przynależność partyjna (z dodatkiem kolesiostwa) bądź bycie wyznawcą najwłaściwszej ideologii (o zasobności konta w tym momencie tylko napomknę).

Tymczasem rozmaitość programów nauczania, wynikająca ze zróżnicowanego szkolnictwa, wpłynęłaby korzystnie na różnicowanie się intelektualnych postaw. To zaś poskutkowałoby konkurencją między ludźmi. Tym samym – uzdrawiającą możliwością wyboru pomiędzy nimi.

Szkoła, której ukończenie nie jest tylko formalnością, która od ucznia wymaga nie →

tylko przychodzenia na lekcje, w społeczeństwach elitarnych pomaga stworzyć warstwę, o której jest mowa: ludzi kompetentnych. Clive Staples Lewis napisał, że cechami, którymi winni wykazywać się rządzący są „wspaniałomyślność, uczciwość finansowa, praktyczna inteligencja, pracowitość i tym podobne" (z eseju *Gnijące lilie***).

Marzę o zastąpieniu szkół państwowych podstawowego i średniego poziomu, siecią placówek edukacyjnych prowadzonych przez osoby prywatne (można nazwać ich przedsiębiorcami edukacyjnymi), rozmaite stowarzyszenia, związki wyznaniowe. Udziału państwa nie wykluczam, tak jak i nauczania domowego. Widzę w nich bowiem dodatkowe elementy wzbogacające, urozmaicające owo nauczanie.

II.

Z napisaniem niniejszego tekstu nosiłem się już od pewnego czasu. A gdy byłem już w trakcie jego pisania zetknąłem się – a w tzw. przypadki od dawna nie wierzę – z esejem *Kultura i rozrywka**** Wystana Hugha Audena. W tekście tym była i taka myśl:

„Nie rozumiem, dlaczego ci, którzy wierzą – a ja ich wiarę podzielam – w rozdział

Kościoła i Państwa, nie opowiadają się także za rozdzieleniem Państwa i Szkoły".

Okazało się, że w interesującej mnie sprawie Auden był tego samego zdania, co ja. Przepraszam: okazało się, że podzielam jego pogląd – napotkałem pozostawione przez niego ślady-myśli i pochyliłem się z uwagą nad nimi. I ucieszyłem się, że jest nas, przynajmniej, dwóch.

Za życia tego poety i eseisty (zmarł w 1973 r.) w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych – posiadał obywatelstwo obu tych państw – coraz powszechniejsze były głosy opowiadające się za zdecydowanie większym zaangażowaniem (się) państwa w proces nauczania. I tak zaczęło się w końcu dziać. A wszystko to pod hasłem: wyrównywania szans (w domyśle: na przeciętność).

We wspomnianym eseju *Kultura i rozrywka* Wystan Hugh Auden odnosi się do ważnej, a jeszcze przeze mnie nie poruszonej, kwestii:

„Wątpliwości w kwestii bezpłatnej edukacji są dwie, obie zresztą równie poważne.

Po pierwsze, w gospodarce opartej na pieniądzu ludzie rzadko cenią to, za co nie

muszą płacić, to znaczy, jeśli nie poczynią w zamian za to żadnych wyrzeczeń. Po drugie, darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby. Rodzic posyłający swoje dziecko do szkoły publicznej godzi się na edukację taką, jaką ta ma do zaoferowania […]".

Tak, to stara prawda: człowiek ceni to, za co musi zapłacić. Wtedy staje się dla niego ważne to, co w zamian otrzymuje (możliwość zostania oszukanym, jest inną – zawsze możliwą – sprawą). Tak więc w przypadku edukacji, ważny stałby się dla rodziców wybór szkół podstawowej i średniej dla ich dzieci. Istotny byłby bowiem dla nich poziom oferowanego w nich kształcenia; w myśl powiedzenia: płacę więc wymagam.

Państwo (także samorządy różnych szczebli) zwolnione z obowiązku nauczania pobierałoby, z tego tytułu, mniejsze podatki (to byłoby najlepsze rozwiązanie, jako że najprostsze). Albo też wypłacałoby np. bony edukacyjne, którymi rodzice regulowaliby swoje zobowiązania wobec instytucji prowadzących placówki szkolne.

III.

Opinie na temat tego, czego ludzkość winna się wystrzegać, zostały już dawno sformułowane. Należą do nich ostrzeżenia przed cudotwórcami wskazującymi drogę do powszechnego szczęścia na Ziemi. Ostrzeżenia te są aktualnymi. I takimi, niestety, pozostaną. Ci bowiem, którzy sformułowali owe ostrzeżenia, doskonale wiedzieli o czym mówią. Problem polega jednak na tym, że ci którzy przyszli po nich (i będą przychodzić), na te ostrzeżenia są głusi. Wierzą, że teraz to już na pewno Zło Absolutne opuści Ziemię (może nawet już opuściło). Dzięki temu będzie można naprawić skutki jego dotychczasowej obecności na trzeciej planecie od Słońca. Wierzą w to, gdyż uważają, że są lepsi, lepsi od tych, którzy byli przed nimi. Ci poprzednicy – zdaniem postępowców – ciągle popełniali ten sam błąd: za mało wierzyli w to, że człowiek jest dobry, i że może sprawiać cuda. Dlatego oni, ci współcześni, w żadnym razie nie popełnią tego kardynalnego błędu: zawierzyli więc bezwarunkowo Janowi Jakubowi Rousseau. A Mikołaj Bierdiajew przed nim ostrzegał:

„Duchowym ojcem demokracji był J. J. Rousseau i jego optymistyczny pogląd na naturę człowieka przeszedł do demokratycznych ideologii. Demokracja nie chce nic wiedzieć o radykalnym złu natury ludzkiej. Wydaje się, iż nie przypuszcza

ona nawet, by wola narodu mogła skierować się ku złemu, że większość może bronić nieprawdy i fałszu, a prawda i rzeczywistość może stać się udziałem niewielkiej mniejszości".

Dariusz Pawlicki

** W: C. S. Lewis, Ostatnia noc świata, Kraków 2014.*
*** Tamże.*
**** W: W. H. Auden, Starożytni i my. Eseje o przemijaniu i wieczności, Warszawa 2017.*

Erazm Felcyn

Dariusz Pawlicki

PANIE BOŻE

Stworzyłeś człowieka który może
(Teoretycznie) przeżyć 120 lat
Powołałeś do życia psa mogącego dożyć
Nawet 20 lat
To rozumiem

Ale stworzyłeś też jętkę która żyje
Tylko kilka godzin

Na Boga
Po co?

POEZJA JEST SZTUKĄ SKRÓTU, KONDENSACJI

– Pamiętaj o mnie –
szepcze kurz

Peter Huchel
Napisał te słowa

Jest ich tylko pięć
A ile w nich treści

Chciałbym i ja
Być takim
Mistrzem słowa

***

Na jezdni
Sprasowane szczątki gołębia
Ale skrzydło uniesione przez wiatr
Przypomina czym było

CZAS

Przerwałem pracę w ogrodzie
I siedząc na kamieniu
Kontemplowałem otoczenie

Kiedy powróciłem do sadzenia i podlewania
Byłem już nieco
Innym człowiekiem

HISTORIA ZNAD CZARNEJ HAŃCZY

Wiele lat temu
Oparty o balustradę drewnianego mostu
Zajadałem prawie dojrzałe dziadkowe papierówki
Obserwując przy tym ryby
Doskonale widoczne w rzece

Tamtego mostu już nie ma
Tak jak tamtych jabłek i ryb
I tamtej czystej wody
Do bezcielesnych należy też Dziadek

I tylko we mnie
Trwa ten okruch Historii

PROZA

Irena Nyczaj

Aż wypełnię swój los

Część pierwsza

Mężczyzna jak struty wraca do domu. Siedzi przy oknie w autobusie. Obok niego puste miejsce. Naprzeciw kobieta, też jak on, stara, przygląda się ukradkiem, lecz z uwagą i ciekawością, i zastanawia się, dlaczego z oczu siedzącego przed nią starszego człowieka płyną łzy.

Strapiony myśli o tym, że właśnie kupił sobie mieszkanie.

Miasto pozdrawia go zza szyb autobusu. Znają się przecież od dawna. I chyba lubią. Domy witały go zawsze latem otwartymi oknami, gdzie poruszały się zwiewne firanki. Witryny sklepów zachęcająco rozpościerały ramiona, wabiąc go opowieściami o wspaniałościach kryjących się we wnętrzach magazynów.

Nie lubił kupować niczego. Tym zajmowała się żona. Ale doceniał przyjazne gesty sklepów i odpowiadał im łagodnym uśmiechem.

Ścieżki łez wyschły. Siedząca naprzeciwko niego kobieta, znudzona obserwowaniem, ziewnęła i zapatrzyła się w zaokienny świat miasta.

Mężczyzna wraca do domu. Swojego i nie swojego. Do żony – swojej, lecz obcej.

Nie od razu przecież tak było. Myśli, zrazu chaotyczne, zaczęły układać się w uporządkowany ciąg. Wspomnienia dobrych chwil z początków wspólnego życia wypełniać zaczęły czaszkę, aż przepełniwszy ją, znalazły ujście i przez oczy jęły wydostawać się na zewnątrz, spływając strużkami po bruzdach twarzy.

Dochowali się syna. Jedynak od początku był bardzo związany z matką. Mężczyzna zastanawia się, czy i kiedy popełnił błąd, że nie zdołał jak prawdziwy, dobry ojciec prowadzić syna – krew z krwi, kość z kości – przez dzieciństwo, pacholęctwo i wreszcie dorosłość. Zajęty pracą i gromadzeniem dóbr, nie widział być może umykających ważnych chwil, jakie powinien przeznaczyć dla swego jedynego dziecka. Też obcego, które – zauważał to – patrzyło na ojca czasem jak na stary, niepotrzebny grat.

Gromadzenie… Jako głowa rodziny tak pojmował dom. Zasobny, gdzie niczego nie brakuje, ale i niczego się nie wyrzuca. Bo wszystko ma przecież swoje przeznaczenie. I może się jeszcze przydać. On to szanuje. Bywało, że szukał czegoś tak bardzo akurat potrzebnego, co było, a zostało wyrzucone. Wytykał żonie pochopną decyzję. A ona tylko:

– Zrzędzisz jak stary dziad. Paska zniszczonego ci nawet żal albo wyświechtanego, śmierdzącego portfela. Wstydziłbyś się!

Ona, w przeciwieństwie do męża, gdy coś się zestarzało – po prostu wyrzucała. Miska, garnek, buty, odzież, pożółkłe firanki. Oglądał wszystko przeznaczone do wyniesienia i często segregował po swojemu. Zanosił do piwnicy. Żona nigdy tam nie zaglądała. Piwnica zapełniała się całkiem jeszcze dobrymi rzeczami.

Gdy syn podrósł na tyle, że jemu powierzyła misję wynoszenia do śmietnika niepotrzebnych przedmiotów, dał spokój i przestał prawie zupełnie odzyskiwać tracone bezpowrotnie, a miłe sercu pamiątki. Chłopak, jak matka, uskrzydlony ideą recyklingu z radością pędził na pobliski śmietnik i nie to, żeby zostawiał rzeczy „może ktoś sobie weźmie", jak pouczał ojciec. Nie, nie, rzucał specjalnie, jakby staremu na złość – prosto w czeluść ogromnego kontenera, skąd nie było już drogi odwrotu.

Co się dzieje z tymi wszystkimi przedmiotami, jakie ludzie wynoszą, zapełniając śmietnikowe wielkie cuchnące pojemniki. Na całym świecie. Ile tego jest. A produkuje się wciąż i wciąż. Ludzie kupują nowe i wyrzucają stare.

Poczuł niechęć, a nawet złość. Do kobiety, którą pokochał dawno temu, a teraz… Z drugiej strony zdał sobie sprawę z niepokojem, że ich życie, sprowadzone do gromadzenia przez niego i wyrzucania przez nią zaczęło przekształcać się w coś przerażającego. Znienawidził pojęcie recyklingu. Przecież oni, żona i syn, nie rozumieją idei tego działania. Usiłował tłumaczyć synowi, że to nie tak, nie o zwykłe wyrzucanie przecież chodzi. Ale co tam ojciec wie… Młodość miała swoją mądrość i nie chciała słuchać.

Poczuł się bardzo staro. Jeszcze bardziej, niż wtedy gdy żona i syn stanęli przed nim i ona powiedziała:

– Kuba chce się żenić. Będzie potrzebny pokój. Ja zostanę, będę pomagać przy

AŻ WYPEŁNIĘ

dziecku. A ty musisz sobie coś znaleźć.

Pluton egzekucyjny oddał serię. Mężczyzna padł rażony pociskami. Kiedy się podnosił ciężko ranny, wiedział, że musi uciekać, aby przeżyć.

Zaczął rozważać szanse. Na dalszą rodzinę raczej nie mógł liczyć. Poraniona przez niedawną pandemię, zubożona aż o sześć osób… Pochował nawet młodszego brata. Bratowa została z trójką nastoletnich dzieci, sama schorowana.

Nie, rodzina nie pomoże. Trzeba było pomyśleć o czymś innym. Tylko o czym? W głowie aż huczało. Zobaczył się wolontariuszem pomagającym chorym i biednym w jakimś dalekim kraju. Co z tego, kiedy i jego zdrowie nie najlepsze. To nierealne.

Poczuł ogromną niemoc. Przez myśl przeleciało: piwnica. Gdyby ją urządzić, przysposobić jakoś… Ale nie pozwolą, nie było dotąd chyba takiego przypadku. Administracja bloku… Nie, to też odpada.

Skończyć z tym raz na zawsze. Ale jak? Wyjść na wysokie piętro wieżowca… Nie, tego nie mógłby zrobić swojemu miastu. W którym się urodził i nigdy go nie zdradził. Nie tęsknił, jak większość sąsiadów czy rodziny, za wsią. Ludzie, zauważał, kupowali choćby kawałek ziemi, działkę, gdzie uprawiali jakieś warzywa i kwiaty. On lubił miasto. Podziwiał mądrą zabudowę, drzewa teraz ogromne, wysokie, dorastające na jego oczach z malutkich, chwiejnych sadzonek. I kochał to miasto bez zastrzeżeń – jak swoje dziecko. Wszystko mu się tu podobało. Patrzył ze wzruszeniem, jak miasto przeobrażało się, rosło, mężniało i piękniało. Przypomniał początki tej przyjaźni, kiedy pierwszy raz poczuł z nim silną więź. To wtedy, gdy otrzymał mieszkanie – swoje, własnościowe. Weszli do niego z żoną z poczuciem ogromnego wzruszenia. Aż się łza w oku zakręciła. Otarł ją, ale nie wstydził się. Jego miasto, na które przelał uczucia prawie ojcowskie, odpłacało mu, co zauważał, na każdym kroku. Starało się. Wokół jego bloku nie uświadczysz dziur w chodniku ani jezdni. Trotuar był gładki i wygodny. Balkony, gdzie indziej, zdarzało się, poobgryzane – w jego domostwie jak nowe – równiutkie, farba świeża, elewacja czysta. Czuł tę ustawiczną troskę swojego przyjaciela.

I co? Jak by mu teraz wytłumaczył taki straszny krok? Słabością, poczuciem beznadziei? Nie, miasto na to nie zasługuje.

Ale sprawa wciąż czekała na rozwiązanie. Zamyślił się. Inne, znane choćby z literatury czy filmów sposoby, też przerażały – tak bardzo, aż się przeżegnał.

I wtedy zaświtała w jego głowie myśl, jakiej dotąd nie było. Jeśli musi sobie coś znaleźć – dobrze, już znalazł. Nagle wszystko wydało się proste, zrozumiałe i oczywiste.

Załatwiwszy pomyślnie swoją najważniejszą sprawę, wracał autobusem do domu. Na kolejnych przystankach ubywało ludzi, rzadko ktoś dosiadał. Ucieszył się więc na widok dawnego znajomego. I od razu wypalił:

– Kupiłem sobie mieszkanie.

– ?

– Na cmentarzu…

I roztoczył przed znajomym opowieść o niewiarygodnych cenach miejsca i zdzierstwie administratorów tego ostatecznego mieszkania. Znajomy kiwał ze zrozumieniem głową i wysiadł na kolejnym przystanku. A mężczyzna, podekscytowany, składał raport przed swoim miastem. Słowa lejące się jak kaskada opowiadały miastu o całej grozie jego położenia, o żalu, złości, wreszcie o decyzji, którą podjął, bo nie było innego wyjścia.

Będzie miał swoje własne mieszkanie. Ale już wiedział, jak postąpi. Sprawiedliwie.

Poczeka, aż dotychczasowe lokum – jego, żony i syna – będzie puste.

I wtedy zrobi tak jak trzeba.

Część druga

Przygotowania do ślubu jedynaka szły pełną parą. W miarę jak płynął czas i powiększał się brzuch narzeczonej, Kuba patrzył na ojca z coraz większą niechęcią i zniecierpliwieniem. Wszystko było przecież ustalone. Miał sobie coś znaleźć i zwolnić dodatkowy pokój dla nich, młodych. Nie czuł wyrzutów sumienia, wręcz przeciwnie. Czy to w końcu jego wina, że mieszkanie przyciasne? Rodzice kumpli też pomagają swoim dzieciom jak mogą. Jeden koleś ustawił sobie tak staruszków, że obie mamuśki same, nieprzymuszone jakoś specjalnie, rozpisały dyżury przy opiece nad dzieckiem. Wprawdzie któryś z ojców zaczął nadawać z wysoka o samodzielności młodych, odpowiedzialności, i że im, rodzicom, wreszcie na starość coś się od życia należy – takie tam bzdury o wyjazdach, sanatoriach czy wycieczkach. Ale szybko został przez większość zakrzyczany i więcej się nie odezwał.

I młodzi mieli komfort. Ona mogła wrócić do pracy, gdzie nawet całkiem nieźle zarabiała. I cała kasa dla nich. Nie musieli też martwić się, co z dzieckiem pod opieką obcych. Matki – to matki. Ale głównie cieszyła kasa.

Kuba zamyślił się. Oni z Ewą też mieli marzenia. Niewielkie. Chcieli na początek samochód – niedościgły póki co warunek wolności. Ewa życzyła sobie coś na poziomie, nie jakiegoś poniemieckiego rzęcha za parę groszy, którym wstyd byłoby się gdziekolwiek pokazać. A jak dzieciaka podchowają – ruszą za granicę, trochę świata zobaczą. No i urządzą się jakoś – nie gorzej niż jej kumpele.

Ojciec pewnie tego nie rozumie. Całe życie zapieprzał jako zwykły księgowy. Gryzipiórek. A matka? Z nią się Kuba lepiej dogadywał. Pielęgniarka. Co tam oni zarobili. Tyle aby jakoś przeżyć do pierwszego. Nigdy nie mogli nawet kupić auta, co syn oceniał bardzo negatywnie. W szkole kumple przechwalali się – ich starzy na ogół zasuwali gdzieś za granicą i kasa była na wszystko. Nie to, co u Kuby. Ojciec nierzadko przebąkiwał coś, że samochody już niedługo będą całkiem zbędne. Tylko zanieczyszczają środowisko. Komunikacja w mieście świetna, autobusy chodzą punktualnie. No jasne, znał te gadki, znał „zakręcenie" ojca na punkcie miasta. Jemu tu wszystko pasowało. A ma przecież prawo jazdy, wprawdzie zrobione sto lat temu, więc musiałby je uaktualnić, uczyć się na nowo. Chyba mu się nie chciało, a pewnie też nie miał szczególnego parcia na jazdę autem. Nieliczne wyjazdy nad morze i raz w góry odbyli pociągiem. Za granicą nie byli nigdy, czego Kuba szczerze zazdrościł kolegom. Prawo jazdy zrobił od razu, gdy było to możliwe. Sfinansowała matka. Egzamin zdał za pierwszym razem.

Kuba obrzucił niechętnym spojrzeniem swój niewielki pokoik. Zacisnął szczękę i pięści. Jak tu żyć.

Matka pielęgniarka to będzie jednak cenna pomoc, tym bardziej że pracowała akurat w dziecięcym szpitaliku. Z ojcem nigdy nie był blisko. Może dlatego, że ten nieciekawy, kostyczny człowiek zamiast nim, interesował się głównie swoją pracą, która – tak bardzo zwyczajna, aż wstyd powiedzieć – pochłaniała go prawie bez reszty. Potrafił opowiadać – i wtedy błyszczały mu oczy – jak podlicza kolumny cyfr i niczym akrobata balansujący na linie, drżąc z emocji, ogłasza zwycięstwo: zgadza się! Ale nie zawsze tak przecież jest. Czasem jeden lub dwa złośliwe grosze potrafią zatrząść zaczepami liny, przechylić balans to na jedną, to znów na drugą stronę. Ociera wówczas zroszone czoło, chucha na szkła okularów i zaczyna mozolne przejście nad przepaścią – kolejny raz. Aż do zwycięstwa.

Praca i kościół. Tak, kościół jest bardzo ważny w jego tradycyjnie pojmowanym życiu. Prowadzał małego synka, odkąd tylko mógł, na niedzielne nabożeństwa. Kubusiowi nawet się to podobało, bo po nudnej mszy ojciec zazwyczaj zabierał go na lody.

Z czasem, gdy to, co mówił ksiądz przestało wystarczać chłopcu i… zgadzać się z oczytanym, myślącym nastoletnim umysłem, z całą siłą bezkompromisowej młodości postawił się ojcu. I wówczas pierwszy raz rodzic podniósł na niego głos i rękę.

– Przeciw Bogu występujesz?! – zawołał czerwony z oburzenia.

Zszokowany Kuba złapał tę rękę, ścisnął, unieruchomił. Mur utwardzony lodowatym spojrzeniem syna osadził ojca w miejscu. Pokonany, odwrócił wzrok.

Znaleźli się w światach równoległych. Kolumny cyfr, dotąd zdyscyplinowane jak ustawieni czwórkami żołnierze, teraz coraz bardziej się zacierały, wykrzywiały, wręcz rozpraszały zwarty szyk. Podliczał je już inaczej – bez emocji, szybko, bez błysku oka, na chłodno, a nawet jakby niechętnie i wręcz ze złością. Lina zawieszona nad przepaścią już nie podniecała, nie wołała: Pokonaj mnie! Czuł znużenie i bezsens tego, co robi. Tak, zobaczył to i ze zdziwieniem skonstatował, że już nie bardzo chce kroczyć po chybotliwej linie, balansując, po sukces.

Przejście na zasłużoną emeryturę przyjął nad wyraz spokojnie. Żonie wydawało się nawet, że radośnie. Nie bardzo temu ufała. Zaczął częściej wychodzić z domu. Chciała namówić go na kupno działki, choćby niewielkiej, wiedząc, że mężczyźni na emeryturze, gdy nie mają jakiegoś zajęcia czy pasji – więdną, chorują i rychło obumierają.

Nie chciał działki. Obwieścił, że kocha miasto i ono wystarcza mu za wszystko. Niczego innego nie potrzebuje do szczęścia. Tak powiedział ten dziwak. I jeszcze dodał, że będzie dużo spacerował i podziwiał swoje miasto, które kocha.

Taki był plan. Lecz nieoczekiwanie runął. A przecież nie chciał… Nie tak miało być…

* * *

Leży nieruchomo. Ciało ciężkie. Nie może poruszyć nogami. Podniósł rękę. Wenflon zamontowany w nadgarstku, od igły żyłka idzie w górę. Na końcu butelka zawieszona na stojaku. Z butelki kapie płyn – kap, kap – jak łzy – i spływa żyłką do jego żył. Jak łzy.

W ustach sucho.

Kiedy jego wzrok spotkał się ze spojrzeniem żony, dostrzegł w jej zaczerwienionych oczach łzy. Płynęły, obserwował je beznamiętnie, z kącików oczu po policzkach. Ocierała je ręką.

Oczy mężczyzny są suche. Niemiłosiernie pieką. Czuje pod powiekami piasek. Bolą. Suche oczy bez łez.

Jakby z oddali słyszy cichy głos żony:

– Wybacz…

Irena Nyczaj

DZIENNIK

Marian Kisiel

Mały cmentarz (6)

1

A przecież nic się nie kończy. Nawet wtedy, kiedy wydaje nam się, że minęło, nie wróci i przepadło na zawsze — nic się nie kończy. Jeśli nie fizycznie, to powraca fantomowo, objawia się w przypomnieniu, w snach.

2

Czas poety nie jest czasem jego wierszy, podobnie jak czasu wierszy nie określa ich temat. W rzeczywistości słowa wszystko wchłania wielkie zawirowanie. Język — pisał kiedyś Krzysztof Karasek — to „mroczne dziedzictwo, prócz siły sprawczej, budującej, owocującej, siła zachowawcza, konserwatywna, ciągnąca wstecz, w zmierzch, w ciemność słów umarłych, martwych, ku przeszłości" (*Antynomie języka*. „Nowy Wyraz" 1973, nr 3, s. 112). Poeta próbuje okiełznać tę siłę, ale język ciągnie go tam, gdzie lęk wcale nie równoważy się z radością. Język przykuwa do miejsca, bo miejsce — jako pierwsze — jest (wszech)światem. Tu są bliscy i obcy. Tu ujawniają się emocje i doznania. Tu doznajemy związku i wyobcowania. Tu — przestrzennie — niepokoi nas „tam". Tu — czasowo — doświadczamy, czym są narodziny i śmierć.

3

W radiu dawno nie słyszana Teresa Tutinas. Mój Boże — upłynęło kilka dziesięcioleci, przeminęła moja młodość, wiele epok piosenki. I, nie wiem dlaczego, słuchając jej wykonania *Jak Cię miły zatrzymać*, pomyślałem, że wszystkie nasze dziewczyny mają wciąż piękne twarze.

4

Umykam przed tobą jak przed myśliwym — powiedział zając do porywistego wiatru.

5

Dmitrij Mereżkowski: „Miłość płciowa to pojedynek w ciemności". Przełożyłem ten aforyzm (*Małe myśli*, „Almanach Prowincjonalny" 2020, nr 31, s. 83), pośród innych aforyzmów szczególny, tak bardzo odbijający myśl św. Pawła o walce duszy i ciała. Mereżkowski mówi o płci, która w języku rosyjskim — *poł* — znaczy również „połowa". Mówi zatem o walce rozdzielonych połówek, które — łącząc się — chcą także zachować swoją — jakby powiedział Levinas — „sobość". Dlatego ten „pojedynek" jest zarówno walką połówek rozłączonych, jak również rozkoszą połówek połączonych.

5a

Nie pamiętam, skąd wynotowałem ten aforyzm Artura Schopenhauera, ale chyba nie z *Psychologii miłości*. — „Tylko otumaniony przez seksualne pożądanie umysł mężczyzny mógł nazwać płeć niewielkiego wzrostu, o wąskich ramionach i szerokich biodrach — piękną".

6

Pandemia. — Po dwóch latach dręczącej niechęci do własnej poezji napisałem wiersz-żart, który wyraził pandemiczną prawdę. — „Cały dzień byłem wpatrzony w prostokąt telefonu, / a później, choć włączyłem blokadę ekranu, / wciąż czekałem na ten charakterystyczny dźwięk. // I wreszcie, chwilę przed północą, / czułe plum» wyrywało mnie z odrętwienia, / więc z nadzieją wcisnąłem kod ochronny. // Nie, to tylko aktualizacja, nie ty".

7

Kiedy miałem kilkanaście lat i wydawało mi się, że świat jest przede mną, rzeczywiście — świat był przede mną. Myślałem wówczas, że potrafię zapełnić płachty gazet swoim pisaniem. Wierzyłem, ze komuś będzie ono potrzebne. A dzisiaj, kiedy moja bibliografia spuchła, jestem pewien, że każda wcześniejsza wypowiedź była jętką jednodniówką. Zaistniała, przeminęła. Wczorajszych gazet nie znajdziemy w czytelniach. Czytelni nie ma, są biblioteki cyfrowe. Piszesz, piszesz — wiatr to rozwiewa, połyka kosz na śmieci. Mlaska niepamięć.

8

Za milczenie, obojętność wiń tylko siebie.

9

Konfucjusz, Myśli — przekład mój, przez rosyjski: „Nie rozmawiać z człowiekiem, który jest godny rozmowy, to stracić człowieka. A rozmawiać z człowiekiem, który nie jest godny rozmowy, to stracić słowa. Człowiek mądry nie traci ani ludzi, ani słów".

10

Chciałem powiedzieć: zmęczyliście mnie, zamęczyliście. Ale pomyślałem, że ta chwila słabości dałaby niektórym powód do radości. Więc mówię za Mickiewiczem: nic nie jest dla mnie trudne, wszystko jest osiągalne. „Mocniejszy jestem: cięższą podajcie mi zbroję".

11

1 listopada, przebarwione liście na drzewach, słońce żegna się z nami ostatnim gorącym pocałunkiem. — „Wreszcie przychodzi kres, kres, który wszystko kończy. Jest on radykalnym przecięciem biegu czasu. Dla każdego z nas, kto osiągnął kres, czas przestaje istnieć. Zatrzymuje się w nieskończonym, wiecznym teraz, na granicy, której przekroczyć się nie da, w spotkaniu z innością radykalną, a może wprost z nicością, nicością, która, gdy jeszcze tu za życia o niej myślimy, przeraża. Nicość, czym ona bowiem jest? Czy w ogóle można powiedzieć, że jest? Czy samo to twierdzenie nie zawiera w sobie sprzeczności?" — Barbara Skarga, *Kwintet metafizyczny*, Universitas, Kraków 2005, s. 83.

11a

Barbara Skarga, *Kwintet metafizyczny*, s. 84. — „Mówię «kres», pamiętając, że dotyczy on tylko mego czasu w momencie śmierci, choć dla innych jeszcze nie nastąpił. Dla innych czas będzie trwał. Czy więc mogę powiedzieć, że się kończy, że kres jest jego strukturalnym elementem? Myślę, że tak. Do takiego wniosku upoważnia mnie świadomość, że wszystko umiera, nawet się kruszy, wszystko przemija, nawet skały, kamienie, lądy, cywilizacje, że coś, co powstało, ginie. Wieczność jest nie dla istnienia, choć nie potrafimy myśli o niej odrzucić".

12

Nawet, jeśli na krótko, to jakże ważne jest to, żeśmy po coś byli. Nic się nie kończy, póki jesteśmy. Popatrz: drzewa, które nam towarzyszyły tyle lat, rzucały cień, rwały gałęzie, przygarniały ptaki, rodziły i zrzucały liście, te drzewa już dawno zostały wycięte. Pozostała po nich rana pni. A przecież wciąż szumią w naszej pamięci, wystrzeliły ku niebu, chcą sięgnąć absolutu.

13

Lew Tołstoj, *Jak chodzą drzewa?*, bajka, przekład mój: „Czeremcha wyrosła blisko lipy, lipa ją ocieniła. Czeremcha, żeby jej lipa nie zdusiła, przeszła spod lipy na drogę. Wyczuła najpewniej, że nie może żyć pod lipą, wyciągnęła się, wczepiła sęczkiem w ziemię, z sęczka zrobiła korzeń, a tamten korzeń porzuciła".

14

Wielimir Chlebnikow — czytam go po raz pierwszy w oryginale, w całości, z uśmiechem i trudem. Przerzucam strony popularnej edycji (*Izbrannoje*) i zdumiewam się, jak radykalnie zmieniły się kryteria wartości. Ileż tu niechlujstwa, ileż nieuzasadnionych przeskoków myśli, skrótów (to samo było u nas; awangarda ucząca się nowego języka). Czytam wiersz Chlebnikowa bez tytułu, przekład mój:

Słonie biły się kłami tak,
Że zdały się białym kamieniem
Pod ręką artysty.
Jelenie splątały się rogami tak,
Że zdały się starym małżeństwem
Ze wspólną pasją i wzajemną niewiernością.
Rzeki spływały do morza tak,
Że zdało się: ręka jednego dusi szyję drugiego.

Ocalmy tę nieporadność. Chlebnikow

w końcówce wiersza zmienia rodzaj, nadaje rzece-ręce atrybut mężczyzny. Po rosyjsku *duszit* znaczy: 'dusić, dławić', ale także — 'uciskać, prześladować, gnębić, ciemiężyć'. Wielce wymowne: gdyby poeta chciał, żeby rzeki oplotły się serdecznie, mógłby użyć zwrotu *duszewno duszit*, wykorzystując pseudo-etymologiczne podobieństwo rdzenia *dusz*–. Ale wtedy ten wiersz straciłby swoją obrazową wyrazistość, byłby nieudany, obraz ostatni kłóciłby się z wcześniejszymi.

15

Paweł Hertz, *O elegiach rzymskich*, w: Johann Wolfgang Goethe, *Elegie rzymskie*, przeł. Leopold Staff, wstępem opatrzył Paweł Hertz, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1980, s. 5. — „Nie wiemy dokładnie, na czym właściwie polega trwała uroda wierszy pisanych dawno, w innym czasie, dla innych ludzi, w innym świecie, z którego nic prawie, prócz książek, muzyki, obrazów, architektury lub jest szczątków, nie pozostało nieodmienione pracą stuleci, gdy wciąż się rodzą i wciąż schodzą do grobu nowe pokolenia. Gdybyśmy to wiedzieli, gdyby udało nam się dociec istoty owego sekretu trwałości sztuki, poezji, wówczas pojawiłby się na pewno przed naszym umysłem nowy sekret, nowa tajemnica. A gdyby na nasze nieszczęście udało się nam zgłębić ostatnią tajemnicę, gdyby nic z niej nie zostało, wówczas najpewniej rozpadłaby się piękność i mądrość sztuki."

16

Czytam, notuję, wynotowuję. Ocalam zdania, które szybko zapomnę. Ich natłok jest tak wielki, że trudno zapamiętać wcześniejsze. — Andrzej Gronczewski, *Brulion*, cytuję za wersją z Internetu: „Może umarli mają swe biblioteki, wolne od przekleństwa ognia? Może cieszą się księgami nieznającymi ciężaru — w swych niematerialnych dłoniach?". A w innym miejscu: „Obyczaj to sędziwy, mądry, odwieczny: wkładać książkę do trumny, wyposażać zmarłego, spełniać jego ostatnie życzenie". — Mądrość pytań i oznajmień pokryta patyną trumiennego brokatu.

17

Władimir Odojewski, notatka rękopiśmienna, przekład mój. — „Biblioteka — wspaniałe cmentarzysko ludzkich myśli… Na jednej mogile ludzie popadają w szaleństwo; na innych wschodzi światło, za dnia nieprzyjemne dla oka; a ileż zapomnianych mogił, ileż prawd w krypcie…"

18

Günter Grass, *Blaszany bębenek*, przeł. Sławomir Błaut, Kolekcja Gazety Wyborczej, t. 6, s. 11. — „Można rozpocząć historię od środka i przerzucając się śmiało to naprzód, to wstecz, narobić zamieszania. Można zagrać na nowoczesność, przekreślić wszystkie czasy i odległości, a następnie oznajmić lub sprawić, by oznajmili to inni, że wreszcie, w ostatniej chwili, rozwiązało się problem przestrzeni i czasu. Można również stwierdzić na samym początku, że w obecnej dobie napisanie powieści jest niepodobieństwem, potem jednak, niejako za swoimi plecami, przedłożyć znakomite czytadło, aby w rezultacie uchodzić za ostatniego z powieściopisarzy, któremu się jeszcze udało. Słyszałem też, że to dobrze i skromnie brzmi, kiedy na wstępie zapewnia się uroczyście: Nie ma już powieściowych bohaterów, bo nie ma już indywidualistów, bo indywidualność zaginęła, bo człowiek jest samotny, bez prawa do indywidualnej samotności, i tworzy bezimienną i abohaterską masę. Może to i prawda, może jest w tym wszystkim jakaś racja."

20

John Steinbeck, *Tortilla Flat*, przeł. Jan Zakrzewski, Kolekcja Gazety Wyborczej, t. 8, s. 153. — „Śmierć jest sprawą osobistą, wzbudza rozpacz, żal, podniecenie albo daje początek filozoficznym rozmyślaniom. Z drugiej strony pogrzeby są wydarzeniem towarzyskim. Czy kto jedzie na pogrzeb nie umywszy brudnej maski samochodu? Czy kto staje nad skrajem grobu w innym garniturze niż najlepszy, jaki posiada? Czy kto wysyła na pogrzeb kwiaty, nie doczepiając kartki świadczącej, że wykonał swój obowiązek? Żadnej uroczystości towarzyskiej nie towarzyszą tak surowe rygory zachowania jak pogrzebowi. Na pewno byście się oburzyli, gdyby ksiądz na ambonie zaczął sypać dowcipami albo wykrzywił twarz. Rozważcie swoje zgorszenie, gdyby w kaplicy pogrzebowej stanęły nie składane żółte foteliki tortur z twardymi siedzeniami, a inne krzesła. Tak. Człowieka umierającego może otaczać aureola nienawiści, miłości albo litości obecnych, ale umarły od razu staje się główną ozdobą bardzo skomplikowanego i sztywnego obrządku."

21

Ponowna lektura. — W polskiej, idącej od Jana Kochanowskiego tradycji, treny zawsze sytuowały się na pograniczu poezji intymnej i metafizycznej, były znakiem życia rodzinnego i trudnej religijności, którą trzeba było ocalić (lub na nowo zdefiniować), aby nie pogrążyć się w bezsensie rozpaczy. Tadeusz Różewicz do tego dziedzictwa nawiązał w tomie *Matka odchodzi* (Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1999). Mimo upływu lat od śmierci Matki nie był w stanie napisać o jej śmierci jako fakcie dokonanym. Dla niego — „Matka odchodzi", czyli wciąż „jest", wciąż zaświadcza o swoim istnieniu. Odnajduje ją w fotografii, liście i fragmentach pamiętnika; zatrzymuje we śnie i w wierszu; przywołuje pamięcią własną i innych. „Matka odchodzi", lecz odejść nie może. Podobnie jak Poezja, która jest i nadejść nie może. — *Matka odchodzi* jest żalem po Matce, ale także świadectwem zwykłego, ludzkiego cierpienia, które pozostaje po zwyczajnej, ludzkiej miłości. Ta zwyczajność uwyraźniona została tu bodaj najmocniej, w żadnej z poprzednich książek Różewicza nie była tak ostro akcentowana. Ujęta w wierszach i fragmentach prozy, w prowadzonym dzienniku i zachowanych listach, w pamięci swojej i innych, w fotografiach, z których uważnie patrzą oczy już nieobecnych. A przecież to tylko cień zwyczajności, cień świata, którego także już nie ma i o którym wie się tyle, ile się pamięta. Dlatego tak ważne są wszelkie szczegóły: socjalna bieda przedwojenna, o której pisze Matka w swoim pamiętniku i bieda powojenna, której daje wyraz w swoim dzienniku gliwickim Syn; bezradność w walce ze szpitalnym cierpieniem i bezradność, której nie udaje się pokonać w sobie samym; utrapienia codziennego życia i utrapienia literackie; lęki i pęta, śmiech i ból… Wszystko to stapia się ze sobą w jedną całość. A dochodzą jeszcze: miłość i rozdrażnienie powinnościami, pragnienie samotności i wyrzuty sumienia z powodu swojej oschłości, rozmaite chęci i przytłoczenia. — Zwyczajne prawdy. Ale prawdy nie-zwyczajne i nie-ludzkie nie są z tego świata.

22

6 grudnia 2021, pogrzeb P., tak lubianego za życia. — Ze zdumieniem patrzyłem na nieliczne grono żałobników, padał śnieg z lekkim deszczem. Po ceremonii, zmarznięci wracaliśmy do życia, pamiętając o półwersie Norwida, że wszyscy, którzy byli i wszyscy, których nie było tego dnia, „czeluście zobaczym czarne". — Smutny dzień, pozbawiony odświętności. Ale myślę, że zawsze odchodzić łatwiej, kiedy ma kto pożegnać.

23

6 grudnia 2021, 55 lat po samobójczej śmierci Mariana Ośniałowskiego w Lasku Bulońskim. — Twarz z fotografii: kształtna głowa, bujne, pofalowane włosy, duże uszy, wysokie czoło, znacząco wyprofilowane brwi, głęboko osadzone oczy, wydatne usta. I spojrzenie: dalekie, nieobecne, utkwione w punkcie, którego nie widzimy. Twarz nie na wystawę, nawet nie do wklejki w podręczniku języka polskiego. Być może, i wyłącznie, do księgi „poetów wyklętych", którymi zajmą się kiedyś uważniej krytycy lub badacze literatury. — Ośniałowski był poetą jesieni. Tej, która wyznacza rytm życia, i tej, która stroi naturalny krajobraz. W *Kartkach z dziennika* napisał: „Za brutalna jest śmierć zimą. Umrzeć w łagodności rozkołysanej jesieni" (*Wiersze i poematy*, red. Ksawery Jasieński, Starachowice 2008, s. 219). I tej „łagodnej" jesieni pozostał wierny w swojej poezji (choć umarł zimą). Melancholijny, nostalgiczny, pełen smutku za jakimś czasem poza czasem, był poetą przemijania i śmierci. I choć pisał wiele o miłości i zakochanych; i choć w swoich wierszach nastrojowych tworzył świat bajkowy — przecież zanotował w wierszu *Leśmian*: „Śmierć jest piękniejsza od wszystkiego. / Od pędu, pocałunków, gwiazd, [...] / O śmierć się módlmy, o nic więcej, nic" (s. 71). A w *Rilkem*: „Wszyscy do śmierci należymy. / Każdego z nas ukoi śmierć" (s. 136).

24

„Śmierć, każda śmierć nadaje życiu każdego człowieka sens. Jest to sens konstrukcyjny, tylko bowiem wraz ze śmiercią, nawet najbardziej «byle jaką» życie jednostki stanowi całość" (Roman Zimand, *Uwagi do przyszłej biografii Stanisława Brzozowskiego*, w: *Wokół myśli Stanisława Brzozowskiego*, pod red. Andrzeja Walickiego i Romana Zimanda, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1974, s. 381).

25

Zaciekawione, pytające, gorączkowe, chore oczy Stanisława Brzozowskiego. Chciał nimi przeniknąć najbardziej tajemną warstwę myśli ludzkiej, wydobyć ją na wierzch, uczynić powszechną. I — nie zgodzić się z nią. W najlepszym razie — skomentować, dopisać do niej własne zdanie, uczynić znakiem biografii. „Co nie jest biografią, nie jest w ogóle", twierdził w *Pamiętniku* (Księgarnia Polska B. Połonieckiego, Lwów 1913, s. 142). Przestrzegał we młodzieńczym szkicu: „niech nikt nie liczy, że znajdzie u mnie tę tak błogą prostotę, która słowami się zadowalnia i przed zbyt subtelnymi analizami roztropnie się cofa" (*Wczesne prace krytyczne*, wstęp Andrzej Mencwel, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1988, s. 177). — Ileż w nim niepokory, ileż wiary w sprawczą moc swojego umysłu! Tyle zagadnień wiązało mu się w jeden supeł, tyle przychodziło na myśl przy błahym nawet problemie. Nie chciał stracić żadnej chwili. Czytanie było jego opium i przekleństwem. — „Jak strasznie i beznadziejnie jestem sam" — skarżył się na kartach *Pamiętnika* (s. 143). Nękało go „podłe uczucie obawy śmierci", niepokój o żonę i córkę, „i żal po przerwanym życiu myśli" (s. 141). To wszystko było u niego równoważne: śmierć, życie, praca. „Ale pragnę żyć, ale lękam się choroby, ale doprowadza mnie do rozpaczy mechaniczna, bezmyślna siła, która mnie dławi" (s. 141). — Pisał te słowa na dwa i pół miesiąca przed śmiercią. Wiedział, że jest ciężko chory i nie chciał tej wiadomości przyjąć. Wiedział, że jego koniec jest bliski i tę świadomość odsuwał od siebie jak najdalej. Nie chciał się poddać. Dopingował sam siebie: „miej odwagę — męstwo nieustannego przepajania każdej chwili myślą, nie toleruj w sobie żadnego obojętnego momentu, lecz staraj się dopracować łączności każdego atomu duszy z wielkim prawem. Niech to będzie twoją nieustanną religią" (s. 143-144).

26

Ponowna lektura. — *Macierz* Marii Rodziewiczówny mogłaby stać się dzisiaj dobrą okazją do rozmaitych rozważań na temat upodlenia, udręczenia, podźwignięcia się z nędzy, odzyskania honoru, a w końcu okazania hardości rodzinie i światu. Sentymentalna opowieść o mocy ducha, który nie pozwolił na to, by go zdeptać, odebrać mu prawo do godności. — Pokotynka (czyli nierządnica), zagrodowa szlachcianka, która przez zaślepioną miłość sięgnęła dna i już — jej zdaniem — jako „ścierce" nie wolno było patrzeć wyżej, dzięki wyciągniętej dłoni, która z wdzięczności przerodzi się w miłość i oddanie (a może te uczucia są tym samym), a potem w macierzyństwo, więc owa Pokotynka, której świat odmówił nawet imienia, wypowiedziała w ostatniej frazie powieści słowa, że śmierć też nie jest w stanie oddzielić jej od tego, który przywrócił ją życiu. — Marzenie, jakiego nawet nie śmiemy wypowiedzieć.

27

Pożółkłe fiszki. — Śmialiśmy się, a śmiech ten przechodził na pokolenia, że starzy profesorowie mówią swoje wykłady z pożółkłych fiszek. Taki był czas, bez kserografów i komputerów. Siedzieli w czytelniach całymi dniami i latami, wynotowywali z rękopisów, starych ksiąg, obcej literatury fragmenty, zamykali je w fiszkach, które później były ich prywatną, najcenniejszą biblioteką. Dzisiaj mało kto chodzi do czytelni, biblioteką jest Internet. — Dzisiaj Mądraliński często spisuje z Wikipedii, nie czyta książek, opiera się na streszczeniach, potem wychodzi na katedrę i — ma prawo się śmiać z nieboszczyków, którzy czytali z pożółkłych fiszek?

28

Aleksander Błok o Dmitriju Mereżkowskim — przekład mój: „Każdy artysta jest beznadziejnie zakochany. A Mereżkowski jest artystą. O jego zakochaniu świadczą nie tylko różne obrazy jego powieści, ale także pozornie najbardziej prozaiczne strony jego artykułów krytycznych. Kiedy […] mówi, że «nie można zrobić rosyjskiej rewolucji bez rosyjskiego języka», kiedy cytuje dwa, trzy wersy (rzadko więcej) jakiegoś poety, kiedy mówi coś o gwiazdach widocznych tylko w czarnej wodzie bezdennych studni, jest artystą nieśmiałym, wymagającym, często kapryśnym, takim, jakim powinien być artysta. Kiedy beszta rosyjskich dekadentów, czasami się zastanawiamy, za co ich beszta bardziej: za ich «mistyczne chuligaństwo», czy za to, że obrażają jego delikatny gust ukształtowany na wielkiej klasyce? Im bardziej wnika się w Mereżkowskiego, im bardziej rozumie się głowną pasję jego woli, tym wyraźniej widać, że urodził się artystą i umrze artystą, nawet jeśli pragnie tę cechę w sobie zniszczyć i jej nienawidzi" (*Mereżkowskij*, w: *D.S. Mereżkowskij: pro et contra*, RChGI, Sankt-Peterburg 2001, s. 246)

29

30 marca 2022 roku, 25 lat po śmierci Krzysztofa Nowickiego. Czytałem go zawsze z wielkim przejęciem; pamiętam, że lubił frazę ze *Źdźbeł traw* Walta Whitmana, mówiącą o tym, że dotykając książki, dotykamy człowieka. Jego ostatnią publikacją było chyba *Drugie życie* (KPTK, Bydgoszcz 1995), zbiorek esejów, może metaliteracka próba autobiografii. Trzy cytaty z tej książki. — 1. „Wszystko zostało już napisane. Nawet najskromniejsza biblioteka mówi. Cały świat jest tutaj. Musisz jednak wrócić. Wejść do tej samej rzeki. Przekonasz się wówczas, że jesteś kimś innym. Gdy twoje książki czytają cię po raz wtóry, jesteś innym stworzeniem". — 2. „To literatura dźwiga odpowiedzialność za prawdę i w tym sensie wymierza sprawiedliwość widzialnemu światu. Świadectwo prawdy zawsze wymyka się spośród zeznań. I chociaż sami świadkowie bywają małostkowi, cierpią na zanik pamięci, okazują kłamstwa przemilczeń, zamiłowanie do interesów lub próżność, poszczególne utwory nie poddają się presji". — 3. „Wrażliwość to męka. Choroba jest ostrzeżeniem dla całego istnienia. Świat znajduje się w napięciu między lewą a prawą skronią. Polega na pasowaniu się między życiem a śmiercią".

30

Lew Karsawin, *Poemat o śmierci*, 13, przekład mój. — „Poeta jest jak dziecko. Ze swoich udręk, z opłakanych łzami upadków, uplata sobie wieniec. Nakłada go na głowę, bawiąc się, śmiejąc najczystszym na świecie śmiechem — śmiechem przez łzy. Tak śmieje się dziecko: błyszczą mu oczy, a z policzków jeszcze nie zeszły wielkie, gorzkie łzy. Poeta ze swoich skarg składa swoją pieśń: śpiewa całym światem, który stał się w nim radością. Ale poeta nie wie, i nawet o tym nie myśli, dlaczego cieszy go błyszczący łzami, niczym kroplami rosy, upleciony przez niego wieniec, dlaczego pieśń zrodzona w skardze jest tak piękna".

31

Lew Karsawin, *Poemat o śmierci*, 14, przekład mój. — „Metafizyk to antyczny starzec. Jego siwa broda spływa majestatyczną falą. Ale jest słaby i zziębnięty: promienie słońca nie ogrzeją jego pożółkłych, przezroczystych dłoni. On zna sens gasnącego życia; zna cenę każdego smutku i miejsce każdej radości. Ale dla niego już nie ma radości i smutku; i jasny jak zimna, czysta wiosna, smutek zatrzymuje się w jego wyblakłych oczach. Całe swoje życie przekuł w doskonałą myśl, wszystko zrozumiał. Ale gdzie jest to wszystko, jeśli on już nie żyje?".

32

Wspomnienie z domu umarłych. — *Dom* napisał poeta we Lwowie w 1963 roku. Nie jest to jedyny wiersz Tadeusza Śliwiaka, poświęcony miastu dzieciństwa. Powstało ich więcej, lecz ten właśnie jest najcelniejszy, najsmutniejszy i najbardziej prawdziwy. To także wiersz najczulszy: o dzieciństwie, które odeszło zbyt szybko; o matce, która nie krząta się po ogrodzie i nie wita na schodach; o pierwszej miłości, o której mówiło się światu całemu, wycinając serca na korze drzewa; o przestrzeni oswojonej, którą można nazwać „domem". Jednakże dom, odnaleziony po latach od jego opuszczenia (na mocy takiego, czy innego prawa), nie jest miejscem, do którego można i chciałoby się wrócić. Niby wszystko jest takie samo: i „pięć szczerniałych schodów", i „szczerniałe sztachety", które „strzegą ciszy ogrodu". Niby witają nas z drogi dawne okna, ale są to „okna puste", nie tyle okna, ile oczodoły okien. Poeta napisze: „Wszystko takie jak było / wszystko inne przecież / tego samego domu / nie ma […]". Nie ma, być bowiem nie może. Opuszczony został przez dawnych mieszkańców, wyziębł, stał się obcy, nie zaprasza do siebie jak kiedyś. Dom umarł: „Szklane drzwi / lecz nie szyby w nich / a płytki lodu / obco patrzą / w ich świetle / nie ma już barw miodu". „Lód" i „obcość" zastąpiły ciepło „barwy miodu". Dom wypełnia „brak". Ten, który przyjechał zobaczyć dom (zobaczyć się z domem), odkrywa, że się wykorzenił. — *Dom* Śliwiaka jest elegią o sobie samym. Wierszem o chęci powrotu do dawnej przestrzeni dzieciństwa i lęku przed takim powrotem. To wypowiedź kompensacyjna: łatwiej powiedzieć, że dom stał się „dla nas" obcy niż przyznać się, że stał się obcy „w nas" i „nam". Wina, do której trzeba się przyznać, że dom się opuściło, przemienia się w żal odtrącenia przez dom. Więc: to nie my jesteśmy winni, to dom nas nie chce przyjąć jak dawniej. — Ale przecież jest to wina niezawiniona. Odwiedzający porzucił dom nie z własnej woli. To czas, w jakim mu przyszło żyć, sprawił, że został z tego domu wyrzucony. W wierszu Śliwiaka nie mówi się o wojnie, o czerwonej dżumie, nie przywołuje się dramatu wysiedlenia. To wszystko mieści się w owej niepisanej wie-

dzy, jaką czytelnik sam w sobie nosi. Niezależnie jednak od tej wiedzy: pusty dom jest engramem, którego z własnego życia, własnej pamięci, własnej psychiki nie da się wyrzucić. Lwów — dom pusty. Jest się mu wiernym i boi się do niego wracać.

33

Nazywano ją poetką miłości i śmierci, a Jan Lechoń dawał słowo honoru, że Maria Pawlikowska-Jasnorzewska pisze wiersze „prześliczne". Na przestrzeni lat zmieniała się jej poetyka, ale zainteresowanie tajemnicą życia i śmierci nigdy w niej nie zgasło. Była mistrzynią małej formy lirycznej, wpierw niebywale sensualnej i kokieteryjnej, później zwróconej w stronę spirytualizmu i filozofii natury, a w końcu — na emigracji wojennej — zanikającej w dawnym kształcie, pesymistycznej wobec do świata i pełnej rezygnacji. W swoich miniaturach wyniosła na wyżyny poezji ludzi zwykłych i rzeczy dotąd uważane za niepoetyckie. Język jej liryki nie był salonowy, ale codzienny, żywy, jakby dopiero co zszedł z warg mówiącego. Lubiła poezję rozmowy, adresata lirycznego umieszczała w tle; on milczał, a ona czyniła mu wyrzuty zdrady lub niepamięci. Kunsztowność formy tych niepowtarzalnych liryków widać w napięciu między dyscypliną wyrazu a pozornym bezładem konwersacji. — Doświadczenie miłości i śmierci często zamykała w wierszach maskach i wierszach przesłonach. Wdzięk i kokieteria skrywały słabość i nieśmiałość, zalotność i uwodzicielski ton — kruchość ciała i jego niedoskonałości. Poetka nie przywoływała sytuacji abstrakcyjnych; interesowała ją konkretna osoba, żywa jednostka. Krytycy zobaczyli w tej grze prawdy i zasłon odwagę kobiety nowoczesnej, świadomej własnej kobiecości i nieulegającej opiniom świata. — Jej liryka bliska była poezji skamandryckiej, zwłaszcza wierszom monodramom Juliana Tuwima. A jednak Maria Pawlikowska-Jasnorzewska była całkowicie niezależna w wyborze tematów, realizacji formy, sugestywności stylu. Głęboka refleksja nad ciałem wyprzedziła o kilka dziesięcioleci spostrzeżenia filozofii somatycznych, a ściszony głos kobiety pragnącej miłości ukształtował sposób lirycznego mówienia obecny i dziś. — Erudycyjna, choć raczej skrywająca bezpośrednie aluzje kulturowe; sugestywna i zapadająca w pamięć; melodyjna nowoczesnym rytmem muzyki; otwarta na drżenia świata i ból człowieka, poezja autorki *Pocałunków* jest jednym z najczystszych zjawisk w literaturze polskiej XX wieku. — 24 listopada 2021 roku minęło 130 lat od narodzin „Lilki".

34

Ponowna lektura. — *Katarynka* powstała w roku 1880, a więc w czasie, kiedy ukończona została pierwsza wersja *Anielki*. Bohater dziecięcy, jakże ważny dla Bolesława Prusa, został pokazany w zderzeniu z dorosłym, przy czym dziecko usytuowane zostało w przestrzeni choroby i bezradności, natomiast dorosły został pokazany jako znudzony mizantrop, pragnący dożyć swoich dni w ciszy emerytury. Ale to, co pozornie proste, wcale takim nie jest i pisarz, mistrz detalu, zaprasza czytelnika do rozmaitych rozmyślań nad tym, co tylko pozornie jest przekładalne na słowa, czyli nad samotnością w otoczeniu pełnego życia i samotnością w obliczu ciemności. — Niewidoma dziewczynka obserwowana przez emeryta, mającego swoje przyzwyczajenia i fobie, dzięki chwili nieuwagi, otwiera mu oczy na to, co dla niego niedostępne. Podwórkowy kataryniarz, który dla lokaja Tomasza jest utrapieniem i rani jego dyletanckie uszy muzyczne, dla dziewczynki jest otwarciem na świat, drzwiami do świata pełnego dźwięków, jakże wyciszonego w ubogim mieszkaniu. — Nowelka nie jest ani o konflikcie sztuki wysokiej i niskiej, ani o empatii i jej braku. Prus pokazuje, jak pod wpływem przypadku, który zawsze odgrywa jakąś rolę w naszym życiu, to życie może się odmienić. I tu ważny jest tytuł: katarynka należy do codzienności świata, w jakim żyją bohaterowie, ale jednocześnie potrafi uniezwyklić los, nadać mu sens, jakiego byśmy się nie spodziewali. Umieszczenie w tytule przedmiotu (podobny zabieg uczynił Prus w *Kamizelce*), *pars pro toto*, otwiera czytelnika na sferę ludzkich uczuć i powagę decyzji. — Przeganiany z podwórka, grający na rozklekotanym instrumencie kataryniarz, przywraca dziewczynce radość, staremu emerytowi nadzieję na zmianę nudnego życia, że być może z tego spotkania wyjdzie jeszcze co dobrego? Tomasz skieruje dziewczynkę do okulisty, kataryniarz dalej będzie wygrywał swoje nieudałe melodie, zarabiając na życie, choć lokaj Tomasza, kręcąc kółko na czole, niczego nie zrozumie.

35

Ponowna lektura. — Żył 50 lat (1892-1942). Bruno Schulz — klasyk współczesności, jeden z najwybitniejszych polskich pisarzy metafizycznych XX wieku, pozostawił dzieło objętościowo niewielkie, lecz o mocy dorównującej największym twórcom epoki. Nowator zamknięty w prowincjonalnym świecie Drohobycza, zatopiony w lekturach modernizmu i wykraczający myślą ku temu, co nieznane, był — jak go nazwał Jerzy Jarzębski „dość dziwnym, modernistyczno-awangardowym centaurem". Chwalony i ganiony przez krytykę, przyjmowany i odrzucany przez czytelników, uznawany był — naprzemiennie — epigonem starej epoki i jej destruktorem. Dwa główne dzieła Schulza: *Sklepy cynamonowe* (1934) i *Sanatorium pod Klepsydrą* (1937) ukazały się w warszawskim Towarzystwie Wydawniczym „Rój", zaskakując dziwnym obrazowaniem. Nie wiemy, czy jesteśmy w rzeczywistości prawdziwej czy marzeń sennych, czy poruszamy się w świecie realnych zdarzeń czy metaforycznej umowności. Logika opowieści Schulza jest z natury labiryntowa, między domem a kosmosem, przestrzenią konkretną i mityczną, czasem historycznym i symbolicznym nie ma prostych przejść, błądzimy w przestrzeniach dni i nocy, poszukując ładu i rzucając wyzwanie chaosowi i pustce. — *Sierpień* i *Karakony* to opowiadania ze *Sklepów cynamonowych*. W ekspresyjnych obrazach ukazane zostało Schopenhauerowsko-Bergsonowskie kłącze popędu, życiowej woli (*der Wille*) i potęgi niekontrolowanego rodzenia czy płodności (*élan vital*). Sugestywna, hiperbolizowana, sensualistyczna stylistyka kieruje nas w stronę tego, co erotyczne, nieujarzmione, pociągające i tego, co wyzwala wstręt, pochłania i prowadzi do zatracenia. W tej metafizyce balansującej na granicy rozpaczy i wyzwolenia wchłonięci zostajemy przez świat turpistyczny, o tyle bliższy prawdziwemu życiu, o ile walczący z naszą wolą do poznania rzeczy za pomocą myśli, dzięki inteligencji, której chcielibyśmy zaufać.

36

Ze wstępu do mojej książki *Splot* (Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2021, s. 7): „Nierzadko przeczuwamy, że nasze kolejne szkice nie mają swojego dobrego miejsca w dopiero co ukończonej książce. Że powinny się znaleźć w innej, wcześniejszej lub dopiero obmyślanej, na tej bądź na innej pozycji. Mamy wrażenie, że nowe szkice dopowiadają inną opowieść, którą kiedyś zaczęliśmy, przerwaliśmy, dokończyliśmy lub o niej zapomnieliśmy. Że powinny nawiązać dialog z przeszłością czy z przyszłością nas samych. Zapewne, powinny. Ale myśl krytyka literatury, a także jego osobliwej postaci: historyka literatury, biegnie, kędy chce, nie umie się powiązać planowo z podmiotami i przedmiotami studiów, wymyka się kontroli. Tak jest również w moich książkach. Znajdują się w nich szkice, które dobrze sąsiadowałyby z pracami z poprzednich lub późniejszych zbiorów. Mają charakter przeglądowy lub analityczny, lecz nie są spójne w jednej wizji. Dopowiadają jakieś kwestie, czasami inicjują nowe problemy, lecz pozostają w rozproszeniu. Dążą każdorazowo do uogólnienia, ale uogólnieniem nie są. Gdyby istniała tradycja łączenia poszczególnych prac w jedno, autor byłby szczęśliwy. Ale autor wie nazbyt dobrze, że w lekturze działa prawo rozłączności, szkice czyta się w rozproszeniu, okazjonalnie i ułamkowo. Jak jedwabnik z myśli Hebbla: autor przędzie swoją myśl nawet wtedy, kiedy nie pasuje ona do innej. Więc właśnie: «Biedny jedwabniku! Będziesz prządł, chociaż cały świat przestał chodzić w jedwabiu!» (Fryderyk Hebbel, *Dzienniki*, wybrał i przeł. Karol Irzykowski, Księgarnia B. Połonieckiego, Lwów 1911, s. 104)".

37

A wnet to wszystko rozsieje wiatr, porośnie trawą.

38

Mam sześćdziesiąt lat i zwalniam krok, żeby nie przyjść zbyt wcześnie. Kto idzie szybko, za szybko osiąga cel. Kto pędzi przed siebie, nie widzi nic wokół siebie. Gdzie jest chwila zatrzymana w biegu, gdzie jest bieg zatrzymany na chwilę? Kiedy byłem młody, drażniła mnie powolność. Dlaczego ci ludzie tak się wloką, pytałem, dlaczego tak stoją? Starzy — bo już nie ta sprężystość mięśni, bo zwapnienie kości. Młodzi — bo leniwi, siedzą na schodach podpierają ściany. Mam sześćdziesiąt lat i wiem, że się wlokę, bo nie chcę dojść, nie chcę przyjść. O, chwilo zatrzymana w biegu; o, biegu zatrzymany na chwilę — trwaj!

39

Biurko. — Nie miałem go w dzieciństwie, miałem stół, na którym matka ugniatała ciasto, kroiła mięso. Stały na nim kubki i szklanki, z talerzy znikała zupa, ojciec gasił w popielniczce papierosy. Stół życie — na nim książki, zeszyty. Był przykryty ceratą, żeby łatwiej było zmieść resztki dnia i nocy. Biurko w internacie było pulpitem, może blatem pod oknem. Nie korzystałem z niego za często, wolałem pisać w pozycji półleżącej, na tapczanie. Miałem je w akademiku, nie pamiętam, czy przy nim siadałem, ale pamiętam, że skończyłem pisać pracę magisterską nad ranem, 20 czerwca 1986 roku, na drewnianym krześle z miękkim siedziskiem. Miałem je w hotelu asystenckim. Niczym się nie różniło od tego z akademika, ale już zagościł na nim nieporządek. Dwa biurka na Wczasowej: →

jedno na wysoki połysk, drewniane, z lat sześćdziesiątych, drugie październikowe, już stanął na nim komputer. Moje biurko na Niskiej jest kopułą książek, szpargałów, piętrzy się jak śmietnik, wypycha mnie z siebie. Mówi: jestem ostatnie.

40

Ta nieznośna myśl, że inni byli od nas lepsi. I że zajmujemy ich miejsce, nieprawnie.

41

Czytam umarłych, których nie czytałem za młodu, nigdy, nawet w późnym wieku. Ich mowa, niczym smak piołunu, który rósł kiedyś w kępach, pod płotem, w ogrodzie. I smak ten dzisiaj odnajduję w wierszach, tak samo gorzki, tak samo niechciany. Łączy nas upływ, czas, którego nie ma, jak nie ma wierszy, piołunu, ich, mnie.

42

Śniła się zima (Mickiewicz). — Nie śniłem już. Nie śniła się zima, choć zima była, lecz ja już nie śniłem. W domu, przy stole, mama poszła gdzieś, ja, pięcioletni, jem śniadanie, sam. Każdy kąt mówi swą straszną opowieść, drzwi skrzypią, w okna zaglądają cienie, ktoś wszedł, trzaski z drugiego pokoju, i słychać dziwny odgłos ciężkich kroków. Uciekać! Prędzej, nim nadejdą oni, o strasznych oczach, upiornym uśmiechu. Do mamy, boso, przez parzący śnieg, bo już nie śniłem, zima się nie śniła.

43

Czas na mnie (Różewicz). — Ostatnie słowo? Ostatnie, być może. I już nic więcej? Pewnie nic, niestety. Tylko milczenie? Tak, milczenie tylko. I sen? Tak, wyłącznie sen. A przebudzenie? Nie, nic.

44

Im jestem starszy, tym większą odczuwam pokusę rozmowy z duchami poetów. Niech każdy rozmawia, niech go nie zwodzą niemądre połajanki tych, którzy uważają siebie za strażników mądrej poezji. Nie ma poezji niemądrej. Każda, nawet ta, która nie potrafi wyrazić siebie w pięknym słowie, jest myślą. To zauważył Heidegger w eseju o Hölderlinie, mówiąc, że nie każda myśl jest poezją, ale każda poezja jest myślą.

45

Dlaczego tak się śpieszysz, dokąd pędzisz? — Uciekam przed śmiercią.

46

Jeden z moich pierwszych wierszy nosił tytuł *Śmierć*. Po usunięciu jednego wersu, niepotrzebnie dosłownego, brzmi chyba tak: „Powiedziała, zamykając drzwi: / Jesteś niesprawiedliwy, // Przyszłam tylko zapytać, / Jak ci się żyje?". „Przepisuję" go z pamięci, nie chce mi się szukać po tomikach, nigdy zresztą nie dorobiłem się swojej półki z książkami, zawsze wygrywały książki inne. Ale ta figura obrażonej śmierci, zamykającej drzwi, twierdzącej, że za szybko wyciągamy wnioski, i że odwiedziny nie są zaproszeniem do krainy ciemności, wciąż wydaje mi się oryginalna i śmieszna.

47

Dmitrij Mereżkowski o Ewangelii, początkowe fragmenty książki *Jezus Nieznany*, przekład mój. — „Świat jaki jest i ta Księga nie mogą istnieć razem. On albo ona. Świat nie może być tym, czym ona jest, inaczej ta Księga musiałaby zniknąć ze świata. Świat połknął ją, jak zdrowy połyka truciznę, albo chory lekarstwo i walczy z nią, żeby ją przyjąć do siebie, bądź odrzucić na zawsze. Walczy dwadzieścia wieków, a ostatnie trzy wieki były takie, że i ślepy ujrzałby: nie jest im sądzone być razem. Albo tej Księgi, albo świata zgon". — W moim hermeneutycznym umyśle, gdzie każda książka jest świętą księgą, pragnąłbym podobnego stanowiska każdego czytelnika.

48

Ile bym napisał, ile bym powiedział, zaniknie. Są słowa jak ogień i słowa jak wiatr. I te, co palą, i te, co się rozwiewają, jednako ważą.

49

Pathe mathos.

50

Pół drugiej w nocy. Zamykają się oczy, zaprasza sen. Zasypiaj, jakbyś miał żegnać świat na zawsze. Budź się, jakbyś stwarzał świat na nowo.

Marian Kisiel

Erazm Felcyn

Andrzej Gierech

Czekając na człowieka

Po ostach i kamieniach jak po złote runo wyruszyliśmy
z domu, gdy zabrakło tlenu by wolni żyć.
Stacja wyprawy wypadła na skraju lasu
oddzielającego bliskie narody i zwaśnione armie.

W przedsionku kraju paradującego solidarnością,
ostry krzyk dostaliśmy na powitanie: Stop!
z tej strony wędrującym tlenu nie dajemy!
Ale chorzy i zgłodniali próbowaliśmy choć łyk
przyjąć na przeżycie choćby najbliższych dni.

Broń wyciągali, nas wypchnęli za linię Curzona.
Niekłamani ludzie starali się z pomocą przyjść,
wkrótce ich odepchnęli; stanęły oddziały,
nas odgrodzili kolczastym płotem jak
w Auschwitz roznosicieli wszy, zła i zarazków.

Powrót oznaczał represje może nawet śmierć,
dalsza droga stwarza nadzieję. Tymczasem
siedzimy na skraju lasu, który daje schronienie,
ale czy będzie jeszcze ciepło?

Przed deszczem gałęzie drzew tworzą dziurawy parasol,
próbujemy spać pod krzakami, pod głową kępa traw,
łzy głodnych dzieci rozrywają serce,
piliśmy wodę ze strumyka, gorączka trzęsła całym ciałem,
mało było soczystych liści, które da się strawić
a głód wykrzywiał i prostował kiszki,
szaleni w swym głodzie próbowali tłustą ziemię
zjadać znad strumyka, (koniec bolesny – oni wiedzą).

Zimne noce przeżyte cudem,
z każdym dniem oddech staje się coraz płytszy,
powietrze chwytamy małymi łykami.
I w zatrutej godzinie wolno spłynęła radość.
.
Widzę jak z mej doliny kręta ścieżka wspina się
pośród skał Hindukuszu, na niej mój sąsiad i brat
szybkim krokiem zmierzają do ukrytego wądołu.
Nad nami krąży stalowy potwór – wypatruje naszych.

Górskie ptaki z którymi wiedliśmy dialogi
wyleknione – już nie widać ich wcale;
zawisła gęsta cisza, nie zakłóca jej nawet
ryczący stalowy ptak.

Ten sam krzyk zamarłej ciszy słychać
też w lesie nad strumykiem.
Czekamy na pierwszą dawkę tlenu
nie spotkaliśmy dotąd człowieka.

WRZESIEŃ 2021 R.

Wiosenna noc –

spragnionych zmysłów czas nadchodzi
promienie żądz chwytamy chciwie w dłonie.
Spójrz! już rozkwitł dla nas kwiat jabłoni
życie powraca a w sercach ogień płonie.

Wiosenna noc –
dyskretna woń pierwszych kwiatów
świece kasztanów jak amfory greckie
i ciepły dotyk twojej dłoni – ja kretem gardzę
choć bolą zniewagi obelgi niecne.

Wiosenna noc –
z wystawy lala jak z Urbino Wenus
ale magiczność sczezła,
a u mej Ewy nosek zadarty oczy jak lazur nieba
i dusza – czysta jak łza.

Wiosenna noc –
na polanie z mchu usłałem łoże
noc roztapia skrupuły dusz i zmysłów żar
z niebem połączył nasze ciała
twój krzyk to dla mnie słodki dar.

Wiosenna noc –
wkradam się w klejnot przez ciebie skrywany
przyśpiesza oddech endorfiny zalewają mózg
grzmi inkwizycja i o morałach biada
kret woła ofiarę z miłości złóż!

Wiosenna noc –
zapach twego ciała rozbudza zmysły
twa kruchość podwójnej żąda czułości
ledwie słychać twój szept

MAZURY 2010 R.

Andrzej Gierych, autor urodzony 26 listopada 1937 r. w Garwolinie. Prawnik. Studia prawnicze odbył na Uniwersytecie Warszawskim, po ukończeniu których, po odbyciu koniecznych wówczas aplikacji sędziowskiej i adwokackiej podjął pracę jako adwokat. Zainteresowany sprawami społeczno-kulturalnymi. Ekspert Komisji ds.Rodziny Parlamentu w latach 1997-2001. Autor licznych publikacji w periodykach społeczno-kulturalnych. Autor bloga pisujący nieregularnie na tematy społeczno-kulturalne. Bezpartyjny. Żonaty, ojciec trojga dzieci. .

REPORTAŻ

Roman Warszewski

Kapitan Nemo przybywa do Chile

Nautilus – tak nazywała się ta niecodzienna akcja. Być może dlatego, że chciano zobaczyć, co skrywa się w głębinach. Nie w głębiach oceanów, co mogłoby kojarzyć się z nazwą słynnej łodzi podwodnej kapitana Nemo (bohatera dwóch powieści Julesa Verne'a, co w dzisiejszych czasach trzeba już chyba przypomnieć). Lecz w głębinach ludzkiej psyche. W duszy Chilijczyków.

Ale po kolei.

W samym centrum Santiago de Chile, u zbiegu ulic La Moneda i La Bandera – blisko pałacu prezydenckiego, który w czasie wojskowego zamachu stanu generała Augusto Pinocheta obrócono w wypaloną ruinę – dwóch architektów postawiło szklany dom: coś w rodzaju przezroczystej klatki, podzielonej w środku równie przejrzystymi ściankami działowymi na sypialnię, kuchnię i ubikację. W środku szklanej klatki – jakby nigdy nic – zamieszkała młoda aktorka.

Wokół prawie natychmiast zebrał się tłum gapiów, głównie mężczyzn. Niektórzy stali tam jakby ich zamurowało. Byli tacy, którzy stali od świtu do nocy. Zapominali o bożym świecie – dokąd im się spieszyło, co mieli do zrobienia, a nawet gdzie mieszkają. Jak łatwo można się domyśleć, głównie frapowało ich, co dziewczyna robi w łazience i jak za szklanymi taflami przebiera się do snu. (Miała niezbyt duże, lecz kształtne piersi, które były blade, nieopalone, przez co świetnie odbijały się na tle zapadającego zmroku, kiedy dziewczyna czy to w sypialni, czy w łazience przygotowywała się do snu. Niektórzy twierdzili, że właśnie dzięki tym piersiom i kontrastowi, które powodowały, wygrała casting na zamieszkanie w tym szklanym domku.)

Architektami szklanej konstrukcji byli Arturo Torres i Jorge Cristi. (Wcześniej nikt o nich nie słyszał.) Aktorką – Daniela Tober. Gdy zaczynał się eksperyment, była praktycznie nieznana. Zaraz potem – a właściwie już w trakcie całej akcji – stała się sławna.

Natychmiast rozgorzał spór – o co w tym wszystkim chodzi? Czy *Nautilus* miał coś wspólnego z nauką (np. z socjologią?), czy raczej z happeningiem i sztuką? Albo z big brotherem, który w tamtym czasie do Chile jeszcze nie dotarł. A może chodziło o badanie relacji między tym co prywatne i publiczne? Gdzie przebiega granica między tymi dwiema sferami? Albo – czy taka granica w dzisiejszych czasach w ogóle jeszcze istnieje?

– A może to po prostu pornografia?

– Epatowanie golizną? – pytali jeszcze inni.

A ci, którzy uważali, że już za długo tkwią przed szklanymi taflami w oczekiwaniu na „momenty", wołali:

– Myj się w końcu! Myj się brudasie! Jak długo można czekać?!

W rozmowach między ludźmi pojawiła się też kwestia, czy tak dziwny eksperyment powinien być finansowany przez państwową fundację (tak było). No właśnie – powinien, czy nie powinien? Ten problem nigdy do końca nie został rozstrzygnięty.

Jeden z członków fundacji mówił:

– Osobiście, jak głosowałem za przyznaniem funduszy, byłem przekonany, że chodzi o przedsięwzięcie czysto artystyczne. Nigdy nie miałem co do tego wątpliwości. Z drugiej strony jednak nie sądziłem, że ona będzie się publicznie wypróżniać i rozbierać…

– A niby, co miała robić, skoro mieszkała tam przez kilka tygodni? – nie ustępował dziennikarz, który go przepytywał. – Skoro jadła, to s…ła [użył ordynarnego słowa „cagar" – RW]. Nie mogła też spać w tym, w co była ubrana w ciągu dnia. Pan tak robi?

– Nie, ale przecież nawet Gorbaczow nie wyobrażał sobie takiej jawności…

– Jak to nie? A niby dlaczego upadł Mur Berliński?

Czy w Chile akcja *Nautilus* obaliła jakiś mur?

Chile to dziwny i niezwykle pruderyjny kraj. Jest poprzedzielany niezliczonymi ścianami i ściankami, które na pewno nie są tak przejrzyste jak ściany szklanego domu z centrum Santiago. To kraj pełen obyczajowych tabu, gdzie dopiero od niedawna są legalne rozwody, a większość społeczeństwa uważa, że w takiej czy innej formie powinna istnieć cenzura. Przezroczysta konstrukcja ze zbiegu ulic La Bandera i La Moneda na pewno żadnej z tych ścian nie przesunęła, ale na pewno niejedną zachwiała. Gdy o zdanie na ten temat zapytano samą Danielę Tober, powiedziała:

– Moi rodacy mają poważne problemy seksualne. Dominuje tu skrajne *machismo*, a naturalne ludzkie popędy są brutalnie tłumione. Zewsząd otacza nas hipokryzja, sztuczność i ludzie wciąż zastanawiają się, co na to, co robimy, powiedzą inni. Najwyższy czas z tym skończyć. Pora byśmy wszyscy zamieszkali w szklanych domach – oczywiście w przenośni. Wtedy nikt by się interesował tym, co robi, a czego nie robi jego sąsiad lub sąsiadka.

Deputowany socjaldemokratycznej partii PPD, Nelson Avila odpowiedział na to:

– Rozumiem to wszystko. Może nawet myślę bardzo podobnie. Nie dam sobie jednak wmówić, że publiczne oddawanie moczu można uznać… za poezję.

Głos zabrał nawet były prezydent Chile, Ricardo Lagos:

– Dla mnie chodzenie do łazienki nie jest sztuką, ale nie należy zapominać o Rubensie i Tycjanie, którzy – patrząc na piękne kobiety – malowali anioły i madonny. Spór o to, co jest, a co nie jest sztuką, trwa od bardzo dawna. Teraz, jak widać, przeniósł się nawet do Chile. Nasz eksperyment (…) poruszył tłumy, a to wydaje się najważniejsze.

Ankiety, które (po tym jak *Nautilus* już odpłynął) przeprowadzono wśród mieszkańców Santiago wykazały, że mieszkańcy chilijskiej stoli zaakceptowali eksperyment. Oto wyniki:

To cenna inicjatywa kulturalna – odpowiedziało 54 procent zapytanych.

To zwykły ekshibicjonizm – stwierdziło 37 procent respondentów.

To świadectwo coraz większej swobody obyczajowej – uważało 87 procent ankietowanych.

Na pytanie: Czy akceptujesz budowę w centrum Santiago szklanego domu, w którym kobieta publicznie załatwia wszystkie swoje potrzeby? – „tak" odpowiedziało 58, a „nie" 32 procent zapytanych.

W konserwatywnym organie przedsiębiorców „La Estrategia" senator Antonio Horvath Kiss napisał: „Nad czym tu się rozwodzić? Za stosunkowo niewielkie pieniądze, bo niecałe 10 tysięcy dolarów, dokonano interesującego eksperymentu. A nagość jest piękna – to wie każdy. Bez niej nie byłoby sztuki i prokreacji".

Jakie wnioski można było wyciągnąć?

Ponad wszelką wątpliwość stwierdzono, że jeśli ładna i młoda dziewczyna zacznie za szklaną ścianą będzie spacerować nago i weźmie publicznie prysznic, to wokół natychmiast zacznie gromadzić się widownia. Głównie męska.

Czy bez eksperymentu *Nautilus* można by sądzić inaczej?

Gdy po powrocie do Polski to retoryczne pytanie zadałem psycholożce i psychiatrze dr Żanecie Pankiewicz, która zna Chile, bo tam przez pewien czas mieszkała, prawie mnie zmitygowała.

– Stop! – usłyszałem. – To wcale nie jest takie śmieszne. Nie bez znaczenia jest fakt, iż to wszystko miało miejsce w Chile. Wielkie zainteresowanie Chilijczyków tym, co działo się za szklanymi ścianami, było – moim zdaniem – krzykiem ich podświadomości. Mieszkańcy Santiago po prostu demonstrowali, że chcą, by inne kwestie w ich życiu stały się równie jawne i przejrzyste, jak to, co działo się w szklanym domku. Powiedzieli w ten sposób, że chcą, by w ich kraju w końcu rozstąpiły się ciemne ściany, kurtyny i zasłony, które nadal skrywają tajemnice z czasów dyktatury, kiedy żywych ludzi zrzucano z samolotów do oceanu, a tysiące uchodźców – chcąc uniknąć podobnego losu – musiało zbiec na emigrację. Mrok zaczął domagać się przejrzystości.

ROMAN WARSZEWSKI

Hilde Domin

WYBÓR

Być drzewem migdałowym
raz w roku
małą chmurą
na wysokości głowy ponad ziemią
całkiem jasną

Kimś w oddziale szturmowym
wiosny
nikogo prócz samej siebie nie krzywdzić
w wierze w błękitny dzień
od zimna spłonąć

Być małym drzewem migdałowym
na południowym stoku Pirenejów
lub w dolinie Renu
które stoi i rośnie
tam gdzie je zasadzono

Ale przechodzić
obok tego drzewa migdałowego
lub je nagle zobaczyć
gdy pociąg
wyjeżdża z tunelu

śmiech i płacz i mieć ten
niemożliwy wybór
i nic nie czynić właściwie
i nic na odwrót
i może wszystko stracić

Ale - nie być zmęczoną
tym Tak i Nie i Na-zawsze-obok
lecz ku temu cudowi
cicho
niczym ptak
sięgnąć dłonią

PRZEPRAWA

Mojej Matce

Dziecko
które pozostawiasz
ma puszyste jasne włosy
ubrane w czarną suknię
nie jest dzieckiem

stoi w łódce
inne niż ja
wznosi ramiona
nie ku mnie -
ląd jest po drugiej stronie

Widzę jedynie skraj tej łodzi
i ten od zawsze znany
lekki
obrót głowy

WYSPA ŚWIATŁA

Mój cień najbardziej
wąski samotny
pośród zmarłych

Na wyspie światła
bezdomny
bezpański

Być może
plejady
może
pojedynczo
może
między nimi
na nowo
zostaniemy wysiani

Jako drzewa
będziemy łagodniejsi

Być może
jako drzewa

ODWRÓT

Zapraszam te słowa z powrotem
do mnie
zwabiam me wszystkie słowa
bezsilne

Gromadzę obrazy
pejzaże schodzą się ku mnie
drzewa ludzie

Nic nie jest odległe
wszystko się gromadzi
tak wielka jasność

Ja cząstka wszystkiego
powracam ze wszystkim
z powrotem ku sobie
zamykam się
i idę dalej
z kwitnącej jasności
ku zieleni złotu błękitowi
w bezpamięć

Tłum.: Leszek Szaruga

Hilde Domin (1909-2006) poetka niemiecka, w 1932 roku, w związku z nasilającym się antysemityzmem nazistowskich Niemiec, wyemigrowała do Włoch, później na Dominikanę. Do ojczyzny wróciła w roku 1954

Tomasz Witkowski

Dróżnik

W chłodzie stali przyciśniętej do skroni ogniskowało się całe przerażenie i nadzieja. Rosnący huk mógł się już tylko zakończyć eksplozją i ciszą. Nagle poczuł, że coś, niby ogromne silne zwierzę, chwyta go za ubranie i gwałtownie szarpie do siebie. Głowa zabolała spadając na kamienie. W następnej sekundzie przetoczył się oczekiwany z napięciem huk – bez eksplozji. Osiągnąwszy, niemożliwy zdawałoby się do zniesienia, punkt przeszedł w gwałtowne decrescendo oddalając się niczym wspomnienie.

Leżał oszołomiony na nasypie, z rozdartej skóry skroni i policzka sączyła się ciepła, lepka krew. Kątem oka dostrzegł za sobą zwalistą sylwetkę sapiącego z wysiłku i zdenerwowania mężczyzny.

- Wstawaj! – warknął ze złością. – Idziemy!

- Gdzie?

- Gdzie? A co to ciebie kurwa teraz obchodzi? Czasu nie masz? Pośpieszny do Szklarskiej i tak już odjechał. Tym razem się spóźniłeś.

- Nie spóźniłbym się, gdybyś się nie wpieprzał w nie swoje sprawy. Anioł stróż się znalazł! Medalu i tak ci za to nikt nie da, ani podwyżki…

- Za to ja mogę dać ci w tę gębę, którą tak kłapiesz, a która już miała rozmazana obsychać na torach i podwoziu lokomotywy. I tak chciałeś się jej pozbyć, więc należy do mnie. - Idziemy! – zakończył stanowczo.

Mężczyzna podniósł się z nasypu obcierając rękawem pokrwawioną twarz, którą wykrzywił na moment grymas bólu. Jego wybawca, ubrany w mundur kolejarza upewnił się, że tamten jest gotów i ruszył zdecydowanym krokiem przed siebie. Za sobą słyszał szuranie kroków tamtego. Po paru minutach doszli do budki dróżnika i weszli do środka.

- Cześć Romek!

- Cześć! A kogo to z sobą przyprowadziłeś? – zapytał mężczyzna siedzący w zalanym jarzeniowo-trupim światłem pomieszczeniu.

- Aaa, znalazłem śmiecia na torach…

- Czekał na pośpieszny do Szklarskiej?

- Czekał, ale się nie doczekał.

- Mam zawiadomić policję?

- Nie, sam się tym zajmę. Mam na to dość czasu, osobowy do Częstochowy dopiero za dwie godziny. A ty leć do domu, bo i tak późno, i znowu twoja będzie ci głowę suszyć, że za babami się oglądasz, zamiast z roboty prosto do domu na kolację gonić – roześmiał się.

- Dobra, no to miłej zabawy i do jutra! – rzucił Romek zakładając marynarkę munduru i zarzucając torbę na ramię.

- Policję! – prychnął pogardliwie niedoszły samobójca, kiedy Roman zamknął drzwi za sobą. – Wy i te wasze śmieszne mundurki, mandaty, raporty! Po co się wpierdalacie w nie swoje życie? Kto wam do tego dał prawo?

Dróżnik niewzruszony krzątał się po swoim małym obejściu. Rozpakował torbę, powiesił skrupulatnie marynarkę na wieszaku, podsunął tamtemu krzesło.

- A może jeszcze chcesz się zasłużyć swojemu zwyrodniałemu bogu, któremu jęki cierpiących muszą sprawiać chyba rozkosz, bo cały czas kombinuje, jakie bardziej wymyślne udręki zesłać na ludzi? – kontynuował samobójca coraz bardziej pobudzony.

Nadal milcząc, dróżnik podszedł do schowka z miotłami i środkami czystości, otworzył go i wyciągnął z wnętrza kilka zwojów mocnego sznura. Podszedł z nim do ciągle sarkającego samobójcy – Masz! – warknął przez zaciśnięte zęby i podsunął mu sznur do twarzy. – Trzymaj!

Tamten zamilkł z przestrachu, cofnął się, ale chwycił zwoje oburącz.

- Do następnego pociągu mam prawie dwie godziny. Tu za budką jest las – mówił stanowczo, pewnie, z pasją. – Sam sprawdzę, czy wybrałeś odpowiednie drzewo i czy dobrze zawiązałeś pętlę. Nie odetnę cię. Poczekam, a potem zawiadomię policję i prokuraturę. Uwiniemy się z tym przed osobowym do Częstochowy. Będziesz miał to, czego chcesz. Dalej!

Mężczyźni milczeli dłuższą chwilę w bezruchu patrząc sobie w oczy. Samobójca z trzymanymi oburącz zwojami liny dotykającej jego twarzy, przyciśnięty do oparcia krzesła, z półotwartymi ustami, dróżnik stojący naprzeciw niego w pozie wyczekiwania.

- Po to to zrobiłeś? – wyszeptał samobójca. – Po to ściągnąłeś mnie z torów, żeby pół godziny później nakłaniać mnie do powieszenia się?

- Nie ma żadnego znaczenia po co to zrobiłem. Od pół godziny kwękasz, że wpieprzono się w twoje sprawy, że ci coś uniemożliwiono. Chcę ci pomóc dokończyć to, co zacząłeś.

- To dlaczego nie zostawiłeś mnie tam, na torach?

- Żebyś ty gnojku nie wpieprzył się ludziom ze swoimi krwawymi strzępkami w ich sprawy! Żeby maszynista, który prowadził ten skład, normalnie spał przez kilka kolejnych tygodni i odzywał się do żony i dzieci przy posiłkach, zamiast szukać butelki, żeby policjanci w śmiesznych mundurkach nie musieli powstrzymując mdłości zastanawiać się, czy to co zeskrobali z podwozia lokomotywy, to już cały ty, żeby gapie, którzy wylegną z tego pociągu nie zarzygali sobie butów po zobaczeniu co z ciebie zostało, żeby dziewczyna, która jechała tym pociągiem zdążyła na przesiadkę i spotkała się ze swoim chłopakiem, żeby paru zmęczonych, wracających z pracy ludzi dotarło na kolację i nie opowiadało podczas niej tylko o tobie, żeby grupa licealistów z plecakami zmierzających w Karkonosze nie gadała przez kolejne dni wyłącznie o twoich krwawych resztkach, tylko cieszyła się z tego po co tam jadą, a nawet dlatego, żeby pracownicy, którzy czyszczą lokomotywy nie musieli przez kilka dni czuć smrodu rozkładających się resztek twojego mózgu i krwi, których nie da się usunąć, dopóki się całkiem nie rozłożą, bo z taką siłą wbijają się w najdrobniejsze szczeliny w podwoziu. To mało gwiazdorze? Czy mam wyliczać dalej?

Samobójca milczał ciągle siedząc w swojej nienaturalnej pozycji. Po chwili dróżnik podjął – Mam nadzieję, że to dość powodów, aby przez wzgląd na innych nieco zmodyfikować swoje plany i dokończyć to, co zacząłeś w bardziej cywilizowany i higieniczny sposób. To co, idziemy? – zapytał znowu stanowczo.

- I przez ten cały czas ani chwili nie pomyślałeś o mnie?

- A ty pomyślałeś o mnie? Ty się nie liczysz, tak długo, jak długo ważniejszy jest cały ten show, który wokół siebie zaplanowałeś.

- Nie planowałem żadnego show...

- Brawo, to na dodatek jesteś głupi! Pewnie też nie wziąłeś pod uwagę tego, jak się poczują twoi rodzice czy bliscy, jeśli ich masz?

- A jakie to ma znaczenie? Czy oni wszyscy są w stanie zrozumieć jak człowiekowi może bardzo nie chcieć się żyć? Jak to życie może przenikliwie boleć dzień po dniu, kiedy człowiek budzi się i nie znajduje żadnego powodu, żeby zdjąć oczy z sufitu, żeby się podnieść? Żadnego! A jeśli jakakolwiek myśli przychodzi do głowy, to jak to wszystko skończyć, przerwać raz na zawsze. Płaczesz z bólu i bezsilności, a oni w tym czasie piją poranną kawę, czytają komentarze na fejsbuku, ruszają w świat, który rozumieją, który ich wypełnia. Słyszysz co i rusz, jak umierają wartościowi ludzie, gdy tymczasem tacy jak ja – całkowite zdrowe, nieprzydatne zero - leży bezczynnie zabierając innym powietrze. Miałeś rację, kiedy powiedziałeś swojemu kumplowi, że znalazłeś śmiecia na torach. Trudno to lepiej ująć. Śmiecia, który, kiedy w końcu podjął jakąś decyzję nawet nie wziął pod uwagę, że zachlapie innym buty. Bliscy… Dla nich to wszystko byłoby tylko epizodem, który puściliby szybko w niepamięć.

- Albo i nie. Skąd ty coś możesz o tym wiedzieć? Bo nie urządzają z tego powodu widowiska? Jak myślisz, ile egzekucji musi wykonać normalny człowiek na takich jak ty, żeby stracić ochotę do życia? A może ci się wydaje, że wszystko to sobie po nas tak normalnie spływa? Przychodzimy, do domu, bierzemy prysznic, wypijamy drinka i zapadamy w zdrowy sen?

Samobójca wpatrywał się w dróżnika nic nie mówiąc, jakby w oczekiwaniu na ciąg dalszy. Po chwili wyszeptał…

- Ty…?

– Mnie wystarczyło trzynastu. Aż trzynastu i tylko trzynastu. – odpowiedział po chwili zamyślenia dróżnik siadając w końcu na krześle, bokiem do tamtego.. – Nawet mniej, bo cztery to były wypadki, więc z sumie dziewięciu. – Zamilkł na chwilę. - Pierwszy raz nie jest taki znowu straszny. Przestrzegają cię przed tym podczas szkoleń, że to może się zdarzyć, że najczęściej i tak nic nie jesteśmy w stanie zrobić, więc nie ruszyło mnie to za mocno. Ale z takich zdarzeń pamiętam wszystko. Pogodę, godzinę, numer pociągu, swój ubiór, jego ubiór, jego ostatni wyraz twarzy, swoje pierwsze słowa, jego ostatni gest. Pierwszy mój raz był na moście w Czernicy. Na liczniku miałem 90. Zdążyłem tylko zobaczyć, że facet wychodzi zza filaru i kładzie się na torach. Dwie sekundy, może trzy i było po wszystkim. Ale na drugi dzień i tak nie poszedłem do pracy. W takiej sytuacji należy się kilka dni wolnego, więc wziąłem. Snułem się po domu, myśli wracały.

Zadzwonił telefon. Dróżnik odebrał i rozmawiał chwilę ustalając jakieś szczegóły techniczne wymagające sprawdzenia. Wstał, zarzucił marynarkę, założył czapkę, wziął latarkę i wyszedł na chwilę. Kiedy wrócił po kilku minutach, samobójca tkwił w tej samej pozycji, osunął się jedynie nieco w krześle, był mniej napięty, sznur trzymał

teraz na wysokości piersi. Dróżnik zakrzątnął się wokół elektrycznego czajnika, po chwili pomieszczenie wypełnił aromat zalewanej wrzątkiem kawy. Posłodził swój kubek, po czym podsunął bez słowa drugi kubek i słoik z cukrem w pobliże swojego gościa. Tamten spojrzał mechanicznie na parujący napój, ale nie wykonał żadnego ruchu.

- Sartre powiedział kiedyś, że samobójstwo że to jedyny prawdziwy problem filozoficzny. – zaczął z wolna.

- Czytałeś Sartra? – samobójca wyrwał się z odrętwienia.

Dróżnik roześmiał się. – Kiedy zaczynałem pracę nie potrafiłbym powtórzyć jego nazwiska, ale kiedy stajesz się egzekutorem, zaczynasz myśleć, zadajesz sobie pytania dlaczego to robią? Po co? Próbujesz szukać gdzie popadnie, ale gdzie popadnie, to jest najczęściej tylko twoja głowa, w której jest trochę wiedzy technicznej i nic na temat zepsutych obwodów w mózgu. Wiedziałem lepiej co się dzieje w tej części lokomotywy, w której pracują urządzenia pod napięciem 3000 wolt, do której wejście może zamienić cię w parę sekund w dymiący skwarek, niż co się dzieje we łbie kogoś takiego jak ty. Więc zacząłem czytać…

- Pomogło?

- Kpisz?

- Nie, pytam.

- A tobie pomogło czytanie o tym?

- Nie.

- No właśnie. Większość tej pisaniny, to rojenia papierowych ludzi, którzy ze śmiercią mieli dużo do czynienia ale na kartkach innych książek, albo tych, którzy znają ją ze statystyk za pomocą których zdobywają kolejne stopnie naukowe. Epatują otoczenie rzekomą głębią swoich przemyśleń. W gruncie rzeczy nie wiedzą o śmierci samobójczej nic. Być może, gdyby przyszło im zabić kilku takich jak ty, nabraliby nieco pokory? A może nie? Ale Sartre miał rację, może jeszcze paru. – Wypił trochę kawy ze swojego kubka, po czym wskazał wzrokiem kubek swojego gościa rzucając krótkie – Pij. Ale tamten spojrzał tylko mechanicznie podążając za wzrokiem dróżnika nie wykonując żadnego gestu. Wydawał się teraz tylko bardziej skulony na swoim krześle. Jego policzek i skroń, na których zaschła rozmazana plama krwi wyglądały dość makabrycznie, choć w gruncie rzeczy nie były to jakieś poważne rany.

- Mogłem być twoim dziesiątym przypadkiem – mruknął.

- Jedenastym.

Samobójca spojrzał na niego zdziwiony.

- Dziesiątego miałem już tutaj, jako dróżnik. W zeszłym roku. Ale to było już po tym wszystkim…

- Po wszystkim?

- Tak, bo widzisz, kiedy wbrew sobie kolekcjonujesz te wszystkie twarze każda kolejna żłobi ci w mózgu coraz głębiej te pytania, które kołaczą się po pierwszym, drugim, trzecim razie. Szukasz odpowiedzi w książkach, w alkoholu. Przychodzisz do pracy i powoli tracisz radość z tego co zwykle, bo tę codzienność wyparły z głowy żłobione w niej pytania. Jak można się cieszyć tym, że potężny rozpędzony skład, którym kierujesz pożera kolejne kilometry, że maszyna jest posłuszna ruchom twoich palców, a ty wsłuchujesz się w dźwięk jaki wydaje, jakbyś słuchał bicia serca własnego dziecka, że za chwilę przetniesz Wartę, a tam powita cię wstęga niemrawo falującej nad taflą wody mgły i już za chwilę tuż nad korony drzew, zdąży wychylić się wschodzące słońce? Że może do lotu zerwą się ptaki? Że miną kolejne minuty, będą pagórki, lasy, jeziora. Zakręty znasz na pamięć. Wiesz, że za kilometr zwolnisz, że będzie ostro w lewo, ale później otworzy się przed tobą tak długa prosta jak pas startowy dla największych samolotów, na którym rozpędzisz swój skład. Jak, jeśli w każdej chwili może pojawić się kolejna twarz, która przypomni ci i utrwali te palące z bólu pytania? Być może jeszcze w ostatniej chwili, nie wiadomo po co, przeżegna się? To tak, jakby dziecku na drodze do szkoły położyć martwego ptaszka, rozjechanego pieska, powieszonego kotka i dziwić się, że nie przychodzi do szkoły radosne. – zamilkł na dłuższą chwilę. Jego gość nie poruszał się.

- Co to znaczy, „po tym wszystkim"?

- Co?

- Powiedziałeś, że dziesiątego miałeś tutaj, na torach, ale że było to już po tym wszystkim…

- Ach, tak… - dróżnik zawahał się, spojrzał na tamtego, jakby zastanawiał się czy opowiadanie tego wszystkiego ma jakikolwiek sens. – To długa historia, zabierze mnóstwo czasu.

- Mam go dużo więcej niż spodziewałem się mieć jeszcze godzinę temu. Pośpieszny do Szklarskiej już dawno odjechał – mówiąc to, ostrożnie położył pętlę na stole.

- Koledzy maszyniści różnie sobie radzą z takimi sytuacjami – zaczął dróżnik beznamiętnie, jakby zamierzał wygłosić pogadankę. – Część z nich nie bierze nawet wolnego. Po zdarzeniu nie wychodzą nawet z lokomotywy – nie muszą, wszystko załatwia kierownik pociągu. Kiedy prokuratura skończy swoje czynności, ruszają w zaplanowaną drogę. Potrafią pozostawić to za sobą. Innych zaczyna gryźć robak dopiero po kilku razach. Ale zdecydowana większość dźwiga to w sobie, przynosi ze sobą do domu, przeżuwa, sięga po alkohol, żeby lepiej to strawić. A przytrafia się to każdemu. Poza początkującymi maszynistami, nie znam ani jednego przypadku, żeby ktoś był czysty. Największy szczęściarz, jakiego spotkałem ma tylko trzy trafienia po kilkunastu latach pracy. Rekordzista dziewiętnastu. Część z tych egzekucji, to wypadki. Zabrzmi to bezdusznie, ale łatwiej uporać się z tym, że właśnie przez przypadek zgładziliśmy niewinne dziecko, niż że pomogliśmy w zaplanowanej egzekucji kogoś takiego jak ty. – Zamilkł na chwilę, po czym kontynuował gdzieś z głębi tego zamyślenia odtwarzając obrazy pamięci. - Prowadziłem skład z Warszawy do Częstochowy. Na zegarze minuta przed 16. Jeszcze dwa zakręty i zaraz Piotrków. W radiostacji usłyszałem, że towarowy z przeciwka informuje dyżurnego ruchu „- Dzieci na torach, poślijcie SOK-istów!" Wyjście z zakrętu, idealnie długa prosta. Minuta po 16, w oddali, jakieś 1,5 kilometra od pociągu - sylwetki. Ktoś zbiega z niewysokiego nasypu, schyla się, ucieka. Ktoś wbiega, ucieka. I znów, i znów. Na liczniku 120. Trąbię. Tory opustoszały. Jestem już bardzo blisko, gdy nagle na nasyp znów wbiega dziecko. Kładzie na torach patyczki i staje na szynie. Sygnał baczność, przeraźliwy ryk sygnału. Chłopiec patrzy w stronę pociągu. Zaczyna przebierać nóżkami, jakby chciał pokazać: zaraz ucieknę, chwila, daj mi jeszcze sekundę. W końcu chce czmychnąć, ale się potyka. Lewą nogą podcina prawą. Upada równolegle do toru. Na zewnątrz, ale jeszcze na podkładach. Włączam hamowanie nagłe, choć wiem, że przy tej prędkości, że nie ma żadnych szans na zatrzymanie. Siedzę za nastawnikiem i czekam. Nic więcej się nie da zrobić. Widziałem, jak na niego najeżdżam. Na nasypie stała piątka innych dzieci. Przeleciałem nad tym chłopcem, lokomotywą go nawet nie drasnąłem. Dziecko uniosło jednak główkę, a jeden z wagonów - dokładnie podpora, która trzyma sprężynę na wagonie… Zatrzymałem się kilkaset metrów dalej, otworzyłem okno. Mimo tej odległości przeszył mnie skowyt tych pozostałych dzieci z nasypu. Za chwilę przy lokomotywie stanęli rodzice. Kiedy zobaczyli co się dzieje wypuścili z rąk kosze pełne ziemniaków i prosto z pola pognali po zaprzeczenie najczarniejszej wieści, a kiedy jej nie otrzymali, matka zaczęła wrzeszczeć: „- Coś pan narobił! Ja mu kupiłam tyle zeszytów! Długopisów! Piórnik do szkoły! Całą wyprawkę! Przecież on miał iść dopiero do pierwszej klasy!" A do tego cała paleta przekleństw, gama jęków w amoku, szaleństwo w oczach. Gdyby nie stalowy uścisk męża, kobieta byłaby w stanie poruszyć swoją furią stojący w tym polu pociąg. Prokurator zjawił się w kilka chwil, czynności przeprowadził jeszcze szybciej. Po 27 minutach można było jechać dalej, ale i tak pojechałem już jako pasażer. Oddałem stery. Pewnie, że do dzisiaj mi się to czasem śni, ale nie zostawia żadnych pytań. Zrobiłem co mogłem w ramach obowiązujących praw fizyki, przepisów i procedur. Nie dało się zrobić więcej. Trudne pytania zostały po stronie tych ludzi z nasypu – rodziców, którzy będą sobie je rok po roku zadawali, dzieciaków, które uczestniczyły w tej zabawie, a które będą musiały z tymi pytaniami dorastać. Tacy jak ty nas zostawiają ze swoimi pytaniami, od których sami uciekli. Wciskają nam je w mózg, tak, jak wasze mózgi wciskają się w szczeliny podwozia. Nie, gorzej, bo te resztki w końcu się rozłożą, a pytania jedynie nabrzmiewają.

- A może te pytania tkwią tam od momentu, kiedy człowiek zaczyna zastanawiać się nad życiem, śmiercią i sensem tego wszystkiego, tylko niektórzy lepiej radzą sobie z zamiataniem ich pod dywan? Może to twoje oskarżenie jest zupełnie jałowym szukaniem kozła ofiarnego, który złożony w ofierze w cudowny sposób oczyści twój mózg z tych bolesnych pypci, które tam tkwią? Może szukasz po prostu pudru, który przypudruje tę otchłań, w której żyjemy, lukru, który posłodzi po wierzchu cierpienie, na które zostaliśmy skazani w momencie urodzenia?

Dróżnik popatrzył na swojego gościa z uwagą. – Może. Tylko skąd pewność, że musimy swój mózg wyczyścić z tych wszystkich bolesnych pypci, które aż tak bardzo nie uwierają? Jeśli mam brodawkę na środkowym palcu lewej nogi, która mnie obciera i uwiera czasami, to nie ściągam bez przerwy buta, skarpetki i nie zastanawiam się co z tym zrobić, nie próbuję się ciąć, tylko z tym jakoś żyję.

- Aż brodawek będzie tyle, że nie będziesz mógł już chodzić!

- A skąd ta pewność? U większości ludzi ani brodawki, ani myśli samobójcze nie pojawiają się w ilościach uniemożliwiających im normalne funkcjonowanie.

- I przez całe życie nawet nie dostrzegą tego najważniejszego problemu filozoficznego, o którym wspomniałeś…

- Ale czy muszą? – dróżnik podniósł głos.

- Nie wiem. Przecież ziarno samobójstwa tkwi w samej świadomości własnej śmierci. Każdy musi się z tą myślą zmierzyć. Może na tym polega istota człowieczeństwa, że potrafimy stawić czoło największym problemom egzystencjalnym.

- Stawić czoło, czy uciec?

- Każda decyzja i jej realizacja jest rozwiązaniem dylematu. Tylko nurzanie się w nijakości, czy to tej polukrowanej, czy to takiej nędznej i mizernej, jak moja, jest ucieczką.

- A może istotą człowieczeństwa jest budować, rodzić dzieci, bawić się, tworzyć →

cywilizację, kulturę, rozwijać się nie nurzając się w tym całym filozoficzno-egzystencjalnym sosie? Może to, co ty nazywasz istotą człowieczeństwa, jest defektem?

- Jeśli już, to stałym błędem oprogramowania, wpisanym do programu życia.

- Odprawię ten osobowy. – Dróżnik ubrał się, wziął latarkę i wyszedł.

Samobójca siedział chwilę po jego wyjściu, po czym chwycił kubek z wystygłą już dawno kawą i upił kilka łyków. Poprawił się nieco na krześle. Zza okna dał się słyszeć odgłos zamykanych rogatek, a za kilka minut stukot nadciągającego pociągu, który przez uchylone drzwi włoczył się brutalnie do budki dróżniczej odegrał swoje fortissimo i zgasł w oddalającym się decrescendo.

- Byłeś kiedyś zakochany? – spytał dróżnik rozbierając się po powrocie. Zza niezamkniętych drzwi dobiegał cykot cykad, jakby nadal przedrzeźniały dźwięk pociągu, który dawno już wybrzmiał.

- Tak…

- To było szczere uczucie?

- Szczere? Na tyle, na ile szczery może być stan spowodowany wyrzutem do centralnego układu nerwowego hormonów i neuroprzekaźników, które normalnie w takim stężeniu i proporcjach w nim nie występują.

- Błąd oprogramowania?

- Tak, choć nie z punktu widzenia ewolucji. Inaczej byśmy się nie rozmnażali.

- Ale nie starasz się w tym konkretnym błędzie szukać istoty człowieczeństwa?

- Przestań! – przez twarz samobójcy po raz pierwszy przemknęło coś w rodzaju uśmiechu. – Cała ludzkość to robi od paru tysięcy lat, i powtarza do obrzydzenia te same motywy!

- Ciebie to brzydzi?

- Tak. Szczególnie ta uprzykrzona nachalność, z którą się obnoszą i ta mdląca obrzydliwa słodycz, którą wszystko polewają.

- Ale nie dajesz im takiego samego prawa do obrzydzenia, kiedy mają do czynienia z rozmemłanym facetem, tkwiącym w swoim egzystencjalnym błocku, którym obsesyjnie ze wstrętem marze sobie gębę, po to, żeby na końcu ochlapać ich jeszcze resztkami swojego mózgu i krwią? Bo to jest istota człowieczeństwa?

Samobójca milczał przez dłuższą chwilę, jakby ożywienie z jakim wymówił kilka poprzednich zdań odebrały mu resztki jakiejkolwiek energii i ponownie zapatrzył się tępo przed siebie.

- Przerwałeś swoją opowieść o egzekucjach. – przypomniał.

- O egzekucjach… Tak, choć bardziej o pytaniach, jakie one pozostawiają niż o nich samych. Będzin-Ksawer to przystanek osobowy, z jednej strony tory, z drugiej tory. Wracałem ekspresem „Beskidy" z Bielska-Białej do Warszawy. Na liczniku miałem 90 na godzinę. Na peronie siedziało czterech facetów, rozmawiali, żartowali. W pewnym momencie jeden z nich wstał, zszedł na tory i położył się na lewej szynie, tuż przed pociągiem. Nie zdążyłem zareagować. Rozsmarowałem go na tej stacji, tak, jak sobie wymyślił. Podczas czynności prokuratorskich pytali potem tych facetów. „-Byliście trzeźwi? O czym gadaliście? – Panie kochany, o niczym znaczącym! O dupie Maryni!" Miał mi ten Będzin tylko mignąć z lewej strony. Został na całe życie, a z nim pytanie, dlaczego? Dlaczego on? Czy to jest taka sama czynność jak wytarcie rąk w chusteczkę po skończeniu jedzenia? W tych wszystkich egzekucjach nie ma punktów wspólnych i powtarzalnych. Zawsze zachowują się inaczej. Wchodzą na tory nagle, idą tyłem, idą przodem, stają, klękają, kładą się, narzucą na głowę kaptur, albo tuż przed uderzeniem zdejmują kaptur. Pełen repertuar. Po zatrzymaniu musimy poinformować, na którym kilometrze stoimy. Na przykład słupek hektokilometrowy linii: 158 i pod spodem 4, czyli na kilometrze 158, 400 metrów. Na semaforze cyfry pokazują: 1584. Niby proste, ale w takiej sytuacji patrzysz i nie wiesz, co powiedzieć dyżurnemu: 15, 84 czy 1584, czy 158 czterysta. Nie wiesz, bo w mózgu nabrzmiewają upchane tam pytania i nie potrafisz nawet liczyć. Moment, w którym oni przeciągają cię do swojego królestwa śmierci, to ten, kiedy już nawet nie masz żadnych wątpliwości, że to najważniejszy problem filozoficzny człowieka i czy w ogóle się nim zajmować. Dużo ważniejsze staje się pytanie – dlaczego inni nie robią tego samego? Jeśli to tak łatwe, jak odejść na chwilę od grupy kolegów, z którymi się rozmawia, jak zmiąć i wyrzucić zużytą jednorazową chusteczkę, to dlaczego tego nie zrobić?

- Wessali cię do tego królestwa?

- Zanim to się stało próbowano mnie z tego wyrwać. W pracy zauważono, że nie wszystko ze mną w porządku. Wracałem do domu, milczałem, straciłem zainteresowanie światem moich dzieci, mojej rodziny, myślami byłem tylko po tamtej stronie. Małżeństwo rozsypało się bez żadnego huku. Po prostu, jakby wiatr zdmuchiwał z tego pięknego zamku codziennie po parę ziaren piasku, aż w końcu zostałem sam z tą garścią piachu, którą zdołałem uchwycić w dłoni. Żona wyprowadziła się z dziećmi do swojej matki. Obyło się nawet bez wielkich awantur. Wtedy już nawet nie próbowałem się kryć z piciem. Ale picie nie rozwiązywało żadnych problemów, nie podpowiadało odpowiedzi na żadne z pytań. Jedynie bardziej mąciło rozum, otumaniało. W firmie postanowili coś z tym zrobić. Nie mogli pozwolić, żeby tak rozbity gość jak ja pracował w tak odpowiedzialnym miejscu. Zasugerowali pomoc psychologa. Spróbowałem. Ale to było kompletne nieporozumienie. Dziewczyna miła, ale jak można pomóc komuś pytając jak się czuje z tym, że rozjechał kogoś na torach? Proponowałem, żeby obejrzała kilka filmików z tych zdarzeń. Wiesz, teraz na wszystkich lokomotywach instaluje się kamery, więc kilka sekund takiego filmu więcej ci powie niż ględzenie o tym godzinami. Ale ona nigdy się na to nie zdecydowała. Pytała co to dla mnie znaczy. A co może znaczyć dla człowieka fakt, że zabił kolejnego człowieka? Co miałem jej powiedzieć? Że egzekutorzy, którzy zamieszkują w tej samej otchłani co wszyscy inni, widzą wszystko zupełnie inaczej, bo są egzekutorami? Że równie dobrze mogłaby zadać to pytanie katu? Różnica między nami jest jedynie taka, że on wybrał to co robi i w każdej chwili może z tego zrezygnować. Ja wyboru nie miałem w żadnym z moich przypadków. Te rozmowy to był jakiś niekończący się absurd, który pogłębiał wszystko. Jakakolwiek próba rozmowy o istocie samobójstwa, o śmierci kończyła się jej uwagami o moim myśleniu tunelowym. Więc po jakimś czasie skończyłem z tym. Potem jeszcze próbowałem z psychiatrą. Ten przynajmniej się nie wysilał. Po prostu przepisywał silne prochy. Pozwalały zapomnieć. Zmieszane z alkoholem dawały długie godziny wytchnienia. Ale mi wytchnienie nie wystarczało, jak chciałem poznać odpowiedź, a droga do jej uzyskania była tylko jedna…

- Zrobiłeś to?

- Tak. Odłożyłem sporą ilość tych prochów. Policzyłem sobie, że powinny wyprawić mnie w podróż ekspresem. Uporządkowałem swoje sprawy. Wybrałem sobotę, kiedy większość normalnych ludzi świętuje koniec tygodnia. Zrobiłem też zapas alkoholu, zamknąłem się w domu i w drogę…

- Źle policzyłeś?

- Nie, ale nie wziąłem pod uwagę, że kumpli nawiedzi nagła troska o moje samopoczucie. Romek, którego dzisiaj zmieniłem, spotkał się z innym maszynistą, wzięli flaszkę i postanowili wpaść do mnie, żeby mnie wyciągać z dołka. Przyszli za wcześnie, mój ekspres jeszcze nie nabrał prędkości, ale jednocześnie zbyt późno, żeby udało mnie się z niego wyciągnąć bez konsekwencji. Skończyło się paroma miesiącami w szpitalu i ciężkim trwałym uszkodzeniem wątroby. To wszystko. Banalna historia. Potem był już tylko ten dziesiąty trafiony nie przeze mnie, tu na torach i dzisiaj ty.

- Zrobisz to znowu?

- A czy istnieje sposób, aby zniknąć pewnie bez śladu, rozpłynąć się w nicości tak, żeby ani nie ochlapać nikomu butów, ani duszy? Czy jest dzicz, gdzie można skutecznie zaszyć się, jak ranne zwierzę, które chowa się by umrzeć w samotności i nie zostać nigdy odnalezionym? Czy jest taki sposób unicestwienia?

- Nie wiem.

- A ja wiem, że to, co wolno nam po sobie pozostawić, to tylko jeden znak zapytania. – Dróżnik podniósł się ciężko i zaczął przygotowywać do wyjścia. – Odprawię pospieszny do Warszawy.

Kiedy wyszedł, samobójca wstał, wziął sznur, podszedł do schowka z miotłami i środkami czystości, otworzył go i umieścił tam, skąd wyjął go dróżnik. Zamknął szafkę i wyszedł przez uchylone drzwi w przestrzeń, którą wypełniał już jazgot nadciągającego pociągu. Świtało.

Tomasz Witkowski

Erazm Felcyn

Janina Sokołowska

***

jeszcze tkwią we mnie biblijne opowieści
boję się wyrzucić spalić jak suche włosy
iskra światła drży. przebija się przez lód
mówię – miłość i nienawiść. tradycja przywiązanie

w szumie rzeczywistości szukałam tej jedynej Prawdy
i kiedy myślałam że to już poza mną
jakiś zbłąkany sen jak list z tamtego świata
znów leżał obok. ostre szkło kaleczyło do rany

to On – powtarzała matka. córko módl się
ona zawsze wie. słowa brzmią jak przestroga

siadam naprzeciw. mama kroi cytrynę
żółte skórki czerwony nóż. nic nie rzuca cienia

Posłaniec

czas podły zszedł z gór by wyrzec kilka słów
na marne. nazwać świat plugawą zarazą
jak zgniły oddech kalekiego cyklopa

Bóg przysłał tu czarnego posłańca
w dzień i noc odwiedza domy parki ulice
bo ludzie to potok błędów i zła
dlatego muszą przemijać

(mama twierdzi że Jezus ludzi odkupił
niosąc przez wieki spróchniały krzyż
ale będąc człowiekiem kogo miałby odkupić
jak nie siebie)

znów bluźnię słysząc jęk i płacz świata
pójdę do piekła – tak mówią
gdzie jest piekło

Punkt za oknem

to mrok odbija się od białej ściany
kurczy się dzień jakby odległość dnia od nocy
nie była prawdziwa. gdy toczy się walka
i każdy płomyk życia trzeba wypełnić tlenem

wtedy zobaczyłam ten święty obrazek:
Otwarte Serce Jezusa. obserwuje plamkę światła
chce wiedzieć jak się sposobisz do tej podróży
czy da się coś ocalić albo czegoś zażądać

i widzę strach tak wielki jak niebo z oknami
na przestrzał którego w żaden sposób
nie zdołasz ukryć
patrzę w punkt za oknem. powtarzam sobie:
Bóg przecież jest. wbija nóż w serce

Zła wiadomość

jest jak telegram od Neptuna albo kogoś
podobnego do Morskiego Węża
wbite ostrza tkwią w sercu niczym pleśń
przecież boskie anioły nie przynoszą złych wieści

nagle wszystko traci dawne kontury
bo czy można było cię zatrzymać kiedy ktoś
wołał głosem nieznającym sprzeciwu. aż trudno
odgadnąć tę zaszyfrowaną miłość do ludzi

biały cień ptaka mignął przez pręgi okna
poślizgnął na tafli lodu. bałam się pomyśleć
że jest tylko nicością
nie dostrzegłam na śniegu śladów jego odbicia

Jeszcze jedna opowieść

teraz oddychaj. z biegiem czasu deszcz minie
– mówiła. chodziłyśmy alejką wśród drzew wygiętych
ku ziemi. cocker- spaniel plątał się pod nogami
jakby liczył jej odchodzące kroki

to pamięć o tobie kochana Siostro i Przyjaciółko
śmiech płacz. zabijanie trumny zakryte lustra
to rozmyślanie o tym który na szczycie góry
połyka płatki śniegu aż usta stopy świecą bielą
o nikim lub niczym który jest wszystkim

lecz boska aureola rozpryskuje się w strzępy
gdy w realistycznym mieście domu ciebie nie ma
a my uśmiechamy się i milczymy jakby wszystko
było normalnie. nawet ta ciemna miłość Boga

tamte ścieżki puste. grób kamień zarasta mchem
niedaleko też zakopany pies

Zofia Maria Smalewska

OPĘTANIE

Otwieram stary sztambuch mojej babki Rozalii. Przeleżał niezauważony na strychu na dnie w starym kufrze z niepotrzebnymi gratami przez kilkadziesiąt lat. Nic dziwnego zatem, że dla mojego nosa uderzający zapach stęchlizny nie jest przyjemny. Może taki zapach ma starość, a może śmierć?... – To pierwsze myśli, jakie cisną się do głowy. Kolejna myśl jest bardziej precyzyjna. Gdy dostrzegam wyblakłe odręczne pismo na kruchych i pożółkłych jego kartkach, żeby zaspokoić swoją ciekawość, muszę założyć higieniczną maseczkę.

Zatrzymuję się na zapiskach z 1918 roku, nad którymi tkwi podkreślony grubo tytuł: „Czas zarazy". Szybko orientuję się, że dotyczy on niezwykle groźnej epidemii hiszpanki, która dziesiątkując ludzi w całej Europie, dociera również do Polski.

W czasie jednego tygodnia moja babcia traci i żegna swojego pierwszego męża oraz dwóch synów Kazika i Janka.

Młody Jakub, który terminował w kuźni u jej męża, po powrocie z pogrzebu pana Kamińskiego, podejmuje szybką decyzję o jej zamknięciu na okres zarazy i postanawia uciec w bezpieczniejsze miejsce. Oczekuje, iż będzie nim rodzinny dom, gdzie żyje jeszcze jego matka.

Jakub w pośpiechu sposobi się do drogi, zabierając jedynie prowiant i kilka najniezbędniejszych do przeżycia rzeczy osobistych. Czeka go trudna wędrówka przez góry, podczas której przed dotarciem do domu swojej matki, zamierza odwiedzić mieszkającą opodal wsi rodzinę Baranowskich. Gdy rok wcześniej Jakub opuszczał samotną i schorowaną matkę, to właśnie ich prosił, by mieli na nią baczenie, a w razie szczególnych okoliczności wysłali jako posłańca najmłodszego syna do kowala pana Kamińskiego w Lublinie.

W pamiętniku babcia Rozalia tak pisze: „Każda para zdrowych rąk dobra, aby narąbać drew, nanosić wody z odległego potoku. Każda pomoc złota warta, ale życia nie oszacujesz, zwłaszcza gdy zagrożone. Daj Jakubowi przeżyć Boże, i Matko Przenajświętsza i dajcie mu wrócić, gdy zaraza minie. Kuźnia bez niego teraz też umarła".

Moja babcia spakowała Jakubowi w węzełek kawał chleba, ser i kilka gotowanych jajek. Wydała mu też odzienie „już niepotrzebne po mężu nieboszczyku". I bladym świtem wędrowiec wyruszył w podróż do odległego Racewa, leżącego u podnóża góry porośniętej gęstym lasem.

Jakub miał przed sobą około 80 kilometrów drogi w podgórskim terenie. Drogi, na której z powodu zarazy raczej żadnej sposobnej podwózki spodziewać się nie mógł. Chłopi bali się, by nie przywlec zarazę z pobliskich miasteczek i w błahych sprawach ze wsi się nie ruszali. Może, jakby mokradła podeschły – Jakub pomyślał o kapryśnym strumieniu w połowie drogi – udałoby się zrobić kilka kilometrów skrótem, znaną ścieżką pomiędzy łąkami?

Zawodu kowala – wiadomo - byle kto nie wybierał. Jakub był młodzieńcem o potężnej wręcz posturze, a jego silne ramiona zdawały się zaprzeczać zagrożeniu z powodu jakiejś tam zagranicznej zarazy. Tak początkowo myśleli bliscy, ale i sąsiedzi pana Kamińskiego. A potem, jak się okazało, a przecież sam kowal też był chłopem na schwał, niejedno kowadło zapracował, nie jeden kruchy od zużycia lemiesz na nim połamał… Ani siła fizyczna, ani modlitwa jego kochającej go żony tragedii nie zapobiegły. Hiszpanka nie przebierała. Czasami jak kosa zbierająca trawy wycinała na swej drodze dokładnie wszystkich, a czasami, jak potężny śmiercionośny wir morowego powietrza, wyrywała dziury nawet w najsilniejszych dachach, powalała nawet najsilniejszych mieszkańców, nie szczędziła wcale dzieci.

Nie byłoby dalszego ciągu tej historii, gdyby Babcia Rozalia nie przeżyła zarazy hiszpanki. I gdyby nie jej skrupulatność w zapiskach odnalezionego sztambucha. I co równie ważne, gdybym nie przejrzała sztambucha dokładnie do końca. - Młody kowal Jakub porzucił kuźnię i koniec… Ale ślad po nim nie zaginął.

Niemniej dopiero ponad rok później do wdowy po kowalu panu Kamińskim zapukał inny młodzieniec. A był nim kuzyn Jakuba, Baranowski. Ten sam, który miał być posłańcem w sprawach wyjątkowej wagi do Jakuba, gdy ten praktykował w kuźni. Zapytał o możliwość podjęcia pracy, której wcześniej z powodu zarazy Jakub zaniechał. Zapytał, a ponieważ kuźnia nadal pozostawała bez kowala, pozostał. I przy okazji tę historię mojej babci do końca opowiedział.

Schodzące z nieboskłonu słońce wędrowało ku horyzontowi, by skryć się za ścianą leśnej gęstwiny. Jego ostatnie promienie przyjemnie ogrzewały plecy barczystego wędrowca, rzucając coraz dłuższy cień na drogę. Kolejna wąska ścieżka, której wypatrywał, by skrócić sobie drogę do rodzinnego domu, skręcała teraz na rozległe łąki, wiodła ich skrajem i dochodziła do wąskiego potoku bystro toczącego się z pobliskiego wzniesienia. Woda była w nim czysta, źródlana, zapewne i zdrowa. – Tak pomyślał, gdyż ludzie przecież różne rzeczy rozpowiadali o morowej zarazie, która nękała naród, siejąc śmierć wokół. Mówili, że roznoszą ją wiatry, źli i bezbożni ludzie, ale i woda, która spada z nieba wraz z burzowym deszczem.

Spragniony, ale i umęczony przebytą drogą Jakub przysiadł na napotkanym kamieniu, odłożył na bok niesiony tobołek i podszedł do potoku. Obmył dłonie i zaczerpnął w nie chłodnej i rzeźwiącej wody. Pił łapczywie, rozglądając się wokół.

Ostatnie promienie słońca kąpały się w strumieniu, połyskując złociście. Ech – pomyślał – życie takie jest piękne, taka cudna jest przyroda, a tak trudno człowiekowi połączyć swój ziemski los z jej kaprysami.

Zanim zupełnie się ściemni, powinienem dotrzeć do Baranowskich, a potem już tylko kilka szusów przez wieś i będę u matki.

Jeszcze tylko minąć kładkę z drągów starego spróchniałego buka i zbiec wąską ścieżką w stronę niedużego zagajnika. Rozmyślając o tym, jak się przywita z matką i razem napiją się gorącej herbaty z malin, spojrzał jeszcze raz na wodę i znieruchomiał. Jego oczy poraził jakiś dziwny blask, jaki powodowały ostatnie promienie słońca padające na wodę.

- O matko święta! A co tak błyszczy, w wodzie?

Jakub wskoczył na wystające omszałe głazy potoku i pochylił się nad zagłębieniem jednego z nich. Wsadził dłoń do lodowatej wody i delikatnie ujął w nią krawędź wystającego z dna naczynia.

- O Najświętsza Panienko! To jest… To ze złota! – omal nie wrzasnął ze zdumienia. -Wyciągnął delikatnie z wody puchar, w którym były monety, a że część z nich rozsypała się przy tym, starannie wydobywał je po kolei aż do ostatniej, oglądając przy tym uważnie i opłukując wodą. – Szczerozłoty puchar i… złote dukaty! Dużo złotych pieniędzy?! Nawet nie liczył ich, tylko zgarniał, osuszał w dłoniach i… oglądał. Gdy ochłonął wreszcie, policzył dukaty. Było ich piętnaście. Schował to wszystko do tobołka i z ciężkim sercem nie pojmującego całej tej sytuacji znalazcy, przerzucił go przez ramię.

Jakub długo zastanawiał się nad tym, co znalazł. Usiadł pod świerkiem i raz jeszcze rozłożył przed sobą znalezione przedmioty. Po policzkach spływały mu łzy. Nie wiedział: ten skarb należy teraz do niego? Kto go tam zostawił? Jak znalazł się w strumieniu? Co powinien z nim zrobić? Puchar zapewne święty, ale dukaty? Dukaty mógł przecież zarobić. Może teraz za nie urządzić sobie kuźnię… Poprawić swój los i los starej matki…

Jego euforia była tak wielka, że to się śmiał, to płakał. Popadł w jakieś dziwne szaleństwo, a następnie odrętwienie, które go całkowicie wyczerpało. Tak, że po dobrej godzinie padł jak rażony na zielony mech i przyciskając ze wszystkich sił do swojej piersi, niczym najukochańszą osobę, cenne znalezisko, zasnął. Trudno mu było się zorientować, ile tak spał w tym umęczeniu podróżą i uszczęśliwieniu ze znaleźnego bogactwa. Obudził go sen. Straszny sen.

Przyśniło mu się, że jego ręce ociekały krwią, z uporem wycierał je o mech, a one wciąż od nowa krwawiły.

Była noc, księżyc w pełni stał wysoko nad pobliskim jarem, zrobiło się chłodno. Jakub pozbierał się i ogarnął. Wokół panowała niezmącona niczym cisza. I tylko… w brzuchu głód mu dał znać o sobie niespokojnym pomrukiem. Był głodny. Zapas jedzenia, jaki dostał od mojej babki – wdowy po kowalu Kamińskim - dawno mu się skończył.

Przecież do domu tak blisko. Mógł już tam być…Dlaczego usnął?... Niepokój, ale i nieplanowany odpoczynek w podróży dodały mu sił. Ruszył w kierunku głównej drogi do Racewa. Biegł wąską dróżką po zboczu, aby pół godziny później dojrzeć w mroku nocy pierwsze zarysy domostw historycznej niegdyś, a tak bliskiej teraz jego sercu osady.

Jedynym pragnieniem, jakie teraz go gnało, była chęć jak najszybszego ujrzenia matki i pokazania, opowiedzenia jej o znalezisku.

...ale jego rodzinny dom całkowicie pogrążony był w mroku. I jakiś dziwny taki. W podwórzu nie było widać oznak życia, a i w oknach… wisiała tylko ciemność. Wystraszył się, jego serce ponownie opanował trwożny niepokój. Zamiast sprawdzić drzwi, zakołatać w nie, zamiast zastukać w okno sypialni matki, przysiadł na ganku na porzuconym tam zydlu i zastanawiał się: Budzić w taką głęboką noc, przerywać jej sen, czy poczekać do rana?

Porzucił swoje rzeczy na przyzbie i podszedł do szopy. Z trudem odnalazł w ciemności siekierę i przy poświacie księżyca zaczął rąbać drwa na starym, jak dom matki, pniaku. Pewnie matka usłyszy go i zbudzona wyjrzy przez okno, a potem otworzy drzwi domu i rozpostrze ramiona. – Wróciłeś synu?!

Nie miał jednak okazji ani przywitać się z matką, ani wyjawić jej swojej tajemnicy. I nie wypili wspólnie herbaty z malin. Jego dom był pusty, a matka… Jak dowiedział się wczesnym rankiem od Barańskich, odeszła na zawsze z tego świata miesiąc wcześniej, wraz z kilkunastoma innymi mieszkańcami wioski na tę straszną zarazę, przed którą on uciekał.

Nie mógł nawet odwiedzić jej grobu. Grób był dla wszystkich jeden, poza cmentarzem, na obrzeżach wsi. Wielki, długi, zalany gaszonym wapnem. I krzyż na nim był jeden. W grobie tym wraz ze swoimi wiernymi parafianami pochowany został również ksiądz proboszcz. – Taka była jego ostatnia wola, jaką wyjawił, zanim wyzionął ducha.

Dobity do granic psychicznej wytrzymałości tymi wiadomościami Jakub dowiedział się także od swojego wuja, że we wsi ludzie podczas zarazy bardzo się zmienili. Nasilający się strach i obawy o własne życie powodowały, że sąsiad bał się sąsiada, że trudno było o jakąkolwiek pomoc. Że wreszcie w okolicy nasiliły się bardzo kradzieże. I że… ciężko chory już proboszcz w obawie przed splądrowaniem kościoła postanowił kosztowności, w tym złoty krzyż, kielich na wino i inne insygnia ukryć gdzieś w bezpiecznym miejscu. Czy mu się to udało, nie wiadomo, bo znaleziono go w lesie nad potokiem martwego. Być może chorobą zmogła go w powrotnej drodze, gdyż kosztowności przy nim nie było.

Jakub pozostał w domu matki, przez długie zimowe miesiące prawie go nie opuszczając. Złoto znalezione w strumieniu zakopał w glinianym garncu koło starej jabłonki. Bał się ujawnić, że znalazł go w strumieniu, żeby nie być posądzonym przez złych ludzi o… jego kradzież, a może i zabójstwo księdza?...

Drastyczny sen, jaki mu się przyśnił podczas podróży, wracał do niego tak często, że nie potrafił o nim zapomnieć, że niebawem stał się jego obsesją.

Gdy udawał się na naukę kowalstwa do Kamińskich, w sąsiedniej wsi pozostawił upatrzoną wcześniej dziewczynę. Młodzi miłowali się i snuli wspólne plany na rychły ożenek. Jakub znał dobrze jej rodziców i kuzynkę Sary, Anielę. W jaki sposób dotarła do nich wiadomość, że młody kowal powrócił do Racewa i pogrążony w żałobie po wielokrotnych śmierciach: matki, ale i swego chlebodawcy kowala oraz jego synów, nie wychodzi z domu, trudno powiedzieć.

Faktem jest, że któregoś dnia po świętach Bożego Narodzenia odwiedziła go Aniela. – Ja w imieniu mojej kuzynki Sary i jej ojca oraz matki do ciebie Jakub. Z zaproszeniem. Jeżeli lubujesz nadal Sarę, przybądź do nich na święto Trzech Króli.

Jakubowi oczy zapłonęły, a i serce przyśpieszyło. Poczuł ucisk w gardle, jak wtedy, gdy kowalowa namawiała go, by nie opuszczał jej domu, poczekał aż zaraza minie, nie wiadomo przecież jak jest w Racewie, czy tam bezpiecznie.

Ale Jakub milczał.

- No, Jakub. Miłujesz jeszcze Sarę, a może już jej nie miłujesz?... – nagliła Aniela.

Nie porozmawiali. Jakub skinął tylko głową i z trudem po czasie wydusił z siebie: - Miłuję Sarę. Powiedz, że przyjdę.

Rodzina spożywała właśnie świąteczny obiad, gdy Jakub stanął w gościnnym progu. Stanął, wzrokiem obiegł izbę i zgromadzonych w niej domowników, i zamarł w bezruchu. Domownicy czekali na jakikolwiek gest powitania, a nie doczekawszy się go, skierowali się ku Sarze. Matka odezwała się pierwsza. – Saro, wstań i zaproś gościa do stołu.

- Jakubie, nie poznajesz nas? – zapytał jej ojciec. – Witamy cię w to błogosławione święto trzech królów. Chodź, siadaj z nami.

Na dźwięk słów przywołujących święto, wzrok Jakuba zabłysnął, jak gdyby ponownie zobaczył złoto; złoty kielich i dukaty. Gorący dreszcz przebiegł po jego ciele i coś odebrało mu mowę. Na jego twarzy pojawił się dziwny grymas, a w jego oczach… coś w rodzaju obłędu.

Na twarzach domowników zarysował się niepokój, Siedząc nieruchomo, wpatrywali się w przybysza i czekali na jakieś z jego strony serdeczne słowo.

Po chwili Sara wstała. Poprawiając serdak i czerwone korale, podeszła do Jakuba. Uśmiechnęła się nieśmiało. – Jakub, no co ty? Dzień dobry. I siadaj z nami do stołu.

Jakub, jakby na pół przytomnie, usiadł obok Sary, a ona nalała mu do miski gorący aromatyczny rosół. Jadł łapczywie, tuląc pod pazuchą jesionki jakieś zawiniątko. Sara pomyślała, że tam ma upominek dla niej, ale… do końca tego nie wyjawił. Także nie zareagował na wyrażony żal matki Sary z powodu śmierci jego matki i zapewne także … żalu, że nie mógł brać udziału w jej pochówku.

Był z nimi, a jakby go nie było, jakby był całkiem gdzieś obok, poza nimi, poza sobą również. Jedyne, co uczynił, to bez niczyjego zachęcenia podniósł się od stołu i powiedział dziękuję. I wyszedł. Wrócił samotnie do siebie, tak jak samotnie tam przybył.

Po tym świątecznym dniu i odwiedzinach Jakuba spokojne życie tej rodziny zmieniało się prawie z dnia na dzień. Dom pełny kiedyś radości wypełniały teraz łzy i ciągłe kłótnie. Krewni i znajomi zaczęli go omijać, jak i rodziców Sary także.

Sara, która znała Jakuba od dzieciństwa, ufała mu bezgranicznie. Kiedyś spotykali się na skraju lasu, aby poprzebywać razem sam na sam. Teraz jego zachowanie stało się dziwne. Dziewczyna z obawą patrzyła na poczynania ukochanego, słuchała we wsi o jego… obłąkaniu i płakała. Kilka razy próbowała jeszcze nawiązać z nim kontakt, ale bezskutecznie.

Zawsze zrównoważony i skromny, kochający ją Jakub, stał się odludkiem. Mimo że potwierdzał, że miłuje, nie zaprosił nawet jej do swojej chaty. Wszyscy co go znali, nie mogli pojąć tej zmiany. Sara zastanawiała się - może to urok…? Ale kto go rzucił na biednego Jakuba?

Kiedy 19 marca na świętego Józefa Sara stroiła przydrożną kapliczkę z figurą Maryi, podeszła do niej jej kuzynka, by spytać o zdrowie rodziców i tak po prostu porozmawiać, Sara pierwszy raz rozpłakała się. – Aniela, ja boję się Jakuba. On stracił rozum.

Bojąc się o niego, bo mówili, że znika gdzieś na kilka dni, a potem wraca głodny, zaniedbany, nieproszona poszła go odwiedzić, ale on tylko płakał. I mówił coś do siebie. Nie można go było zrozumieć.

Budzący się wiosenny dzień spowijała jeszcze mgła, a leniwe słońce nie chciało dawać ciepła. Aniela w białej lnianej koszuli, przeciągając się, wyjrzała przez okno, rozsuwają zazdrostki. Z okna widać było dom Sary. I coś ją tchnęło: przypomniała sobie niedawną rozmowę przy kapliczce i przypomniały jej się dawne wspólne zabawy oraz wyprawy na grzyby i jagody do lasu. Ogarnął ją jakiś dziwny niepokój, a serce zaczęło bić, jakby ją coś wystraszyło.

Ubrała się w pośpiechu, zaplotła włosy w dwa warkocze i najszybciej jak mogła pobiegła w stronę domu Sary.

Sary nie było, a furta na podwórze była szeroko otwarta. Zapewne wujostwo są już w polu – pomyślała - ale gdzie jest Sara?

Miała złe przeczucia i coś nakazywało jej ruszyć w stronę domu Jakuba, a kiedy i tam ich nie zastała, pobiec ich znajomym szlakiem ku podnóża lesistego wzniesienia. Ogarnięta złym przeczuciem i niezrozumiałą dla niej troską na słaniających się nogach dotarła do potoku.

Jakub siedział na próchniejącej ze starości bukowej kładce i głośno zawodząc, płakał nad zwłokami ukochanej Sary. Jej kuzynka leżała bezwładnie na dnie kamiennego potoku. Z jej głowy sączyła się strużka krwi. Taką samą krew Jakub miał na rękach.

- Coś uczynił chłopie?! Boże! – zawołała w kierunku nieba. - Co za straszna tragedia! – Aniela zaniosła się szlochem, pogrążając się w rozpaczy.

Na jej widok Jakub uspokoił się nagle i zupełnie składnie zaczął jej wyjaśniać, co się stało. Że przyszli tu wspólnie. Bo on wracając od Kamińskich do matki, znalazł w tym potoku krzyż, złoty puchar kościelny i dukaty.

Jego słowa boleśnie raniły jej uszy, dudniły w głowie niczym bijące z nieba gromy, wzniecały złowieszczy wiatr: - Ja chciałem skarb zwrócić potokowi!.. Nie, to ona kazała mi go zwrócić wodzie!.. Nie chciałem!.. Nie chciałem jej zabić!.. Szarpała się ze mną!.. Upadła na kamień..! Ja nie chciałem!!!

Tak zakończyła się ta smutna i dziwna historia, którą kiedyś opowiedziała mojej mamie Jance, Aniela, a wszystko to odnotowała w swoim sztambuchu babcia Rozalia.

Motto: Tak czasami tajemnica, brak porozumienia i niepohamowana chciwość powodują tragedie ludzi. I tak kruche bywają ludzkie umysły i serca w obliczu nieprzewidzianych chorób i dramatów.

Zofia Maria Smalewska

Marian Lech Bednarek

O DRUCIE GRANICZNYM POLSKI

Niech żyje drut
który nikogo się nie boi
i spojrzy każdemu w oczy
gdy go tnie i tłamsi aż do upadku

Niech Żyje Drut -
najważniejsza pieśń ojczystej ziemi
witającej uśmiechem

Niech żyje drut w mojej szopie
wiszący jak Hula-Hop przed zabawą na ścianie
całe życie pomaga mi w naprawie domu
i żonie przy wzmacnianiu gałązek w ogrodzie
by śpiewały kwiatami

i wcale nie jest kolczasty

21.11.2021

GUZY

poguzowałem się trochę
och jak ja się poguzowałem
komu o tym powiedzieć?
kiedy wokół same guzy
guz na guzie

- przepraszam która godzina?
- panie, godzinę to mamy zawsze
guzowatą, z księżyca pan spadł?

złapałem się za guza
a on: lutnij! lutnij mu!
słyszysz?! lutnij mu!
no to mu lutnąłem
ale w myślach
dlatego guzy wciąż mnie prześladują
jak te najciemniejsze typy w moim mieście

1.10.2021

Reuqiem dla kwadracika

PYŁ R E W I Z J O N I Z M U
P R Z E W A Ż N I E MYLIMY
Z DYMEM PAPIEROSOWYM
DLATEGO TAK CHUJOWO
JEST POWIEDZIAŁ PIĘKNEJ
U R O D Y KWADRACIK DO
Ś W I A T A I Z D E C H Ł

NOWE KINO

siedzę w kinie
na uchu ładnej dziewczyny malutki
jak ona cudownie pachnie ledwo utrzymuję równowagę
przy uszach dyndają jej wielkie jak koła roweru kolczyki
nikt nie patrzy na ekran tylko na nią
setki oczu arcydzieło w moim rozkroku
na piersiach jej jak na łąkach pasą się moje ręcule
suknię ma jak skomasowany atak na płótno
impresjonistów ekspresjonistów taszystów
buciki tryskają wyuzdaniem Picassa w swobodnym rozkroku
każdy by chętnie dopisał swój życiorys do tego co widzi
w tej odwróconej do ekranu pięknocie
a ja pod jej bujnymi włosami w sercu wiru
można śmiało podpisać „Dzieło skończone"

15.12.2019

Dawanie wiersza

Teresce

daję ci wiersz codziennie
gdy podlewam twój najpiękniejszy na świecie ogród
i przywożę ci chleb od piekarza w soboty
wypieczony i chrupiący jaki lubisz
gdy parzę ci kawę w twojej ulubionej niebieskiej filiżance
daję ci moją niezdarną pomoc
w przeganianiu much i pająków
które cię tak wkurzają
i piwo Heineken ci daję które razem wypijamy
na pół

nie wiem jaką puentą zakończyć ten wiersz
bo jesteś w każdej puencie
więc wystukuję stopami jakiś pradawny rytm
byś przyjechała jak najprędzej wspomóc mój wiersz
słońce chowa się już za horyzontem

25.06.2021

W POSZUKIWANIU FORMY

Nie wiem w jaki kształt
uformować świat
który by jak śpiew Anioła Stróża
ukoił moje serce
wy białe obłoki rozścielone na niebie
jak wzburzona pościel miłości
nie uciszycie mojego bólu przy oknie
gdzie jak ptak przed odlotem marzę
o powrocie do domu z prawdziwym łóżkiem

Tobie Aniele Stróżu
dedykuję ten
niewyzwolony jeszcze ze mnie wiersz.

SZPITAL W KATOWICACH, 12.07.2021

Zbigniew Kresowaty

TRANSCENDENTNA HUŚTAWKA

(Rozmowa artystyczna z poetką Edytą Kulczak)

Portret poetki Edyty Kulczak wykonał Zbyszek Ikona – Kresowaty 2017 r.

Zbigniew Kresowaty: Przyznam, że ujął mnie bardzo twój tomik poezji pt. „Kołysze się w tobie huśtawka" - wydany w Poznaniu w Wydawnictwie „Kontekst" w 2014 r. Pisałem o tym wydaniu swego czasu bezpośrednio po ukazaniu się go. Są tutaj bardzo interesujące wątki, dość powiedzieć w bardzo oryginalnym kształcie – Poetka, autorka tekstów, znalazła pomysł na metafizyczne wypowiedzi, w semantyce niesfornej wdziewa strój szamanki, w którym dostrzega otoczenie w dość krzywym zwierciadle(?). Tomik ten dotarł do mnie jak koszyk pełen wykwintnych, kwaskowatych, zaczarowanych winogron w zimie i oliwek pachnących zeszłorocznym latem oraz pamięcią skąpaną w ciepłym słońcu jesiennych kolorów, jakby wprost spod nieba z zagubionych greckich sadów... A jest tak, że kiedy smakujemy takie winogrona, odruchowo spoglądamy na sploty owego koszyka, sploty ażurowe ścieżek ocalających zawartość pikantnej krainy… i wracamy do najskrytszych marzeń lub poczynań…

Edyta Kulczak: Cieszę się, że tak egzotycznie prezentuje się przed Tobą mój tomik. Powiało wakacjami, latem i ciepłym morzem. Myślę, że wpływ na to ma sama postać szamanki, która Cię trochę uwiodła i zmyliła. Jak głoszą podania lub domysły stoi ona na pograniczu dwóch światów – realistycznego i metafizycznego. Ty dodatkowo obdarzasz ją w swojej wyobraźni niezwykłą erotyką i zmysłowością – stąd takie soczyste opisanie świata z „Huśtawki". Tak naprawdę, chciałam stworzyć postać jak najbardziej realistycznie i zwyczajnie. Tak, żeby przypominała współczesną dziewczynę czy może współczesną młodą kobietę – mądrą, refleksyjną, uwikłaną przy tym w codzienność jak najbardziej banalną – gdy sprząta, gotuje, kopie w ogródku, ale też niezwykle wrażliwą na doznania i doświadczenia wszelkich aspektów istnienia i nieistnienia oraz lekko chciwą na te doświadczenia i doznania. „Szamanka chodzi wciąż z łopatą/ próbuje dokopać się środka/ który ciągle wchodzi głębiej" albo „nie nosi piór/ jest dziewczyną na pierwszy rzut oka pomyślisz zwyczajną/ chodzi po powierzchni ziemi od wewnątrz/ z boku wydawać by się mogło/ do góry nogami/ gdy świat odwróci się środkiem na wierzch/ ona stanie w pionie".

Z.K. Każdy poeta podejmuje jakieś (przeważnie) oryginalne „zadanie" - **cel** lub obiera niepowtarzalny stosunek do życia. Ryszard Krynicki mówi, że „**poeta tłumaczy z języka nieznanego**". Prawdopodobnie poezja współczesna dziś jest w stanie podejrzenia… etc. Jako osoba - poetka proponujesz taką „rozkołysaną huśtawkę" pomiędzy Psyche a delicznością (?). Wczuwasz się w rolę oryginalnej niezależnej osoby, medium… Otóż, co tak naprawdę prześladuje poetę dziś? - Czas, że odnajdujesz mimo to siebie w kimś? – czy każdego ranka widzisz dla siebie, że tak powiem oględnie, nową wersję, ksywkę? - Być sobą, czy zamienić się w Kogoś innego? – walczymy o oryginalność? - Poeta wyznacza sobie niezależny azymut…, ale chce być otoczony…

E.K.: Tak bardzo nie myślę ciągle o sobie i o kreowaniu jakimś wyjątkowym siebie jako poetki, choć należę do osób, które lubią być dostrzegane. Właściwie najbardziej ze wszystkich aspektów mojego życia najbardziej cenię życie – jego przejawianie się w ludziach, zjawiskach, relacjach międzyludzkich, w sztuce. Pewnym jest, że umieszczam siebie taką w twórczości. Najbardziej interesuje mnie człowiek. Żeby o nim pisać →

muszę go przeżyć i poczuć na różnych płaszczyznach – czasem w zwyczajnej obserwacji cudzych relacji i oględnym odczuciu, w kontekście zwykłego zdarzenia czy ciągu zdarzeń, czasem muszę go dotknąć, a czasem połknąć, pożreć w biegu lub gryźć po kawałku, czuć w każdym mięśniu, nerwie, neuronie, synapsie, atomie i głębiej - w kosmicznym nieprzemijalnym porządku. I to nie jest moja twórcza premedytacja czy prowokacja, lecz moja osobowość. Może jednak być też prawdą, że nie kontroluję tego, że to współrzędne sztuki, która tak naturalnie steruje układami, że wszystkich udaje się oszukać. A co mnie prześladuje? Najbardziej moje myśli i emocje, potem skomplikowanie świata, powtarzalność i relatywizm zjawisk, istnienie i ulotność idei, też nieprzewidywalność mechanizmów idei, którą nazywamy losem. Nie przeraża mnie to, lecz fascynuje. Jest źródłem moich zatrzymań czy lepiej intensywności filozoficzno-twórczych, daje poczucie prawdziwości istnienia. Penetruję dzięki temu wszelkie nieoczywistości, które stają się zwyczajnie ludzkie. Na przykład Czas. Źródło moich fascynacji. I przypatrywanie się nieustannym próbom ludzkości okiełznania tego nieujeżdżonego dzikiego, wymykającego się wszelkim regułom i kwalifikacjom rumaka, ba, ogiera lepiej, wtłoczenia go w ramy tykania zegarów i cyklów, odmierzania jak linijką przestrzeni. A tu nic – myk i minęło pół życia, a jeden nudny wykład ciągnie się jak trzy doby. To trudniejsze do dotknięcia niż ogień. W którymś wierszu napisałam, że czas jest wymysłem ludzkim. I teraz podczas penetracji świata wartości europejskich przez wirus albo przez lęk przed wirusem, ta poetycka myśl nagle ucieleśniła się we mnie, potwierdziła na realnym poziomie zwykłego życia – otóż kilka dni po postanowieniu rządu o konieczności zamknięcia się Polaków w domu, poczułam, że czas stanął w miejscu, wyszłam na spacer, nie potrafiłam od razu wskazać, jaki jest dzień tygodnia ani przypomnieć sobie, co robiłam przedwczoraj. Nawet się ucieszyłam, że rzeczywistość poddała mnie doświadczeniu relatywizmu czasu. Czas jest, gdy jest dzianie, gdy są ludzie i efekty ich poruszeń w rzeczywistości…

Z.K – Proszę pozostańmy jeszcze w twoim tomiku wierszy, w którym zechciałaś pokazać oryginalną kobiecość? – Miejsce, gdzie nawet Szamanka ma swój oryginalny wdzięk i byt. Przytoczę tutaj wiersz „*Szamanka jest/ jak lekko oswojony/ pies// przez uchyloną furtkę/ wymyka się chyłkiem/ do swoich// odwraca się po drodze/parę razy przystając// patrzy na dom*" - Czy tak?

E.K. Tak, jak powiedziałam wyżej, ta kobiecość nie jest oryginalna, lecz prawdziwa. Nawet szamanka, choć czasem plecie wianki z kwiatów czy tworzy wiersze o miłości, również gotuje kapuśniak, nalepia plastry na rany. Ma jednakże metafizyczny obszar nieuchwytnego wdzięku „poza zasięgiem".

Z.K. Wiersze w tej książce – owszem! – nasycone erotyką i pewnego rodzaju grą, nie tylko z sobą samą, ale z zagadkowym podmiotem błądzącym w tle... Kiedy zagłębiłem się w dalsze strony, bo wciągają jakby za krawat przez otwarte drzwi, dostrzegłem imponującą transcendencję – skąd pomysł? - Jak nadmieniłem poszłaś na bardzo osobliwą grę – w Twoich innych tomikach dostrzega się specyficzną, jakby podskórną, erotyczną grę? – Przytoczę jeszcze jeden tekst tej książki: „*Śnił mi się zaskroniec/ chciałam go pogłaskać i przytulić/ a potem jadłam jabłka/ na pokładzie statku// zdziwiłam się/ nie lubię jabłek*"

E.K. Mężczyzna i kobieta jako dopełnienie, jak yin i yan, dzień i noc, ciepło i zimno, rozum i emocje, przyciąganie i odpychanie, dobro i zło tańczą międzyplanetarny taniec jak wszystko w naturze połączone więzią potrzeb i zależności, chcenia i konieczności. Całe życie tworzy tę biologiczną grę pływów energetycznych, opierających się na przeciwnościach.

Z.K. Jako uczestniczka Międzynarodowej Konferencji, jaka odbyła się w Poznaniu w ub. roku (2018) w listopadzie, przytaczasz swoje odczucia dotyczące poezji, jej zapisu i zapasu wartości na jutro… Temat ten był poruszany w ostatnim dniu Konferencji, którą zorganizował Wielkopolski Oddział Związku Literatów Polskich. Otóż pojawiły się pytania merytoryczne o los poezji. Byłem uczestnikiem tych spotkań. Przytoczyłaś tam kwestię jakby zasadniczych rozważań o relację twórca - odbiorca, czy może bardziej relację wiersz – odbiorca. Gdyby sformułować kwestię powyższej zależności w formie pytania, mogłoby ono brzmieć następująco: „**Czy współczesna poezja skazana jest na konieczność dostosowania się do potrzeb i oczekiwań odbiorcy, czy ma szansę na pozostanie niezależną i mądrze niezwykłą dziedziną literatury pięknej, bez konieczności dryfowania w kierunku orientacji schlebiania gustom odbiorcy, oscylującym z kolei w kierunku czynienia ze sztuki wartości popularnej.** Jak wg Ciebie jest – a jak będzie naprawdę? - jak może być jutro z następnym pokoleniem? - O czym będzie?

E.K. Temat interesujący, ale trudno wieszczyć o przyszłości, nawet gdy napisało się parę wierszy o szamance. Obawiam się, że poezja się przeżyła, nikt nie pragnie takich intelektualnych i emocjonalnych staroświeckich wyzwań, szybkość życia i zmian cywilizacyjnych nie pozwala na to, choćby było to najbardziej naturalną potrzebą człowieka. Mieć na coś wartościowego dla siebie czas, to dzisiaj luksus. Inna rzecz, że przekierował się znacznie desygnat słowa „wartościowe". Poezja wymusza na odbiorcy refleksję, pobudza nie tylko zmysły, ale i myślenie. Może trzeba by dojść do jakiś wniosków o charakterze etycznym lub filozoficznym, może zaburzyłoby to wygodną logikę trwania i postawiło wyzwania. Nikt nie lubi niespodziewanych komplikacji wewnętrznych, a tym bardziej zewnętrznych – jeszcze pod wpływem sztuki??? Tu nie antyczna Grecja. Po co mierzyć się oko w oko z sobą samym. I jeszcze może nie pasować do tego, co o sobie mniemamy…

Z.K. Uważam, myśląc w tej chwili radykalnie, bo takie staje się dziś życie – poezja jest i będzie niezależna i nie będzie nigdy schlebiać otoczeniu, będzie się kłócić o nowe poznawcze wyrazy, styl, punkt widzenia… , bo to modlitwa coraz dziwniejsza, każdy wiersz jest modlitwą do niejawnych sił lub sił wiary, do „nadprzyrodzonych", jak wszechmocni z UFO – lub jest kłótnią z „Bogiem" albo „szatanem" - o ile on nam się wyobraża(?) – a wyobraża się jawnie bardzo - To w istocie „poszukiwanie prawdy". Albowiem poszukujemy prawdy - „Kto poszukuje prawdy, poszukuje (autorytetu) Boga, nawet o tym często nie wie „– Notabene tak mówi dr Edyta Stein. W senso – stricte normalnych relacjach żywych mężczyzna zawsze będzie szukał kobiety, a kobieta mężczyzny, tak się nam objawia nasz gen natury, który przywędrował z kosmosu np. w meteorycie(?) albo jako proch zrzucony przez UFO. Coraz więcej o tym w nauce, to działanie tzw. rozumu. Świat leci w odchłań swoim torem, niczego nie udaje, co jakiś czas relacje swoje zmienia nauka, sztuka… ale tęsknota za żywym organizmem trwa zawsze i taką zachłanną pozostanie – tak czy inaczej. Jaka jest tutaj rola poezji? – Być albo nie być?

E.K. Nie jestem pewna, czy poezja w ogóle będzie lub nie stanie się uciechą i przeżyciem tylko dla samego twórcy i grona uważającego się za wtajemniczonych. Może wreszcie stanie się rzeczywiście prawdziwa, jak mówisz, pozbawiona sztuczności i pozy, zarówno w stylu, jak i refleksjach. „Tęsknota za żywym organizmem" – bardzo mnie to stwierdzenie rozśmieszyło swoją dosłownością i sensualistycznymi, seksualnymi konotacjami. Zabrzmiało jak pragnienie.

Z.K. Piszesz na swej stronie internetowej – mówisz wprost o rozważaniach i dyskusji na Konferencji Poetyckiej w Poznaniu, że „**dyskusję wywołał wykład francuskiej poetki, wiceprzewodniczącej Związku Pisarzy Rhône Alpes we Francji Aichy Vesin Cherif na temat tendencji rozwoju współczesnej poezji we Francji i zagadnienia roli Internetu jako medium rozpowszechniającego i propagującego sztukę, w tym również poezję. Spostrzeżenia Aichy Vesin Cherif nie zaskoczyły słuchaczy, zwróciły uwagę na zależność między masowością i nieograniczonymi niczym możliwościami popularyzacji wszelkich tworów poetyckich na stronach internetowych, a kształtowaniem się modelu jakości sztuki. Jak przez to niepewnym i chybotliwym, nawet zagrażającym dla wartości sztuki, źródłem rozpowszechniania i poznawania poezji jest Internet**" – Co jeszcze możesz dodać do tej wypowiedzi? – Może opowiedz o „**roli i formie sztuki na dziś w Europie?**"

E.K. W obliczu pojawiającego się w całej Europie zjawiska pauperyzacji duchowej społeczeństw, zagadnienie to staje się ważnym. Księgarskie półki w większości zapełniają nie dzieła klasyków literatury pięknej, czy nowa wartościowa poezja, lecz pozycje konkurujące z sobą o zainteresowanie odbiorcy ciekawością banału, zwykłością lub niezwykłością codzienności, karmiącej się plotką, współczesnym lub zamierzchłym skandalem obyczajowym, politycznym, społecznym, tudzież poradnikami wspierającymi lansowany przez media globalny model, oczekiwany wzór postaw dotyczący wszystkich dziedzin życia i wielu aspektów zachowania człowieka.

Z.K. – Co powiesz o działaniu prowokatorów w sztuce, np. **NERGAL?** – Jak określić jego prowokacyjne lub normalne wynikające z wolności i prawa…postępki? - Prawdziwe, czy tylko ekshibicjonizm? – lub coś innego – szok? – a tego chyba doprasza się świat? - Zagrałem swego czasu w teledysku Nergala osobę duchowną (jak mi powiedział: sam mnie wybrał), bułgarskiego popa, grożącego jemu pojmanemu słowami: „na śmierć z nim, na śmierć…". Miał wówczas przytwierdzone do pleców metalowe skrzydła, złapany i przytwierdzony do ciągniętej platformy. Obok szła eskorta ubrana na wzór hitlerowski w skórzanych płaszczach, twarze w maskach. Otóż rozmawialiśmy o tym w przerwach, w istocie dał mi do rozumienia, że „**świat ma się bać nowej sztuki, odbiorca ma się bać…**". **Tak też podobnie powiedział Mietek Jurecki - basista, kiedy grał w „Budce Suflera" – znamy się dobrze. Co ty na to jako poetka nowego pokolenia?**

E.K. W ogóle nie zakładam zjawiska obawy czy lęku, jaki ma wywoływać sztuka. Pozostanie chyba obszarem do pogłębiania przeżyć i poszerzania świata człowieka, czynienia go właściwszym. Nie wiem, czy to dobre słowo. Może lepiej –być zrozumiałym(?).

Z.K. Wydaje się, że jest to dalszy ciąg „**rozważań… na skalę wieczności przy stole**" – to tytuł twego wiersza (s.38) „**Kołysze się w tobie huśtawka**" - niezwykle pojemnego o prehistorii i ewolucji… np. ptaka,

o ewolucji jego śpiewu, czyli mowy. Ptak przecież mówi. Łabędź to, czy czapla, pyta Ktoś z łodzi? – Rolą naszego życia w bytowaniu natury ludzkiej jest poszukiwanie zaczynu, swego początku, dociekanie i budowanie piramid nowej namiętności i pozwolenie na ziszczanie się, przyglądanie się sobie, obserwacja i świadome podglądanie... Ty mówisz dalej w wierszu pt. „**zera i jedynki mogą opisać wszystko**" (s. 40). Wiemy dobrze, że kosmos to matematyka, etc., ale to poezja jeszcze nieodkryta, do tego trzeba innego języka? – i dorastania(?)

E.K. Język pozostaje ten sam, bo ten sam jest zawsze człowiek, choć rozwój cywilizacyjny stwarza go wydawałoby się ciągle nowego. Świat stworzony i tak mówi swoim językiem, który jedni rozumieją lepiej, inni gorzej, a ci z najstarszego pokolenia zaczynają się czuć powoli jak na tureckim kazaniu. Ale credo się nie zmienia, to je - powtórzę za Małgorzatą Hillar - wypłakujemy nocami przed najbardziej prawdziwym towarzyszem – sobą samym - w poduszkę, choć w dzień rozbijamy atomy i obojętnie wzruszamy ramionami na miłość. Jak do tych atomów i wzruszeń ramion ma się poezja? Idzie z nimi, pokazuje boleśnie – tak teraz jest, tacy jesteście szczęśliwi, nieszczęśliwi w biegu na drodze, o której nie zdążyliście pomyśleć i tacy szczęśliwi, że z bliska oglądacie ze mną gwiazdy. Nic złego, gdy poezja sięgnie po sprzyjający temu system znaków i pojęć, mam na myśli, że dorówna ich współczesności, i opowie historię, która właśnie się toczy – w blikach fotonów, szumie hybrydowym, we współczesnym pogubionym czy efekciarskim pomieszaniu płci, stylów czy wartości. Niedobrze, by została w krainie babcinych serwetek i krochmalonych uczuć oraz niepowściągliwej rymowanki w stylu, od którego boli brzuch. Musi się rozwijać jak wszystko. Ale nie po proletariacku - więcej kiełbasy dla większego grilla i większych sześciopaków na pierwszego maja, nie może wpasować się w hasło tej samej meblościanki dla całej populacji. Musi być wy- wezwaniem salonowym, gdzie trzeba wyczyścić buty bez względu na to, czy wchodzi się w świat zjawisk opisanych przez fizykę kwantową czy w obdartusa grzebiącego w koszach cywilizacyjnych slumsów.

Ostatnio napisałam do poety Tadeusza Żukowskiego, że uważam poezję za najpiękniejszą i najbardziej wyrafinowaną, wysublimowaną i koneserską formę sztuki. A dlaczego? Bo łamie sztywność znaku, którym się posługuje, umetafizycznia, mistycyzuje konkretność semantyczną. To jest kreacja – niedoskonałość, jaką jest język, poezja doskonali tak, że nie zmieniając jego kształtu, otwiera wiele światów – tyle, ilu odbiorców znajduje.

Z.K. Przepraszam, ale nie można się oderwać od twej książki, moim zdaniem przełomowej w twej oryginalnej twórczości. Weźmy jeszcze jeden wiersz pt. „**pierwsze pragnienie człowieka**" (s.47). Są tu także wiersze, pozwól, że je nazwę niedemoniczne, jak perełki toczą się jedna za drugą, zerwane jakby ze sznura na szyi tańczącej bogini. Droga poszukiwania czaru jest tutaj ciekawa i mimo, że to świat iście prawie czarowny, a nie dostrzega się zmory, obłędu i zwidów oraz mar. Mimo to dostrzegam tu taniec sacrum z profanum. Te pojęcia lubią się bardzo, razem tańczą na cienkiej linii. To prezentacja gracji i skali odniesień na stosie stłumionego miasta i otoczenia współczesności. To wyalienowanie się w przestrzeń szczęśliwą poprzez rzeczy zastane, ale jak się wydaje, nie cyber - doczesne. Tę czarowną boginię można sobie wyobrazić jako normalną kobietę w aptece, pachnącą słodkimi ziołami z rozwianą grzywką i spokojnym spojrzeniem Nefretete(?), bez ciemnych okularów, o smukłych nogach odrzucająca erotycznie włosy za siebie. Ale bywa to kobieta, która „**gotuje kapuśniak (i) rozmyśla jak go przechytrzyć**". Taka „kobiecość" jest rzeczywiście jak kosmos rozgwieżdżona smakami, otwartością, niezależnością i układami z boginią piękną osobowo z prezentacjami nadprzyrodzonymi, być może nawet jakimś podstępem?… To kobieta z wdziękiem(?)

E.K. Błogosławieństwo faraona (nota bene bez włosów przecież, bo z kasty kapłanów) i nieskończoności. Jak palce na końcach promieni słonecznych na plafonie sprzed sześciu tysięcy lat – odczuwanie człowieka nie ma czasu, oparte jest na harmonii natury i cykliczności przemian. Opisaliśmy je w matematycznych ciągach liczb. My ludzie. I w poezji. Chcemy tam odnaleźć Boga.

Z.K. bardzo dziękuję za tę treściwą autonomiczną wypowiedź, kobiety poetki z ciekawym dorobkiem i czynną twórczo.

Zbigniew Kresowaty

Erazm Felcyn

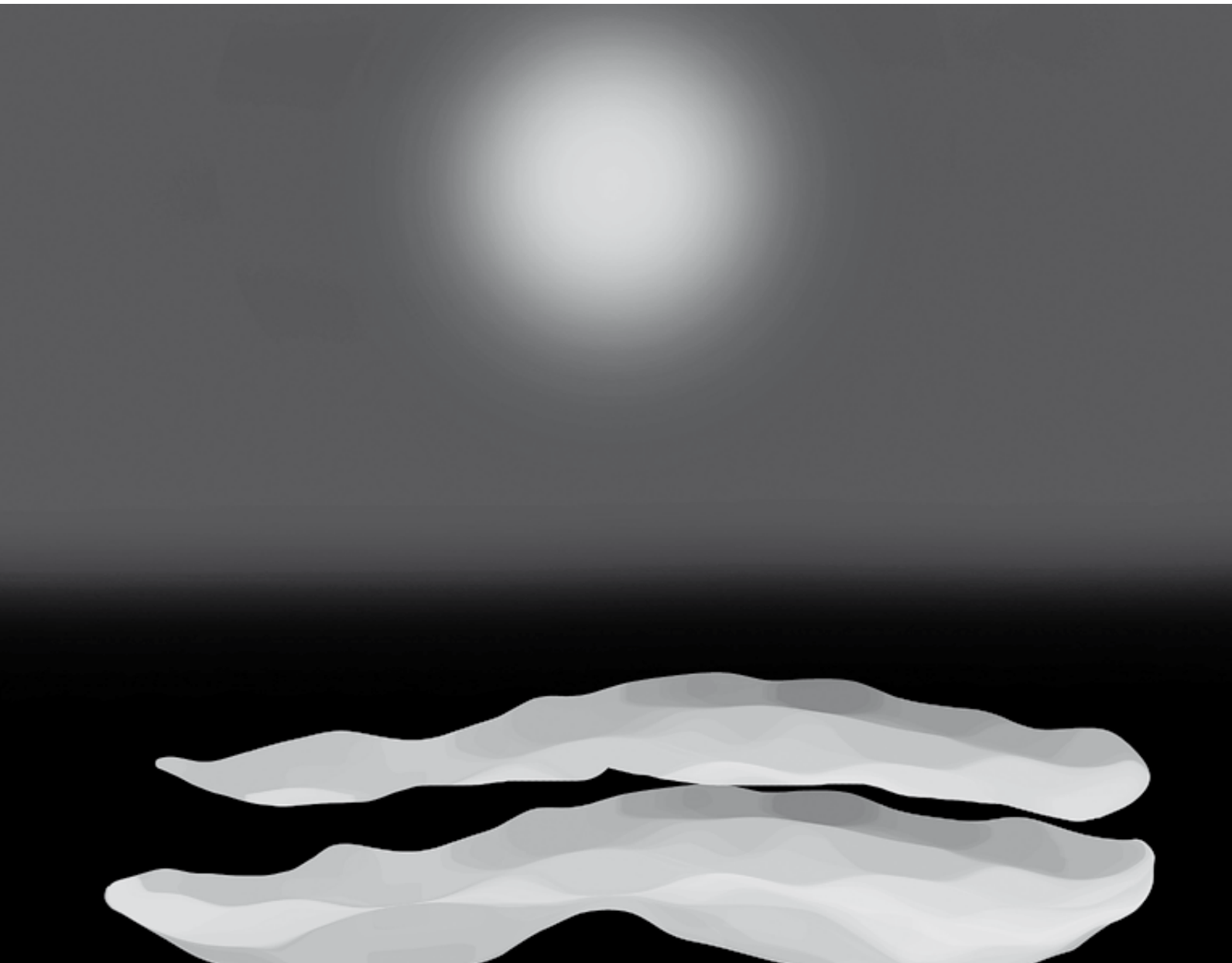

Krzysztof Bencal

cykl „ZAPIERDALAĆ TRZEBA"
(styczeń-luty 2022, wersja robocza)

I

Mierzę zbyt wysoko

Stara i niedołężna kobieta
wolała czym prędzej i niebacznie
wejść na jezdnię, niż iść trotuarem
dalej i minąć mnie! Ja, poeta,

powiadam: „Na wprost mój dom rodzinny,
z tyłu Bóg, po lewej szatan, a gdy
patrzę w prawo, widzę całą ludzkość".
Niepewnie wszystkimi dyrygując,

obracam się z wolna w każdą stronę.
Odkryłem coś, przeoczyłem siebie.
Ten wiersz to prawdziwy wiersz, albowiem

czytając go, odczuwasz potrzebę
odpowiedzenia nań wierszem własnym...
Ujrzę cię, jadąc autem do pracy!

II

wyszedłem nocą

wyszedłem nocą z posterunku
i ujrzałem zamgloną lunę.
zszedłem po schodach z drewna. tup tup…
a wspinając się na nie później
spojrzałem w lewo aby stwierdzić
że chmurą zaciągnął się księżyc.
przeraziłem się i zdziwiłem
jednocześnie co było zdrowe

i ludzkie. mam taką robotę
w której jestem sam. co godzinę
za pomocą pałki niebieskiej
z trzech odległych od siebie czarnych
kółek wydobywam piknięcie
na znak że żyję. pod nogami
kiedy przemierzam plac budowy
chrzęszczą kamyczki. czy jest błogi

ból stóp rąk który wciąż odczuwam?
spróbuj kraść w obecności stróża!

III

No, polewaj!

Za odkrywców Boga dziś uważam robactwo!
Gdy pytam starych, gdzie się urodziłem, kłamią.
Nazwy firmy (w pracy śpię, próżnuję) nie ujmę
w cudzysłów: nikt z jej szefów sam w niej nie pracuje.

Okładkę nowej książki (to okładka twarda)
popiołem z papierosów szybko ujebałaś!
Teraz, gdy zostawisz ją przypadkiem na stole,
nikt nie spyta, ile za nią dałaś. Też sądzę,

iż jest używana, bo dawno się nie modlę.
A ci, co mówią pacierz, pierdolą coś do mnie.
Tak, czytałem Baudelaire'a, lecz w polskim przekładzie,

olewając przypisy oraz rozumując
wszystko po swojemu. Wciąż jeszcze z własnym ciałem
prawuję się o rękę, która trzyma pióro

lub przewraca stronice książek jak kamienie!
(O wytępienie diabłów posądzam dni trzeźwe).

IV

Ostatnia przyśpiewka ciecia

Prochem jesteś
i w proch się obrócisz.

Biblia

Zbiorę proch. Niech wspomina, że miał kiedyś oczy.
Pracownik budowlany, kończąc ciężką pracę,
zapytał mnie: „Czy dzisiaj zamkniesz znów sam bramę?".
Zmarłych bliskich przynoszą nam ciągle obłoki!

Podczas ewakuacji przyszłej firmamentu –
który, wydaje mi się, nigdy nie miał granic –
nikt nie będzie wiedział, jak używać gwiazd gaśnic…
Pan Bóg, tworzony zawsze na wzór ludzkich cieniów,

chciałby bocianim dziobem, niczym nożyczkami,
ciąć nas wzdłuż zmarszczek – które są na twarzach, dłoniach –
by wydobywać serca. Jestem już Francuzem

i – wymarzając sobie różne wieki co dnia –
przy świetle spalających się druhów notuję
sonety. Coraz ciemniej we mnie. „Giń! To rozkaz".

Małgorzata Dorna
- Wendrychowska

Wiesława Markowskiego malarstwo faktu

„Malowanie obrazów to jest przygotowywanie sobie przestrzeni, w której będziemy musieli żyć po śmierci, to jest budowanie sobie mieszkania. Jeśli nie kochasz tego, co malujesz, to szkoda czasu."

Jerzy Nowosielski

W sztukach wizualnych najważniejsze sprawy załatwia się bez słow. Proces tworzenia to w końcu ciężka, niewdzięczna robota, przy której ręce można powalać, podtruć się mieszaniną oleju i terpentyny, popaść w alkoholizm i inne uzależnienia, nerwy i dobre imię stracić. Najbardziej uzależnia praca, nazywana przez krytyków „twórczą" czyli stan kontrolowanego szaleństwa, upojenia, ekstazy. Stan łączący w sobie to, co pozornie odległe: intelekt, wiedzę, pasję, potrzebę spojrzenia w głąb siebie i uważnej obserwacji „z zewnątrz", umiejętność równoczesnej analizy i syntezy. Zatem proces tworzenia (o ile jest to proces, a nie szereg wyrwanych z kontekstu momentów) dokonuje się zazwyczaj „na spięciach", w chwilach pełnych koncentracji, w milczeniu naznaczonym głęboką, bolesną – uwagą. Niekiedy bywa także nasycony bezgłośnym krzykiem, porównywalnym z owym „gromobiciem ciszy", znanym z poezji Przybosia. Krzykiem, na który twórca (nie chcąc być podejrzewanym o tani ekshibicjonizm) publicznie pozwolić sobie nie może. Kto odkrywa się bowiem w sztuce zanadto – ponosi wysoką cenę.

Proces tworzenia to wreszcie – rodzaj pozornej (lub może – pozorowanej) rozmowy. Rodzaj wewnętrznego dyskursu, podejmowanego po wielekroć z Absolutem lub rodzaj monologu, porównywalnego z efektownymi wyznaniami bohaterów romantycznego dramatu. Domniemany interlokutor zazwyczaj konsekwentnie i z uporem milczy i bywa, że owo milczenie wprawia artystę w poczucie osamotnienia i udręki. I można je po wielekroć odczytywać jako dosadny (ewidentnie obraźliwy!) brak odpowiedzi, wyraz lekceważenia lub obojętności, tym bardziej że Stwórca tego świata podobno (a wiemy o nim raczej niewiele) nie toleruje szczerych, bezkompromisowych wyznań, dostowności, tym bardziej – mocnych, oratorskich popisów. Tak, więc rozmowę z Absolutem prowadzi się zwykle w milczeniu, nadając owemu milczeniu walor bluźnierstwa, buntu lub nieco łagodniej - niezgody. Maluje się jednak fakty, nie słowa i biada temu, kto pozwoli sobie owe fakty przegadać.

A faktem malarskim jest przedmiot, kolor i forma, wybór techniki, sposób potraktowania tworzywa. Faktem nie powinna być (jak w tekście literackim) „tylko" narracja, prowadzona linearnie fabuła, nie jest nim też anegdota lub (ozdobna stylistycznie) dygresja. Malarstwo faktu koncentruje się na istocie kompozycji i środkach ekspresji, środkach dozowanych z umiarem, oszczędnie, aż po ascezę. Język jakim przemawiają fakty atakuje prostotą, dosadnością, może być wyważony, logiczny, działa jednak zawsze zdecydowanie, mocno, „na uderzenie".

Zatem owo „pośmiertne mieszkanie" (jakim dla Nowosielskiego stały się kadry zapisanych na płótnie obrazów) winno być naznaczone milczeniem, dojmującą, zatykającą dech w piersiach - ciszą. Myślenie Markowskiego wydaje się podobne. Jego najbardziej rozpoznawalne kompozycje, przeniknięte gęstym, matowym światłem – cechuje brak. Brak odautorskiego komentarza, interpretacji, tych wszystkich dopowiedzeń i dookreśleń, które odbierają szansę krytykowi na własne odczytanie dzieła. Ileż to razy w jego kompozycjach figuralnych pojawia się tylko obrys postaci, zaledwie puste miejsce, przygotowane na jej (postaci) możliwą obecność lub miejsce jakby dopiero co przez ową postać opuszczone, zapisane jako utrwalony na płaszczyźnie, dość wyrazisty - ślad. I mieści się w tym cała filozofia istnienia! Artysta posiada bowiem przywilej pozostawiania śladów. Dzieło to rodzaj dokumentu, zapisu. Milczących zmagań z materią, Duchem i czasem.

Nieznośną cechą współczesnej cywilizacji okazuje się gadanie, dlatego nie jest to czas dobry dla sztuki, tym bardziej – dla artystów. Gadając spalamy się w słowach. Teoretycznie: póki życia – póty narracji! Teoretyczne rozważania bywają raczej ułudne! Żyjemy bowiem w czasach, w których człowiek wsłuchując się w samego siebie, nasłuchując wewnętrznego głosu - traktuje ów głos (bywa, że marny, żenujący „głosik") jako wartość godną publicznego zamanifestowania. Niejeden też celebruje swe wnętrze, obnosi to wnętrze na zewnątrz, demonstruje i obnaża a publicznie. Dla niego jest to potrzeba dzielenia się „prawdą", słuszną i niepodważalną. Dla innych już niekoniecznie.

Z pasją przekonuje do owej prawdy, „wartości dodanej" (w myśl sprawdzonych zasad marketingu), dodanej jak podejrzany bonus do niechodliwego towaru, produktu własnego „Ja". Siebie oczywiście przekonywać nie musi, siebie przekonał był już „na wejście" i niech tak zostanie. Najczęściej projekcją owego wewnętrznego głosu okazuje się wystąpienie publiczne, przy pełnej sali klakierów. A ileż takich wystąpień! Ileż zapisów w mediach społecznościowych, że o telewizji – nie wspomnę! Co prawda, projekcją wewnętrznego głosu okazuje się też dzieło sztuki. Tak było i tak być powinno! Tyle tylko, że w naszej przegadanej cywilizacji „samo" dzieło już nie wystarcza, wymaga bowiem (zdaniem jego twórcy) odautorskiego komentarza czyli ustalenia konkretnego wzorca odczytania, odbioru.

Pisząc przez ponad trzydzieści lat felietony poświęcone współczesnej plastyce – odkryłam pewną (niezbyt nobilitującą dla twórców) prawidłowość. Im bardziej rozbudowana, wykraczająca poza dzieło narracja, tym mniejsze jego (dzieła) znaczenie. Podążając dalej tym tropem chciałoby się napisać: im bardziej erudycyjny, odautorski komentarz, tym mniej „obrazu w obrazie". Intelektualizm zabija bowiem możliwość przeżywania tego, co powinni→

śmy odbierać zmysłowo i o czym bardzo wyraźnie pisała Susan Sontag w swym eseju „Przeciw interpretacji". Rezygnując jednak z próby dowartościowania tego tekstu powoływaniem się na autorytety – pragnę tylko przypomnieć, że istnieli i nadal istnieją twórcy, którym obce jest przekazywanie expressis verbis swych intencji i programów, którzy cenią sobie sytuację, w której między nadawcą (wszak dzieło sztuki to rodzaj komunikatu) a odbiorcą tworzy się (oparta na współdoświadczaniu i współprzeżywaniu) wyraźna, wzajemna relacja.

Oto obraz Wiesława Markowskiego „Alchemik", olej na płycie pilśniowej, datowany na 1964 rok. Obraz utrzymany w barwach jasnych, niemal pastelowych. Kompozycja mocno zgeometryzowana, statyczna. Rodzaj uporządkowanej struktury. Alchemik zastygły w bezruchu, upozowany w teatralnym geście, z dłonią lekko uniesioną nad nasyconym ciepłym światłem prostokątem, być może nad kawałkiem papieru lub płótna, nad fragmentem niewykorzystanego jeszcze podobrazia. Dłoń Alchemika o smukłych i delikatnych palcach, dłoń idealna w rysunku, klasycznie doskonała, pozbawiona nawet cienia zmysłowości, przestylizowana - zdaje się być przeniesiona z laserunkowego malarstwa epok minionych.

To dłoń surrealnie zawieszona w przestrzeni, odsunięta od precyzyjnie namalowanej, ozdobnej koronki rękawa. Dłoń – byt niezależny, skazany na nieważkość, na unoszenie się bezgłośne, polatywanie w przestrzeni. Naznaczona spokojnym piętnem ciszy, majestatycznej, nagrobnej okazuje się również znieruchomiała twarz, nie pochylona nad retortą (jak można by się spodziewać) a przywodząca raczej na myśl skojarzenia z twarzą bladego mima, przewrotnie ukrytego za maską wiecznego bezruchu i milczącego, „kamiennego" spokoju.

I tylko oko, jedno oko z półprzymkniętą powieką (drugie przysłonięte bowiem matowym bielmem okularu) wpatrzone intensywnie gdzieś w przestrzeń – sugeruje intencje autora. Alchemik zdaje się badać duchowość materii, emanację świetlistego, mistycznego Ducha materii, łączącej w sobie dwa, tylko pozornie wykluczające się światy.

Naturalny wydaje się fakt, że obraz jako przedmiot estetyczny funkcjonuje na granicy tego, co materialne, poznawalne zmysłowo (struktura podobrazia, splot tkaniny, najczęściej grubego, naturalnego płótna, sposób posługiwania się narzędziem malarskim, pędzlem, szpachlą, wreszcie – konsystencja farby, kładzionej laserunkiem lub impasto) oraz tego, co zwykliśmy utożsamiać z walorem duchowym dzieła. I tutaj skala możliwości okazuje się niemal nieograniczona, tym większa im mniej szans na konkretyzację lub jednoznaczną interpretację pozamalarskich, czyli w istocie fabularnych, „czysto literackich" treści. Skala ta jednak zawęża się znacznie w sytuacji, gdy artysta decyduje się na odautorski, często mocno rozbudowany, erudycyjny komentarz.

Co zatem czyni przedstawiony na obrazie Alchemik? Czyż nie bada duchowości lub może uduchowienia materii? I czyż nie ma w owym badaniu oznak ewidentnego szaleństwa?

A przecież postępował podobnie na początku swej najpierw naukowej, a później artystycznej drogi Adrian Leverkühn, obserwujący bacznie eksperymenty przeprowadzane w domowym laboratorium swego ojca, przewrotnego kolekcjonera wizerunków motyli i żab, tworzącego z materii nieorganicznej „heliotropiczne", „żałosne imitacje życia podążające ku światłu", imitacje

zawieszone w roztworze szkła wodnego? Czyż nie intrygowały Adriana owe utajone byty porostów i alg, brunatnych mchów, krystalicznych drzewek i form antropologicznych, przypominających korzeń żeńszenia lub mandragory? To w końcu Adrian, kwitujący niebezpieczne zabawy Jonathana Leverkühna ironicznym śmiechem, sam zafascynowany był tajemną magią liczb i zapisywanych słowami dźwięków tej samej muzyki, którą po latach dane mu było prezentować publicznie? Adrian, dotknięty nieuleczalną chorobą, cierpiący na migrenę i depresję, zapewne hipochondryk, ów przyszły „genialny kompozytor" podejmujący u schyłku swego życia dyskurs z Mefistofelesem, paktujący potajemnie z diabłem? Wreszcie Adrian - bohater literacki, pierwszoplanowa postać powieści Thomasa Manna „Doktor Faustus", powieści której wnikliwa lektura w latach 1954 – 65 okazała się dla Wiesława Markowskiego najważniejszym doświadczeniem pustelniczego życia? Kiedyś zapytany o owo mistyczne doświadczenie, małomówny z natury artysta stwierdził dość lakonicznie: „Wolę malować, niż mówić. Przeczytaj „Doktora Faustusa", a zwłaszcza rozdział XXV, a powinieneś to zrozumieć, tam jest powiedziane o co chodzi. Nie potrafię mówić — może lepiej zrób wywiad z kim innym, nie ze mną?"[1]

W roku 1973 uważna lektura powieści (czytywało się wówczas nie tylko Thomasa Manna, ale i Marcela Prousta, a nade wszystko – prozę egzystencjalistów) mogła lub może nawet musiała odmienić życie. Pod koniec lat 60-tych, kiedy to w Polsce wydano zbiór esejów Jean Paul Sartre pod znamiennym tytułem „Czym jest literatura?"[2] pytanie to powracało wielokrotnie nie tylko na łamach prasy, ale i w prywatnych rozmowach. Po książki stało się wówczas w kolejkach, co ciekawsze „zdobywało spod lady". Rozmawiało się jeszcze o biografiach pisarzy, dyskutowało na temat bohaterów literackich, spierało o intencje autorów. Dla Sartre literatura była „stanem umysłu" człowieka podejmującego działanie, dobrze skonstruowana proza – apelem, a słowo – „przejrzystą szybą" zza której wyłaniał się „prawdziwy", prawdziwszy niż ten realny świat. Dzisiaj kiedy zadajemy sobie to samo pytanie przychodzi nam co prawda na myśl cały szereg snobistycznych, „uczonych" teorii, od hermeneutyki, opisu tekstu literackiego począwszy, a na semiotyce, ontologii dzieła skończywszy, ale gubimy prawdziwy sens, prawdziwą wagę słowa pisanego.

Czytanie jednej książki po wielekroć, wchodzenie w tekst do ostatka, studiowanie i analizowanie do granic mogło się jeszcze

w drugiej połowie XX wieku (kiedy to rozwój techniki i technologii nie zdążył unicestwić niezależnej myśli, a pojęcie „literatury zaangażowanej" nie zostało jeszcze ostatecznie skompromitowane) wydawać jedyną, sensowną drogą poznania, osobistą odpowiedzią czytelnika na apel autora. Studiowanie epiki stawało się zatem paktem, tajemnym porozumieniem, wyznaczało rodzaj budowanego mozolnie traktu, którym podąża się konsekwentnie, po prostej, w odosobnieniu, doświadczając charakterystycznej dla ascetycznej, oszczędnej w doborze słów prozy - „przejrzystości języka". Czytanie okazywało się sposobem na życie, sposobem doświadczania wolności, rodzajem emigracji, ucieczki „w głąb", dającej szansę na porządkowanie własnych myśli, na wyjaśnianie rzeczywistości, na budowanie własnej wizji realnego i w miarę wchodzenia, zatracania się w literaturze – coraz bardziej wyrazistego, logicznego i równocześnie niebezpiecznego świata.

Można zatem przypuszczać, że takiego, intensywnego kontaktu z prozą doświadczał Wiesław Markowski, gdy przez 11 lat studiował wnikliwie „Doktora Faustusa" by wreszcie w 1964 zacząć (jak pisze Krystyna Fabijańska-Przybytko) malować „pierwsze obrazy figuralne utrzymane w zupełnie nowej ekspresji i nowej poetyce".[3] W tamtych latach artysta żył w odosobnieniu i wydaje się, że w swoim prywatnym eremie, w pięknej acz wielce zaniedbanej willi przy Jaśkowej Dolinie we Wrzeszczu, na parterze obszernego domostwa (o ile dobrze pamiętam) usytuowanego w zaniedbanym, poniemieckim ogrodzie – odnajdywał szansę na metafizyczne spotkania z Absolutem, z Demiurgiem lub może jak Adrian – z Mefistofelesem. Malował już wówczas w sposób bardzo rozpoznawalny, sobie tylko właściwy, operując wszystkimi odcieniami szarości i bieli, niekiedy ugru i pastelowych, rozświetlonych brązów. Farbę kładł gęsto, impasto, mozolnie nakładając kolejne warstwy, żłobiąc kontury, obrysy w których zatrzymuje się światło, odkrywając chropawe struktury owych supłów i zgrubień, nacieków i „pleśni", przypominających że faktura obrazu, faktura niemal rzeźbiarska umożliwia odkrywanie utajonego życia malarskiego tworzywa, materii.

Oto „Prorok" z twarzą znieruchomiałą, zastygłą w milczeniu, zda się przysłoniętą aksamitnym mrokiem, a w istocie o rysach czytelnych, z twarzą wyciosaną jak maska, zdeformowaną, wychudzoną. Prorok okaleczony i chromy, z okiem ślepca ukrytym za czarnym okularem, spoglądający już tylko „do wewnątrz", trzymający w dłoni naznaczoną białym, ostrym pigmentem kartę. Asa trefl w stanie rozpadu, wyciętego w grubej tekturze, której chropawa powierzchnia ulega powolnemu niszczeniu, złuszcza się i płatami odpada.

W tym samym roku co „Prorok" oraz przywołany na wstępie „Alchemik" powstaje jeszcze jedna, podobna stylistycznie, oszczędna w doborze środków wyrazu, zgeometryzowana, statyczna kompozycja zatytułowana „Lichwiarz". Jednowyrazowy tytuł sugeruje, że jest to symbol lichwiarza, tak jak symbolem szalonego naukowca, badającego duchowość materii, wchodzącego w świat magii, filozofii i metafizyki stawała się dla Markowskiego postać alchemika. Wszyscy trzej: Prorok, Alchemik i Lichwiarz zdają się trwać w przejmującej, niemal grobowej ciszy. Atrybutem ich trzech staje się bezruch, podkreślony szczególną emanacją matowego, mlecznego, mocno rozbielonego światła, które nie buduje bryły, a raczej sączy się zwolna, skądś spoza obrazu, jakby z drugiego planu. Kluczem do interpretacji tych trzech kompozycji pozostaję trwanie, zatrzymanie w bezruchu i ciszy. Ów akt trwania okazuje się podobny temu, którego doświadcza w rozdziale XXV „Doktora Faustusa" Adrian Leverkühn, przeszyty, przeniknięty wionącym od swego niespodzianego gościa chłodem.

Oto (przeniesiony z kart powieści) zapis trwania w pustce i milczeniu, fragment owego wewnętrznego, domniemanego dialogu kompozytora z diabłem: „Wiesz – li co, to zamilcz. Milczę tedy w sobie. Wmilczam to wszystko w ten nutowy papier, podczas gdy mój kompan in eremo, z którym się śmieję, głowi się w drugim końcu sali nad translacją miłej mu mowy obcej na mowę rodzimą, a jemu nienawistną. Myśli, że komponuję, a gdyby ujrzał, że słowa piszę, pomyślałby, że Beethoven podobnie czynił."[4]

Tak, więc powieściowy diabeł nie wydaje się erudytą, nie jest też intelektualistą, a raczej niepozornym, mocno spoufalonym „kompanem", co to przychodzi do kompozytora nieproszony i spokojnie zasiada w rogu kanapy. Nie taki znowu postawny i elegancki jak mogło by się wydawać, żaden „prawdziwy pan". Prosty by nie powiedzieć grubiański Mefistofeles lub może Szatan, usposobiony nieco filozoficznie, co to zakładając niedbale nogę na nogę – żąda by „gadać" jego ulubioną mową, w starej niemczyźnie, bez „nijakich ogródek i facecji". Znamienne, że bohaterowie obrazów Markowskiego, mimo że doświadczają samotności, odosobnienia, owego „wmilczania się" w siebie – nie pozostają sami. Lichwiarzowi towarzyszy nieco surrealna, płaska, jakby wycięta z papieru, mocno rozbielona postać, ni to mężczyzny, ni kobiety, trzymająca w grubych, pokrzywionych, wynaturzonych palcach sporych rozmiarów monetę. Widzimy wyrazisty profil, naznaczony delikatnym, jasnym konturem, łysą czaszkę, czujemy badawcze spojrzenie małych, świdrujących oczek. Oczy Lichwiarza, podobnie jak jedno oko Alchemika i oko Proroka, pokryte matowym bielmem okularów – zdają się patrzeć gdzieś w przestrzeń, tak jakby tam właśnie znajdował się interlokutor, druga osoba dramatu, przyciągająca bezwiedne spojrzenia.

Każda z tych trzech kompozycji, zbudowanych wokół postaci Alchemika, Lichwiarza lub Proroka stanowi rodzaj dobrze wyreżyserowanego spektaklu, rozpisanego tylko na dwie, równie znaczące, pierwszoplanowe role. Na monolog wygłaszany wobec lub może w obecności milczącego interlokutora. Na pozornie zagraconej, przypominającej wnętrze zapomnianego lamusa, a w istocie zapełnionej starannie dobranymi przedmiotami, scenie - staje samotny aktor by wobec jednego widza, którego obecności można sie tylko domyślać – zagrać swą ostatnią rolę.

„Tam, gdzie jestem Ja – tam jest także i On." Oto zasada, reguła, niekwestionowany, logiczny sens każdego, utrwalonego na płótnie - spektaklu. Kwintesencja idei artystycznego bytu, którą w powieści Thomasa Manna z naiwną swobodą, z lekceważącą beztroską odkrywa przed Adrianem (skłonny do autoironii, zakochany w paradoksach) diabeł. Diabeł mający słabość do wyrażania się metaforycznie i ozdobnie, epatujący chłodem, diabeł trojga imion, z których każde brzmi równie dziwacznie co obco – proponuje kompozytorowi kupno „wielkiego czasu, szalonego czasu, czasu iście diabelskiego" bowiem „klepsydra została już ustawiona, a piasek bądź co bądź sypać się zaczął". Znamienne, że czas to milczący, rozmalowany w milczeniu.

Małgorzata Dorna (Wendrychowska)

---

1. „Doktor Faustus", fragment wywiadu z W. Markowskim, M. Komendecki, Litery, Miesięcznik społeczno-kulturalny Wybrzeża, 1973/6, s. 26.

2. J. P. Sartre, Czym jest literatura?, Wyd. PWN, Warszawa 1968.

3. K. Fabijańska-Przybytko, Twórczość Wiesława Markowskiego, Muzeum Narodowe w Gdańsku, Gdańsk 1981, s. 8.

4. T. Mann, Doktor Faustus, Żywot niemieckiego kompozytora Adriana Leverkühna, opowiedziany przez jego przyjaciela, przekład: M. Kurecka, W. Wirpsza, Czytelnik, Warszawa 1985, s. 206.

Malwina Krawczyk

***(Incipit ostrej świadomości teraz i jutra…)

Incipit ostrej świadomości teraz i jutra
Blasku i cienia, który widnieje na zegarze
W kalendarzu - źwierciadle Mesaliny zwanej czasem
Teraz podupadł, zniknął, zdmuchnięty Zeitgeistem
Nikt nie mówił, nie pisał na poczerniałych stronnicach
O odczuwalności świata. O lekkim zakrzywieniu nieba.
I kanciastych ranach bruku, rozedrganym zapachu jesieni.
Cynamonowe obicia ktoś zapiekł w słowach
Wypchał kondora i cały Eden
Próchniczym posmakiem myśli
Zatarł granice, czy to kwiat, czy zwiędły kamień?
Nikt, ktoś, nigdy i zawsze
Przeczymy sobie przez wszelkie uogólnienia,
które alienują naszą rzeczywistość
Niedostrzeżone orbity spływającej wody
Ciemne galaktyki ciekłego fetoru
Przelewa się z pustego w próżne
Bo najpierw było Słowo

Efemeryda czasu i pamięci

Jedna fotografia
jak strzała Eleaty
przeszyła czas
Obracam ją w palcach
Spoglądam na te spokojne obłoki sunące po niebie
Na taflę oczu - nie wiedzieli
W tle meandry srebrnej rzeki
Pełno wrzosu na bukiety
I palce promieni - to one podpaliły brzegi
Wypadły poza kadr, jakby rozlał się żar
Jak pamięć i zegary tamtych dni
Biegną wskazówki w tył
Przywracają tylko obrazy
Jakby skończył się czas
Pękł jak tłuczone szkło
Brzęk rozpadłych fotografii
I tylko jedna ocalała
a na niej nadzieja i my

Pożegnanie Ojczyzny

Powoli ująwszy mą dłoń z ukrytym rumieńcem
Ogarnąłeś spojrzeniem nasze zgliszcza
Przybyliśmy z wieńcem
białych róż, choć za jasna ta biel
Jak dzbanem z tulipanami w mym rodzinnym domu
Jak jego dłonie, gdy zażenowany kaszlał
nad klawiaturą fortepianu
Choć to inna biel
Skradziona ta biel, lecz komu?
Oczy pełne łez, bo och, Boże!
Bo i takie bociany na polskim ugorze
Lecz i lica nasze już niewidoczne
Omdlałam trzepocząc sercem
Bo i szkarłat róż
Niby pulsująca krew
Niby maki co na polu bitwy piły nasze łzy
Co jak niebo w tamte dni
Haftowane wstęgą żył
Wyszywane obrazami jak dantejskie sceny
Żywe stają przed oczami
Wietrze zdmuchnij z serca ołowiany pył!
Choć wystrzały z armat były mi tłumami
Szkarłatne pęki niczym serce co to pękło
Stoimy z pełnym róż wieńcem
Skostniałymi palcami wskazałeś wypatrywany grób
Nie dane nam było zwieńczenie męki
Stoim nad ojczyzny mogiłą
Targani przez furie, byłaś naszą miłą
Podążymy może jeszcze za Nike
ku zwycięstwu
Choć i szabla ciąży z twego boku
A my powtarzamy: <wolność kolejnego roku>

Niech będzie pochwalony Jubileusz XX- lecia Literackiej Gazety Gdańskiej MIGOTANIA

Jan Stanisław Smalewski

Nie wiem jak inni, ale ja bardzo lubiłem jubileusze. Dlaczego w czasie przeszłym? Wiadomo, teraz można o wielu tego typu wydarzeniach tylko pomarzyć. Lub jedynie je powspominać. Już samo pojęcie „jubileusz" budzić w nas może dziwne uczucie jakiejś tęsknoty, może nawet niemocy. Weźmy chociażby pod lupę takie zwyczajne rodzinne rocznice. Jubileusze urodzin, imienin, pożycia małżeńskiego... Kiedyś kojarzyły się one nam zawsze z okazją do mniej lub bardziej hucznego świętowania, z okazjami do większych rodzinnych i towarzyskich spotkań, do sympatycznych gestów upamiętniających te święta - bo i świętami było można je nazwać - poprzez upominki, prezenty, a nawet odznaczenia, czy też inne gratyfikacje wartościujące.

Kiedyś. A dzisiaj to „kiedyś" staje się coraz odleglejsze. I nie tylko z powodu szalejącej pandemii covida. Bo czas umyka, a wartości z nim związane, wartości dominujące w naszym życiu codziennym zanikają, ulegają degradacji. Bo dewaluują się nasze tradycje, zanikają wyjątkowo trwałe niegdyś więzi rodzinne, a już zwłaszcza społeczne.

Bo społeczeństwo z roku na rok staje się coraz bardziej rozbite, podzielone, zagubione w codzienności, której też coraz więcej mamy do zarzucenia.

Oczywiście, kiedy dochodzi się do reminiscencji jubileuszowych, należałoby dopowiedzieć – co jest tego powodem, dlaczego tak się dzieje?

Wyjaśnienia, że winny jest zmieniający się wciąż, i to zwykle na niekorzyść, świat; Dzieje się tak nie tylko w skali makro, ale również w skali własnego środowiska i przysłowiowego podwórka. W skali społecznych i politycznych oczekiwań dotyczących przede wszystkim poprawnych warunków bytowych, zdrowia i zaspakajania podstawowych potrzeb, w tym duchowych. Dodajmy zmiennych wraz z postępującym utechnicznieniem i rosnącymi z tego tytułu oczekiwaniami.

~

Za co lubiliśmy i zapewne nadal będziemy lubić jubileusze?

Lubimy je za nie-codzienność, za świąteczny charakter. Za swoistą mszę duchowości. Jeśli oczywiście są należycie postrzegane i obchodzone.

Lubimy je za pielęgnowanie pamięci. A pamięć? – każdy wie - taką mamy pamięć, sorry, na jaką sobie zasłużymy. Pamięć należy odświeżać, pamięć należy czcić (np. o przodkach), troszczyć się o nią. Jeśli ktoś mówi: - Już ten film widziałem, już czytałem tę książkę, to stara gazeta po co do niej zaglądać? – Nie ma racji. Powierzchowność w zapamiętywaniu wartości, dewaluuje je. Taka pamięć jest mglista, zanika.

Dobry wiersz czytam kilkakrotnie, bo nie tylko wyzwalam w ten sposób w sobie emocje, ale pobudzam wrażliwość, uczę się szacunku do wartości. Dobry film warto obejrzeć po jakimś czasie ponownie chociażby po to, by sprawdzić ile zapamiętaliśmy z poprzedniego oglądania. No i dla utrwalenia sobie tego, co w nim było dla nas najwartościowsze.

To samo z książką. A już gazeta? Nic tak nie przybliża nas do minionego czasu, nic tak nie pobudza wspomnień i nic tak nie absorbuje naszej pamięci, jak po latach powrót do treści, które kilkanaście, czy kilkadziesiąt lat temu były dla nas swoistym wyznacznikiem naszego postępowania - norm społecznych, obyczajów, kultury, mody na cokolwiek.

Powrót do przeszłości może wzmacniać wartości kulturowe, utrwalać historyczne prawdy o świecie, pobudzać refleksje nad życiem, które jest zmienne, wciąż poszukujące, a do tego jeszcze kruche.

~

Mamy rok dwa tysiące dwudziesty drugi. Rok Jubileuszu Gazety Literackiej MIGOTANIA. Celowo rozciągam czasowo ten „J u b i l e u s z" na cały rok, gdyż moim pragnieniem jest, by każda okazja do przypominania, że taki periodyk dwadzieścia lat temu powstał i jest z nami – Jego Czytelnikami, była okazją do mówienia i myślenia o pamięci, o wartościach którym Gazeta służy i do kultywowania literackich tradycji przez Nią upowszechnianych.

Oczywiście nie wykluczam działań upamiętniających konkretny termin powstanie Gazety i gratyfikujących ludzi sprawujących pieczę nad Jej bytem i intelektualną ekspansją.

MIGOTANIA dzisiaj to jeden z najbardziej cenionych periodyków literackich w kraju. To bogata w treści około stustronicowa starannie wydawana gazeta, która jest także dostępna w formie internetowej.

Pierwszy jej numer ukazał się w czerwcu 2002 roku i to jest konkretną datą Jej narodzin oraz wskazówką do uroczystego świętowania.

Swój byt gazeta rozpoczynała skromnie. Czerpiąc swą nazwę ze skróconego fragmentu tytułu tomiku Zbigniewa Joachimiaka zadomowiła się w literaturze niemal na całe pierwsze dziesięciolecie jako „Migotania, przejaśnienia". – Pod zmienionym, skróconym na „Migotania" tytułem zaczęła ukazywać się od 2011 roku.

Pierwszy jej numer nie był jeszcze twórczym zamysłem konkretnej gazety. Był jedynie, jak to odnotowano w kronikach, „wielodniową jednodniówką" mającą upamiętnić wydawniczy sukces poetycki Zbigniewa Joachimiaka i zorganizowaną z tej okazji noc poetów. Dopiero po zebraniu opinii w środowisku i gruntownej ocenie swych możliwości trzech zaprzyjaźnionych poetów gdańskich Zbigniew Joachimiak, Antoni Pawlak i Władysław Zawistowski postanowiło nadać temu wydawnictwu charakter stały, cykliczny.

Wymienieni wyżej trzej poeci mieli już za sobą wystarczająco dużo życiowych doświadczeń i dokonań twórczych, by pokusić się o stworzenie czegoś znacznie obszerniejszego i społecznie dostępniejszego niż książki autorskie. Tym czymś stała się gazeta literacka. Współredagowali ją początkowo wspólnie, nadając jej ton zbliżony do ich indywidualnych doświadczeń i oczekiwań. A że byli w tym zgodni, mimo braku jednoosobowego kierownictwa udało im się stworzyć pismo niezależne, z szerokim wachlarzem wątków i tematów oraz skupiające coraz większą grupę sprzyjających im ludzi, którym na sercu leżało dobro polskiej literatury.

Współpracę wówczas z gazetą podjęli tacy znani twórcy jak m.in.: Miriam Akavia, Edward Balcerzan, Marta Fox, Krzysztof Gąsiorowski, Julia Hartwig, Maria Jentys, Andrzej Żurowski, Tadeusz Różewicz, ks. Jan Sochoń, Janusz Styczeń, Andrzej K. Waśkiewicz, Grzegorz Musiał, Jacek Kaczmarski, Andrzej C. Leszczyński, Jerzy Limon i wiele innych równie znamienitych osób.

W roku 2006 Antoni Pawlak i Władysław Zawistowski odeszli z redakcji, redaktorem naczelnym został Zbigniew Joachimiak. Joachimiak był też w tym czasie (do 2008 roku) prezesem wydawnictwa Tower Press w Gdańsku specjalizującego się w literaturze polskiej. Wydawnictwa skupiającego się wówczas głównie w tematyce historycznej Gdańska, Kaszub i Pomorza. Pismo pozostało zasadniczo takie samo, ale bardzo znacząco zaczęło się rozwijać. Nie uległo też niebezpieczeństwu przekształcenia również w gazetę o charakterze regionalnym, preferującym jedynie twórców z regionu Trójmiasta czy Gdańska. „Migotania" to z całą pewnością pismo ogólnopolskie, ale przecież również w sposób oczywisty gdańskie.

Pismo kontynuowało (i nadal kontynuuje) politykę otwartości na wszelkie nurty literackie, akceptując i popularyzując dokonania literatów i artystów różniących się zarówno pokoleniowo, jak i związanych z różnymi kręgami artystyczno-intelektualnymi. Pojawiło się wielu nowych autorów, a wśród nich Józef Baran, Anna Frajlich-Zając, Ewa Graczyk, Bartosz Jastrzębski, ks. Janusz A. Kobierski, Cezary Sikorski, Wojsław Brydak, Leszek Szaruga, Adam Majewski, Urszula Małgorzata Benka, Roman Warszewski, Zbigniew Kresowaty, Małgorzata Dorna-Wędrychowska, Marian Pilot, Czesław Karkowski, Janusz Wałek, Marek Wawrzkiewicz, Joanna Sendłak, obie Panie Śmiechowicz, Bogusław Żyłko … i można by tak długo wymieniać. Jak policzono przy okazji XV- lecia pisma, przewinęło się do tego czasu sześciuset autorów, do dzisiaj pewnie następne dwie setki, jeśli nie więcej.

W numerach „Migotaniach, przejaśnieniach", a następnie „Migotaniach" pojawiło się wiele nazwisk pisarzy emigracyjnych (tej dawnej oraz obecnej emigracji), a też pisarzy niesłusznie zapomnianych (np. Helena Raszka, Erwin Kruk). Nigdy nie brakowało tłumaczeń na język polski z literatur nieomal wszystkich kontynentów.

Warto wiedzieć, że „Migotania" przez wiele lat ukazywały się bez żadnego wsparcia publicznego, za pieniądze pochodzące z osobistych źródeł redaktora naczelnego. Dopiero od kilku lat gazetę doceniły władze samorządowe i ministerialne i zaplanowano dla pisma wsparcie finansowe. Gazeta jest nadal głównie projektem społecznym, bowiem nie posiada nawet pół osobowego →

etatu, autorzy nie otrzymują honorarium, a finansowanie bez szaleństw starcza na koszty wytwórcze: skład, redakcje i korekty, i druk.

≈

Za co lubię i dlaczego należy pochwalać „Migotania"? Bo to dojrzała już w swej dorosłości Gazeta nieustannie trzymająca fason. I to zarówno w zakresie edytorskim jak i profesjonalizmu twórczego; nawet jeśli pojawiają się w Niej debiutanci.

W epoce socrealizmu, w czasach funkcjonowania PRL debiut literacki był czymś niezwykle trudnym, a w prasie – mimo dość gęstego funkcjonowania tytułów – poezja należała do pewnego rodzaju sacrum. Dbano o poprawność ideologiczną. Sito cenzury było gęste.

Nie należę do debiutantów. Mój debiut poetycki też obchodzi swoisty mini-jubileusz – trzydziestoletni, gdyż w lutym 1982 roku po raz pierwszy w znaczącym wówczas ogólnopolskim miesięczniku „Poezja" Marek Wawrzkiewicz, odkrywca mojego talentu lirycznego, opublikował aż... siedem wierszy. Prowadziliśmy wówczas ze sobą korespondencję, w której pan Marek nawet udzielał mi porad twórczych. I nie zapomnę nigdy „awantury" poczynionej mu przez Ernesta Bryla, że: „jakim prawem jakiemuś debiutantowi wydrukowałeś jednorazowo siedem wierszy, kiedy ja wcześniej przez cały rok miałem w miesięczniku ich tylko sześć?".

Przetrzymuję w swoim archiwum kilka innych dokumentujących tamtą epokę listów, np. od Urszuli Kozioł, że zakwalifikowała moje wiersze do druku w „Odrze" (miesięcznik literacki wydawany we Wrocławiu), ale muszę poczekać w kolejce około roku czasu. I list od naczelnego redaktora „Kultury", który zaskakująco odważnie poinformował mnie, iż „mimo wartościowych literacko wierszy nie mogę ich panu opublikować, gdyż niestety w „Kulturze" miejsce na poezję jest zarezerwowane odgórnie tylko dla znaczących twórców...".

Wiem, dzisiaj poeci też nie mają łatwo, zwłaszcza debiutanci, ale i niełatwo mają wszyscy pozostali twórcy. Ja za te wspomniane 7 wierszy w „Poezji" otrzymałem honorarium w wysokości 800 złotych (moja pensja wtedy wynosiła 2.260 zł). Dzisiaj poetom, autorom tekstów drukowanych (publikowanych) w periodykach i na portalach internetowych nikt nic nie płaci. Bycie poetą jest powołaniem do spełniania duchowych pasji twórczych, do wypełniania misji szerzenia zwykłej ludzkiej wrażliwości przeciwstawiającej się współczesnemu światu zła i społecznej niesprawiedliwości.

W „Migotaniach" poezja ma stałe zakotwiczone od początku miejsce. Mają je ciekawie piszący debiutanci. Lektura poezji budzi refleksje szerokim ujmowaniem współczesnych trendów i wartości.

Są jeszcze, chociaż śmiem twierdzić, że w postępującym zaniku, instytucje, a przede wszystkim ludzie, którym zależy na polskiej literaturze, sztuce, poezji. Są pasjonaci, którzy mają wielkie otwarte serca na kulturę. Ale są to głównie osoby prywatne, które często poświęcają na ten cel własne środki finansowe, poświęcając też im osobiste duchowe zaangażowanie.

Do takich osób niewątpliwie należy naczelny redaktor kwartalnika „Migotania" Zbigniew Joachimiak i do takich osób należą również Jego liczni dawni i dzisiejsi Przyjaciele, a również Pomorski Samorząd – ludzie współtworzący i wspierający Gazetę, bez udziału których mogłoby choćby od 2018 roku jej nie być. A przypomnę – w roku tym ze względów politycznych (choć nikt tego wprost nie powiedział)– wstrzymano Kwartalnikowi finansowe wsparcie z państwowych funduszy na kulturę. Na szczęści pismo liczyć może na konsekwentne wsparcie finansowe Urzędu Marszałkowskiego w Gdańsku

Może to mniej ważne, ale ujęło mnie wtedy również, że kierowane do Czytelników apele o wsparcie finansowe nie nosiły znamion zwyczajnego żebractwa. A do tego, co warte jest podkreślenia, Redakcja zawsze potrafiła za pomocą „dziękczynnych dyplomów" darczyńcom ładnie podziękować.

≈

„Migotania" powstały już jako pismo stawiające sobie za cel: Odpowiadać na zmieniające się czasy – trudne dla polskiej literatury.

Po wstępnych dokonaniach transformacji ustrojowej, którą rozpoczął rok 1989, przestała funkcjonować opiekuńcza rola państwa. Szerokim łukiem ogarniał władczo całą naszą gospodarkę kapitalizm. Przygotowując do druku kolejną swoją książkę historyczną o zabarwieniu jubileuszowym (na XX-lecie zwycięstwa w wyborach czerwcowych) p.t.: 4 czerwca 1989 wybraliśmy wolność" przeprowadzałem wywiad z Lechem Wałęsą. Spotkałem się z nim w Gdańsku w jego biurze na Długim Targu. Wałęsa przygotowywał się wówczas do spotkania z Kliczką, którego „uczył, jak zostać przywódcą robotników na Ukrainie". Na moje pytanie czy jest zadowolony z przemian zachodzących w kraju, miał spore kłopoty z odpowiedzią. Tłumaczył najpierw, że jako zwykły robotnik zrobił swoje, obalił komunizm. Natomiast co stanie się po tym, był przekonany, że zadbają o to ludzie do tego przygotowani: wykształceni politycy, prawnicy, ekonomiści... „No, on teraz wie, że to wyszło inaczej i nie o taką przyszłą Polskę mu chodziło. Ale kto wtedy wiedział, jak zbudować ustrój sprawiedliwszy i od komunizmu i od kapitalizmu? I jeden i drugi był zły, a czegoś pośredniego nikt nie znał". – To wtedy, jak wiemy powstał znany slogan „kapitalizmu z powybijanymi zębami". Ten kapitalizm mści się na nas do dzisiaj. Jedną z dziedzin, która najboleśniej tego doświadcza jest polska kultura. I zepchnięta na margines życia społecznego literatura, której zarówno byt, jak i rozwój uzależnione zostały w dużej mierze od dotacji pozostających we władaniu lokalnych samorządów i odpisów od podatków z podlegających rozliczeniom z państwem dochodów finansowych osiąganych przez różne instytucje oraz przedsiębiorców. - W ostatnich latach przycinanych i odbieranych im przez państwo „na wyższe cele". Nie ciągnąc tematu sparafrazuję: Niszcząc, pozbawiając naród jego kultury, wynaradawia się go, oddaje we władanie wrogom.

Przykłady w tej mierze można mnożyć w nieskończenie. Najpierw jako korespondent terenowy zostałem odizolowany od lokalnych dzienników, którym brakło środków na płacenie honorariów autorskich. Z dnia na dzień prywatny właściciel przejął ilustrowany tygodnik legnicki „Konkrety" i zlikwidował redagowany przeze mnie obszerny „Arkusz Poetycki", oddając szpalty na szeroko pojętą reklamę – przynoszącą „większy zysk" nowemu wydawcy. Zmieniały się wartości: pieniądz, majątek, chciwość i pazerność początkującego kapitalisty zastępowała wartości duchowe, wartość literackiego słowa.

Zaraz na początku transformacji ustrojowej zapomnieć musieliśmy o patronacie państwa nad autorami książek, z których każdy mógł liczyć na planowy, w miarę wysoki nakład i stałe uzależnione od niego honorarium. Nakład – dodajmy – związany z ilością funkcjonujących w Polsce bibliotek i księgarni.

Co to ma do rzeczy w przypadku utrzymywania się na rynku MIGOTAŃ? I jaki to ma związek z Ich Jubileuszem? Otóż bardzo duży. Przede wszystkim taki periodyk, kwartalnik, gazeta jak „Migotania", podtrzymywany przez postępowe o patriotycznym nastawieniu instytucje i osoby prywatne są, pozostają, ważnymi przyczółkami w pielęgnowaniu literatury i utrwalaniu polskiej kultury. W kontynuowaniu tradycji i dziedzictwa narodowego. W podtrzymywaniu tych wartości wśród młodych pokoleń, młodzieży.

≈

Za co powinniśmy lubić MIGOTANIA? Za wiele rzeczy; za format, za ich objętość, ale przede wszystkim za publikowane w nich wartościowe literacko treści. W „Migotaniach" przeczytać można zarówno dobrą prozę, jak i poezję. Wnętrze Gazety jest bogate zarówno w gatunki literackie, jak i nazwiska autorów widniejących pod poszczególnymi tekstami. Są teksty krytyczno-literackie, reportaże, eseje, dzienniki, felietony, wywiady.

Gdy pierwszy raz zetknąłem się z kwartalnikiem „Migotania" (z Gdańskiem związałem się na stałe dopiero kilka lat temu), zaskoczył mnie w pozytywnym tego słowa znaczeniu jego format. Elegancki biały papier i niespotykany format plakatowy. Przyznam, że gdy do tego we wnętrzu znalazłem jeszcze wyjątkowy, pojedynczy plakat, który zdobiła autorska grafika autora ilustrującego kolejny numer Gazety, i na którym z jednej strony widniał wydrukowany dużą czcionką wiersz wybrany przez Redakcję, pomyślałem o wyjątkowym guście redaktorów. I pomyślałem również, że redaktorzy są młodzianami lubującymi się we współczesnej awangardowej sztuce. A skoro tak, zapewne i literackie treści gazety będą mocno współczesne. Myliłem się, w „Migotaniach" jest miejsce i dla seniorów literatury i dla współczesnej szeroko pojmowanej awangardy. Jest także miejsce dla tekstów o szeroko pojmowanej sztuce.

Niedawno Gazeta zmniejszyła format, powiększając jednocześnie swą objętość. Redakcja pomyślała to jednak tak, by żadnej z dotychczasowych wartości nie stracić. Zmianę wymusiła zapewne potrzeba szukania oszczędności, żeby Pismo utrzymać.

≈

MIGOTANIA powstały w czasie, gdy na rynek krajowy wkraczał „kapitalizm z powybijanymi zębami". Gdy państwo zaczęło odchodzić od obowiązku bezpośredniej odpowiedzialności za kulturę narodową i gdy polska literatura została zepchnięta na margines życia publicznego. Gdy poeci i pisarze znaleźli się w gronie wyrobników słowa, którym za ich trud zaczęto odmawiać zapłaty. Gdy... zaczęły zmieniać się obowiązujące wcześniej wartości, w tym wartość pisanego słowa.

Zjawisko to nie powinno jednak być tak brutalnie ingerujące w kulturę. Mecenat państwa nad kulturą narodową nadal obowiązuje w naszej konstytucji i zależy tylko od rządzących. My twórcy, artyści, pisarze i poeci szczególnie powinniśmy o tym pamiętać.

Myślę, że „Migotania" są znakiem naszych czasów i to ich tej najlepszej strony.

Jan Stanisław Smalewski

Jan S. Smalewski stale współpracuje z portalem internetowym www.pisarze.pl. Jest autorem 30 tytułów książkowych, w tym m.in. 10 tomików poezji i 13 książek historycznych, a w tym unikatowej trylogii akowskiej „Opowiedział mi Maks", za które w roku 2003 otrzymał od Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego imienny medal (z grawerką nazwiska) „Za zasługi dla Kultury". Aktualnie mieszka na Kaszubach.

Małgorzata
Borzeszkowska

W Gruszkach

świat przewraca się do góry niebem
pachnie
wrzos haftowane krajki przykrywają biedę
skrzypi drewniana podłoga
ciszą pastujemy progi nasączamy strzechy
kłapią okiennice
szczeka pies
nocna sowa poluje na jakieś życie futrzaste i ciepłe zimne
gwiazdy wyroiły się na jesień znów tu jestem
chłonę świat stojąc na głowie
patrzę na obrócone niebo
piję chmury zaczepiły się o rosochaty płot

znów tu jestem
jesteś obok

POWROTY

na Podlasie wraca się z nadzieją, że świat obrócił się w sobie tylko o minutę,
choć gdzieś w świecie pędzi jak oszalały,
że znowu niebo wyleje się w nadmiarze i będzie przeciekać
między świerkami na horyzoncie i snuć mgłą u naszych nóg

na Podlasie wraca się po zapach i rozmydlone o zmierzchu kolory,
nieznane dźwięki w idealnej czerni lasu i Mleczną Drogę nad drewnianymi chatami,
i ducha puszczy, który pomaga żyć

mam tu znowu wszystko i wypełniam luki w samej sobie; niebieskie ściany i zaśpiew, cebulowe hełmy cerkiewek,
wrotycz i sowa przelatująca ponad szosą są jak brakujące puzzle-
zbieram je gdzieś pod Hajnówką, w Nieznanym Borze czy Teremiskach,

układam je w sobie, te nie moje Podlasie
i przez chwilę jestem taką, jaką może zawsze powinnam być -
prawie ukończoną układanką miejsc, kolorów i zapachu traw

Cztery spusty i Królowa Śniegu.

stara kobieta na wózku-
pudełko zamknięte na 4 spusty i haczyk,
telefon poza zasięgiem,
pęknięta winylowa płyta,
suknie starej kobiety drzemią w szafie, z latami gubią dżety jak włosy, tak jak ona gubi myśli,
jej dłonie i pamięć są coraz bardziej splątane i zbłękitniałe szronem
za oknem skandynawska zima, w fotelu na kółkach
na pamięć zamarza stara kobieta
w szufladzie leży klucz do czterech spustów - zapisane w zeszytach wiersze,
których każdy wers to przyszłość i przeszłość zlepione rymem
i
tylko teraźniejszość siedzi w wózku na kółkach
i patrzy w biel
pobłękitniałymi oczami
przez sonet czy poemat,
jak przez szybę

Roman Warszewski

Analia, która stała się Victorią

1.

Gdy po raz pierwszy byłem w Buenos Aires, pewnie w tłumie przechodniów gdzieś bezwiednie mijałem Vicorię Dondę. Ale wtedy Victoria była jeszcze Analią, a Victoria jeszcze nie przeczuwała, że tak naprawdę jest Victorią. W tamtym czasie świadomość tego zaledwie w niej nabrzmiewała, dojrzewała, by dopiero po latach eksplodować.

Victoria przyszła na świat… No właśnie: nawet tak elementarnego zdania na jej temat nie można skończyć bez sążnistych wyjaśnień. Bo dziewczynka, choć urodziła się jako Victoria, zaraz stała się Analią. I choć przyszła na świat w roku 1978, w jej metryce znalazł się rok 1979.

Tych dwóch lat Analii zawsze brakowało. Porównując się z rówieśnikami, od samego początku sama czuła, że coś jest nie halo, że coś się nie zgadza. Zawsze była bardziej dojrzała fizycznie od swych rówieśników, a także górowała nad nimi intelektualnie. Gdy się ma 50 lat, różnica dwóch lat może być niezauważalna. Lecz gdy na się lat 10 lub 15, dwa lata to cała epoka.

To był pierwszy sygnał.

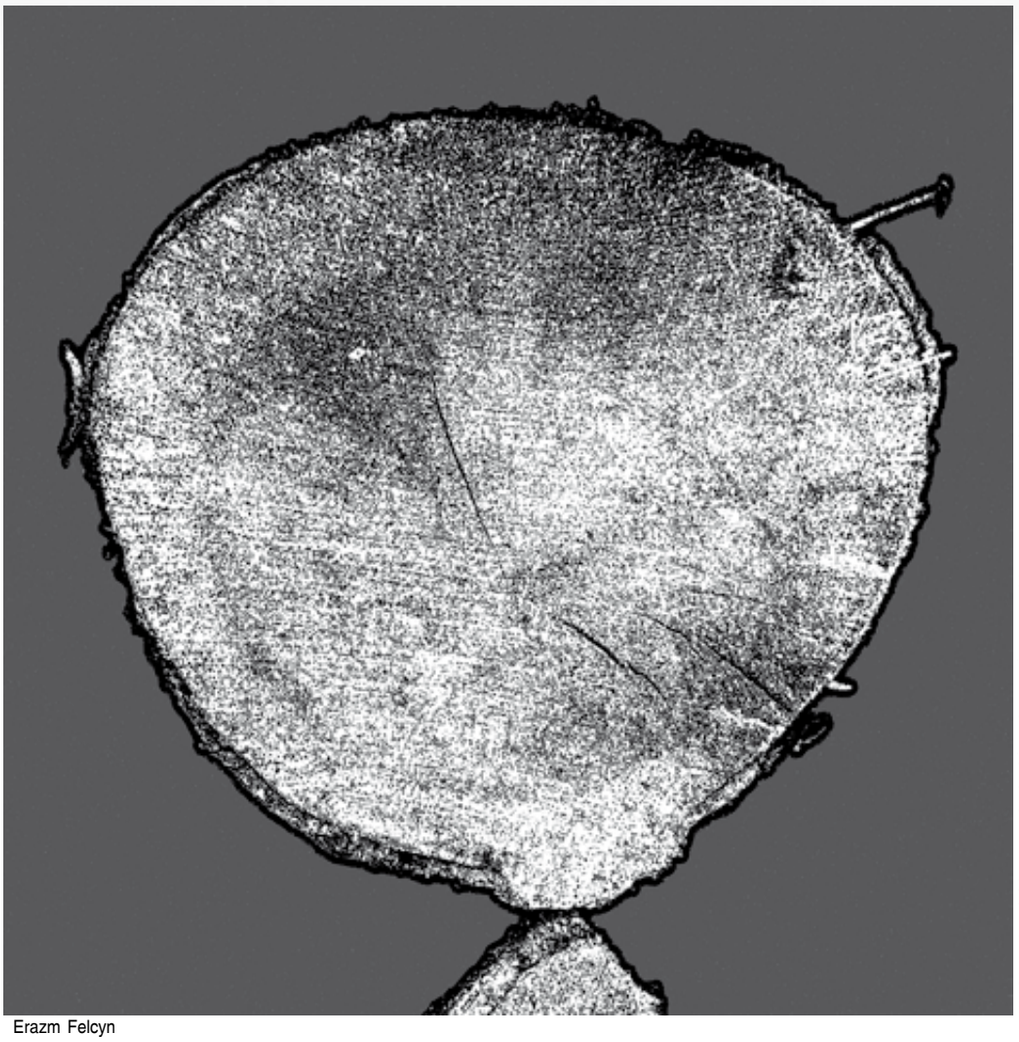

Erazm Felcyn

Drugim były jej zainteresowania. Bo mimo że jej rodzice – Raul i Graciela, byli osobami o przekonaniach wyraźnie konserwatywnych, blisko związanymi z argentyńskim establishmentem, Analia od zawsze sympatyzowała z lewicowcami (których w kręgach, w których obracała się jej rodzina, oczywiście nazywano lewakami). Tak zaowocowały jej lektury? Niekoniecznie – w tamtym czasie nie gustowała jeszcze w książkach zaangażowanych. Więc dlaczego? Nie miała pojęcia. Wiadomo było tylko, że jej przekonania były tak silne, jakby predylekcję do lewicowości wyssała z mlekiem matki…

Trzecim sygnałem był proces, który dzięki interwencji słynnego hiszpańskiego prawnika Baltasara Garzona (tego samego, który w stan oskarżenia postawił chilijskiego generała Augusto Pinocheta) w Argentynie wytoczono pułkownikowi Adolfowi Dondzie. Gdy w Buenos Aires po klęsce w wojnie o Falklandy (po argentyńsku, nie hiszpańsku, *Malvinas*) zaczęły pękać stalowe okowy dyktatury wojskowej, coraz chętniej i głośniej zaczęto sobie przypominać o wszelkich niegodziwościach, których pod rządami wojskowych doświadczyli Argentynki i Argentyńczycy.

A było tego niemało. Delikatnie powiedziane. Było tego co nie miara. W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XX wieku co najmniej 30 tysięcy osób zaginęło tam bez wieści. Byli oczywiście lewicowcami, przepraszam – lewakami. Wielu z nich – w ramach Operacji Kondor – po ogłuszeniu zrzucano z samolotów do oceanu. Z torturowaniem więźniów politycznych się nie kryto; wręcz afiszowano się nim, aby jego obrazy i relacje na ten temat, działały zastraszająco i odstraszająco.

Zastraszanie i odstraszanie to były dwa ostrza tego samego miecza.

Żelazny uścisk wojskowych chcących zdławić protesty lewicy wynikał z tego, iż w Argentynie cały czas miano świadomość, że właśnie z tego kraju pochodził Ernesto Che Guevara – idol lewicowej młodzieży, który wzywał do rozpalenia w Ameryce Południowej co najmniej dwóch, trzech nowych Wietnamów. A Argentyna pod rządami wojskowych na pewno nie chciała stać się jednym z nich. Dlatego jej militarne rządy były tak twarde, tak stalowe, tak bezwzględne. Dlatego też do głębokich podziałów często dochodziło tam nawet w łonie rodzin. Problem ten wielokrotnie pojawiał się w czasie procesu wuja Analii – pułkownika Adolfa Dondy.

Bo Adolfo – wojskowy i skrajny prawicowiec – miał brata Cabo. Inaczej niż Adolfo, Cabo był lewicowcem i należał do terrorystycznej organizacji *Los Montoneros*. Adolfo – jak wynikło z zeznań świadków w czasie procesu – w okresie dyktatury miał doprowadzić do aresztowania Cabo oraz jego żony Cori, która miała równie radykalne poglądy jak jej mąż.

Małżonkowie z więzienia już nigdy nie wyszli. Świadkowie ich pobytu w więzieniu pamiętali tylko, że gdy Cori trafiła za kraty, była w ciąży. Co się stało z Cabo? Co się stało z Cori? Co się stało z ich dzieckiem, które – jak można było przypuszczać – na świat przyszło w więzieniu?

Adolfo w czasie procesu milczał. Na żadne z przed chwila postawionych pytań nie chciał udzielić odpowiedzi. Początkowo sądzono, że zaginionym dzieckiem Cabo i Cori była Mariel Donda – krewna, którą Adolfo przez pewien czas się opiekował. Badania DNA wykazały jednak, że te podejrzenia były niesłuszne. Mariel nie była córka Cori i Cabo. Pytanie, gdzie jest ich dziecko – jeśli przyszło na świat – nadal pozostawało bez odpowiedzi.

Jeśli chodzi o Analię, na początku – abstrahując od jej dziwnych przeczuć – był tylko jeden niepokojący fakt. Na jej metryce urodzenia widniał podpis doktora Luisa Ma-

gnocco. A w Argentynie – gdy po okresie dyktatury zaczął się polityczny ferment – szybko stało się tajemnica poliszynela, że był to lekarz, który swego czasu chetnie współpracował z wojskowymi i podpisał niejeden trefny dokument.

Potem któraś z członkiń organizacji *Abuelas de Plaza de Mayo* (Babć z Majowego Placu – organizacji analogicznej do sławnych Matek z Majowego Placu) zwrócił uwagę na uderzające podobieństwo Anali do Marii Hildy Perez (czyli Cori) i Jose Marii Dondy (czyli Cabo) – tej pary, której urodzone w więzieniu dziecko w latach siedemdziesiątych gdzieś przepadło bez wieści. A jakby tego było mało, znaleźli się świadkowie, którzy pamiętali Cori z więzienia i pamiętali, że ona tam urodziła, po czym dziecko jej odebrano, a ją samą zamordowano.

Gdy uświadomiono sobie, że oskarżony o polityczne przestępstwa dokonane w okresie dyktatury Adolfo Donda to brat Cabo, nic już nie mogło zatrzymać lawiny, która nagle się oberwała. W Argentynie były tysiące dzieci, które w czasach dyktatury odebrano rodzicom o lewicowych poglądach i przekazano wiernym wojskowym bezdzietnym parom. Jednak dziecko, które zostało pozbawione rodziców przez własnego wuja, było tylko jedno…

Znów zarządzono badania genetyczne. Analia długo nie chciała im się poddać. Gdy w końcu dała się przekonać, była to już tylko czysta formalność. Miała już wtedy za sobą całe swoje osobiste śledztwo; już wiedziała, w jakich okolicznościach przyszła na świat i co się potem z nią działo…

– Przeciwne było to – opowiadała później –, że zawsze bardzo podobało mi się imię Victoria i że moja najlepsza przyjaciółka tak właśnie się nazywała. Victoria – imię, które zaraz po porodzie za kratami nadała mi moja matka, zawsze miało dla mnie jakąś niezrozumiałą siłę przyciągania. Pewnie często musiała mi je szeptać do ucha. Nie wiedząc jeszcze, że najbliższa memu sercu osoba, której nigdy nie dane mi było poznać, w czeluściach więzienia nazwała mnie Victorią, mówiłam sobie, że gdybym nie nazywałabym się Analia, chciałabym mieć na imię Victoria…

Dramat i zagmatwanie, które – odzyskując swoja utracona tożsamość – były tym większe, że podczas gdy nie potrafiła wybaczyć popełnionych niegodziwości, to żadnych pretensji nie miała do Raula i Garcieli – dwojga osób, które ją wychowywali i których przez lata uważała za swych prawdziwych rodziców i którzy przez długie lata w pełni świadomie ja oszukiwali, mówiąc, że są nimi naprawdę.

W swoich wspomnieniach Victoria Donda pisze: Dziś Analią i Victoria czuję się mniej więcej w takim samym stopniu – w takim samym procencie. Pół na pół. Nie można bowiem jednym ruchem przekreślić dwudziestu siedmiu lat swego życia. Gdy stawałam się Victorią i gdy już nią potem już byłam, Victoria natychmiast odszukiwała w sobie Analię. Wiem, że już zawsze (…) będę miała problem, by oddzielić rodzinę, z którą łączą mnie więzy krwi, od tej drugiej, (..) z którą – może wbrew zimnej logice – będą mnie łączyć bardzo ciepłe uczucia z dzieciństwa i wczesnej młodości. Mimo oczywistych kłamstw i jej współudziału w niewątpliwym przestępstwie, moja adopcyjna rodzina pozostanie moja – choć z genetycznych analiz wynika coś innego.

2.

Szczerze mówiąc, wydawało mi się to dość dziwne. Niezrozumiałe. Dość szokujące. Dlatego, gdy za jakiś czas znowu trafiłem do Buenos Aires i historię Victorii Dondy już znałem, bardzo chciałem się z nią spotkać i zapytać: Jak to możliwe?

W tym czasie Victoria w Argentynie była już osobą dobrze znaną. Jej historia, którą opublikowała w książce, poruszyła bardzo wiele osób. Jej poglądy polityczne jeszcze bardziej się zradykalizowały. Została wybrana do kongresu. Przez jakiś czas, miała własny program telewizyjny. Starała się w nim pomóc osobom, które znalazły się w sytuacji takiej jak ona: w niemowlęctwie – w czasach dyktatury – zostały odebrane rodzicom, wychowywały się w adopcyjnych rodzinach, które uznawały za swoje własne, a jak jest naprawdę, dowiadywały się dopiero, gdy były dorosłe, a wtedy przeżywały szok, na długi czas traciły grunt pod nogami, a niektóre popełniały samobójstwo…

Jeździła też po świecie. Wielokrotnie odwiedzała Hiszpanię, gdzie w czasach dyktatury generała Franco praktyki, jak ta, której padła ofiarą, były nagminne; zapraszano ją do Irlandii, gdzie w bardzo podobny proceder, przez długie lata, zaangażowany był kościół katolicki. Raz prawie otarła się Polskę – w Szwecji, gdzie pod byle pretekstem (najczęściej stwierdzając, że nie potrafią nimi się odpowiednio zająć), w pewnym okresie, państwo rodzicom, a szczególnie samotnym matkom, potrafiło odbierać niemowlęta. Im bardziej przekonywała się, jak powszechne i jak dobrze zakamuflowane było to zjawisko, tym bardziej się radykalizowała. Z nieśmiałej młodej osoby z pewna obawą tropiącą swoją własną przeszłość, stała się bojowniczką pokazującą, jak należy odzyskiwać swą utraconą tożsamość, w końcu – feministką całą gębą. Bez niej, na lewicy w argentyńskim kongresie, nie dało się procedować żadnej pro kobiecej inicjatywy.

– Jak będziesz w Buenos, postaram się znaleźć czas, by móc się z tobą spotkać – mówiła, gdy jeszcze z Polski umawiałem się z nią na wywiad, gdy będę już w Argentynie. – Co prawda o to, o czym chcesz ze mną rozmawiać, pytało mnie już wiele osób, ale moje poglądy na ten temat ciągle ewoluują. Rozmowa może być więc interesująca – także dla mnie.

Dwa dni po moim przylocie do Argentyny, spotkaliśmy się w kawiarni hotelu *Napoleon* przy Calle Rividavia, prowadzącej do kongresu. Była piękną, pewną siebie kobietą o czarnych, wielkich oczach i długich błyszczących włosach, za którą na ulicy bez przerwy oglądali się faceci. Tłumaczyła mi:

– Gracielę i Raula nie mogłam znienawidzić – powiedziała mi. – Oni są nieodzowną częścią mojego życia. Bez nich, nie byłoby mnie takiej, jaka jestem. Poza tym ja ich autentycznie kocham. Nie znali moich prawdziwych rodziców. Powiedziano im, że jestem dzieckiem porzuconym, a oni nie mieli powodu, by w to wątpić. Byli – i są – wspaniałymi rodzicami. Sami przeżyli szok, jak się dowiedzieli całej prawdy o pierwszych dwóch latach mojego życia. Ale odniosłam wrażenie, że ich oddanie dla mnie i ich miłość stały się jeszcze większe.

Zamilkła. A po chwili, gdy zorientowała się, że nie zamierzam ingerować w bieg jej myśli, dodała:

– Życie ludzkie jest wielką zagadką, a jego ścieżki, które nas zewsząd oplatają, są dużo bardziej zaskakujące niż te, które jest w stanie wymyśleć literatura. Trzeba przyjąć je jakie są, jak trzeba – należy poddać się ich biegowi i zebrać na nich to, co najlepsze. Najpierw trzeba umieć patrzeć i słuchać, sycić się tym, co życie ma ci do zaoferowania. Dopiero później – jak zajdzie taka potrzeba – można wydzierać się i protestować. Wszystko w swoim czasie.

Gdy zapytałem, czym, jako deputowana, zajmuje się obecnie w kongresie, powiedziała, że kontynuuje duży ważny projekt, który już kilkakrotnie był podejmowany w Argentynie, ale do tej pory nigdy nie udało się go przeforsować.

– Jaki?

– Nie powiem. Przynajmniej na razie. Nie jest to tajemnicą, ale jest tak ważny, że nie chcę zapeszać…

– Jesteś przesądna?

– Może trochę.

– Projekt dotyczy kobiet?

– Oczywiście.

Na następny dzień w tym samym miejscu mieliśmy się ponownie spotkać. Ale już do tego nie doszło. Szkoda – bo to, o czym rozmawialiśmy pierwszego dnia, miało być tylko wstępem do dłuższego ciągu dalszego. Zostawiła tylko wiadomość, że niestety – ale nie da rady przyjść, bo w związku z tą wielką sprawą, w którą jest zaangażowane, wcześniej niż myślała zaczął się legislacyjny bój, który najpewniej potrwa bardzo długo… Ja natomiast już następnego dnia wyjeżdżałem z Buenos do prowincji Missiones, a potem jeszcze dalej na północ, i jeszcze…, by po miesiącu znad Atlantyku dotrzeć nad Pacyfik. A wiec nie było szansy, by próbować umówić się ponownie.

Nie miałem pojęcia jaką ważna sprawę miała na myśli. Przypuszczałem nawet, że może ściemnia, że może po pierwszej rozmowie uznała mnie za nudziarza, któremu już powinna poświęcać więcej czasu…

W końcu całkiem zapomniałem o sprawie. A potem, pewnego dnia w styczniu za rok, dwa (a może minęło jeszcze więcej czasu?) w telewizji, w serwisie informacyjnym, ujrzałem rozentuzjazmowany tłum Argentynek przed dostojnym, neoklasycystycznym gmachem porteńskiego kongresu. Kobiety wiwatowały, były rozradowane i na wszystkie strony świata pokazywały „V" – znak zwycięstwa. Przed nimi, na podwyższeniu, stała smukła piękna kobieta o długich włosach i wielkich oczach, której nie było można nie poznać.

To bez wątpienia była Victoria, Victoria Donda! A dzień, w którym jakby dyrygowała tym wielkim kobiecym tłumem, był dniem, kiedy na dalekich antypodach, w argentyńskim senacie, przegłosowano najbardziej liberalną ustawę aborcyjną w całej Ameryce Łacińskiej!

A więc to był ten projekt! A to był ten moment, gdy – po latach refleksji i zadumy – trzeba było się wydzierać w niebogłosy!

Wtedy, zostawiając mi wiadomość w Buenos, że ma ważniejsze sprawy na głowie niż rozmowę ze mną – nie ściemniała.

Roman Warszewski

Mateusz Wabik

10 marca 2021 - wizyta w szpitalu

Pożółkłe światło opada na parking
przed szpitalem. Zatrzęsienie aut
jak przed supermarketem. Ojciec
się zastanawia gdzie zaparkować,
żebym mógł wygodnie wysiąść
i siąść bez przeszkód na wózek.
Potem rentgen i wizyta u lekarza.
Zastanawiam się po co robią tak
wysokie krawężniki, w drodze do domu.

Gen. W. J.

Wysiadł mi dźwięk w komputerze
i dlatego oglądam na youtubie
filmy z napisami. 2 horrory, a ostatnio
dokumentalny, rosyjski o Jaruzelskim.
Co za spryt! Takim samym językiem
o Solidarności, jak oni o nim. I ta przyjaźń
z naczelnym jednej gazety, którego się
kiedyś wsadziło. Narzekanie i choroba
doskwierała. Był to odcinek w serii
„Legendy czasu", a w polskiej telewizji
przypominają generała 13 grudnia każdego roku.
Jakby pogrzebali go w jednym okresie.

Rentgen nogi

Pojechałem do szpitala
z matką i ojcem zrobić rentgen.
Naszukaliśmy się właściwych
drzwi. Chciałem się położyć
do tego zdjęcia złamanej
nogi, ale usłyszałem –
„w domu się Pan położy".
Dziwne, bo wcześniej
kazali mi się położyć.
Teraz robili mi na półleżąco.

imperium poloniae

Wczoraj pokłóciliśmy się z Ameryką.
Dzisiaj z Brukselą i Niemcami.

Jutro uchlejemy się z Węgrami.

A my nie...

Kilka dni temu czytałem w „Toposie"
recenzję z książki, której nie
czytałem. Krytyk ją chwalił,
pisał, że nie wpisuje się

w „kicz pojednania" z Niemcami.
Dzisiaj krzątałem się po domu
ze złamaną nogą, wyciągniętą
już z gipsu i słyszałem w TV, że

odkopano nieodkryte wcześniej ciała
ofiar zamordowanych przez Niemców.
Było znowu o 2 wojnie i o tym, że
nie zapłacili nam za zniszczenie
Warszawy.

Audycja epatowała dwoma kiczami.
Starym – Niemcy to okrutne bestie,
które mówiły w propagandowych
filmach tylko „Raus" i „Hände hoch!"
w przeciwieństwie do fajnych

Sowietów, którzy przynieśli wyzwolenie
jak kwiaty sypane im pod nogi. Nowym
– kiczem odszkodowania:
Francja dostała, a my nie. Być może

to była reakcja na organizacje
poszkodowanych Niemców przez
samych siebie i lotnictwo brytyjskie.

569 dzień stanu epidemii

Mamy w Polsce nowe rozrywki, więc
temat epidemii dopiero powróci na dobre
jak zaczną się nowe obostrzenia. Dwa
tysiące zakażonych, to jednak mniej
niż trzydzieści. Atak hybrydowy –
Łukaszenka wysyła na Polskę pociski
w postaci uchodźców. UE uważa, że jak
się z nią ktoś nie zgadza, to się ją atakuje. Poza
tym Lewandowski nie strzelił gola San Marino
w Warszawie. Być może nie wprowadzą
przez to żałoby narodowej.

Ulica w Nowej Hucie

Szara ulica. Ściemnia się.
Gruz sypie się na chodniki.
Na parterze sklepy wiją się
wokół jak węże.

Roman Warszewski

Poezja i córka

Jest wiele drzwi, przez które można wkroczyć do świata poezji z tomu „córka/daughter" Zbigniewa Joachimiaka. Ale istnieją też okna, przez które można się tam dostać. Co wybrać? Drzwi czy okna? Te ostatnie wydają mi się szczególnie kuszące. Bo wchodzenie przez okno zawsze ma coś z przygody. A ta poezja przygodą jest – taką, która skrywa liczne niespodzianki.

Z okna rozciąga się zawsze jakiś widok. Widok z okna jest niczym kadr oprawiony w ramy. Jeśli wybierze się widok odległy, staje się on nieruchomy, bo to, co się w nim porusza, znajduje się daleko. Taki widok staje się zdjęciem.

Właśnie mam kilka z nich prze sobą. Są to zdjęcia–obrazy. Nie tyle utrwalone obiektywem, ile nim namalowane.

Ile w nich ekspresji!
Ostrości!
Zaskoczeń i Zdziwień!

To album wydany w języku angielskim. Nosi tytuł „a turist in your world" – „turysta w twoim świecie". Znajdujące się w nim fotogramy mają bardzo wiele z surrealistycznych dzieł Salvadore'a Dali.

Oto dwie krzyczące (można poznać po układzie ust) postacie owinięte jakby bandażami zdjętymi z mumii. (A może to tylko ślady szerokiego pędzla?)

Popiersie kobiety o smutnym wzroku umieszczone w ramach obrazu – a wszystko to pokazane pod ostrym kątem. Męska twarz w… – no właśnie w czym?

Usta z kamienia, który jest bardzo stary i się kruszy.

Twój sobowtór (your double) w… – w wykafelkowanej toalecie.

Ten sam motyw powtórzony nieco dalej we wnętrzu z dwoma przepaścistymi fotelami zatytułowany "two Sibilkas tal king" – dwie Sybilki rozmawiają ze sobą.

Zdjęcia zaskakują, niepokoją – podobnie jak tytuł albumu. „Turysta w twoim świecie". Co ma to tak naprawdę oznaczać? Że w świecie możemy być co najwyżej turystami? Że w czyimś świecie zawsze będziemy kimś obcym, kimś z zewnątrz, intruzem, przechodniem? Kimś skazanym na wieczne zdziwienie w obliczu tego, gdzie w danym momencie jesteśmy i co mijamy?

W tych zdjęciach – w mikroświecie, który budują – jest pasja, drapieżność i ostrość. Ostrość cięcia, noża, żyletki…

(…) jesteś żyletką – przecinasz równo
świat, te plażę
na dwie połowy – żółty piasek odchyla
się na boki
(…)
Mrużysz oczy, tniesz całą powierzchnię
(…)
Stoisz na brzegu
Żyjesz na brzegu
na skraju
jesteś ostrzem żyletki

W zacytowanym wierszu „Cięcia" ze zbioru „córka/daugther" Zbigniew Joachimiak właśnie takimi słowami opisuje postać tytułowej córki. Ma ona na imię Sybilka. To ta sama Sybilka z fotogramu „two Sybilkas talking". To nie tylko ona siedzi w dwóch wygodnych fotelach na tym zdjęciu, ale jest także autorką tego fotograficznego montażu. (Joachimiak pisz o niej w innym miejscu, że ona oddycha tylko wtedy gdy ma aparat fotograficzny w ręce.) Jest autorką albumu, który wzbudził we mnie takie zainteresowanie i pewną konsternację.

Zderzenie obu publikacji – albumu Sybilki Storie–Joachimiak i zbioru poetyckiego „córka/daughter" Zbigniewa Joachimiaka jest niezwykłym przeżyciem. Aż szkoda, że fotogramy z albumu córki nie stały się ilustracjami wtrąconymi w tok poetyckiej narracji jej ojca. Obie rzeczy znakomicie się uzupełniają i wzajemnie dodają sobie skrzydeł, synergii. Suma takiego połączenia byłaby znacznie wyższa niż suma ich prostego dodania, gdy leżą obok siebie. Poezja przeradza się w trampolinę dla zdjęć, a zdjęcia stają się trampoliną unoszącą wiersze Joachimiaka poza granice poezji poświęconej tylko córce, tylko rodzinie.

Bo właśnie taki jest ostatni zbiór wierszy Zbigniewa Joachimiaka – poety wyrastającego dziś na pierwszoplanową postać polskiej poezji nawiązującej do tradycji poetyckiej klasyki. Rana będąca pożywką tych wierszy (oddalenie od córki, tęsknota, krótkie epizody wizyt zza oceanu i pewnie jakieś wynikające z tego wyrzuty sumienia) jest początkiem do rozważań znacznie ogólnych i uniwersalnych. Nie zgadzam się bowiem z opinią poety Czesława Sobkowiaka, że ten tom dotyczy „obsesyjnej" córki. Podobnie jak nie zgadzam się, iż wiersz „Wieloramienny ojciec" (o czym on pisze) jest opisem koszmaru. Dla mnie to jeden z najpiękniejszych wierszy w tomie, mogący stanowić zaczyn niejednej opowieści czy opowiadania.

Panie Czesławie, bo ten tom równie dobrze mógłby nosić tytuł „córki/daughters". Joachimiak pisze nie tylko o swojej córce. Owszem, to jest punkt wyjścia. Ale w poezji z tego tomu odnaleźć można wszystkie córki świata. Pisze przecież o córkach z Majdanu i matkach Ukrainy – nie dlatego, że chce być aktualny! Także o córkach, które trafiają do więzień i psychiatryków. I o kobietach, w jakie niepostrzeżenie przerastają istoty, które kiedyś były córkami. Konsekwencją tego są zmagania z upływem czasu, dostrzegane przez autora także w sobie. Przeistaczanie się pasji jednego pokolenia w pasje pokolenia nowego (co następnie zostanie przekazane jeszcze dalej i dalej…) – to wszystko, co później owocuje żywicą, która staje się poezją.

W niezwykłej urody wierszu „Bursztyn" znajduje to dosłowne odzwierciedlenie. Czytamy:

(…)
Z ust wytacza mi się
porowaty bursztyn.

Bierzesz go do ręki
i mówisz:
Jaki to lekki kamień.

Wbrew pozorom nie jest to wcale wątek poboczny. Być może w tym tomie jest to kwestia wręcz zasadnicza. Bardzo wyraźnie wypływa na powierzchnię w kluczowym moim zdaniem wierszu „stara kobieta mnie pyta", w który narrator rozmawia spotyka starą kobietę, która „jest jak drzewo, a może jest drzewem" – drzewem życia? Pyta ją:

(…) co robi?
Rzuca na mnie niechętnym wzrokiem,
W jej źrenicach widzę twarde szydła
I mówi do mnie, przecież powinieneś
wiedzieć
–jeśliś poetą,
Słowa trzeba rozsupływać,
Rozplatać długie ich nici z kunsztownie
Poskręcanych sznurków.
Trzeba je rozcinać i prostować.

Można sformułować hipotezę, że ta tak łatwo irytująca autora starucha, jest personifikacją poezji – poezji, która (kto zaprzeczy?), jest przecież kobietą. Czy zatem Sybilka – jakby nie było natchniona przez bóstwa wieszczka (można sprawdzić u Kopalińskiego) – także nie mogłaby być jej uosobieniem?

Kandydatka do odegrania tej roli zdaje się być dobrze wybrana. Casting się udał. Wystarczy jeszcze raz przejrzeć fotogramy z albumu. Potem potwierdzi to każdy.

Roman Warszewski

Literatura:
Sybilka Storie, a tourist in your world, Fundacja Światło Literatury, Gdańsk 2012
Zbigniew Joachimiak, córka/daughter, Fundacja światło Literaury, Gdańsk 2021
Czesław Sobkowiak, Rozplątywanie przestrzeni poezji zanim zacznie się rozpadanie, w: Migotania. Gazeta Literacka, nr 4(73) 2021, str. 60–61

Andrzej Walter

Marek Wawrzkiewicz

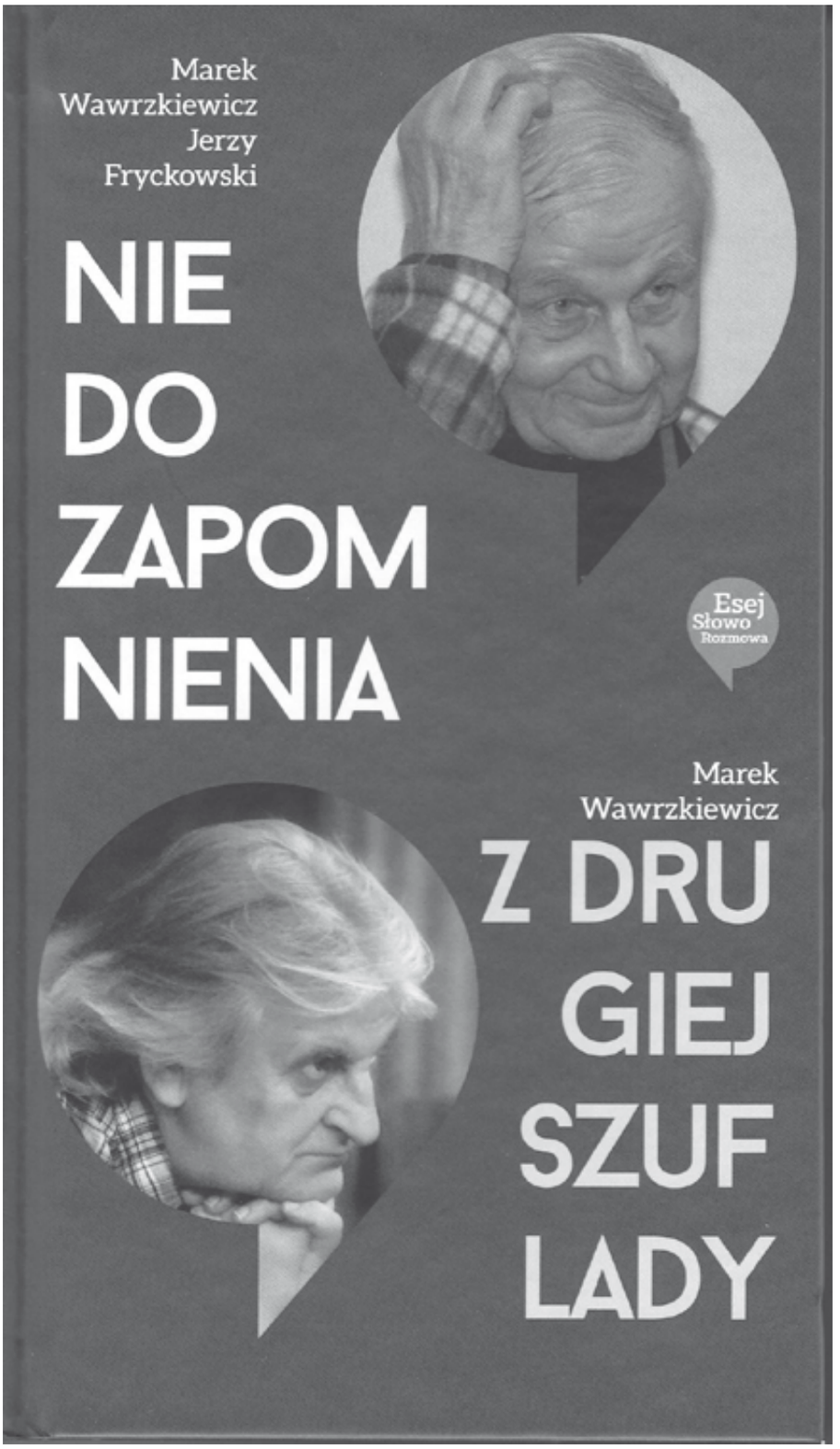

Marek Wawrzkiewcz skończył niedawno 85 lat i być może z tej między innymi okazji pootwierał na oścież swoje szuflady.

To nie jest człowiek wylewny. To nie jest człowiek kameleon, otwarty zawsze i wszędzie, kompatybilny z okolicznościami. Nie rzuca słów na wiatr, ale też nie kłuje słowem bez namysłu, nie rani nim, nie emanuje nadrzędnością swojego poglądu, nie musi być pierwszy wśród równych i równiejszych i nie musi być Noblistą swojej mądrości ponad mądrości już okrzepłe, ugruntowane i stabilne. To nie jest żaden rewolucjonista, buntownik, brawurowy, waleczny Che Guevara, ani też przewidywalny, obliczalny, do bólu wyrachowany i nad wyraz przebiegły salonowy lis.

Marek Wawrzkiewicz jest nader zwyczajny i po prostu urodził się poetą. Urodził się pełnym, wrażliwym, prawdziwym i jednym z ostatnich poetów (idealnie obrazując nieaktualną już definicję, kto może być poetą) i do tego poetą minionej już epoki (książek i poetów odchodzących w nieistnienie), w sensie bardziej głębokim niż ten, który sprowokował onegdaj, że „Wszystko (ponoć) jest poezją", a nawet jest poetą w sensie bardziej dojmująco wiarygodnym (bez narcyzmu i pozerstwa) niż pomnikowi: Miłosz, Herbert, Różewicz i cała plejada tysięcy zastępów naśladowców.

Marek Wawrzkiewicz jest niejako poetą własnym, osobnym, niezależnym i prawdziwie wolnym, z własnym językiem, z własnym tembrem, kolosalnie prywatnym głosem w tej swojej poezji, z miksturą poezji najprawdziwszego wczoraj, osłodzonego i przyprawionego jakże zauważalnym, realnym dzisiaj. Jest to poezja snutej opowieści, poezja właściwej narracji, poezja będąca wypadkową epok, stylów, wagi słowa, zarówno od strony wizualno-estetycznej jaki i treściowej. Poezja, którą można się całkowicie zaczytać, zaczytać doszczętnie, wniknąć w nią niczym w powieść, której również już nie ma (prawdziwa powieść odeszła do lamusa), a która nas – piszących czy czytających te słowa – wychowała na łaknących poezji, niedzisiejszych najdziwniejszych z dziwnych marzycieli, nieprzystosowanych do coraz powszechniej panujących realiów świata, w którym rządzą, dzielą i królują – silniejsi.

Wawrzkiewicz zaleca dystans, hibernację, zamrożenie myśli i uczuć, poznawanie świata zmysłami, nie orężem, odczuwanie świata uczuciem, nie siłą woli, nie triumfem zwycięzcy, ale łagodnością czułego obserwatora. (Lecz nie czułego narratora Tokarczuk). Może nawet kibica. Widza, a siłą rzeczy i racji stanu mimowolnego i biernego uczestnika upadku tego świata. Nieoderwalnie wpisanego w rytm dziejów, w ducha czasów, w atmosfery, relacje, nastroje i puls krwioobiegu, ale jednocześnie komentującego z perspektywy mędrca, sprawiedliwego i oddalonego od jądra niegodziwości. To oddalenie od niecności, jest u niego bodaj najważniejsze. Niewielu dostrzega to w pełnej jaskrawości, że powiem znów Stachurą. Poetę dziś należy przecież przyspawać do kontekstu.

Wszystkie jątrzące i niesprawiedliwie rzucone oszczerstwa z nadania polityczno-historycznego w przypadku Marka Wawrzkiewicza okazały się kłamstwem, czy choćby nadużyciem, albo propagandą, tendencyjnie przedstawionym pół-faktem, z którego kamienie dawno już zwietrzały,

Zostawmy to. Wróćmy tedy ku poezji, bo tylko poezja, ba, może poezja i przyjaźń pozwoliła wytrwać i przetrwać naszemu Wawrzkiewiczowi w stanie nienaruszonym te czasy burz i naporów, do czasów dzisiejszych. – czasów zgnilizny i degrengolady totalnej. A skoro padło tu słowo czy pojęcie - przyjaźń, to warto podkreślić i inne znaczenie, a nawet osiągnięcie Marka Wawrzkiewicza. Najstarsza polska organizacja literacka, ponad już stuletni Związek Literatów Polskich, którego jestem dumnym członkiem, to są trzy nazwiska, nazwiska jakże znamienne dla polskiej historii literatury: otóż są to: **Żeromski – Iwaszkiewicz – Wawrzkiewicz**, te trzy, nie ujmując nikomu i niczemu i wszelakim „po

drodze" innym ważnym nazwiskom ZLP (jak Tuwim, Przyboś, Broniewski choćby) z noblistami na czele (też przecież członkami ZLP swego czasu).

Piszę to w pełni świadom. Rozważywszy wszelkie za i przeciw. Wszelkie złe instynkty i tendencje wciąż potężnych w środowisku literackim (choć cóż ono dziś znaczy na tle państwa i społeczeństwa i obecnej hierarchii szacunku, zatem i ta „potęga" zwietrzała) pewnych osób, które nadal naszego Prezesa, Jubilata, utopiłyby w łyżce wody, jedni najlepiej w święconej, inni najlepiej w morowej. Otóż, Drodzy Czytelnicy, wybaczcie, nie dbam o to. Zapewne ma na to i wpływ ów nieszczęsny kontekst upadku w ogóle tej naszej pożal się boże literackiej pozycji społecznej. Mówię, czy piszę to, co myślę, a jeśli ktoś myśli inaczej niech dowiedzie swoich tez.

Powróćmy do Marka Wawrzkiewicza, żyjącej legendy literatury, poety niedocenionego, poety wytrawnego, z którego poezji powinny dziś czerpać całe pokolenia młodych, tyle, że nie czerpią. Dlaczego nie czerpią? Bo nie dostali takiej możliwości.

No właśnie nie dlatego, że wrogowie tak zatriumfowali, a on – mistrz i poeta się wycofał. Nie dlatego, że nie miał nic do powiedzenia temu światu. Nie dlatego, że jego dorobek był tak lichy, że gdzieś tam zostanie w pamięci, ale tych najbliższych, najwytrwalszych, zdeterminowanych. Otóż odwrotnie. Odwrotnie i w dwójnasób. **Poezja Marka Wawrzkiewicza jest poezją wybitną.** (być może napisałbym tak jeszcze o: Miłoszu, Różewiczu, Szymborskiej, Zagajewskim, Herbercie, kolejność ma znaczenie, a co do Herberta pewien pytajnik, ale, niech mu będzie). W czym w zasadzie tak naprawdę upatruję tej wybitności poezji Marka Wawrzkiewicza? Otóż w fakcie, że z tych wszystkich gigantycznych nazwisk poetów wymienionych wyżej jedynie Wawrzkiewicz stworzył i zawarł w swojej poezji, w swojej całej twórczości coś, co nazwałbym dziś **pomostem pomiędzy epokami** – pomiędzy poezją Gałczyńskiego, Baczyńskiego, Staffa, Leśmiana, Broniewskiego oraz wielu innych, pomiędzy epoką Młodej Polski, XX-lecia międzywojennego czy Nowej Fali, a nawet Orientacji Hybrydy po dzisiejszą poezję: bez wyrazu, bez ładu i składu, bez epok, bez trendów, grup, orientacji i programów. Po dzisiejszą poezję bez ziemi. Dzisiejsza poezja to bowiem chaos, jakiś dychotomiczny efekt motyla zwielokrotniony teorią strun i wielkiego wybuchu zmiksowanego z „zawołaniem ochoczym" – śpiewać każdy może, jeden lepiej, drugi gorzej, słowem misz masz do kwadratu z perłami rzucanymi … między wieprze. (może by trzeba stworzyć ranking wieprzy?)

Marek Wawrzkiewicz porządkuje to niejako w swoich wierszach. Jest uczestnikiem i genialnym obserwatorem współczesności, wchłaniającym artystycznie cały ten dramat współczesnego języka, jego skrótu, dosadności, hałaśliwości i jazgotu, wraz z całą drogą ewolucji od epok, o których wspomniałem do katastrofy, którą widać. Wawrzkiewicz w swej poezji wręcz bawi się konwencjami, czasem zaśpiewa echem poezji dawnej, aby cisnąć nam jakże współczesną puentą między oczy, czasem napisze wiersz mocno współczesny, ale jakby inaczej, jakby nie tak do końca tym językiem, nad którym pastwi się dziś tylu poetów. Wawrzkiewicz łączy style, żongluje narracją, cieszy się tworzonym słowem, raduje snutą opowieścią – jest w tym realny, szczery, wiarygodny i świetnie się czytający, czyli jasny i przejrzysty w odbiorze, a przy tym zachowuje ducha, lekkość i świeżość poezji z narzędziem metafor tak bogatym, że ciężko o porównanie. Owszem. To jest lektura dla intelektualisty. Pewien poziom, klasę i zasób wiedzy trzeba posiadać, operować nimi, aby pojąć, zrozumieć i przeżyć, ale Wawrzkiewicz jest w zasięgu dzisiejszego maturzysty, każdego wręcz człowieka, a może być dla niego: drogowskazem, inspiracją i wzorcem poezji. Tutaj mamy tę wybitność. Porzuconą, osamotnioną, niedostrzeżoną i wypartą, ale jakże ma nie być inaczej, skoro współczesny nam profesor literatury na renomowanym uniwersytecie w Polsce szafuje słowem **wybitny** w wykładzie wymieniając nazwiska co rusz nie znanych nam obszczymurów literatury (którzy tworzą aby pluć jadem) i indywiduów z przypadkiem wydanymi tomami z żebrów społecznych po różnych instytucjach, gdzie nie istotnym było meritum słowa i sensu tylko siła jęku oraz plecy tatusia albo takiego właśnie profesorka dziedziny upadłej. (Ja rozumiem, on też musi z czegoś żyć)

Szkoda tylko, że martwa krytyka literacka, albo ta ledwie dysząca elokwentnie akademicka, udaje, że czegoś takiego nie widzi. Udaje, bo jednak widzi, widzieć musi, ale przez gardło jej nie przejdzie choć raz napisać prawdę. Zobojętniałość na obiektywizm zastąpiono terapią szoku. Szkoda.

Mój tekst zapewne wzbudzi gniew, bunt, histerię, może szyderstwo, kpiny, lekceważącą wyższość, przemilczenie, nie wiem. Szanowni Państwo. Od blisko 30 lat przeczytałem ponad kilka tysięcy tomów różnej poezji (rocznie w Polsce od 30 lat wychodzi ich około 500, a nawet więcej) – lepszej, gorszej. Wiele tych tomów stoi na moich półkach. To tomy wybrane (malutki procent tamtych liczb) – subiektywnie ukochane, do których chce się wrócić. Wymienione nazwiska są oczywistością w posiadaniu, lekturze, poznaniu. Wnioski, które wysnułem tutaj i którym się z Wami podzieliłem nie są pokłosiem tego, że jestem w Związku Literatów Polskich, że Marek jest mojej Żony i moim Przyjacielem, że mógłby „mi coś załatwić" (niczego nie oczekuję, bo nie dbam o zaszczyty, nagrody, wyróżnienia). Skupiam się żarliwie na meritum, na Sprawie, na prawdzie, na szukaniu poezji w słowie, które dostajemy tu i teraz, ale nie dbam o koniunkturalizm i konieczność bycia oryginalnym, które reprezentują naukowcy i akademicy. Ich relacja z publicznością jest żadna. Rezonans społeczny zerowy. Nic nie znaczą. Sami sobie są winni.

Wnioski, które tutaj wysnułem są prawdą, w którą po prostu głęboko wierzę, a jeśli coś w życiu ukochałem szczególnie, to tę publicystykę „o poezji" i o jej związkach z naszym życiem. Wierzę, że bez tych związków, pomostów, ścieżek i dróg nie byłoby w ogóle tego życia. Nie wszystko jest poezją, ale poezję możemy odczuć i zobaczyć wszędzie, jeśli tylko tego chcemy. Możemy z nią być, możemy za nią tęsknić, przygnieceni codziennością i możemy nią gardzić. Miłość i nienawiść na jednej smyczy chadzają. Możemy poezją wypełnić istnienie w tym sensie, że wszystko co nam się wydarza nabierze głębszego, metaforycznego sensu, a oscyluje wokół: miłości, wiary, piękna, szczęścia, spełnienia i jest tylko wyrażone w słowach, ukrytych w naszych myślach. Ta myśl nie zna ograniczeń języka. Chce wyrazić coś inaczej. Tak rodzi się współczesna poezja. Pozornie wolna, bez ograniczeń, może nazwijmy to, wyzwolona, uwolniona od sztampy, szablonu, wzorca czy okowów poprawności semantycznej, a jednak nie istniejąca bez wzruszenia albo poruszenia czytelnika.

Poezja ma sens tylko wtedy, kiedy porusza jakieś struny w czytelniku, choćby to był jakiś jeden ostatni osamotniony czytelnik. Poezja ma sens jeśli gra w dwóch duszach – poety i czytelnika. Wtedy tworzy, jak w malarstwie: arcydzieło, na które możemy stale patrzeć. Tak tworzy się też nieskończoność, wieczność, dzieło i sztuka Delikatnym pociągnięciem pędzla słowa chwytającego światło sensu i twojej i mojej wrażliwości. Marek Wawrzkiewicz jako poeta sztukę tę posiadł do perfekcji. Stworzył wiersze niesamowite. Takie jak choćby poniższy:

„Może być malutka"

Przecież może być malutka

Wiotka jodła
Sosna
Lub świerk srebrny

Przecież może być gałązka
Z szyszką jedną
Lub bez niej
Ale niech ją przedtem wiatr owieje
Śnieg ochłodzi

Ptak trąci w przelocie

Niech w niej gwiazdka zamieszka nocą
Niech się o nią lis otrze
Niech urodzi się lepkim pączkiem
W mchach W paprociach W igliwiu
I niech rośnie aż wreszcie dorośnie

Niech przyjdzie

Przecież może być całkiem malutka
Ale jeśli wiatr Jeśli ptaki
Jeśli śnieg Jeśli gwiazdka
To przecież
Będzie częścią szumiącego lasu

A zapachnie jak las zaszumi
Jakby wiatr skrzydło rozpostarł miękkie
To wystarczy Nic więcej nie trzeba
Już jest dobrze
I bardzo pięknie

Kochani, ja wiem, że Wawrzkiewicz napisał wiersze lepsze, o wiele lepsze. Wiersze mocne, mocniejsze i ważniejsze, wiersze poruszające, wybitne, ba, nawet genialne. Możemy ich tu przytoczyć wiele. Ten wiersze został wybrany dla VII i VIII klasy szkół podstawowych, aby poruszyć strunę wrażliwości tych dzieciaków. Których poetów wybrano? Jak sądzicie? Poruszy? Moją poruszył…

Służę, ów zestaw dla VII i VIII klasy to: Gałczyński 2 razy, Staff 2 razy, Baczyński, Lange, Twardowski i właśnie wyżej zaczerpnięty Marek Wawrzkiewicz. Przeczytałem ten subiektywny (ale dobry) wybór kilka razy. Niestety. Najlepszy jest Wawrzkiewicz. Dlaczego? Bo w wycofaniu, lęku, subtelnej czułości, nieśmiałości jest najbliżej współczesnemu dziecku, które jest zewsząd zaatakowane: wyścigiem szczurów i wojną o prestiż, współzawodnictwem i startem do kariery →

od najmłodszych już lat. To hodowla. Te dzieci okrada się z dzieciństwa, a poezja, no cóż, poezja jest tu już tylko wycofującą się alternatywą dla tego przerażającego świata. Alternatywą najmniej istotną. Dla wybrańców. Ten przykład moim zdaniem doskonale puentuje cały ten wywód, ten tekst o niejakim Marku Wawrzkiewiczu, polskim poecie przełomu wieków (XX/XXI), który żył w kilku światach, a w sobie miał zawsze ten świat: inny, świat doskonały, wolny, delikatny, idealny, subtelny, świat ucieczkę, świat opatrunek, świat lekarstwo na wszystkie bolączki naszych podłych światów, świat oparty na poezji, na drugim człowieku, który zawsze dla ludzi dobrej woli pozostaje szansą.

Kończąc niech mi będzie wolno na tych łamach podziękować Opatrzności, że splotła moje ścieżki, ze ścieżkami Marka Wawrzkiewicza. To duże szczęście poznać poetę wartego Nagrody Nobla, który otrzymał ją już dawno w głębi wielu czytelniczych serc. Ten Nobel realny, Nobel wypaczonego świata, przyznawany jako wypadkowa: podchodów, gierek, gry politycznej i propagandowego zaangażowania, sił, które „za tym stoją" nijak się nie ma do merytorycznego poziomu, popularności i prawdziwej wybitności tworzonych dzieł. Tak to ten świat poukładano. Naprzeciw temu wszystkiemu jest poezja – to prawdziwie wielka poezja i podróż, obydwie mówią między innymi tak:

Marek Wawrzkiewicz

Podróż

Na bułanych koniach jechaliśmy stępa płytkim potokiem
W stronę zachodzącego słońca. Zdawało się, że płatki
Czerwone z wieczorniejącego nieba spadają nam
Na głowy i ramiona, a potem bez plusku toną
W ledwie szemrzącej wodzie.

Konie niekiedy parskały jakby chciały rozproszyć nasze
Bezwolne zamyślenie i czuły bliskość celu. Cel znała też rzeka,
Wiedziała skąd pochodzi i dokąd zmierza.

Było nas troje – ty, ja i ten nieznajomy
W długim, srebrzyście połyskującym płaszczu.
Domyślałem się kim jest i nie śmiałem
O nic pytać. Może widziałem go przed laty
W „Siódmej pieczęci" Bergmana. Prowadził wtedy na wzgórze
Korowód niewinnych a skazanych. Konie pochylały łby,
Złote krople wody spadały im z pysków.

Wiedziałem: za kępą modrzewi, z których osypywały się igły
Będzie zatoczka i łacha ziarnistego piasku.
Wiedziałem – tam zostanę. A ty pojedziesz za nim
Aż do wschodzącego słońca, a potem jeszcze dalej.

A ja zostanę. Obok szkieletu bułanego konia,
Nad wysychającym, niemym strumieniem.
I będę czekał.

A on powróci.

Marzec, 2019

Będę czekał Marku, zostanę, kiedy pojedziesz aż do wschodzącego słońca, a potem jeszcze dalej. Nie będę tu czekał sam. Wychowałeś przecież mnie i kilku moich przyjaciół, którzy będą tu ze mną w Imię Żeromskiego – Iwaszkiewicza – Wawrzkiewicza i pociągną ten wóz w nowe, przeklęte rewiry przyszłości. To Ci obiecujemy, a póki co, żyj nam sto lat. (i więcej)

Andrzej Walter

Bardzo Was przepraszam Drodzy Czytelnicy. Właściwie miałem napisać o książce. To w tej książce „Marek Wawrzkiewicz skończył niedawno 85 lat i pootwierał swoje szuflady". Książka jest zatytułowana „Nie do zapomnienia/ Z drugiej szuflady" i stanowi kompilację dwóch działów – wywiadu – rzeki przeprowadzonego z Markiem Wawrzkiewiczem przez Jerzego Fryckowskiego oraz działu z „drugiej szuflady" stanowiącego z kolei Marka publicystykę. Książka jest niesamowita, ma ponad 500 stron i wydał ją Zaułek Wydawniczy Pomyłka Cezarego Sikorskiego. Panie i Panowie – czapki z głów. O tej książce zapewne jeszcze będzie w Polsce głośno i wielu o niej napisze, słowem nie widzę powodu, aby wnikać w coś co jest świetne i dobre. I co warto przeczytać. Marek jest bowiem człowiekiem, który zaznał czasu literackiej hossy drugiej połowy XX wieku, widział i przeżył rzeczy, sprawy i ludzi, których my możemy sobie jedynie wyobrazić w sensie spotkań autorskich z pełnymi (ba, przepełnionymi) salami, z festiwali, o których randze i prestiżu nam się nawet nie śniło, a do tego zgrzeszył naprawdę świetną publicystyką. Namawiam do lektury, nie będziecie rozczarowani. Właściwie każdy ze środowiska literackiego znajdzie tam coś dla siebie. Poza tym jest ta książka swego rodzaju pomnikiem, kwintesencją, summą świata i życia. Świata, którego już nie ma i życia poezją, któremu Marek … poświęcił całe życie. Do tego pierwszy opublikowany tekst publicystyczny z roku 1988 opublikowany w Kulturze pomimo swej ostrości, brawurowości i szczerości jest chyba dziś (o zgrozo) jeszcze bardziej aktualny niż wtedy. Co jest dosyć przerażające, ale musicie stwierdzić to sami. W każdym razie ten tekst powinien stanowić zaczyn do wielowątkowej, pełnej, powszechnej i publicznej dyskusji wszystkich środowisk nad stanem literatury współczesnej jako takiej, z ukierunkowaniem też na poezję, ale nie tylko. To poważna diagnoza o stanie literatury. Jedna z najpoważniejszych jakie czytałem. Nie postawił jej ani Miłosz, ani Herbert, ani Zagajewski, o Rymkiewiczu nie wspominając, choć i oni grzeszyli tego typu publicystyką. Myślę, że do tematu jeszcze powrócę.

A. Walter

Marek Wawrzkiewicz „Nie do zapomnienia / Z drugiej szuflady". Zaułek Wydawniczy Pomyłka, Szczecin 2022. Stron 527, ISBN 978-83-64346-55-2

Erazm Felcyn

Ryszard Biberstajn

Z DEBUSSY'EGO

Synowi

blask księżyca
przenika przez twoje palce

skąd ta przezroczystość

smugą światła
czy cienia jest
a może nicią pajęczą

jej drżenie
na lekkim wietrze
ożywia struny
błękitnego fortepianu

pod twymi powiekami
dojrzewają
krople rosy

Inowrocław, 6 marca 2018 r.

ZADANIE

Ewie Lipskiej, autorce „Dyktanda"

czuć siebie
w całej gamie zapachów

przeczuwać
bez zbędnego czuwania

zaprzeczać
bez stawiania przecznic

popierać
bez przypierania do muru

przykuwać uwagę
bez okowów

czekać
na wczoraj

żyć
bezbłędnie
jak dwa plus dwa
równa się
niewiadoma

* * *

Irenie i Januszowi K.

piano pianissimo
jeden krok
noga i laska
i jego łokieć
dla równowagi
kamień nierówno
położony przez brukarza
więc forte na chwilę
potem znowu piano
równa droga
laska i noga

od czterdziestu lat
pogłębia się dusznickie
sztuki rozumienie

teraz jeszcze mostek
na tamten brzeg
bez poręczy

Duszniki-Zdrój, 15 sierpnia 2015 r.

Ryszard Biberstajn urodził się w 1957 r. w Śmiglu. Jest autorem jedenastu książek poetyckich i prozatorskich. Słychać tylko szept – (2008) nominowana została do nagrody Międzynarodowego Listopada Poetyckiego w Poznaniu za najlepszą książkę poetycką roku. Ostatnio ukazało się Pojednanie z ciszą. Laureat Nagrody im. Hulewicza.

Jest doktorem nauk humanistycznych, członkiem Związku Literatów Polskich, Rady ds. Inicjatyw Naukowych i Kulturalnych przy Arcybiskupie Poznańskim oraz wiceprezesem Leszczyńskiego Stowarzyszenia Twórców Kultury. Mieszka w Lesznie. Jego wiersze były tłumaczone na kilka języków europejskich.

Roman Warszewski

W stronę zdrowia

Profesora dra hab. n. farm. Jerzego Łukasiaka znam od przeszło 20 lat. Tak więc, kiedy wydawca jego wspomnień zwrócił się do mnie, bym napisał krótką notkę na 4. stronę okładki tej książki, ni jak nie mogłem się od tego zaszczytu wykręcić.

„Razem zjedliśmy beczkę soli – potoczyły się zdania. – Profesor od lat jest konsultantem naukowym (…) *Żyj Długo,* które (…) redaguję od bardzo dawna. Nasze długie, niekiedy nawet bardzo długie rozmowy, są jednym z najciekawszych punktów pracy redakcji. To wręcz seminaria! Ile z nich wyniosłem! Ile – dzięki Profesorowi – się nauczyłem! A ile przez nie zyskało czasopismo! Jurek – bardzo szybko zaczęliśmy mówić sobie po imieniu – mimo swoich z górą 80–lat – ma niezwykle rześki i innowacyjny umysł. To umysłowość pełna ciepła, życzliwości i humoru – dokładnie taka sama jak On. Jego intuicje na temat krzemu, entropii czy znaczenia rozmieszczenia ładunków elektrycznych w alkaloidach pentacyklicznych wchodzących w skład *Uncarii tomentosy*, jakże szybko zyskiwały potwierdzenie w laboratorium. Albo chiralność – następny jego konik! Chiralność, czyli skrętność związków chemicznych. – Najlepiej – Profesor zawsze podkreśla – gdy jest to skrętność lewostronna, bo wtedy w cząsteczce pojawia się powinowactwo do organizmów żywych przez co staje się ona łatwiej przyswajalna. – Niekiedy – gdy tego konika dosiadał i perorował na temat jego znaczenia – niektórzy dyskretnie pukali się w czoło (co go nie zrażało; to kolejna cenna cecha jego charakteru). Tymczasem w roku 2021 właśnie za chiralność i odczytanie mechanizmu nadawania lewoskrętności różnym substancjom chemicznym Komitet Noblowski przyznał Nagrodę Nobla w dziedzinie chemii! Intuicja Profesora po raz kolejny nie zawiodła. Można powiedzieć, że w pewnym sensie wyprzedził Mędrców ze Sztokholmu."

Już jest!

Teraz, jeszcze ciepły tom wspomnień Profesora pod znamiennym – nawiązującym do Prousta? – tytułem *W stronę zdrowia* mam przed sobą. Autor, krok po kroku, opisuje w nim swą mozolną, ale jakże wytrwałą drogę z niewielkiej podlaskiej wioski na ówczesną Akademię Medyczną w Gdańsku, co po latach doprowadziło go do profesury zwyczajnej (a nie tylko uczelnianej), a także – co dla mnie, wielokrotnie bywałego w Ameryce Łacińskiej, szczególnie interesujące – do południowoamerykańskiej puszczy i świata tamtejszych *plantas medicinales*.

Profesor wspomina z jakim wzruszeniem, gdy tam trafił, wsłuchiwał się w tamtejsze odgłosy: „elektryczne" śpiewy ptaków, krzyki małp i przytłumione – dochodzące gdzieś w gęstwy – sapanie tapirów. Jak wszystkie zmysły dostarczały mu podstawowego i jakże ważnego dla niego jako farmaceuty zrozumienia: dlaczego tak prawdziwe jest stwierdzenie, iż puszcza amazońska jest apteką świata? Odpowiedź była oczywista i tam, w gąszczu, z zewsząd się narzucająca: bo tamtejsze rośliny są tak silne, ponieważ, chcąc przetrwać, muszą stawić czoła tylu wrogom i tylu przeciwnościom losu… Tego nikt wcześniej nie uświadomił mu na żadnym uniwersytecie, ani akademii, tego dowiedział się dopiero dzięki Uniwersytetowi Świata.

Świetny jest pomysł Wydawcy, by – dzięki rodzącej się serii **Wspomnienia Wielkich Polaków** – ratować od zapomnienia przeżycia nietuzinkowych jednostek. (W burzliwych dziejach Polski, ile tego rodzaju relacji nigdy nie powstało, przez co niewątpliwie jesteśmy dużo ubożsi!) To inicjatywa ze wszech miar godna pochwały i wsparcia. Bo, parafrazując, kto od zapomnienia ratuje jeden życiorys – zapis jednego życia – ratuje cały świat. Świat, który bez jego utrwalenia osunie się w zapomnienie.

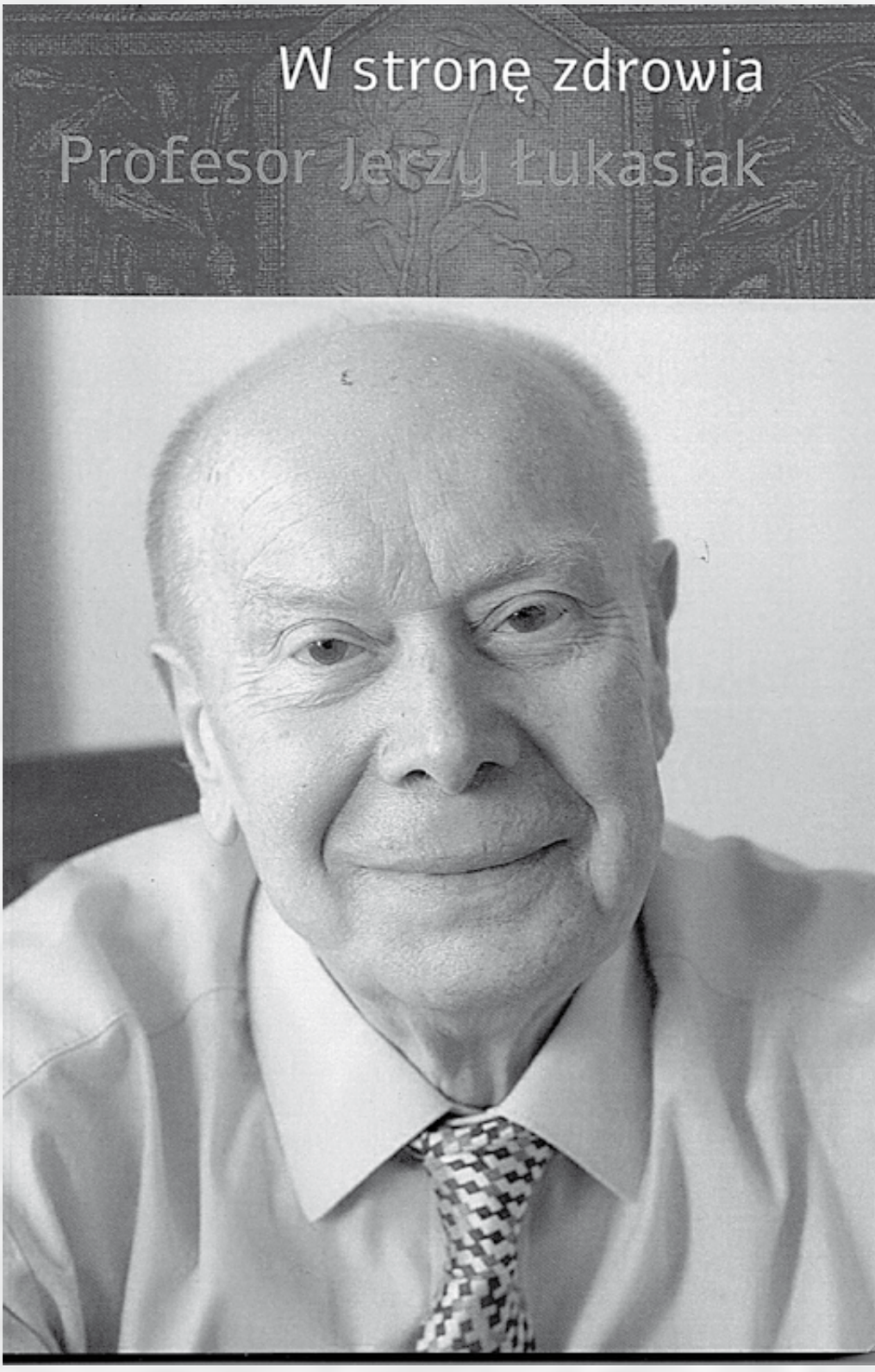

Roman Warszewski

Jerzy W. Łukasiak, W stronę zdrowia, seria Wspomnienia Wielkich Polaków, Fundacja Światło Literatury, Gdańsk 2021

Mateusz Wabik

Poezja o atmosferze literackiej dyskusji

Wiersze Marka Czuku nie raz czytałem w prasie literackiej, ale nigdy nie czytałem żadnej z jego książek poetyckich. Ta sytuacja zmieniła się na jesieni 2021 kiedy znalazłem jego tomik z 2020 pt. „Jedenaście metafor" wydany przez krakowski SPP na giełdzie książkowej pod Halą Targową w Krakowie. Co się rzadko zdarzało mi ostatnio, jego tomik wierszy przeczytałem kilka razy. Zafrapowało mnie w nim kilka spraw. Po pierwsze Czuku w ogóle nie odnosi się do mitologii i twórczości swojego pokolenia – czyli tzw. roczników 60-tych, choć niekiedy poprzez niektóre jego wiersze można by zakwalifikować go jako przedstawiciela tych roczników, po drugie w krótkim szkicu „Leśmian is the best" poeta pokusił się o coś co można nazwać czymś pomiędzy literackim credo, a wyjaśnieniem poetyckich preferencji i mimo, że zakpił z twórczości Herberta pożyczył od starego mistrza do kilku wierszy motyw „Pana Cogito", po trzecie zainteresowało mnie to, że poeta nawiązywał do historii polskiej literatury, przywoływał różnych twórców, a nie uciekał od niej jak wielu jego rówieśników w latach 80-tych i 90-tych.

W „Leśmian is the best" poeta złożył deklarację swoich preferencji czytelniczych – „Po latach z wielkiej czwórki MHRS zdecydowanie preferuję Różewicza i Szymborską". Można zrozumieć to zdanie tak, że przez lata poeta czytał tych wszystkich twórców bardzo uważnie, wzorował się na nich i do nich nawiązywał, ale ostatnio wybrał z tych ważnych twórczości, poezję Różewicza i Szymborskiej. Odrzucił Miłosza z powodu tego, że po latach rzadko chciał wracać do jego poezji, a do tego uznany twórca skupiał się często na samym sobie. Czuku porównał poezję Miłosza do „gęstej litewskiej zupy". Od Herberta odrzuciło go upolitycznienie jego poezji, patos i ironia. Także zdyskredytował w tym tekście poezję nowofalową. W poezji Szymborskiej i Różewicza odnalazł „ponadczasowość, uniwersalność i prostotę". Ten krótki szkic zakończył takim kolokwialnym stwierdzeniem: „A tak w ogóle to Leśmian is the best forever". Tak jakby zmęczył go samego swój spór o poezję powojenną i ukazał tak jak fani muzyki rockowej – kto jest jego mistrzem jeśli chodziło o całą historię polskiej poezji.

Po raz pierwszy spotkałem się z wyniesieniem na piedestały literackie Miłosza, Herberta, Szymborskiej i Różewicza jako takiego kwartetu w przewodniku po literaturze polskiej Piotra Śliwińskiego i Przemysława Czaplińskiego „Literatura polska 1976-1998", który ukazał się w 1999 roku. Wtedy to poznańscy specjaliści od współczesnej literatury zauważyli, że po latach zainteresowania poezją poetów „brulionu", krytycy zainteresowali się bardziej tym co mieli do powiedzenia najbardziej doświadczeni i uznani polscy poeci. Oczywiście ta 4-ka to także trzech twórców związanych z antykomunistyczną opozycją plus dodany Tadeusz Różewicz, tak, żeby usankcjonować taki wybór. Moim zdaniem budując klasyfikację ważności poetyckiej po wojnie nie można się zatrzymywać na kilku poetach, choć o reszcie poetów różnie myślałem i nie zawsze do nich wracałem. Ale czy można pomyśleć o polskiej poezji powojennej bez takich twórców jak Bursa, Białoszewski, Grochowiak, Karpowicz, Poświatowska, Stachura, czy Wojaczek, albo późniejszej jak Sosnowski, Świetlicki, czy Zadura? Przecież Adam Zagajewski do końca także nie trzymał się wyznaczników nowofalowych. A do tego Herbert napisał mnóstwo wierszy nie związanych z polityką, ale kultura i religią. Poza tym każda takie zakwalifikowanie, nawet najbardziej znanych twórców do kwartetu najważniejszych może spowodować, że pominie się coś mniej znanego, ale istotnego również. Jak widać każda taka kwalifikacja to pewne uproszczenie.

Motyw „Pana Cogito" pojawił się w tytułach dwóch podrozdziałów „Jedenastu metafor" – „Pan Cogito w bibliotece" i „Pan Cogito w galerii". W pierwszym z nich pojawiło się sporo wierszy zatytułowanych nazwiskiem twórcy jak niegdyś kilka razy zrobił Tadeusz Różewicz. Pojawiły się w pierwszym z wymienionych rozdziałów takie wiersze jak np. „Krasicki", „Słowacki", czy „Norwid", ale także humorystyczny wiersz „Dziad śpiewa o Panu Cogito, którego na ten padół łez powołał najprzezacniejszy bard Zbigniew Herbertem zwany" którego tytuł nawiązywał do tytułów z czasów staropolskich i z lat epoki oświecenia. Wiersz można było nazwać kpiną z poezji Herberta. Mimo wielkich słów i idei w niej, zakorzenienia w kulturze śródziemnomorskiej – nie ratowała ona przed śmiercią, ani nieczytelnością z punktu widzenia następnej epoki. Motyw Pana Cogito znalazł się także w wierszach „Różewicz" i „Miłosz", „Herbert" i „Szymborska". W pierwszym z nich Pan Cogito Marka Czuku źle oceniał współczesną poezję, gdyż była pod wielkim wpływem poezji Różewicza – „... Teraz wszyscy/piszą jak Różewicz". W „Herbercie" Pan Cogito zamordował żonę dziełami zebranymi przywołanego w tytule poety, w „Szymborskiej" znalazł jej tajny życiorys w archiwach IPN-u, a w „Miłoszu" pojechał do Szwecji by dostać Nagrodę Nobla. W porównaniu do oryginalnego Pana Cogito, Pan Cogito stworzony przez Marka Czuku nie interesował się polityką, bardziej frapowały go sensacje w prasie codziennej i telewizji. Myślał o nagrodach, mordował, chodził do IPN-u. Siła oddziaływania pożyczonego motywu od Herberta została zniwelowana, dzisiejszy Pan Cogito nie był ani specjalnie ważny, ani ciekawy, chociaż można było się z niego pośmiać.

Oprócz wspomnianych wierszy można było znaleźć utwory autotematyczne, dwa krótkie wiersze przypominające haiku.

Tomik wierszy „Jedenaście metafor" dlatego mnie zafrapował, ponieważ kiedyś interesowały mnie dyskusje literackie, które wypełniały lata 90-te i pierwsze lata 21 wieku, a w swoich wierszach i prozie Czuku dyskutował na tematy literackie. Bez ważnych dyskusji ogólnopolskich nie zaistnieje ciekawa twórczość, albo na tyle ważna, by mogli o niej dyskutować czytelnicy i twórcy o różnych temperamentach i punktach widzenia. Tego dzisiaj brakuje, a tego nie zastąpią gale z okazji wręczania nagród, czy krótki filmik na youtubie, w którym Marcin Świetlicki mówił dlaczego nie przeczytał żadnej książki Olgi Tokarczuk. Miałkość dyskusji o współczesnej literaturze to chleb na wodę różnych doktorantów, albo niskich lotów krytyków, którzy wiedzą jak Stanisław Anioł z „Alternatyw 4" pod kogo się podwiesić. Zabrać głos w dyskusji to jednak coś odważniejszego...

Mateusz Wabik

Marek Czuku, Jedenaście metafor, SPP, Kraków 2020

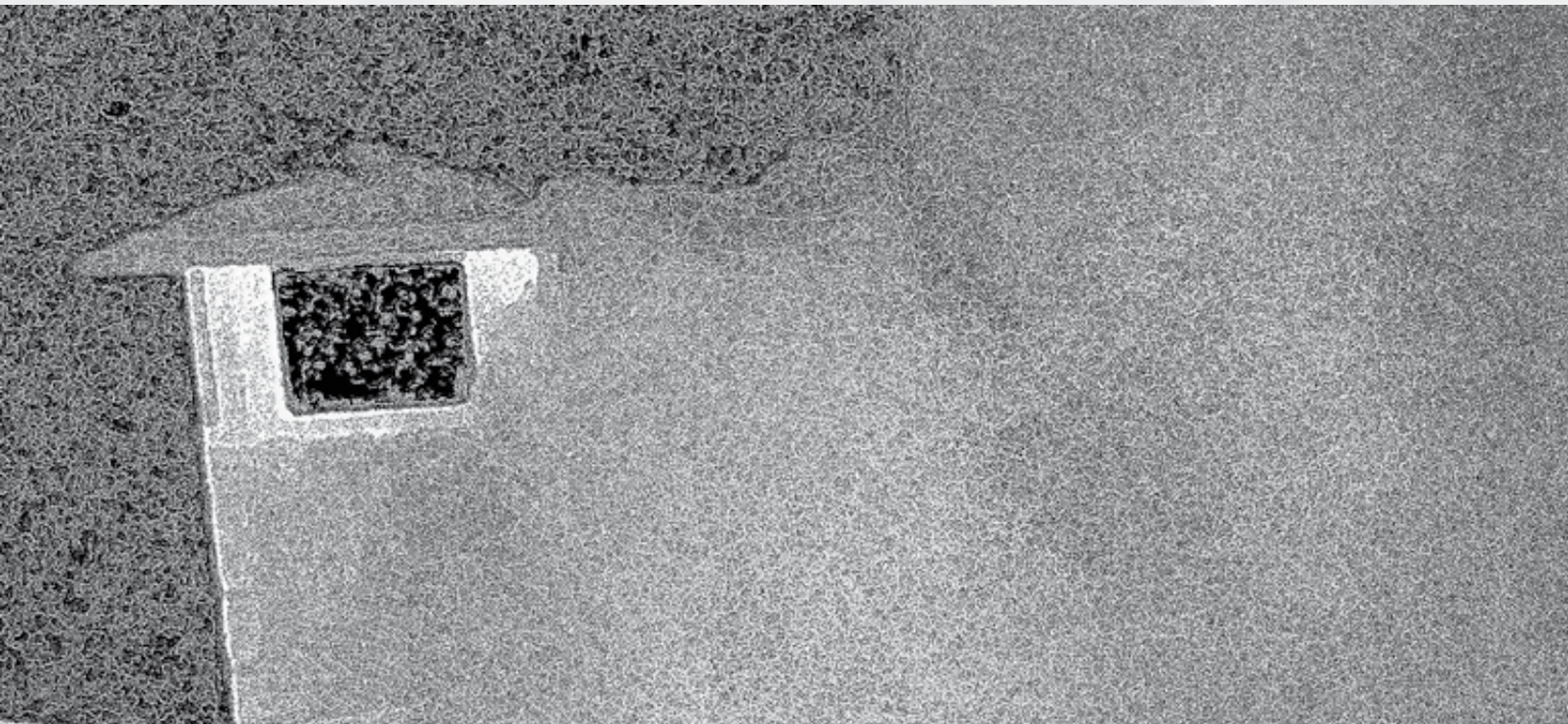

Andrzej Walter

Barwa dźwięku poezji

Jedną z ciekawszych książek poetyckich minionego roku jest niewątpliwie tom poezji Dominika Górnego „Kwadrans dłuższy od 15 minut" wydany nader elegancko przez Wydawnictwo Miejskie Posnania. Prezentację tego tomu, ale i też tego poety pozwolę sobie rozpocząć od prowokacyjnie króciutkiego wiersza Hipnoza, gdyż ten Autor, jestem o tym święcie przekonany, ma dar i skłonność do hipnotyzowania i wręcz uwodzenia publiczności.

Gołębie w czasach pokoju / to nie flagi
Prawda zużywa się / jak flakonik wonności
Bronimy pseudokracji / powstając jak włócznie … a po bitwie / podnosimy bierki

Jakiż to dosadny opis czasów, jaka mocna charakterystyka stanów świadomości, lęków czy obaw. Jak idealnie się tych kilka poetycznie przeprowadzonych refleksji komponuje z tembrem epoki. Epoki chaosu, naruszania pokoju, degeneracji prawd i … epoki *pseudokracji* – używając znakomitego neologizmu dotykamy jednym pchnięciem sedna. Niczym mistrz szermierki trafiamy w punkt. Najgorszym w tym wszystkim jest przygnębiająca konkluzja, że z (naszych) włóczni pozostają jedynie groteskowe bierki; plastikowy substytut i ersatz wynędzniałych wojowników przemienionych w poetów, których coraz mniej społecznie się szanuje czy ceni.

Nie wygramy już żadnych wojen, nie załopoczemy gdzieś na wietrze, higienicznie i czysto dopasowani do idealnego kontekstu, jak dawno już ułożone, postarzałe puzzle wymyślimy swoją nową historię od nowa coraz mniej w nią sami wierząc, coraz słabiej przekonani do wartości odwiecznych, coraz intensywniej spychani do bycia trybem w coraz mniej potrzebnej maszynie.

Kwadranse są czasami dłuższe, a czasami krótsze od 15 minut. Czas, niezdobyta twierdza rzeczywistości od zarania dziejów był pojęciem nad wyraz względnym, łatwym do znęcania się nad przeciwnikiem, choć cały czas to On, czas, coraz wytrwalej dyktował warunki, a my, poeci wierzyliśmy i jak się okazuje wciąż wierzymy te poronione kwadranse … dłuższe niż nominalnie przyjęte, dłuższe niż 15 minut, dłuższe niż my…

Nasza metafizyka codzienności podpowiada nam szczery osąd: czasów, sztuki, relacji, intencji, a nawet wieczności, w którą pomimo śmierci Boga, wciąż wierzymy. Słowa płyną, płyną dla Dominika Górnego niczym muzyka sfer, układają się w poezję rozpoznania świata, tego świata, świata, którym zostaliśmy pomimo woli obdarzeni. Dla Dominika Górnego prowadzi to do trzech podstawowych, powiedzmy sobie elementarnych cząstek – maksym:

„Każdą ideę i potencjał można przemienić w materialny sukces"

„Możesz coś naprawdę zdobyć i mieć jeśli umiesz być"

„Powodzenie innych to moja motywacja do rozwoju"

Na tym wspiera się ta przedziwna poezja Dominika Górnego. Jest wyczuloną na człowieka i świat muzyką płynącą z wnętrza przygody intelektualnej jaką powinien stanowić każdy człowiek myślący, aktywny, budzący się w środku swoich czasów i chcący na te czasy mieć jakiś wpływ, mieć w nich swój głos, swój udział i swoje „pięć minut". Czy warto? Z pewnością tak – odpowiada brawurowo Górny i działa dalej, a że działa intensywnie i aktywnie, o tym możemy się przekonać śledząc Jego dokonania pozaliteracki: klub przedsiębiorczości, klub pozytywistów, Towarzystwo im. Hipolita Cegielskiego, Polska Akademia Mody i wiele, wiele innych.

Działania, bitwy, wojny, starcia, nagrody, medale, odznaczenia, ale i praca u podstaw, powodzenie innych, jak sam podkreśla i zapał, entuzjazm, podszyty nadzieją, wiarą i niesamowitą konstrukcją nowej ziemi obiecanej Dominika Górnego, a wszystko to znajduje upust w poezji i muzyce. W obydwu dziedzinach Górny kroczy pewnie, wytrwale i odważnie. W obu z sukcesami. W obu – a to bodaj najważniejsze, ma nam coś do powiedzenia. Jego autorskie kompozycje muzyczne naprawdę pochłaniają pełnią i uwodzą słuchacza, a wiersze zadają wiele ważnych pytań i stawiają mnóstwo istotnych tez zrozumienia świata.

Stąd chyba kwadrans powinien być dłuższy niż 15 minut, doba trwać więcej niż 24 godziny, a życie człowieka to bezkres wypełniony działaniem. Sztuka u Górnego to nie jest pusta obietnica, ta sztuka ma przecież tu swój głos, swój dźwięk i można z tego skomponować całe dzieło, cały nowy wszechświat urzekający bogactwem i myślą, jednym słowem czymś czego współczesności bardzo potrzeba, pomimo, że współczesność niejednokrotnie odrzuca tę propozycję na margines zauważalności. Nie wie, co traci.

Nie przypadkiem profesor Jan Miodek zauważył: „Od lat śledzę z wielkim zainteresowaniem i intelektualną satysfakcją twórczość poetycką Dominika Górnego. Podziwiam jego zmaganie się ze słowem, głębię myśli i warsztatową sprawność.". Wtóruje mu Grzegorz Turnau: „Szanowny Panie Dominiku! Teksty [„Poematu o moim Chopinie"], ze względu na grę słów są ciekawe i nietuzinkowe. Zawierają wiele emocji, świadcząc o niezwykłej Pana wrażliwości. Gratuluję i życzę wielu pomysłów w dalszym tworzeniu."

Mogę tym tekstem jedynie potwierdzić powyższe. Tom „Kwadrans dłuższy od 15 minut", to już jedenasty tom poezji tego Autora, zatem mówimy o poecie okrzepłym, doświadczonym, choć młodym. Jak zauważa zatem profesor Tadeusz Zgółka (profesor językoznawstwa na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu) „Dominik Górny jest to znany i uznany poeta. Ponadto jego warsztat poetycki jest co najmniej tak ustabilizowany, jak jego postać w polskim (i nie tylko polskim) krajobrazie kulturowym."

Poezja Dominika Górnego nie tylko opisuje czy diagnozuje świat. Ona również bawi się współczesnym językiem jako organizmem żywym i tętniącym. Odświeża pewne konstrukcje językowe, pokazuje całą jaskrawość tegoż języka, jego tendencje i przemiany, jego aktywność. Pokazuje, że język to odzwierciedlenie stanu ducha, a ów stan jest obecnie w okowach zagrożenia, defraudacji i pustki. Warto zapoznać się bliżej z tym tomem, naprawdę polecam.

Zmierzając do finału tego tekstu, pochylenia się nad osobą, aktywnością i twórczością Dominika Górnego warto posłużyć się świetnym wierszem „Widok z mojego okna"

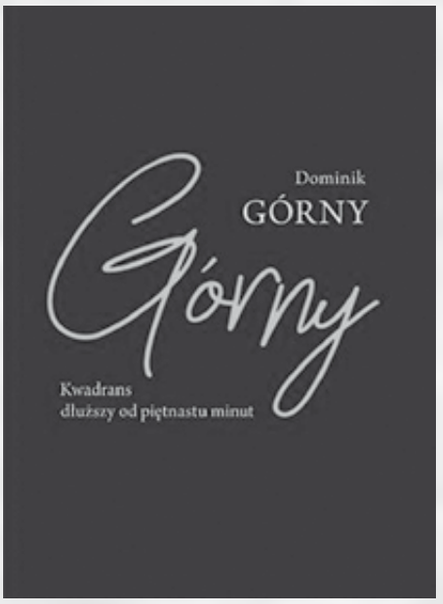

Taki widok jak ten
nie jest na chwilę

wieczność teraz
uczy się żyć na Ziemi

Nie wiem ile wiosen
spóźni się o jedną miłość

ile dnia
będzie mieć
w sobie mój dzień

Opieram się o parapet
nieba powszedniego
i patrzę na horyzont:

Księżyc po swojemu
Księżycuje

noc koncertuje gwiazdami

smyczek wichru rozpala
nagie struny wierzb

i tylko mały świerszcz wie
że w kasynie życia
ważniejsza gra
niż wygrana

To chyba najbardziej konstruktywna puenta – ważniejsza jest dziś gra niż wygrana, ale i niż przegrana, niż rozdzieranie szat. Czynimy to uprawiając eseistykę, publicystykę, krytykę, czynimy to patrząc i oceniając ten pokierszowany technologicznie i emocjonalnie świat. Świat jednak nie jest tego wart. My jesteśmy o wiele bardziej warci tego świata. Grać, aby grać, maszeruj, albo giń, a nie przedpotopowe być, albo nie być – oto jest pytanie.

Być może jednak piekło to inni?

Andrzej Walter

Mateusz Wabik

Przyroda i klasycyzm

W tomiku Jadwigi Nowak pt. „Człowiek hałaśliwy" można znaleźć wiersze, w których sporo można przeczytać o przyrodzie i okolicach zamieszkania poetki. Także poetka czasem pisze wiersze o uczuciach i stara się zamanifestować różne postawy np. przeciwstawia wszechobecnej komercji – poezję. Pisze także o swojej chorobie, zmiennych porach roku, nie podoba się jej pośpiech i wszechobecny pęd, wydaje się mądrzejsza od otaczającego świata, a tym co ją wzmacnia w tej postawie to rozumienie praw przyrody, jej języka oraz poczucie bliskości przyrody. Ta mądrość nie jest przemądrzała, a poetka nie jest ani zbyt apodyktyczna, ani nachalna. Ot po prostu znalazła taki punkt widzenia na sprawy świata, który jej odpowiada i nie potrzebuje o tym zbyt wiele mówić, ani być apostołką jak to się zdarza często nawiedzonym kobietom – rzucają wszystko dla jogi, bojkotują szczepienia, albo rozpowiadają różnym ludziom dookoła oklepane i zamierzchłe frazesy polityczne. Jadwiga Nowak nie przesadza w swoim tomiku i dlatego jej poezja trafia do mnie – jest w tym tomiku zachowana niezwykła równowaga pomiędzy skupieniem na sobie, a obserwacją świata – iście po aptekarsku zostało to odmierzone, bo Nowak nie nudzi.

Język jej poezji nie jest koturnowy, pisze zwykłym językiem potocznym, ale unika różnych utartych frazeologizmów, slangu, czasem w jej wierszach wyczuwa się lekki patos, nie przesadzony, ale taki chłodny jak w „Pieśniach Osjana" Jamesa Macphersona. Oczywiście nie unika środków artystycznych, ale nie przesadza z nimi, są to porównania np. „dzikie zwierzęta jak ćmy" w wierszu „W raju" , albo metafory np. dopełniaczowe „świecznik zachodzącego słońca" w wierszu o incipicie „*** Świecznik…", czy „pestka pustki słowa" w wierszu o incipicie „Nie chcę o tym rozmawiać". Zwykle nie ceni się metafor dopełniaczowych, ale w „Człowieku hałaśliwym" nie jest ich dużo i nie psują tej poezji, gdyż Nowak bardziej jest obserwatorką przyrody i jest wrażliwa na szczegóły. Nie jest awangardzistką opierającą swoją poezję na koszmarnych metaforach dopełniaczowych. Także jej poezja nie jest przegadana, często zwraca się uwagę na przerzutnie w „Człowieku hałaśliwym" o czym wielu dzisiaj zapomina.

W „Homo strepitans" poetka opisuje pogrzeb we wsi. Nie kojarzy się jej ta ceremonia ze smutkiem, bólem, ale hałasem, gdyż ksiądz używa megafonu, a sąsiad poetki w tym samym czasie rżnie drewno. Pijacy nieopodal hałasują, także jakieś urwisy „palą gumy/na asfalcie nowym". To nie dostojeństwo ceremonii pogrzebowej zostało zburzone, tylko poetka słyszy jakby różne dźwięki dochodzące z oddali i one się nakładają i nie może odczuć smutku, nie może narzucić sobie atmosfery powagi, bo dochodzące hałasy ze świata nie pozwalają na to. I to wyzwala jakiś dyskomfort. Trochę jak w szpitalu, gdzie śmierć pacjenta nie zaburza planu codziennych operacji i innych działań lekarzy i pielęgniarek.

W wierszu pt. „Ten wiersz" czytamy o ratunku jaki może przynieść czytanie poezji. Na pewno ten wiersz nie mieści się w poetyce roczników 60-tych, do których należy poetka, gdyż sprawy powinności poezji w niej zostały zdyskredytowane i poezja tego pokolenia odeszła od Miłoszowej funkcji ocalania narodów. Jednakże od tych dyskusji minęło tak wiele lat, a sami poeci, którzy marginalizowali przed kamerami telewizyjnymi powinności poezji zostali przez rynek książki zepchnięci na margines. Są głównie czytani przez profesorów, doktorów, polonistów i innych poetów. Można dzisiaj bez niesmaku przeczytać ten wiersz, gdyż słychać w nim głęboką ufność w czytanie poezji i szczerość. Jednak do mnie nie trafia zakończenie wiersza. Poetka kończy swój wiersz apostrofą „Biedny człowieku idioto pustyń wielkopowierzchniowych/Zrozum/Może cię uratować/Tylko wiersz". Od wyznania wiary w siłę i ważność poezji, przywołania motywów przyrodniczych i nazwisk ważnych dla poetki twórców, poetka przechodzi do pouczenia innych ludzi by pamiętali o poezji. Akurat ta końcówka mnie razi, gdyż sam robię zakupy w hipermarkecie, gdyż wszystko jest tam skupione w jednym miejscu – sala z artykułami spożywczymi, poczta, kiosk, a także wiele koszy z przecenionymi książkami – które nie raz kupowałem i nigdy nie żałowałem. Kupno książki w hipermarkecie nigdy mnie nie raziło, jak na giełdzie książkowej, antykwariacie czy w empiku i nigdy nie zrozumiem dlaczego ktoś bojkotuje jakiś rodzaj sklepów. Być może jedyną wadą jej poezji jest pewna wyniosłość charakterystyczna dla klasycystów współczesnych, którzy raczej nic nie mają z papieży awangard i proroków młodopolskich. Miłosz atakował strukturalistów, okupantów , ale nigdy zwykłego człowieka. To pokazuje, że Nowak nie rozumie, że tematyką ważnej poezji jest dyskredytowanie tego co zniewala innych, upokarza ich, a nie atakowanie przeciętnego Kowalskiego, bo wtedy przechodzimy w kierunku oświeceniowej poezji dydaktycznej, a wiadomo, że wielu filozofów obwiniało prądy filozoficzne Oświecenia za powstanie 20-wiecznych totalitaryzmów. Jednak w poezji Nowak aż tak wiele dydaktyki nie ma.

Wiele jej wierszy pisanych jest w stylu „*** Trochę ziemi, trochę popiołu…" i są to wiersze o przyrodzie. W tym wierszu pojawiają się mrówka, mech, kamienie. Jest także kotka z jaszczurką i czytamy o tym, że podmiot liryczny nie może zejść ze słońca. Takie wiersze Nowak są lepsze niż dydaktyka.

Tomik Nowak uważam za udany mimo paru jej aspektów, wobec których byłem krytyczny. Jej poezja wprowadza w nastrój tęsknoty i myślę, że jej można zaufać.

Mateusz Wabik

Jadwiga Nowak, Człowiek hałaśliwy, „Biblioteka Toposu", Sopot, 2021

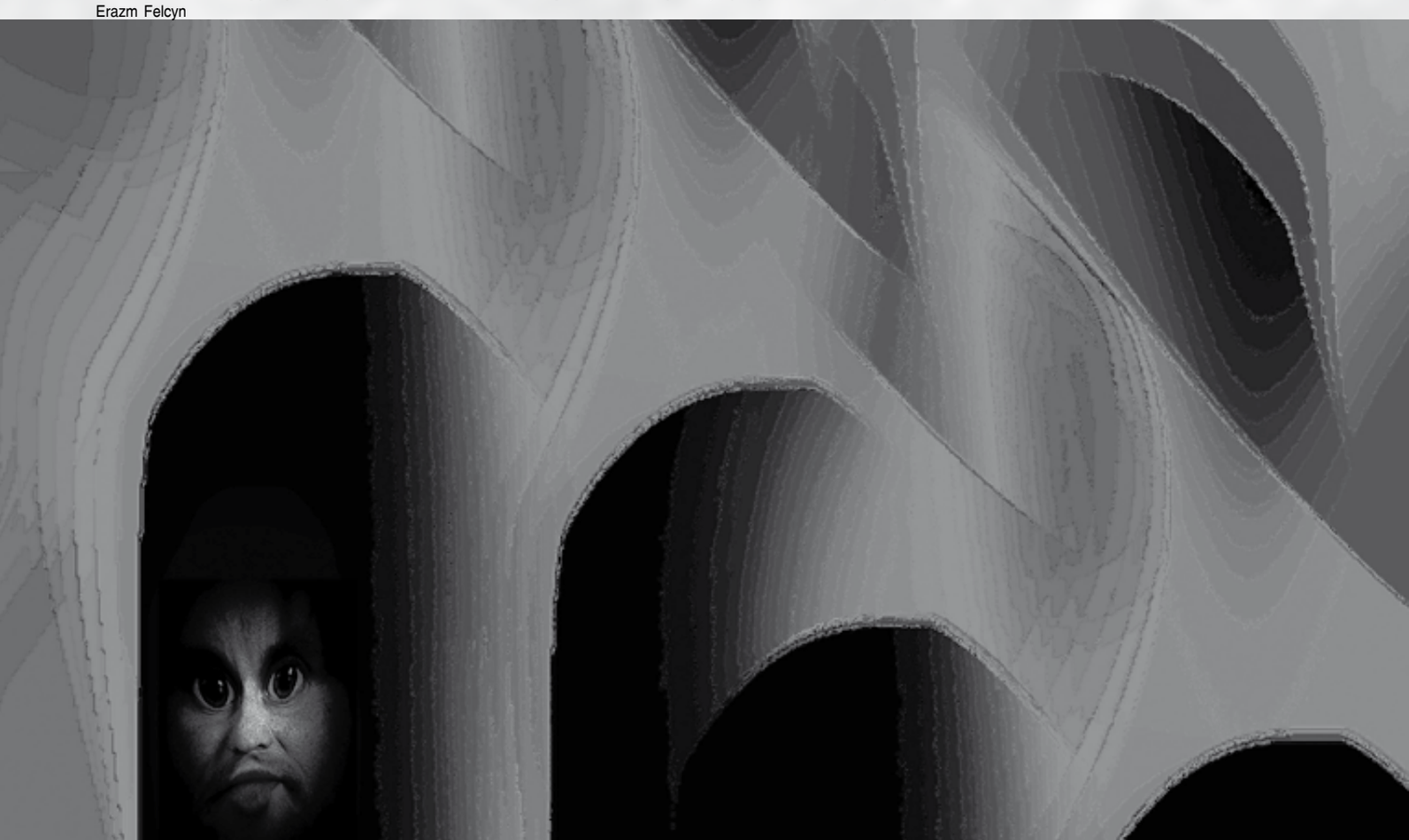

Erazm Felcyn

Nad lekturą tomiku Zbigniewa Joachimiaka „córka • daughter”

Jan Stanisław Smalewski

Nie często zdarza się przeczytać tak dobrą poezję. Poezję dojrzałą, zapisaną przez dojrzałego poetę, przez czas, jego życie, głębokie doznania: z duszy, serca, całego ciała. Poezję spójną tylko z jego DNA, wydobytą z jego najgłębszych uczuć, odebraną losowi, zjednoczoną z drugim – do tego najbliższym mu człowiekiem – córką (daughter). A na to wszystko jeszcze związaną z otaczającą ich rzeczywistością, światem. Odrębnymi światami ojca i córki, ale spychanymi w wspólny nurt jednej rzeki życia.

W tym nurcie poezji dwujęzycznego tomiku Zbigniewa Joachimiaka „córka • daughter” stykamy się z tym wszystkim. Spotykamy się z powiązanymi losami, wspomnieniami i głębokimi refleksjami autora i jego córki Sybil zespolonymi jednorodnym bytem krwi i ciała. Ich wspólnego DNA, które – jak podczas lektury przyjdzie nam zauważyć – wielokrotnie przenosi się wyżej, na cały wszechświat.

Tomik Zbigniewa Joachimiaka jest wyjątkowy już poprzez samą redakcję: dwujęzyczność tekstu. Każda ze stron, każdy z wierszy jest najpierw przedstawiony w języku angielskim, a następnie polskim.

Tłumaczenia na język angielski dokonała Anna Gąsienica Byrcyn zamieszkująca na stałe w Stanach Zjednoczonych (Chicago, Illinois). Posiada doktorat i jest wykładowcą języka polskiego i literatury polskiej w USA. W jej bogatym naukowym dorobku znajduje się wiele tłumaczeń literackich, recenzji i artykułów. Przetłumaczyła m. in. wiersze Marty Fox „Wszystko co niemożliwe • Everything That Is Impossible”, które przez Fundację Światło i Literatura w roku 2012 zostały wydane w wersji dwujęzycznej w Gdańsku.

W stanach Zjednoczonych mieszka córka poety Sybil Janina , a on sam w latach 1981 -84 przebywał tam z rodziną na emigracji, do której zapewne zmusiło go, przy bogatym jak na młodego literata dorobku, zaangażowanie się w rewolucyjny ruch robotniczy gdańskiej „Solidarności” w strajk w Stoczni Gdańskiej. Zbigniew Joachimiak wraz z Markiem Bieńkowskim zainicjowali powstanie listu popierającego strajk i postulaty strajkowe oraz manifest młodych gdańskich pisarzy stowarzyszonych w Kole Młodych Związku Literatów Polskich wspierającego ruch społeczny „Solidarność”.

Dorobek twórczy po powrocie z emigracji autora dwujęzycznego zbioru wierszy „córka • daughter” oraz jego społeczne zaangażowanie w upowszechnianie kultury i literatury polskiej są niezwykle bogate. Można skrótowo zapoznać się z nim na jednym ze skrzydełek okładki tomiku, a zainteresowanych szczegółami odsyłam po prostu do Wikipedii.

Nowy dwujęzyczny tomik Zbigniewa Joachimiaka już znalazł tam swoje miejsce. Jestem przekonany że także na stałe wpisze się do kanonów literatury Polskiej Poezji Współczesnej XXI wieku.

Zacznijmy od analizy wybranych wierszy poety. W wierszu **„Dzisiaj niedziela, dzisiaj święto”** autor pisze:

Dzisiaj siedzimy razem, ja wtulona w ciebie.
Dotykasz mnie, tato, czuję jak bym sama głaskała swoje ramię.
Jestem z twojego ciała. A odrębna. Inny wszechświat.
Przenika mnie twoja krew. Przenika twoja pamięć.
Przenika pamięć komórkowa. Pamięć codzienna. Pamięć przekleństwa.
Jak długo jeszcze trwać będzie dzień dzisiejszy?
Jak długo utrzymasz mnie na uwięzi swej troski.
Czujesz? W środku pękają mi kości. Twoje kości. Moje kości.
Kruszą mi się włosy. Już krzyczę, ty tego nie słyszysz.

Dotykaj mnie, tato.
Tak trwa ta nieskończona chwila, powtarzana chwila, rymowana chwila,
która może zakończyć się tylko odjazdem w górę.
W niebo, w mróz przestrzeni czarnego nieba,
pustego ryczącego kosmosu.
Tam jesteś, bo tam ciebie nie ma.
Dlatego trzymaj mnie, moją twoją rękę. Twoim moim ciałem.
Twoim moim strachem.
Wiesz. Na pewno odchodzę. I ty.
Zmierzcha się niedziela, minęło już wczoraj.

Nie przypadkowo rozpocząłem od tego tekstu. Wiersz jest bowiem szczególnym utworem napisanym przez poetę od strony (i jakby w imieniu) córki. Gdy deklamowałem go przyjaciołom, mieliśmy łzy w oczach. Rozumieliśmy się poprzez piękną, głęboką poezję. Rozumieliśmy się pięknem chwil jednoczących dwojga ludzi: ojca i córkę. Rozumieliśmy się pięknem symboliki życia i otaczającego ich, nas świata.

Na moje pytanie czy wiersz napisał poeta, czy poetka, wszyscy odpowiedzieli: poetka.

Skąd ta pomyłka. Bo w poezji Zbigniewa Joachimiaka owo wspomniane na wstępie wspólne DNA ojca i córki pozwala wzajemnie się przenikać i rozumieć. Bo ojciec żyje życiem córki, jego geny pozwalają mu na głęboką więź duchową z córką. Bo córka poprzez geny jest, trwa w ojcu. To ta wiążąca ich moc wzajemnego przenikania pozwala ojcu – poecie przemawiać w wspólnym imieniu.

Główną formą zapisu literackiego wierszy zebranych w książce jest tekst opisujący. Zwraca uwagę jednak, że nawet te najdłuższe wiersze autor precyzyjnie wypełnia zsynchronizowanymi ze sobą obrazami całkowicie przynależnymi do tematu wiersza. Nie ma w nich zbędnych zapożyczeń z greki, łaciny czy też historycznych epok np. romantyzmu. Nie ma zaśmiecających utwór dopełnień myślowych o charakterze wtrąceń pobocznych rozmywających temat, co często znaleźć można u innych autorów piszących długie wiersze. Są jedynie mistrzowsko poprowadzone czytelne, a zarazem zaskakujące wyobraźnią poety, porównania i metafory dopełniające głębokości i zmysłowości tekstu.

Oto przykład wiersza opisującego, w którym autor charakteryzuje amerykańskie Cincinnati z roku 1983, gdy będąc na emigracji przebywał w tym mieście:

`Cincinnati 12 lipca 1983 roku`

Chłodny powiew rzeki nie sięga do miasta,
krótkonogi wiatr staje tuż u pierwszych domów
niezdecydowany wejść do Down Town.

Miasto jest umarłe, tu nie słychać ptaków,
powietrze stawia opór nawet małym ruchom,
kamienie rodzą krople potu.

Słońca nie widać, przysłonięte kopułą rozżarzonego powietrza,
domyślać się go można z przyspieszonych skurczów serca
i ciała wylewającego gorące strugi deszczu.

Nie można uwierzyć, że za szczelnie zamkniętymi oknami,
za spoconymi głowami klimatyzatorów
zmęczone ciała szykują się do skoku

przez noc do następnego tak samo bezlitosnego
dnia upału.

Chciało by się rzec – nic dodać, nic ująć – obraz jest tak pełny, tak przekonujący, że czytelnik, który wiersz przeczyta od razu czuje tę atmosferę, ten gorąc, brak typowego rytmu, miasta utopionego w letnim upale. Opis Cincinnati, poecie który urodził się w Polsce w Elblągu, nie pozostawia wyboru. To inny świat. Ale prawdziwy, zapamiętany. I odległy oraz pozostający wciąż odległym, gdyż tam właśnie pozostała jego ważna część genetyczna, jego córka Sybilka. Do niej, o niej, a zarazem z nią wspólnie poeta ten swój charakterystyczny dla dorobku autorskiego tomik układa, pisze.

Prócz tekstów opisujących rzeczywistość powiązaną z całością autorskiego zbioru wierszy, charakteryzują go jeszcze dwa inne rodzaje wierszy opisujących. Są to wiersze w których poeta zwraca się bezpośrednio do córki, lub ją opisuje. I – co jest także swoistym majstersztykiem literackim – wiersze pisane w jej imieniu; parafrazy poetyckie, czyli swobodne przeróbki tekstu listów córki do ojca, modyfikujące treść oryginału, ale zachowujące ich sens.

Przybliżające do świata, w którym przeżywają swój czas, oddalając się od rzeczy, miejsc i doznań minionych, a jednocześnie zbliżając do „wszechświata”, do kresu swej oddzielnej, chociaż w tak wielu przypadkach wiążącej ich podróży.

Listy od Sybil, które posłużyły autorowi na pokazanie prawdziwej jej natury; wrażliwej, subtelnie kobiecej, a jednocześnie buntowniczej i mocno związanej z ojcem poprzez zamiłowanie do poezji, mają jeszcze jedną bardzo ważną cechę wspólną. Są nią doświadczenia, które zmusiły rodzinę w roku 1981 do emigracji. Zobaczmy i porównajmy:

`List 1 od S. (parafraza)`

Chodzę w sukni w kolorze wiśni.
Nocami mam kłopoty ze snem.
Oddycham tylko, gdy mam aparat fotograficzny w ręce.
Pytasz mnie o nowe zdjęcia i prosisz abym napisała,
co było powodem mojego zniknięcia na długo.

Tato, słowa z tamtych czasów odeszły.
Przepadły.
I dlatego, że ciebie kocham nic nie muszę tłumaczyć.
Zapytasz mnie, gdy twoja twarz będzie tak blisko mojej,
Jak zawsze powinna być.

List 2 od S. (parafraza)

Ja, córka urodzona z wolności, nie umiem żyć
bez swobody ducha i ognia. Do dzisiaj drzemią we mnie odgłosy
sierpniowej rewolucji w Stoczni Gdańskiej.
Słyszę też wiersze.
Jestem taka jaką mnie zbudowałeś.
Jestem domem w którym okna wpuszczają
światło z każdej strony.
Kiedy słońce przez nie wpada kurz zaczyna migotać i jaśnieć.
Choć deski podłogowe skrzypią,
wraz z każdym krokiem jestem bliżej wielkich drzwi wyjściowych.
Chcę przez nie przejść pewnym krokiem,
nawet gdy mam wątpliwości, czy tam na pewno czekają na mnie
otwarty horyzont i wysoko kołujące ptaki.

Oba teksty są tak oczywiste w odbiorze, że nie wymagają dodatkowej interpretacji. Ani co do wyrażonych w nich powiązań merytorycznych, jak *zniknięcie na długo i nadzieja na ponowną bliskość*, czy *zapewnienia córki o miłości do ojca, która wyjaśnia i dopełnia wszystkiego*. Ani też takich pojęć jak: *urodzenie z wolności*, czy *bycie domem wpuszczającym światło z każdej strony*.

A to przykład najbardziej chyba ujmującego opisu charakteryzującego postać córki poety, na tle powszechnie rozumianego pojęcia córek:

Córki

Siedzi w moim pokoju na wzorzystej kanapie
córka córek, ojców pożegnanie.
Włosy spadają na jej jasne czoło, ciało ma wygięte, złamane,
jest elastyczna, blisko i daleko,
jest jeszcze a już nie ma
jej

Dochodzi płacz ojców całego świata, choć wiedzą
że tak młode dziewczyny muszą odejść.
Jeszcze blisko, choć w biegu,
w gabinecie pełnym książek i zdjęć,
w długich starannie splecionych warkoczach myśli
są
W zielonych sukniach, w koronach kwitnących, całe w płatkach
są we wszystkich zakątkach globu,
czekają na mnie, na ciebie, na swojego ojca,
który zasnął na tej długiej kanapie
w trumnie nieuniknionego
losu

Siedzi w moim pokoju, ma zamknięte oczy,
bo to nie one dają jej widzenie, w pięknej sukience,
włosy upięte, nad nimi falująca aureola,
ręce trzyma na książce i
jest

wierszem z tej książki,
jest okiem, które samo siebie widzi, odchodzi od odchodzących
bez słowa, bez gestu pożegnania

i nawet bez listu

Nie przypadkowo przytoczyłem pełne teksty wierszy. Nie z osobistej sympatii do Autora, lecz z uwagi na wspomniane już wcześniej szczelne obrazowanie przez niego tekstów literackich i uzupełniające się metaforyczne powidoki tworzące spójną mozaikę liryczną utworu. Trudno byłoby ją kroić, wyjąć z niej fragment, który by stanowił o doskonałej całości.

Mimo powyższych zalet trudno byłoby jednak zmieścić w tym eseju długie teksty o charakterze patriotycznym i społeczno-politycznym. Takim utworem jest między innymi wiersz **dwa ognie** odnoszący się do znanych wydarzeń z okresu napaści na Ukrainę przez Rosję. Autor pisze w nim: „...Na Majdanie płonie ogień,/ w tle osmolone pomniki chwały i twarz staruszki./ Przez barykady/ grają w dwa ognie...". I dalej: „...Na Majdanie mrok, płonie na żółto-niebiesko, ludzie w kaskach/ podobno biją, albo się biją, albo zabijają./ Dzisiaj jest środa, jeszcze sporo dni do niedzieli, kiedy idę na filmową/ premierę,/ rewolucyjny film, kolejna odsłona seksu i wolności erotycznej,/ postęp, postęp, wciąż dokonujemy transgresji,/ jakże odważnie pokazał to artysta...". I kolejne refleksje autora: „...To jest Ukraina./ A to jest Europa./ A to sikory i grubodzioby na gałęzi./ Mówią w Brukseli. Mówią w Moskwie./ Mówią. Milczą...".

A dalej za nim na kolejnej stronie przeczytać możemy przewrotny w treści wiersz **„Pytania do Nieprzyjaciół Moskali, po zdobyciu Krymu".** Wiersz w którym poeta zadaje szereg pretensjonalnych pytań, na które odpowiedzi nasuwają się same, ale na które nikt nie potrafi ich udzielić w sposób otwarty, jawny:

„Czy wielki naród to ten, który jest liczny i posiada wielkie ilości okrętów,
ten który jest silny i strzela z wielkich armat,
który ma długie granice będące zawsze za krótkie?...

Czy wielkim narodem jest ten, który wokół widzi wrogów,
który ma tylko nieprzyjaciół,
to ten naród który jest otoczony przez cały świat?..."

Zachodzi pytanie dlaczego te teksty znalazły się w tomiku poświęconym córce?

Ujawniony w młodości instynkt młodego rewolucjonisty w połączeniu z instynktem samozachowawczym dojrzałego poety (przypomnijmy sobie wiersz Zbigniewa Herberta: „Nie bądź bezpieczny - poeta pamięta/ Możesz go zabić – narodzi się nowy/ Spisane będą czyny i rozmowy...") sprawiają, że trudno byłoby sobie wyobrazić, by tak doświadczony autor nie poświęcił kilku wierszy w książce zarówno powracającym wspomnieniom z okresu wydarzeń w Stoczni Gdańskiej, jak i żeby nie odniósł się do aktualnych wydarzeń polityczno-społecznych rzutujących na całokształt współczesnego świata.

Wszak to, co na początku rewolucji robotniczej „Solidarności" wydarzyło się w Gdańsku, miało wpływ na całe późniejsze życie i jego i córki (i zapewne całej rodziny także). A to co aktualnie dzieje się w **naszej** Europie, co wydarzyło się i nadal wydarza w pobliżu granic, bezpośrednio uderza w **nasze wolności**, dotyka naszych swobód (wypowiedzi ustnych, pisania, zajmowania się naszą piękną, ale **ginącą na naszych oczach kulturą**).

Nie mogę wprost oprzeć się, by w tym miejscu nie posłużyć się kolejnym, tym razem o mocnym (czytelnym) zabarwieniu sarkastycznym, wierszem autora:

Jesteśmy mężni

Świat staje się coraz bardziej mężny, jesteśmy jak nigdy silni.
Codziennie pokazują nam rozpadające się światy,
umierające dzieci,
tonące matki.

Lecz my dzielnie trwamy i stawiamy odpór obcym,
nie dajemy im wejść do naszych domów, odlatujemy na marsa,
nie dajemy się zwieść
najeźdźcom.

Dzielnie bronimy nasz kraj,
nasze granice, nasze drogi.
I nasz kosmos chronimy.
Nie oszukają nas islamskie dzieci, bo my wiemy.
Bo my lepiej wiemy, wiemy najlepiej

co wybuchowego za pazuchą ma takie dziecko,
co niesie w głowie, co chowa w torbie, jakie zamiary przynosi.
Obronimy nasze niebo.

Nie damy się zwieść. Nasz jest potężny świat.
Obronimy go mężnie.
Postawimy straże by ocalić wszechświat.

Dopełniając niejako całości swojej wypowiedzi na temat wierszy zawartych w nowym dwujęzycznym tomiku Zbigniewa Joachimiaka „córka • daughter", pozwolę sobie na refleksję końcową, wyrażającą jednocześnie i uznanie dla jego twórcy (twórców – bo i znakomitej tłumaczki polskiego pochodzenia Anny Zofii Gąsienicy Byrcyn), jak i spostrzeżenie, że książka ta staje się jednocześnie doskonałą pozycją czytelniczą dla czytelnika w Ameryce, w tym Polonii Amerykańskiej, jak i ukoronowaniem bieżącej twórczości literackiej Zbigniewa Joachimiaka w rozpoczętą w tym roku XX rocznicę powstania MIGOTAŃ, pisma wnoszącego od dwudziestu lat trwały wkład w polską literaturę współczesną. Pisma, które nawet w realiach Nowego Polskiego Ładu wciąż musi walczyć o przetrwanie. Pisma na czele którego jako redaktor naczelny stoi nie tylko „poeta który pamięta", ale który jednocześnie wierzy w dobro, przychylność i nieustępliwość ludzi, „którym jeszcze zależy".

Stanisław Smalewski

Adam Buszek

Zaproszenie do Pracowni Słowa

Odkąd pamiętam, książki unoszą mnie w czasie i przestrzeni, a niekiedy przenoszą poza czasoprzestrzeń. Jako dzieci odbywamy te podróże naturalnie, bez uprzedzeń i warunków. W tym pierwotnym, pionierskim okresie życia zrastamy się z niezwykłością, zasypując ją lotkami pytań. To dlatego z taką lubością zdmuchujemy lotne owoce z puszystej kuli mniszka lekarskiego. Są pytania i jest cudowny lot. Ten sam lot drzemie w puszystych kulach słów i zdań.

A później umowny dorosły świat zakłada nam kamizelki ratunkowe, szelki, kaski, gogle, plecaki, podręczne spadochrony, apteczki z pierwszą pomocą. Zaleca, by nie odchodzić/odjeżdżać/odlatywać za daleko, bo to niebezpieczne i niepraktyczne. Język potoczny stawia na brzegu dorosłości, język literacki - na brzegu dzieciństwa i młodości. (Kładka między brzegami czynna jest tylko podczas urlopu, a i to nie zawsze). Oddziela książki od życia. Na książki będzie czas „po" (po szkole, po pracy) albo „na" (na urlopie, na emeryturze). Przypomina to często zapisywanie ognia do szkoły strażackiej. Bardzo wdzięczny cel.

Mamy więc stopniowo zapominać, że życie jest serią bliższych i dalszych podróży, a słowa i zdania są w nas tak samo jak woda i krew. Nie da się o tym zapomnieć, ale można tłumić albo wypierać.

Życiowa jest każda książka, w której odnajdujemy cokolwiek z siebie. Książka, zdanie lub akapit, wiersz lub wers, dialog lub monolog, kilka słów, dwa słowa albo jedno słowo: przeczytane, wypowiedziane, pomyślane, odczute.

Jeśli szukasz takich słów i chcesz się podzielić tymi, które znalazłeś, spotkajmy się w Pracowni Słowa w Forum Synagoga.

Pracownia Słowa to seria warsztatów literacko-dyskusyjnych, które odbędą się od marca do września 2022 roku w Ostrowie Wielkopolskim. Spotkamy się co miesiąc w soboty. Pamiątką z Pracowni Słowa będzie antologia naszych tekstów, która ukaże się nakładem Ostrowskiego Centrum Kultury.

Co mamy w planach?

• Poeksperymentujemy z tekstami wybitnych pisarzy i poetów. • Odkryjemy zaskakujące związki literatury i sztuki z życiem osobistym. • Poszukamy piękna i podobieństwa między językami polskim i angielskim. • Otworzymy pracownię słowa dla naszych tekstów.

Adam Buszek

Pierwsze spotkanie:
26.03.2022, godz. 10:00-14:00
Kolejne:
23.04, 28.05, 26.06, 09.07, 24.09

Informacje i zapisy:
synagoga@ockostrow.pl, damslowo@gmail.com

Gospodarz:
Forum Synagoga synagoga.ockostrow.pl

Patroni:

Muzeum Jana Kochanowskiego w Czarnolesie http://www.cyfrowyczarnolas.pl/

Kwartalnik literacki Migotania https://www.facebook.com/migotania/

Dam Słowo https://www.facebook.com/klubslowa

Zapraszam!

W numerze prezentujemy prace Erazma Felcyna

W latach 1964-1966 fotoreporter, a następnie (1966-1968) redaktor naczelny Ilustrowanego Magazynu Studentów Politechniki Gdańskiej „Kronika Studencka". Członek Sekcji Wystawienniczej Gdańskiego Towarzystwa Fotograficznego (1969-1976). Członek Związku Polskich Artystów Fotografików od 2005 r., od 2014 r. jest przewodniczącym Komisji Artystycznej Okręgu Gdańskiego ZPAF.
Zadebiutował w 1965 r. indywidualną wystawą „Na szlaku" w jednym z klubów studenckich Gdańska. W następnych latach wziął udział w blisko dwustu wystawach w kraju i na świecie zdobywając szereg medali i wyróżnień. Wiele jego zdjęć znajduje się w kolekcjach muzealnych i prywatnych. Korzystając z możliwości techniki cyfrowej na bazie swych starych negatywów zrealizował unikatowe kolekcje portretów ludzi związanych w latach 1964-1968 z Politechniką Gdańską oraz portretów kaszubskich z lat 1968-1972. W podobny sposób powstał zbiór „Bliscy Nieznajomi – SOPOT '70". Jest autorem licznych prac z pogranicza fotografii klasycznej i grafiki cyfrowej, jak i w obszarze umownie nazywanym malarstwem cyfrowym.

Jego wystawy indywidualne – „ROSARIUM", „SYNTHESIS", „NIEPOKONANI", „WYSPY SZCZĘŚCIA", „FANTASMAGORIE", „AUN APRENDO" czy „ANATOMIA APOKALIPSY" – podejmują istotne zagadnienia o charakterze egzystencjalnym i filozoficznym. Jest autorem kilkukrotnie publikowanego eseju „POKAŻCIE MI ANIOŁA – o realizmie i rzeczywistości w fotografii".

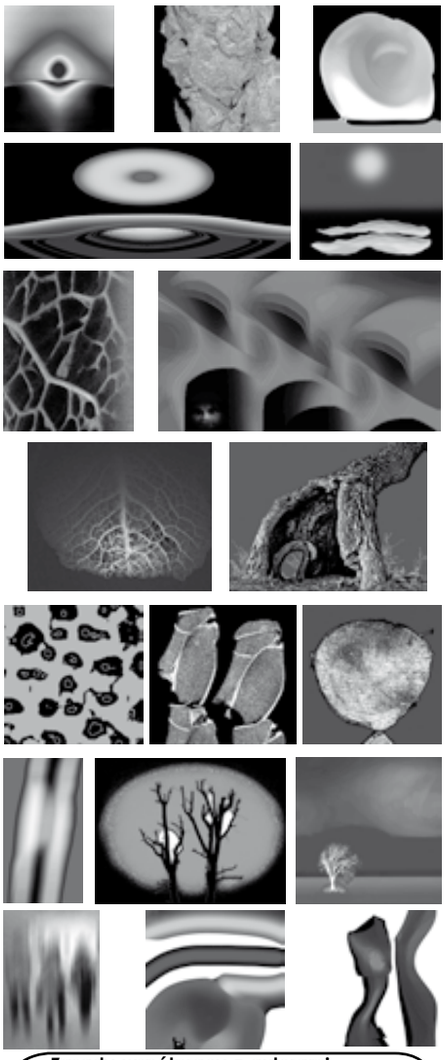

Spis prac:

01. Fot. Erazm W. Felcyn, z kolekcji „Aun Aprendo" (2019)
02. Fot. Erazm W. Felcyn, z kolekcji „Aun Aprendo" (2019)
03. Fot. Erazm W. Felcyn, z kolekcji „Aun Aprendo" (2019)
04. Fot. Erazm W. Felcyn, z kolekcji „Aun Aprendo" (2019)
05. Fot. Erazm W. Felcyn, z kolekcji „Aun Aprendo" (2020)
06. Fot. Erazm W. Felcyn, z kolekcji „Aun Aprendo" (2020)
07. Fot. Erazm W. Felcyn, z kolekcji „Aun Aprendo" (2020)
08. Fot. Erazm W. Felcyn, z kolekcji „Aun Aprendo" (2020)
09. Fot. Erazm W. Felcyn, z kolekcji „Aun Aprendo" (2020)
10. Fot. Erazm W. Felcyn, z kolekcji „Aun Aprendo" (2020)
11. Fot. Erazm W. Felcyn, z kolekcji „Aun Aprendo" (2020)
12. Fot. Erazm W. Felcyn, z kolekcji „Aun Aprendo" (2020)
13. Fot. Erazm W. Felcyn, z kolekcji „Aun Aprendo" (2020)
14. Fot. Erazm W. Felcyn, z kolekcji „Aun Aprendo" (2020)
15. Fot. Erazm W. Felcyn, z kolekcji „Aun Aprendo" (2020)
16. Fot. Erazm W. Felcyn, z kolekcji „Fantasmagorie" (2020)
17. Fot. Erazm W. Felcyn, z kolekcji „Fantasmagorie" (2020)
18. Fot. Erazm W. Felcyn, z kolekcji „Fantasmagorie" (2020)
19. Fot. Erazm W. Felcyn, z kolekcji „Fantasmagorie" (2020)
20. Fot. Erazm W. Felcyn, „Odchodzący" (2019)
21. Fot. Erazm W. Felcyn, „Kominy" (2019)
22. Erazm W. Felcyn (digital painting, 2021)
23. Erazm W. Felcyn "Pożoga" (digital painting, 2021)
24. Erazm W. Felcyn "Pasożyt" (digital painting, 2020)
25. Erazm W. Felcyn "Allegro andante" (digital painting, 2019)
26. Erazm W. Felcyn "Protest" (digital painting, 2020)
27. Erazm W. Felcyn "xxx" (digital painting, 2020)
28. Erazm W. Felcyn "xxx" (digital painting, 2020)
29. Erazm W. Felcyn "e-informacja" (digital painting, 2020)
30. Erazm W. Felcyn "Kwarantanna" (digital painting, 2020)
31. Erazm W. Felcyn "Finalna pandemia – Adam I Ewa" (digital painting, 2020)
32. Erazm W. Felcyn "Bunkier" (digital painting, 2020)
33. Erazm W. Felcyn "Postantropocen – pejzaż bezludny"" (digital painting, 2020)
34. Erazm W. Felcyn "xxx" (digital painting, 2020)
35. Erazm W. Felcyn "xxx" (digital painting, 2020)

Sprostowanie:

W „Migotaniach" nr 4 (73) 2021 na stronie 100 (X) zostało błędnie podane imię autora wiersza pt. „powielacz" – utwór nie jest autorstwa Zbigniewa, ale Janusza Taranienko (zgodnie z poprawnym zapisem w „Spisie treści" na stronie 3).

Ponadto nie podano, że publikowana zostaje jedynie pierwsza część tego tekstu.

Za pomyłkę przepraszamy)

gazeta literacka
Migotania
www.migotania.pl
ISSN 2083-2494
numer 1 (74) 2022

Redakcja:
Redaktor naczelny: **Zbigniew Joachimiak**
Dział PR: **Adam Buszek**
Dział tekstów, redakcja i korekta:
Agata Foltyn
Dział fotografiki: **Sybilka Storie**
Redaktorzy: **Maria Jentys-Borelowska (Warszawa)**,
Zbigniew Kresowaty (Lądek Zdrój)
Roman Warszewski (Gdynia),

Stale współpracują:
Anna Frajlich (Nowy Jork),
Grzegorz Musiał (Bydgoszcz),
Leszek Szaruga (Warszawa),
Olga Śmiechowicz (Łódź),
Marek Wawrzkiewicz (Warszawa),
Krystyna Śmiechowicz (Łódź),
Aleksandra Naróg,
Urszula M. Benka,
Leszek Żuliński (Warszawa)
Andrzej Wołosewicz

Redakcja niekoniecznie podziela poglądy autorów.

Opracowanie graficzne:
Bałtox Jolanta Rakowska
Wydawca: Fundacja Światło Literatury
Adres redakcji: Fundacja Światło Literatury,
ul. St. Dubois 59, 80-419 Gdańsk
tel. 601-840-302
joa@migotania.pl,

Fundacja ŚwiatłoLiteratury

Migotania.
Redakcja uprzedza, iż nie odsyła tekstów nie zamówionych. Staramy się odpowiadać na propozycje tekstowe, ale nie zawsze możemy to zagwarantować. W korespondencji z Redakcją prosimy używać przede wszystkim adresów e–mailowych.

W sprawie zamieszczania reklam prosimy o kontakt mailowy na adres:
joa@migotania.pl

WOJEWÓDZTWO POMORSKIE
DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW SAMORZĄDU WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.
DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO

Zasady współpracy z autorami w Gazecie Literackiej "Migotania":

– Przekazując materiały do redakcji Pisma:
– autor wyraża zgodę na ich nieodpłatne rozpowszechnianie w formie druku i w internecie.
– autor oświadcza, że teksty i zdjęcia są w całości jego/jej autorstwa i nie naruszają praw osób trzecich.
– autor udziela zgody na wykorzystanie swojego wizerunku i danych osobowych (nazwisko, imię a w notkach biograficznych rok i miejsce urodzenia).
– autor ponosi wyłączną odpowiedzialność z tytułu ewentualnego naruszenia przez siebie prawa spowodowanego publikacją nadesłanych utworów.
– autor zezwala redakcji na dokonywania skrótów i korektę merytoryczną w nadesłanych materiałach.

WSZYSTKICH CZYTELNIKÓW, Autorów oraz Przyjaciół „Migotań" zapraszamy do wsparcia finansowego naszej Gazety
Tylko dzięki Waszej pomocy będziemy w stanie przetrwać na trudnym rynku oraz drukować Wasze teksty.
Dziękujemy za pomoc! Redakcja

Papierową mutację pisma Migotania można otrzymać bezpośrednio od redakcji. Wystarczy złożyć zamówienie i opłatę za przesyłkę 25 zł za 1 numer. Możliwa jest przesyłka za zaliczeniem pocztowym.

Jak zamawiać kwartalnik? Proste:

1. Zadzwoń pod numer 601-840-302 i złóż zamówienie
2. Wyślij zamówienie mailem do: joa@migotania.pl
3. Ewentualnie pocztą:
   Fundacja Światło Literatury, ul. St. Dubois 59, 80-419 Gdańsk
4. W tytule przelewu podać:
   "Na przesyłkę Migotań. Zamawiane numery i za jaki okres.

Zamawiane numery otrzymasz po wpłaceniu odpowiedniej kwoty za przesłanie na konto: Bank Millennium 74116022020000000170195866

Leszek Szaruga

WYPRASOWANIE (36)

Świat dość gwałtownie zdaje się zmieniać bieguny. O tym, że bieguny wędrują i że pole magnetyczne planety ulega przemianom, wiadomo nie od dzisiaj. Natomiast mało uwagi poświęca się zmianom pól mentalnych, w szczególności na globusie politycznym. Bardzo mnie z tej perspektywy zachwyciły obwieszczenia, które pojawiły się w przestrzeni uznawanej u nas za „prawicową", a powiadające, że prezydent Federacji Rosyjskiej oferuje światu model racjonalnego konserwatyzmu, który ma stać się przeciwwagą dla „lewackiej ideologii" szerzonej przez Zachód. Zapewne pochód tej nowatorskiej idei podążałby dalej z zawrotną szybkością, gdyby nie napaść Rosji na Ukrainę, w wyniku której sojuszniczka prezesa Kaczyńskiego, pani Marine Le Pen szykująca się aktualnie do wyborów prezydenckich we Francji nie poleciła zniszczenia ulotek opatrzonych jej reklamowym zdjęciem z Władimirem Putinem (może podmieni je na fotkę z panem Waszczykowskim, premierem Morawieckim). Niemniej warto zachować w pamięci rolę, jaką „konserwatywna rewolucja" w Niemczech czasów Republiki Weimarskiej odegrała w umacnianiu ideologii nazistowskiej. Póki co natomiast nie bez – jednak! - pewnego zaskoczenia przeczytałem na łamach tygodnika „Do Rzeczy" (nr 08/2022) tasiemcową rozmowę z rosyjskim politologiem Siergiejem Markowem zatytułowaną „O zamiarach Rosji, niepodległości Ukrainy i relacjach z Polską" zakończoną przez Rosjanina mocnym akcentem: „Musi się skończyć okupacja Ukrainy przez Stany Zjednoczone. Naród ukraiński musi odzyskać władzę we własnym państwie. Jeśli to się nie stanie, to Rosja będzie zmuszona zlikwidować zagrożenie dla swojego bezpieczeństwa".

Ustami byłego doradcy Putina Moskwa dixit: „Niemożliwe, aby kijowską dyktaturę, która wprowadza bestialskie zakazy posługiwania się językiem rosyjskim, popierała rosyjskojęzyczna większość ludności takich miast jak Charków czy Odessa. (...) Trzeba wyzwolić Ukraińców spod władzy represyjnego reżimu, który zabrania mówić po rosyjsku i nie pozwala im głośno opowiadać się za integracją z Rosją. (...) Nie ma na ten temat badań, ale oceniam, że ok. 60 proc. Ukraińców chciałoby dołączyć do Państwa Związkowego Rosji i Białorusi. Kiedyś woleli do Unii Europejskiej. Ale skoro UE ich nie chce, wybierają Rosję. Chcą być częścią większej całości. (...) Ukraina po prostu przestała istnieć jako samodzielne państwo. Do władzy doszła banda zbrodniarzy wojennych. (...) Ale nie będzie pokoju, jeśli nie zostanie odbudowana demokracja na Ukrainie. A do tego potrzebne jest wprowadzenie konkretnych rozwiązań. Po pierwsze denazyfikacja i delegalizacja wszystkich organizacji neonazistowskich, zakaz propagandy neonazizmu, zaprzestanie gloryfikacji zbrodniarzy takich jak Stepan Bandera. Po drugie, trzeba przeprowadzić śledztwo w sprawie ukraińskich zbrodni (...). NATO odmawia podpisania umów o przyjaźni i współpracy z Rosją, nie chce też oficjalnie potwierdzić, że nie traktuje Rosji jako wroga. To agresywny, antyrosyjski blok militarny, który nigdy nie prowadził operacji defensywnych. (...) Uważamy również, że obecne władze Ukrainy to okupacyjny reżim, sterowany przez NATO. Sojusz ten wspiera także niedemokratyczne reżimy Łotwy i Estonii, które dyskryminują swoich rosyjskojęzycznych obywateli. (...) Polska nie powinna się bać Rosji. Polska powinna bać się członkostwa w NATO. (...) Wydaje się wam, że jako członek NATO i UE jesteście wielkim mocarstwem. Dlatego możecie doprowadzić do kolejnej wojny i kolejny raz stać się jej ofiarą. (...) Scenariusz może być następujący. Polska wprowadza swoje wojska na Ukrainę. Dochodzi do starcia z armią rosyjską. Moskwa jest zmuszona odpowiedzieć. Czyli zadać klęskę polskiej armii, a następnie – być może – wkroczyć na terytorium Polski, aby zabezpieczyć swoje interesy i dopilnować, żeby efekty tej klęski były trwałe. Sytuacja może się rozwinąć w jeszcze gorszą stronę – Polska może doprowadzić do konfliktu między Rosją a USA z użyciem broni atomowej. (...) Członkostwo w NATO sprawia, że wasza klasa polityczna traci rozum i zachciewa się jej międzynarodowych awantur. Dlatego potrzebna jest wam neutralność. (...) Wiemy, jaki Polska ma plan. Chcecie utworzyć Międzymorze, konfederację pod swoim przewodnictwem, w której Ukraińcy i Białorusini znowu będą waszymi poddanymi". Uff! Można powiedzieć, że redakcji udało się wstrzelić w samo sedno centrum środka wojny rosyjsko-ukraińskiej. I choć redaktor prowadzący tą gadkę próbuje podejmować ze swym rozmówcą dyskusję, to przecież Rosjanin tu wyraźnie dominuje. I może nie byłoby to tak obrzydliwe, gdyby nie fakt, że redakcja nie opatrzyła tej kuriozalnej „politologicznej" logorei żadnym komentarzem, zaś naczelny redaktor czujnie zajął się we wstępniaku zawodzeniem nad popełnionymi przez Polskę błędami negocjacyjnymi pozwalającymi UE na sekowanie Polski poprzez blokowanie wypłat z Funduszu Odbudowy. Oto prezentacja postawy tego jakże nam dziś potrzebnego racjonalnego konserwatyzmu, którego podstawę wedle prezesa Kaczyńskiego ma stanowić nie jakiś tam system wartości, lecz siła, co w wielu swych wypowiedziach dosadnie eksponował.

I tak się a propos tej siły zastanawiam. Bo na czym to polega? Nie tylko na prymitywnej krzepie lub jej udawaniu, ale też chyba na pewnej umiejętności połączenia ryzyka z szantażem i kłamstwem. O tym mówi charakteryzując w Putina w wywiadzie dla „Polityki" (nr 10/2022) i zatytułowanym „Niech świat się zawali?" Oksana Zabużko: „Bo skoro Putin zaczął rewidować granice, to dlaczego ma się zatrzymać? (...) Używa chwytów, które KGB wykorzystywała do werbowania jednostek – tylko że w stosunku do grup społecznych, krajów. Trzeba znaleźć ludzką słabość i nacisnąć właśnie tam. A zastraszanie działa na Europę świetnie. Zwłaszcza na Niemców, którzy w stosunku do Rosji kierują się mieszanką winy i strachu. Zachodni politycy stojący w kolejce do Putina wmawiali nam, że pojęcia dobra i zła są nieważne. Zamieniali je na sukces, blask pieniędzy i inne korzyści. (...) Kłamie, bo jest KGB-istą. (...) Jeżeli człowiek ciągle kłamie, coraz trudniej odróżnić mu, co jest naprawdę, a co jest fikcją. To jakby dobrowolne wchodzenie w chorobę psychiczną". Być może wojna rosyjsko-ukraińska coś w tym układzie zmieni, być może nawet, przynajmniej na jakiś czas, tak jak to było po zakończeniu II wojny, cynizm i arogancja polityków zostaną zdemaskowane i uśpione tak, jak to ma miejsce w stosunku obecnych (ale i byłych) władz polskich do uchodźców, jeszcze niedawno zaszczuwanych na granicy białorusko-polskiej i przeganianych precz, a dziś przyjmowanych z otwartymi ramionami.

Też byliśmy – „my, Polacy" – podobnie przyjmowani przez sąsiadów. I to przez kogo…? Przez

Niemców. Mamy jednak krótką pamięć i nie uczymy w szkołach o tym, jak po klęsce powstania listopadowego niemieccy liberałowie, ale też ludność miast niemieckich witali przekraczające granice Prus rozbite oddziały powstańcze udzielając im wszechstronnej pomocy i wsparcia. Nie uczymy w szkołach o Polenlieder, wierszach poświęconych wolnościowemu zrywowi Polaków, nie wspominamy o dziele wybitnego historyka Ferdynanda Gregoroviusa Idea polskości (udostępnionym po polsku dopiero w roku 1990), nie odnotowujemy ważnych toczonych wówczas Hambacher Gespräche na zamku w Hambach, do których zresztą nawiązywał profesor Wilfried Schlau z uniwersytetu w Moguncji organizujący tamże w stanie wojennym spotkania z polskimi uchodźcami. Warto o tym pamiętać choćby po to, by nie uważać obecnego zrywu manifestującego solidarność z Ukraińcami jako zjawiska wyjątkowego, do którego zdolni jesteśmy tylko „my, Polacy". Do tego dojdą zapewne antologie „wierszy ukraińskich". I pewnie po jakimś czasie wszystko się "unormuje", a jeśli będzie trwać długo, może stworzyć problemy, jak zwykle, bo mechanizmy tego typu są w gruncie rzeczy niezmienne: okaże się, że nie wszystkim obecność tak sporej grupy Ukraińców się podoba, ktoś inny uruchomi wiadome, wołyńskie resentymenty (zresztą już się pojawiają w Sieci). Czy będziemy umieli te problemy rozwiązywać, czy też staną się zarzewiem mniej lub bardziej dramatycznych konfliktów? O tym już trzeba zacząć myśleć.

Póki co jednak jest tak, jak w mini-reportażu „Świat cały" Marcina Żyły w „Tygodniku Powszechnym" (nr 10/2022): „Wszyscy przejdą. Niektórych otoczą bliscy. Nikt nie będzie sam. Ale pierwsze sto metrów Polski, gdy puszczają emocje, a ciało pamięta o zmęczeniu, bywają bardzo trudne. Gdy ostemplują paszport, trzeba przejść tych sto metrów. Minąć szlaban i kolczatki, podejść do ludzi za barierkami. Na poboczu drogi krajowej nr 84, obok polsko-ukraińskiego przejścia granicznego Krościenko-Smolnica, jest takie miejsce, w którym nie ma zła. (...) Przez pierwsze sto metrów Polski nikt się nie spieszy. Idą Ukrainki i ich dzieci. Czasem starsi mężczyźni. Policjanci i strażacy pomagają ciągnąć ciężkie walizki i użyczają swoje telefony, aby ci, co są już w polskiej sieci, mogli zadzwonić do bliskich w Polsce (w końcu nie mają polskiej karty). W małym namiocie miejsce dla zmęczonych".

Mam nadzieję, że nikt z nich tu nie sięga po wywiad z rosyjskim politologiem reklamowany na okładce „Do Rzeczy": „Ring polsko-rosyjski. Publicysta „Do Rzeczy" kontra rosyjski polityk".

Leszek Szaruga

Tadeusz Zawadowski

dwa ptaki

w moim ogrodzie stoi czerwony stolik nakryty
do połowy białym płótnem. czasem
przysiada na nim ptak spłoszony jazgotem
pobliskiego targowiska. w milczeniu patrzymy
sobie w oczy. obaj mamy

opuchnięte od łez.

nowe

stary świat schodzi do podziemia. krok po
kroku ostrożnie ważąc każde stąpnięcie. jednak
z nastaniem dnia coraz bardzie zapadają się
w przeszłość. nowe wylewa się na wierzch.
ma zapach palonych migdałów

i piołunu

nadeszli barbarzyńcy

nadeszli barbarzyńcy a my tacy bezbronni. zaskoczeni
chwilą nieuwagi nie potrafimy zrozumieć naszej słabości.
zaciskamy pięści i mielimy w nich nic nie znaczące
słowa sprzeciwu. oni zaś krok po kroku zagarniają nasze
przestrzenie i budują w nich swoje zamki. jeszcze
łudzimy się że z piasku i wiatr je rozwieje lub zmyje
nadchodząca fala. coraz bardziej bezsilni
kryjemy się za tarczami liter szukają tam

ocalenia.

list w głąb grobu

Jękły - głuche kamienie:
Ideał – sięgnął bruku –
(Cyprian Kamil Norwid. Fortepian Chopina)

wiesz cyprianie znowu pojawili się barbarzyńcy
przeglądają kąty w sumieniach
znacząc je moczem i kałem. stare
ideały wyrzucaj na bruk
ładują do śmieciarek i wywożą w nieznane
- tak umierają
wielkie moralne
gabaryty.

wiesz cyprianie może to i dobrze
że fortepian chopina nie doczekał
tych czasów
gdy nowi barbarzyńcy licytują

ze starymi.

historie upadków

czytam historię upadków cywilizacji i czuję się jakbym
w olbrzymiej galerii przeglądał stare obrazy
przedstawiające dzisiejszą rzeczywistość. te same
twarze tyranów zniekształcone żądzą władzy
i nienawiścią do zastanego świata. otoczeni
kordonami posłusznych legionistów czują się
bezpieczni i bezkarni. jeszcze
nie wiedzą że zegary historii za chwilę wybiją

ich ostatnią godzinę.

stan lęku

boję się ze nadejdzie kolejna zaraza. gorsza
od obecnej. będzie się rozprzestrzeniać poprzez słowa
i spojrzenia pełne wrogości. nie pomoże zamykanie się
w domach wyłączanie radia i telewizji. czytanie
herberta pisanie między wierszami. ocalić nas mogą
jedynie słowa niosące nadzieję. ocalone

z pandemii nienawiści.

w rękawiczkach

tylko w rękawiczkach. podczas zakupów w sklepie
uchwalania ustaw w sejmie czy też podejmowania decyzji
o losach świata. zawsze w rękawiczkach. nawet
w pozornie przyjacielskim uścisku obowiązuje zakaz
pozostawiania śladów. po wszystkim
będzie można je zdjąć i o nich zapomnieć.
tak jest najwygodniej. po latach
ktoś odnajdzie na śmietniku ślady naszych

linii papilarnych.

rewia masek

ludzie zakładają różne maski w zależności od skazy.
takie są standardy. Jednorazowe – na konkretną sytuację.
wielorazowe powracają do łask po latach.
wyciągane z zakamarków pamięci gdzie wydawały się
już zbyteczne. trzeba je tylko odświeżyć i pasują jak ulał
do dzisiejszej rewii. zmieniają się tylko fasony i nazwy
sponsorów. siedzimy z żoną przy kawie. nie musimy

zakładać masek.

Maria Jentys Borelowska

Wspomnienie o Czesławie Dziekanowskim

(19 stycznia 1943 – 2 listopada 2021)

Był sierpień albo wrzesień roku 1970, kiedy w Redakcji Literatury Pięknej Współczesnej Ludowej Spółdzielni Wydawniczej, przy ulicy Grzybowskiej 4 w Warszawie (w tzw. Zielonym Domu, po którym dzisiaj nie ma nawet śladu), pojawił się młody mężczyzna o chłopięcym wyglądzie i dużych, jasnych oczach, patrzących na świat marzycielsko, a zarazem uważnie i jakby z namysłem. Przedstawił się i oznajmił, że przyniósł maszynopis swojej pierwszej powieści, aby zaoferować ją oficynie sprawującej patronat wydawniczy nad pisarzami pochodzenia chłopskiego, i to tak ważnymi dla polskiej kultury, jak Stanisław Nędza-Kubiniec, Stanisław Czernik, Stanisław Piętak, Julian Kawalec, Tadeusz Nowak, Julian Przyboś, Marian Pilot, Edward Redliński, Józef Morton i wielu innych.

Ale nie tylko ten względ przywiódł go do LSW. Nie mniej istotną rolę odegrał tu fakt, że kierownikiem Redakcji Literatury Pięknej Współczesnej był Wiesław Myśliwski, autor dwóch świetnych powieści: Nagiego sadu (z 1967) i Pałacu (z 1970), uznany za wielką nadzieję młodej polskiej prozy, za jasną gwiazdę na firmamencie literackim. Dla młodego człowieka o chłopskim rodowodzie i dużych ambicjach literackich mógł być on wzorem i symbolem sukcesu, a jako szef redakcji − gwarantem rozumiejącej i życzliwej, a przy tym wysoce fachowej i bezstronnej oceny przedstawionego mu dzieła oraz mądrze wyważonej decyzji o jego „być albo nie być". Obie powieści Myśliwskiego musiały być mu znane, wiedział więc dobrze, komu powierza los swojego pierwszego literackiego „dziecka", czyli − Zaklętego światła.

Powieść Czesława Dziekanowskiego, oceniona pozytywnie, choć nie bez zastrzeżeń i kontrowersji, przez recenzentów wewnętrznych (w tym przez Henryka Berezę), została zakwalifikowana do druku i niebawem maszynopis jej trafił na moje biurko. Dobrze mi się pracowało z tym skromnym, samokrytycznym i miłego usposobienia człowiekiem: obdarzony czułym słuchem językowym, w lot pojmował moje uwagi i bez protestu wykreślał dłużyzny, których nie brakowało w brawurowej, niekontrolowanej pisarskim doświadczeniem narracji; wystarczyła sugestia, ołówkowe podkreślenie, a już wiedział, które słowo trzeba zastąpić innym, które zdanie rozjaśnić.

Zaklęte światło ukazało się nakładem LSW w roku 1971 i zostało wyróżnione nagrodą im. Wilhelma Macha. Niestety, nagroda ta sprowokowała kilku krytyków do brutalnego ataku na debiutancki utwór. Stwierdzenia w rodzaju „marna imitacja Kawalca" lub „premia za temat" boleśnie krzywdziły autora, dyskwalifikując interesującą, z brawurą i fantazją napisaną książkę. Spektakularny sukces autora przemienił się w jego spektakularną klęskę, a skutki przeżytej wówczas traumy nie były łatwe do przezwyciężenia, o czym można się dowiedzieć z późniejszej o dwadzieścia lat opowieści autointerpretacyjnej. Kto wie zresztą, czy uporałby się z nimi Czesław kiedykolwiek, gdyby go w obronę nie wziął Henryk Bereza. Wielki krytyk, w eseju pt. W trudnej roli, napisał m.in.:

„(…) Ta drastyczna dyskwalifikacja (…) wzbudza odruchowy sprzeciw i podejrzenia, że kryją się za nią pozaliterackie emocje i motywy. (…) To jawna nieprawda, że Zaklęte światło jest jakąkolwiek imitacją prozy Kawalca, chociaż inspiracja tego pisarza jest u Dziekanowskiego oczywista i nie ma potrzeby jej ukrywać. (…) Związki Dziekanowskiego z Kawalcem są pierwszoplanowe, nie są to jednak u niego związki literackie ani jedyne, ani jednoznaczne. W Zaklętym świetle są widoczne relacje różnego typu z twórczością Wilhelma Macha, Juliana Przybosia, Józefa Mortona, Wiesława Myśliwskiego, Tadeusza Nowaka. (…) Korzystając z literatury, autor Zaklętego światła nie zapomina, że ma ona służyć do zrozumienia siebie i świata. Jego potrzeba jest inna niż potrzeba Kawalca. Kawalec zjadł zęby, tropiąc klęski w sukcesach. Dziekanowski klęski przeczuwa, wie o nich niejedno, doświadcza jednak euforii sukcesu i jej oparami wypełnia swoją powieść. Zaklęte światło ma być powieścią o triumfie syna wsi, który zdobywa świat, realizuje szklane domy, spełnia marzenia. I postacie, i realia są w tej powieści składnikami literackiego mitu społecznego zwycięstwa, triumfu, sukcesu. W tym micie niewiele jest rzeczy realnych i nie można weryfikować ich prawdy, ponieważ chodzi tu o prawdę fantastycznych wyobrażeń o sukcesie i triumfie twórczej siły, którą symbolizuje człowiek wsi czy człowiek z ludu."1

Druga powieść Czesława, Selekcjoner, ukazała się dziewięć lat później, w roku 1980, również pod szyldem LSW, ale już nie pod opieką Wiesława Myśliwskiego (który odszedł stamtąd w 1976 roku). Ukończona w roku 1975, długo nie znajdowała łaski u wydawcy, jak się zdaje, z przyczyn cenzuralnych. W końcu jednak pokonała przeszkody i wyszła w druku − z „błogosławieństwem" Henryka Berezy. Owo „błogosławieństwo", umieszczone na plecach książki, brzmiało tak:

„… powieść jest niemal deifikacją starego patriarchy chłopskiego, którego całe życie wypełniła praca wykonywana, jeśli nie ze świadomością, to z poczuciem jej najgłębszych sensów praktycznych i moralnych. Heroiczna walka Dziadka ze śmiercią nie została literacko zmistyfikowana, autor odrzucił tym razem wszelkie wzory heroizacji i zdecydował się na niemal reporterską relację o umieraniu starego człowieka na wsi. Ta relacja zawiera całe partie wielkiej piękności, ponieważ autentyzm społecznych i innych okoliczności wiejskiego umierania idzie w nich w parze z filozoficzną refleksją nad tymi okolicznościami."

Nie firmowałam tej książki jako redaktorka, bo od lata 1979 mnie także w LSW nie było, musiałam jednak wcześniej o jej wydanie zabiegać, a także pracować nad nią redakcyjnie, skoro ofiarowany mi przez autora egzemplarz jest opatrzony następującą dedykacją: „Marii… − wspaniałej, nieustępliwej promotorce 'Zaklętego światła' i 'Selekcjonera'". Niżej podpis i data: 23.03.1982.

Gdy dziś, po czterech dekadach od tamtych zdarzeń, kartkuję tę jedyną w swoim rodzaju opowieść o wiejskim umieraniu i czytam ustępy, które kiedyś tak bardzo mnie wzruszały, bawiły i zdumiewały, gratuluję sobie owej przypomnianej mi nieustępliwości w promowaniu *Selekcjonera*. Scena, w której wnuk, przybyły z miasta, by żegnać Dziadka, czyta mu, uparcie żyjącemu, tekst napisanej zawczasu egzorty, a Dziadek słucha go, robi uwagi i domaga się skrótów – nie straciła nic a nic ze swej świeżości i wspaniałości.

Trzeci utwór Czesława Dziekanowskiego to *Frutti di mare* – mistrzowski literacko zapis nastrojów i zdarzeń, które poprzedziły wybuch robotniczego gniewu na Wybrzeżu Gdańskim w Grudniu 1970 i Sierpniu 1980. Powstał on w roku 1981, jako owoc bezpośrednich obserwacji. Na wieść bowiem o rozpoczynającym się strajku stoczniowców pisarz udał się na Wybrzeże i zatrudnił czasowo w Stoczni Gdańskiej. Chciał być z nimi, poczuć ich gniew, zobaczyć wybuch. Zdawał sobie sprawę, że to moment historyczny.

Nie znalazł się jednak wtedy wydawca, który by zaryzykował wypuszczenie w świat *Frutti di mare*. Książka była postrzegana jako „trefna". Autor przez dziewięć lat odbijał się od zamkniętych dlań drzwi. W końcu trafił do „Iskier". Powieść ukazała się nakładem tegoż wydawnictwa w roku 1990, z rekomendacją wysokich autorytetów, m.in. profesora Bogdana Suchodolskiego. Pod moją redakcją.

Mam przed sobą ten pierwszy, sygnalny egzemplarz *Frutti di mare*, w ubogiej szacie edytorskiej, za to z grafiką Franciszka Maśluszczaka na okładce, kartkuję go i oto znowu, jak niegdyś, porywa mnie ten szczególny tok narracji − szybki, wartki, rwany, zbierający niezliczone głosy w jeden strumień Wielkiego i Nieodpartego Gniewu…

Po roku 1990 moje kontakty z Czesławem stały się rzadsze, znikał on raz po raz bez wieści, lecz po dłuższej lub krótszej nieobecności zjawiał się u mnie w mieszkaniu lub w redakcji, a której akurat pracowałam, albo telefonował. Umawialiśmy się na długie rozmowy, przede wszystkim o literaturze. Był ciekaw nowin z literackiego i wydawniczo-księgarskiego świata. O sobie mówił skąpo. Zazwyczaj po czasie dowiadywałam się o faktach dużej wagi w jego życiu, takich jak wspomniany wyżej pobyt na Wybrzeżu, jak praca w Niemczech, jak ukończenie studiów polonistycznych na Uniwersytecie Warszawskim, jak uzyskanie tytułu doktora habilitowanego tamże i podjęcie pracy w filii UW w Białymstoku. Zdumiewał mnie swoją aktywnością, budził podziw pracowitością. Był przecież pisarzem, a pisanie książek to zajęcie absorbujące może bardziej niż jakiekolwiek inne. Był też mężem i ojcem. W małżonce miał przyjaciółkę wymarzoną, oparcie niezawodne, ale dzieci, zwłaszcza niepełnosprawna Eliza, wymagały nieustającej troski. Jak sobie z tym wszystkim radził?

Zastanawiałam się nad tym już w roku 1970, przeczytawszy jego króciutki życiorys, dołączony do maszynopisu *Zaklętego światła*. Czegóż ten wiejski chłopak się nie imał! Z iluż piecy nie próbował chleba ten drobny i delikatny młody człowiek, urodzony podczas okupacji we wsi Wierzchowiska

ecej *** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej **

na Lubelszczyźnie?! Oto co mi wtedy napisał o sobie: „*W 1961 roku rozpocząłem studia na wydziale handlu zagranicznego Szkoły Głównej Planowania i Statystyki w Warszawie, które później kontynuowałem w Pradze czeskiej jako stypendysta Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego. Po powrocie do kraju w 1966 pracowałem w różnych instytucjach podległych Ministerstwu Handlu Zagranicznego. Następnie podjąłem studia na wydziale reżyserskim Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Warszawie. Byłem asystentem reżysera filmu „Czterej pancerni i pies" oraz współautorem scenariusza filmu dokumentalnego „Z tamtej strony". W 1968 roku debiutowałem wierszem w tygodniku „Zarzewie". Współpracuję z „Polityką" i „Filmem", zamieszczając na łamach tych pism artykuły i reportaże.*"

Tak było przed rokiem 1970. Po roku 1993 Dziekanowski był już adiunktem Uniwersytetu w Białymstoku, a niewiele później profesorem i kierownikiem Zakładu Psychoanalizy i Myśli Humanistycznej na Wydziale Pedagogiki i Psychologii Uniwersytetu w Białymstoku. Jakby tego było mało, redagował czasopismo „Świat Psychoanalizy" (1995-2001) oraz serie wydawnicze „Literatura i Psychoanaliza" i „Psychologia Literatury" (od 2000), prowadził eksperymentalny Teatr Fizyczny, organizował konferencje naukowe na temat psychoanalizy literaturoznawczej, no i − pisał, pisał, pisał…

W roku 1995 otrzymałam od Czesława jego czwartą powieść − Projektantkę intymności, w roku 1998 piątą − Zaproszenie. Obie psychoanalityczne, skupione na tzw. odmiennych stanach świadomości, dość wyrafinowane formalnie, bardzo poetyckie, mądre. Przeczytałam je z ciekawością, ale bez zaskoczenia, wiedziałam bowiem, że od pewnego czasu psychoanaliza to wielka pasja mojego przyjaciela, oddaje jej się prawie bez reszty: i jako psychoanalityk-praktyk, i jako psychoanalityk-literaturoznawca, i jako pisarz.

W roku 1999 Czesław poprosił mnie o napisanie noty rekomendacyjnej na okładkę kolejnej powieści, którą właśnie złożył w wydawnictwie. Spełniłam jego prośbę. Nota moja brzmi tak:

„Jasnogród to surrealistyczny i groteskowy obraz współczesnego świata, którego zasadą staje się absurd, a kształtem – bezkształt. Na pierwszy rzut oka może budzić sprzeciw jako niemoralna zabawa literacka. Jednak jej głębsze moralistyczne przesłanie nie daje się zignorować. To tragigroteskowa baśń, która pokazuje naszą nieautentyczność, ślepotę i groźną dla losów ludzkości nieodpowiedzialność. Prowokuje i ostrzega."

Utwór ten został wydany w roku 2000 przez Podlaski Instytut Wydawniczy.

Dwa lata później mój prywatny zbiór książek Dziekanowskiego wzbogacił się o siódmą pozycję – Taniec z nieświadomością2. Lekturę tej opowieści autointerpretacyjnej – jak ją określił wydawca − pamiętam do dziś jako pełną niespodzianek wędrówkę po krainie czarów. Zbudowana „z obrazów intymnej biografii" – to znów cytat z blurba – poruszyła mnie tak bardzo, że poświęciłam jej obszerny szkic recenzyjny3. Zaczęłam go pochwałą Tańca… i jej autora. Stwierdziłam, że jest doskonale oburęczny, jedną ręką pisze powieści, drugą przenosi na papier przemyślenia z dziedziny psychologii literatury, a obydwoma rękami włada z jednaką zręcznością: „ptaki dla myśli" wyczarowywane jedną ręką spotykają się w jego osobistej przestrzeni twórczej z „myślami dla ptaków". Taniec z nieświadomością to bardzo interesujący rezultat owej rzadkiej umiejętności. Warto przytoczyć z niego choćby jeden krótki fragment: „Pisząc jestem podmiotem fantazjującym, ale dość ubogo fantazjującym. Jeśli uda mi się zidentyfikować z podmiotem śniącym, natychmiast zaczynam doświadczać czegoś wspaniałego"4.

Skoro mowa o badaniu procesu twórczego z użyciem psychoanalizy, nie sposób nie wspomnieć o trzyczęściowej pracy psychoanalitycznej, którą Dziekanowski poświęcił trzem pierwszym powieściom Wiesława Myśliwskiego. Zafascynowany nimi, poruszony do głębi, zachwycony, postanowił dotrzeć do treści archetypowych, symbolicznych, ponadczasowych. Pamiętam, jak ekscytował się swymi odkryciami. Pisał i kolejno wydawał: *W imię Ojca i Syna* − w roku 1993, *Życie jaśnie pana* − w 1994, *Życie w śmierci* − w 1995. Nigdy nie przeczytałam żadnej z nich – nie czułam takiej potrzeby. Nie znam także ani jednej z jego prac powstałych w Zakładzie Psychoanalizy i Myśli Humanistycznej na Wydziale Pedagogiki i Psychologii UwB.

Ostatnie lata życia pisarza były trudnym czasem walki z nieuleczalną, podstępną, obezwładniającą intelektualnie i emocjonalnie chorobą. Mimo postępującego zaniku sił witalnych Czesław nie przestawał pracować twórczo. W roku 2007 wydał powieść *Szkoła wojny*, w 2016 dramat *Głodne oczy*… Przez *Szkołę wojny* nie zdołałam przebrnąć, zabrakło mi niezbędnej dozy wyrozumiałości. Nie znalazłam też dla autora dobrego słowa. Nie miałby mu zresztą nic szczególnie pocieszającego do powiedzenia najwyrozumialszy z czytelników i najłagodniejszy z krytyków Henryk Bereza, skoro w *Wypiskach ostatnich*, pod datą 26.08.2007, zanotował: „*powieść „Szkoła wojny" (Eneteia, Warszawa, 2007) nie jest, niestety, dobra, w swojej pierwszej części „Młodzik" jest wręcz nie do przeczytania, w drugiej, „Lokata", znacznie lepsza, chociaż nie ze względów artystycznych. (…) Z „Lokatą" jest więc radykalnie lepiej, co stwierdzam z ulgą, bo przecież w los literacki Czesława Dziekanowskiego jakoś od początku się angażowałem*"[5].

Trudno jest pisać w czasie przeszłym o kimś, kto pozostawił po sobie trwały ślad. Trudno i boleśnie. A Czesław Dziekanowski jest właśnie tym kimś, kto wpisał się w moją pamięć i świadomość literacką mocno i wyraźnie. Nie tylko swoimi mądrymi, oryginalnymi i wzruszającymi książkami, ale również nieczęstymi, lecz regularnymi rozmowami, które nigdy nie były zdawkowe. Pożegnałam go 10 listopada 2021 roku na lipkowskim cmentarzu jak Najlepszego Kolegę, Przyjaciela i Drogiego Brata w Literaturze. A powyższymi słowy pragnę podziękować Mu za wszystko.

Maria Jentys-Borelowska
Warszawa, 3 grudnia 2021 r.

Henryk Bereza: Wypiski ostatnie 1, 2004-2012. Państwowy Instytut Wydawniczy 2020 s. 349-351

1. Henryk Bereza: Związki naturalne, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza 1978 s. 362-364.
2. Taniec z nieświadomością ukazał się w roku 2003 nakładem Wydawnictwa Psychologii i Kultury ENETEIA, w serii Psychologia Literatury, pod redakcją Czesława Dziekanowskiego.
3. Maria Jentys: Pomóż, Animo!, „Twórczość" 2004 nr 5 s. 113-117; przedruk w: Maria Jentys: Nić Ariadny: z notatnika recenzentki. Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2005 s. 174-179 (rozdział pt. Czesława Dziekanowskiego taniec z nieświadomością).
4. Taniec z nieświadomością, op. cit., s. 216.
5.

Erazm Felcyn

** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej *** Migo

Robert Gawłowski

Przebłyski i olśnienia

Długo tęskniliśmy za tym miejscem
i znów tu jesteśmy.

Liście wierzby kołyszą się w słońcu,
nieme obłoki gasną.

Krzaki nawłoci szarzeją przy ziemi,
światło złoci wody.

Z trawami powtarzamy dekalog ciszy,
wstrzymujemy czas.

I znów wracają zachwyt i niepewność,
przebłyski i olśnienia.

Pragnienia

Ta kobieta nad brzegiem czeka i pragnie,
czeka i mówi do siebie, kocha i pragnie.
A potem jeszcze nuci, śpiewa, zawodzi,
bo jej są tonie, głębiny, niespokojne wiry.

Tak chciałaby dotknąć swojej tajemnicy,
odwrócić los, stanąć w blasku, promienieć.
Niespokojne wody są lustrem i widzą, jak
pragnąca wchodzi w lustra swojej tęsknoty.
I jak zaklina bagno, trawy, nagie drzewa,
jak rozpala niebo, jak gasi śnieżne burze.

Skarby

Najpiękniejsze były te nigdy i jeszcze
niewysłowione.

Wynosiliśmy je z wieczoru niby złoto
wybrane z rzeki.

Resztki słońca odbijały się w wodzie,
czarowały oczy.

Blaszki liści drżały w ciepłym wietrze,
grały śród ciszy.

Zaprzedawaliśmy dusze symfoniom
późnej jesieni.

Ich błyski wiodły ku brzegom języka,
światła i cienia.

Zapadały w nas głębiej i głębiej, lśniły,
dźwięczały i lśniły.

Chwila

dla Matyldy

Idziemy po wysokim wale wzdłuż rzeki,
trzymamy spory dystans i milczymy,
to nasza modlitwa.

Zacina wiatr, drzewa tracą liście, gniją
dzikie jabłka, rdzewieją strąki ciszy,
ziarno znika w ziemi.

Stary ojciec i córka wysoka jak trzcina,
w zimnym świetle, u końca jesieni,
otuleni przez cienie.

Blask topnieje, kołyszą się szare trawy,
otwierają się pestki, pod stopami
żwir, chrzęści chwila.

Genesis

Nieustannie siebie lepimy

z tego światła nad wodą,
z wilgotnej ciemnej kory,
z drżących liści i głosów,
z kasztanów i leszczyny,

z myśli pośród obłoków,
z lęków o jutro, pojutrze,
z wiary, nadziei, miłości,
z chwil, mgnień, błysków,

z ruin, resztek, skrawków,
z kruchego i skruszonego,
z bezpowrotnie odeszłego,
z milczącego w otchłani,

na obraz i podobieństwo.

ROBERT GAWŁOWSKI (1957) - dziennikarz, krytyk, autor sztuk teatralnych, słuchowisk radiowych i scenariuszy filmowych. Wierszami debiutował w roku 1977. Wydał zbiory: „Nie ukrywajmy tego szaleństwa" (1983), "Ograniczony wybór" (1984), „Marko Polo" (1987), „Podróż chroniczna" (1997), poemat o Traklu „Georg - ostatnie chwile, ostatnie błyski" (1998), „Pył" (2020) – nominacja do Nagrody Poetyckiej im. K.I. Gałczyńskiego „ORFEUSZ", „Dotknięcie" (2020), „Wieża wiatrów" (2021). Ostatnio publikował m.in. w „Toposie", „Twórczości", „Almanachu Prowincjonalnym", „Śląsku", „Helikopterze" i „Wobec".

ecej *** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej **

„Rozgwieżdżone niebo"

Jerzy Lengauer

W bibliotece na mazurskiej prowincji... Jeszcze przy zasuniętej kurtynie wysłuchaliśmy krótkiego wprowadzenia o idei Teatru Przy Stoliku i niewielkiego rysu literackiego na temat odnoszącego sukcesy w Hiszpanii dramatu na dwoje aktorów. Nim zdążyliśmy sobie wyobrazić teatralny dzwonek na scenie ukazało się dwoje lektorów. Agnieszka Giza-Gradowska jako wymarzona, rozkochana Laura i Paweł Parczewski w roli błaznującego, niedojrzałego Juana. Niewątpliwy artyzm sceniczny, bogactwo mimiki i rozmaitość gestów oraz doskonała interpretacja dialogów wzbudzały w publice aplauz, skłonność do uśmiechu i aprobatę dla lektorów-aktorów. Gdzieś z boku pojawiał się cień smutku i konstatacja nad życiowymi wyborami bohaterów, niespełnionymi marzeniami, próbami ucieczki od przykrej rzeczywistości i obroną przed rozczarowaniami. Zanim jednak tekst sztuki zdołał przywołać przeróżne dygresje, tuż po rozsunięciu kurtyny rozbawieni zostaliśmy drobnym lapsusem, będącym niezamierzenie znakomitym wprowadzeniem do jakże przecież żartobliwego „Przystojniaczka".

Dzwonek do drzwi. Tak zaczyna się sztuka Carlesa Alberoli „Przystojniaczek". W ten sam sposób kończy. Ale i dokładnie taki ma finał pierwsza część. Do położonego na strychu mieszkania prawie trzydziestoletniego mężczyzny wchodzi równa mu wiekiem dziewczyna. Zaskakuje gospodarza przychodząc zbyt wcześnie. Podobno to ona nalegała na wieczorne spotkanie.

Wita ją stolik przygotowany do kolacji. Dwa kieliszki czekają na wino, które ma przynieść Laura. Na scenie przykuwa uwagę obraz odwróconej tyłem nagiej kobiety. Postawiony jest na sztalugach. Obok taboret, przybory do malowania. Jesteśmy w pracowni malarskiej. Fotografia, którą będą brali w dłonie Laura i Juan sprawia wrażenie podstawki pod kieliszek. Wspomnienia z liceum, uwieczniona na zdjęciu grupa koleżanek i kolegów na rekolekcjach staną się jednym z tematów spotkania. Nie ma się co dziwić, przecież bohaterowie nie widzieli od lat. Związek się rozpadł. Jego wspomnienie jest dziwne. Laura opowiada, że Juan był jedynym mężczyzną, z którym spała a dotykał ją tylko łokciem. To jeden z żartów, od których iskrzy się rozmowa. Ale najpierw musi obydwoje opuścić konfuzja.

Laura jest bardziej zdenerwowana, niespokojna, niepewna siebie. Drży jej głos. Przy pierwszym toaście wypija cały kieliszek. Za chwilę następny. Jej wypowiedzi są przerywane, niedokończone. W dążeniu do celu wizyty nie pomaga jej Juan, który swój niepokój i nerwowość przykrywa ironią, żartami, kpiną. A przecież Laura chce zrobić i powiedzieć tyle pięknych rzeczy! Przynosi ulubione przez mężczyznę dwunastoletnie Vega Sicilia, przymila się, wręcz łasi, wychwala mieszkanie, zachwyca się rozgwieżdżonym niebem widocznym przez szklany dach.

Być może Juan przeczuwa co się święci, ale nadal stoi za granicą humoru, jakby zmuszając Laurę do wykrzyczenia w końcu tego, co rozdziera jej serce. Ten krzyk ma zburzyć emocjonalne fortyfikacje budowane przez Juana od chwili pojawienia się dziewczyny w drzwiach. W końcu okazuje się to dla niej łatwe. Wychodzi niedługo za mąż. Tak, za tego, którego przed chwilą wspominali, z którego dopiero co kpili, jak zresztą z innych widocznych na fotografii sprzed lat. Żartobliwy nastrój w Juanie przygasa. Jeszcze się broni, ale powoli maska komika opada. Na kilka chwil znowu zamienia się w błazna, gdy słyszy, że to on jest tym wyśnionym, wytęsknionym ideałem, księciem, jej przeznaczeniem od lat. I to nie jest krzyk. Zamiast niego wydobywa się z ust Laury łkanie przepełnione strachem, że zostanie odrzucona.

I już obydwoje się nie bronią, nie zasłaniają. Nabierają pewności, utwierdzają we wspólnej przyszłości. Willa, basen, czwórka synów, ona będzie jego utrzymywać, on opalać i patrzeć jak dzieci pluskają się w wodzie niczym rybki oraz czekać na twórczą wenę. Gdy Laura jest już tylko w body i znika w sypialni, do której zbliża się Juan, rozlega się dzwonek do drzwi. I właściwie na tym można byłoby zakończyć, gdyby nie bylibyśmy świadkami jedynie finału pierwszej części.

Juan przenosi w inne miejsce fragment rozgwieżdżonego nieba, które okazuje się wielkim billboardem reklamowym. To przełomowa scena, która przerywa Juanowy sen, marzenia wiecznego chłopca z kompleksem Piotrusia Pana, niedojrzałego trzydziestolatka w przeddzień urodzin, malarza, który sprzedał dotychczas tylko jeden obraz, młodego mężczyzny, któremu za wynajem mieszkania płaci matka. O tym jest „Przystojniaczek" (w oryginale „Mandíbula afilada"), ale rzecz jasna nie tylko.

Co tak naprawdę za kulisy wynosi Juan? Czego alegorią jest niebo pełne gwiazd nagle zamienione w boleśnie prozaiczny billboard? Pieniądze, praca... Uzdolniony, prawie genialny malarz z pewnością nie zyskuje w artystycznym środowisku aprobaty. Być może dlatego, że jeden obraz maluje przez kilka lat. Ma mnóstwo niedokończonych pomysłów. Piotruś Pan nie chce zajmować się jakąkolwiek pracą? Nawet taką, która nie musi przynosić mu pieniędzy a wyłącznie przyjemność i satysfakcję? Czyżby jego prawdziwym życiem były tylko utopie i imaginacje? Co zatem z ukończonym obrazem nagiej kobiety? Jeśli niechcianą rzeczywistość Juan odrzuca, gdzie podziewają się miraże? Czy jest coś pomiędzy nimi? W jakim miejscu rzeczywistości bądź ułudy teraz malarz przebywa? Drzwi się otwierają, ale kto przez nie wchodzi? Czy to niedoszły narzeczony Laury przyszedł zastrzelić a przynajmniej pobić Juana? A może po prostu dostawca pizzy? Wchodzi do mieszkania spóźniony na spotkanie realizm, bo tylko w nim mogą się spełnić wyobrażenia. Nigdy w całości, absolutnie nie do końca, na pewno nie na całe życie. Ale niewątpliwie dający możliwość urzeczywistnienia w jakiejś części pragnień, ziszczenia życzeń, choćby dlatego, że były pielęgnowane i malowane przez lata. Bez względu na to, czy pod rozgwieżdżonym niebem, czy obok reklamowego billboardu.

Jerzy Lengauer

Carles Alberola, „Przystojniaczek"

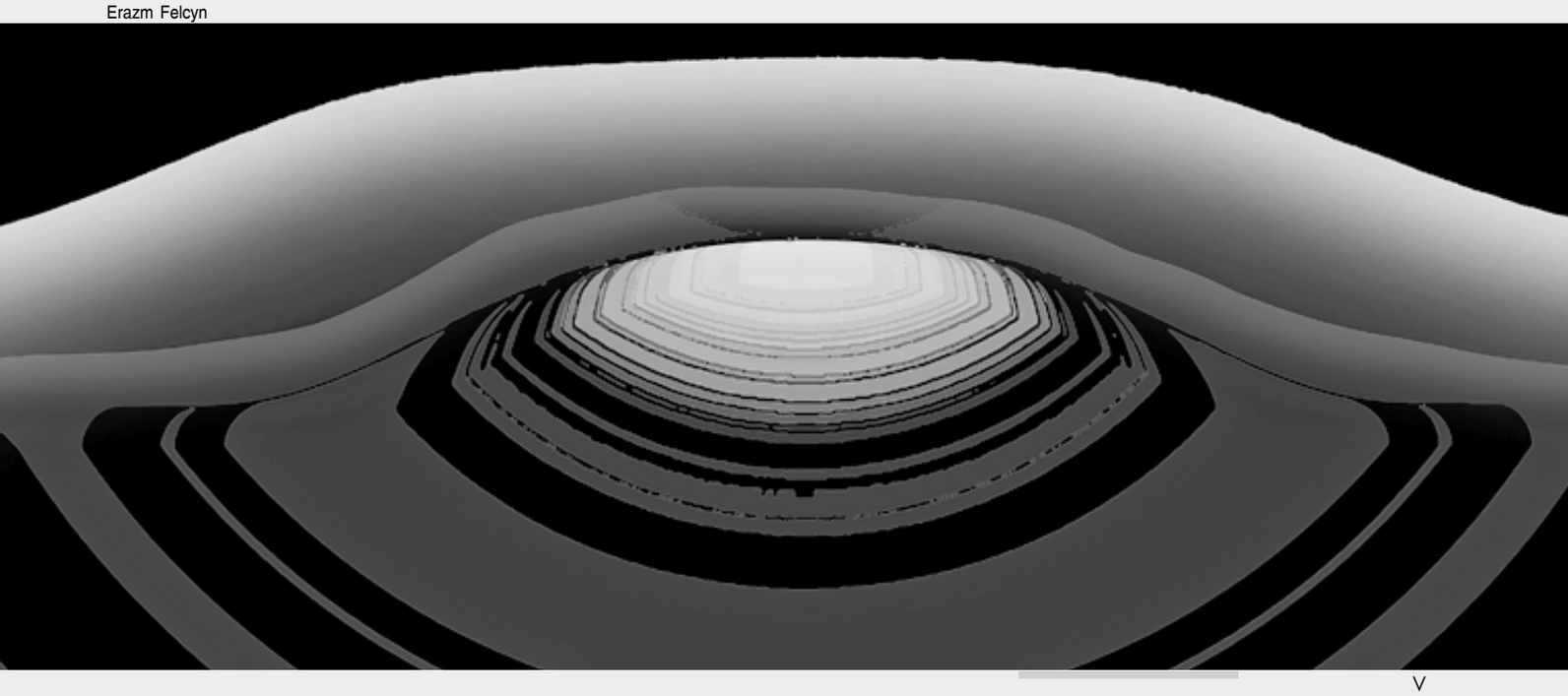

Erazm Felcyn

** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej *** Migo

Leszek Szaruga

Podróż do i od siebie

1.

Debiutancki tom Anny Matysiak *Czułość liter* (2015) sięga w odległą przeszłość, w czasy przedpiśmienne, epokę jaskiniowych rysunków naskalnych. Tom otwiera zdanie: „Chciałabym pisać, pisać, ale chyba jeszcze nie wynalazłam alfabetu". Rozwój osoby powtarza więc ewolucję gatunku i wreszcie pojawia się, jak w *Musie ursynowskim* ktoś, kto powiadamia: „Dawne sady, nieprzycinane, głaszczę korę/ człowiek Ania". Można więc zasadnie przypuszczać, że ów „człowiek Ania" jest narratorem całego zbioru. To gra między „ja" autorskim i „ja" wykreowanej bohaterki tych wierszy, gra budująca dystans wobec opowieści, która dotyczy upostaciowanego w Ani „człowieka" (pojmowanego gatunkowo w całej jego historii). To ktoś, kto próbuje się odnaleźć w kosmicznym porządku, choć rzucony został w przypadkową chwilę. O tym właśnie mowa w *Systemie*:

> Myślę o mieście. (…)
> To nasz system. System krążenia.
> Zrobiliśmy szkło i plastik jak małże
> perły, a drzewa żywicę.

Ale też nie jest to miasto całkowicie przypadkowe: „Z małego miasteczka północy/ uciekam na smoczych skrzydłach" (*W małym miasteczku*). Znamy przecież to „małe miasteczko północy" z wczesnej poezji Tadeusza Różewicza. Jego mieszkaniec obdarzony był kamienną wyobraźnią. W wierszu Matysiak miasteczko przechodzi metamorfozę i jego mieszkanka demonstruje wyobraźnię baśniową: „tańczę niewidzialna/ na niewidzialnej linie". Na pół baśniowo też mierzy się ze światem widzialnym. W wierszu *Połykanie świata* relacjonuje życie dziwnych istot: ascaris lumbricoides, enterobius vermicularis oraz pediculus capitis – nazwy ich za sprawą łaciny brzmią tajemniczo, zaś opis ich egzystencji poetycko, wszakże rozszyfrowanie potocznych imion tych żyjątek raczej poetycko nie nastawia: to glista ludzka, owsik i wsza łonowa. Ale, gdy zastanawia się w wierszu *Co z tego* nad naturą nieznajomych, którzy zamieszkują w niej przenikając przez szczeliny skóry, odkrywa, że „to zawsze byłam ja, ale co z tego, skoro mówiłam obcymi językami". I znów odnajdujemy się w jaskini:

> W jaskini
> życie szepcze na ścianach: tak, tak, tak.
> Zamyka oczy,
> rozkłada ramiona
> i skacze
> w światło.

(Równowaga)

Z kolei tom *Tyle nieznanych ryb* (2018) wpisuje się w obszar poezji pamięci: jest relacją ze znikającego pejzażu warmińsko-mazurskiej społeczności, który najpełniejszy dotąd wyraz znalazł w wierszach Erwina Kruka. Jest to, co warto podkreślić, pejzaż bolesny, poraniony przez wydarzenia wielkiej historii, w której cieniu rozgrywały się dramaty małych, lokalnych wspólnot. Już nota na skrzydełku okładki prezentująca autorkę wprowadza w klimat tych utworów. Czytamy bowiem, że Anna Matysiak to „córka Anny i Hansiego-Jurgena, wnuczka Lisy i Fritza", a zatem spadkobierczyni tych spośród mieszkańców niegdysiejszych Prus Wschodnich, którzy zdecydowali się pozostać na rodzinnej ziemi, zaś w nomenklaturze powojennej władzy określani byli na wpół pogardliwym mianem autochtonów. Nic zatem dziwnego, że ich dzieciństwo przebiega w akompaniamencie pokrzykiwań „ty szwabie ty hitlerowcu" (*Ania i Ania*) bądź „hitlerowiec szwab komnahause" (*ja i ja*). Nic też dziwnego, że większość przywoływanych tu postaci stanowiących najbliższą rodzinę bohaterki nosi niemieckie imiona. Przy czym czas tego dzieciństwa nie przypada na okres tużpowojenny, lecz na lata siedemdziesiąte ubiegłego stulecia, czas naznaczony wyjazdami owych autochtonów do Niemiec.

Sięganie w głąb pamięci, ku pierwszym obrazom życia, w przestrzeń dzieciństwa jest chyba najmocniejszym walorem tej książki, której utwory tworzą spójną, logiczną, choć niekoniecznie poddającą się logice chronologii opowieść. I tak, po wierszu wstępnym, będącym zapowiedzią opowieści, czytamy:

> mama i tata nieśli mnie w torbie
> z dwóch stron za uszy
> między niebem a ziemią
> bujała się moja łódka
> to był dzień pierwszy
> *(Anna i Hansi-Jurgen. Drogosze 1970)*

W kolejnym, tytułowym wierszu tomu, pojawia się obrazek, który dla dzisiejszych młodych czytelników wymaga dodatkowych objaśnień: „można było wtedy znaleźć skarb/ jak się miało szczęście/ skrzynie zakopane na niepewny powrót". Notuje tu Matysiak jeden z wielu epizodów powojennych, nie tylko zresztą niemieckich, losów, gdy wysiedleńcy bądź uciekinierzy zakopywali w pobliżu opuszczanych siedzib wartościowe części swego dobytku licząc na to, że kiedyś będą mogli powrócić do stron rodzinnych. Te wszystkie skarby, odkrywane nieraz po latach w czasie dziecięcych zabaw przybyszy lub nielicznych pozostałych, należą do zasobu doświadczeń tych wszystkich, którym wczesne lata, jeszcze w ósmej dekadzie zeszłego wieku upływały na ziemiach określanych mianem poniemieckich, w okolicach Olsztyna, Gdańska, Szczecina czy Wrocławia.

Ta poezja – ilustrowana autorskimi zdjęciami, które stanowią integralną część tomu – skupiona jest na detalu. W tej warstwie narracji kolejne zbiory Matysiak pozostają jednorodne. Tak właśnie dzieje się w wierszu *Pamięć antropocenu*:

> To, co człowiek przykleił, będzie odklejone. Prędzej czy później.
> Najlepsze są odklejenia sprzed sezonu,
> bo zdążyły już przyciągnąć
> wiele drobin niesionych przez wiatr.
>
> Mówi się, że to brud, ale to przecież pamięć.

Tak właśnie dzieje się na zdjęciach stanowiących zbliżenia fragmentów powierzchni po odklejonych ulotkach, ogłoszeniach czy plakatach, do których przywierają ziarenka piasku i unoszone przez wiatr drobinki. Podobnie funkcjonuje pamięć przywołująca „brud" wbitych na stałe skojarzeń, których automatyzm, jak w puencie wiersza *Ania i Ania* poświęconego przyjściu na świat córki, może szokować: „Kiedy się urodziła/ babcia Lisa powiedziała: O! tego samego dnia/ co nasz führer". W istocie nie ma w tym nic szokującego: to skojarzenie daty dla ludzi edukowanych w niemieckich szkołach lat trzydziestych lub okresu wojennego, gdy wbijano im do głów życiorys wodza, nie powinno dziwić. I ten detal, którego odkrycie zaskakuje narratorkę, wydaje się ważny, gdyż zapisuje mechanizm funkcjonowania pamięci, podobnie jak to się dzieje w powieści Kazimierza Orłosia *Dom nad Lutnią*, którego bohaterka, jadąc pociągiem tuż po wojnie na Mazury, konstatuje nagle, że przekracza granicę Prus Wschodnich.

Ziarna wojennej pamięci – inne niż te, które niesie polskie doświadczenie – wciąż uwierają i choć pozostają w cieniu bieżących wydarzeń, od czasu do czasu wyłaniają się na powierzchnię, jak w wierszu *MS Gusloff*, w którym przywołuje się dziadka zmarłego w czasie ucieczki nad zalew wiślany, gdy „było widać ja/ MS Gusloff z daleka/ kłaniał się różowemu słońcu". I tu znów dla wielu czytelników przyda się przypis powiadamiający o tym, że statek ten, wiozący parę tysięcy cywilnych uciekinierów z Gdańska został storpedowany przez sowiecką łódź podwodną i w niemieckiej pamięci jest jednym z ważnych punktów odniesienia: niewielką powieść poświęcił tej tragedii Günter Grass.

Świat prezentowany w tym tomie przemija i ten proces przemijania potrafi Matysiak przekształcić w znakomitą poetycką narrację. Nie bez wpływu na wysoką wartość całości ma puenta zbioru, którą jest wiersz *Lifszycówna*. Poświęcony został – co odnotowane zostało w przypisie – polskiej orientalistce i etnolożce (1907-1942), której bogata i egzotyczna droga życiowa zakończona została w Auschwitz. Ta opowieść o życiu bohaterki to majstersztyk, którego istotę wyłożyła autorka w pierwszym wersie: „Lifszycówna składa się z cytatów, by zwieńczyć rzecz domknięciem i jednocześnie otwarciem klamry: „Lifszycówna składa się z cytatów// I jednego przypisu".

Te wiersze powstają z dystansu, dzięki któremu zanurzenie w rzece pamięci w ogóle jest możliwe, gdyż dopiero wtedy przychodzi „czas/ by zacząć słuchać wycia/ by wąchać krew/ i ocaleć" (*Ania*) – te słowa zamykają utwór wprowadzający w poetycką narrację, która jest opowieścią złożoną z fragmentów, mgnień, migawkowych obrazów, które dopiero nawarstwiając się na siebie pozwalają zrekonstruować migotliwy zarys całości. Intymność przeżyć zderza się tu z brutalnością i bólem egzystencji. Starannie skomponowany tom przynosi na drugim skrzydełku okładki jeszcze jeden wiersz – *Fritz i poczta polowa* – o tym, że opóźnia przesyłki z frontu, a zatem: „i tak wszystkie listy/ dostałabyś jednego dnia/ i potem znowu musiałabyś czekać/ (…) potem./ po". Te wiersze są swego rodzaju odpowiedzią na ten list dziadka narratorki, który „zginął na froncie wschodnim/ ale to nie była prawda/ w małej łódeczce/ jak dziecko chrabąszczy pływał/ w ciemnych odnogach rzek pod moją skórą" (*men herz*).

ecej *** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej **

2.

Omawianie tomu *Tiergarten* (2019) warto zacząć od refleksji poświęconej jednemu z najczęściej przywoływanych obrazów Kazimierza Malewicza *Czarny kwadrat na białym tle* powstałemu w latach 1914-15 jako refleks pracy nad scenografią do pierwszej futurystycznej opery Michaiła Matiuszyna *Zwycięstwo nad słońcem* wystawionej, z prologiem pióra Wielimira Chlebnikowa, w roku 1913, w której czarny kwadrat – figura, do której Malewicz jeszcze kilka razy powracał – zajmował miejsce „pokonanej" gwiazdy. Uzasadnione też wydaje się kojarzenie – fakt, że odległe, ale w czasie dość bliskie – czarnego kwadratu Malewicza z *Jądrem ciemności* Conrada, który to tytuł w oryginale brzmi jeszcze dosadniej: *Heart of Darkness* czyli „serce ciemności". Czerń i ciemność wydają się właściwe dla określenia barwy czasu, w którym od ponad już stulecia biegnie nasza historia i o którym mowa w tytułowym wierszu zbioru Matysiak:

> te wszystkie ciemne światy
> podziemne korytarze (…)
> trzeba im kiedyś powiedzieć:
> zaczynasz się tu, a tu kończysz (…)
> ania tiergarten

I w kolejnym utworze:

> właściwie jak mam się urodzić
> do połowy zanurzona
> w czarnej próżni (…)
> serce mam czarne czarne czarne

Tytułowy Tiergarten to nazwa dzielnicy Berlina, ale słowo to znaczy tyle, co ogród zwierząt, zwierzyniec i takim właśnie zwierzyńcem jest świat bohaterki tych wierszy powiadamiającej w otwierającym tom utworze *nie jestem dobra*:

> niedawno zobaczyłam zdjęcie dowódcy
> batalionu „Kurt Eggers"
> no wiesz, kompania propagandowa oddziałów SS
> i miał twarz brata mojej babci, ojej, i takie
> poczułam poczciwe ciepło rozpoznania

Można – i chyba należy – odczytać te słowa jako nawiązanie do poprzedniego zbioru *Tyle nieznanych ryb* (nie przypadkiem w nowy tom poprzedza motto: „wystarczy/ na chwilę spuścić z oczu/ te wszystkie/wielkie wybuchy/ fuzje jonowe/ i rozpędzone/ niezderzone jeszcze/ hadrony// i już/ zjawia się ryba"), w którym fragmentaryczne migawki nawiązujące do realiów II wojny światowej wpisują się w przestrzeń współczesności i są echem tego, co niegdyś Ewa Lipska określiła mianem „przestrzelonej pamięci", jaką obarczone są pokolenia powojenne. Rzecz w tym, że u Matysiak ta pamięć funkcjonuje nie tylko w przestrzeni osobistej biografii bohaterki, lecz jest czymś przenikającym całość egzystencji w wymiarach makro- i mikrokosmicznych: przenika całość bytu. Tym, co stanowi jej fundamentalne doznanie, jest ból świata (*Weltschmerz*) daleko przekraczający odczucie bólu istnienia. Jej organiczne zjednoczenie z całością kosmosu sprawia, że staje się jego nieredukowalnym jądrem, jak w wierszu *uczulenie*:

> czy da się bez lęku, czy też nie
> nie wiesz
> możesz tylko się skulić
> to, co ludzkie, zostaje gdzieś w czubkach palców
> z tyłu głowy, ale bardziej na zewnątrz
> mówią, nie obcinaj kołtuna, bo umrzesz

(Tak nawiasem, gdy już ważę się na skojarzenia, warto przypomnieć litewskie określenie charakteru Polaków jako *plica polonica* czyli kołtun polski, zaś wedle panujących jeszcze w XIX wieku przesądów uważano, że obcięcie kołtuna powoduje m.in. ślepotę). Obcięcie kołtuna byłoby zatem zagrożeniem integralności osoby, która winna być zdolna do życia ze skazą, jaką została dotknięta czy z nie przezwyciężonym lękiem, który stanowi jeden z nieredukowalnych wyznaczników jej tożsamości. Ten motyw zresztą – lęk zagrażający własnej integralności – towarzyszy poezji Matysiak już od wydanego w 2015 roku debiutanckiego tomu *Czułość liter*. Tutaj, w wierszu *defilada*, jest on przezwyciężany przez miłość:

> nooooo!
> oczywiście, że się trzęsiesz, An
> gorączkowe poszukiwanie zbroi, była tu gdzieś, po
> drodze kichasz
> (palec spada na „o", śmiejesz się, bo to freudowska po-
> myłka i boisz się tego okolicznika okoliczności, bo dla-
> czego po drodze, przecież chcesz kochać, już zawsze,
> niech to się nigdy nigdy nigdy nie skończy)

Lęk przed światem zderza się tutaj z lękiem przed spełnieniem, które jest zawsze zagrożone i właściwie nieosiągalne, niepochwytne właśnie wtedy, gdy zdaje się być w zasięgu ręki. Organizm nie jest przystosowany do uczestnictwa w wielu wymiarach jednocześnie, zaś przejście z jednej skali do innej, z wymiaru w wymiar musi sprawiać ból:

> skurcz akomodacyjny (ten nagły ból
> tak się nazywa)
> może to kwestia słabego kleju
> albo jednak przesłanie w języku bestii
>
> ***(OKO)***

W przestrzeni tu kreowanej, a której przenikają się mikro- i makroświaty, ów ból jest nieunikniony i niezbywalny, tyleż cielesny, co metafizyczny. Przeczucie, że ład kosmosu jest stale zagrożony pojawia się zwłaszcza wtedy, gdy nie sposób znaleźć słów umożliwiających porozumienie:

> moje usta krążą po okolicy (…)
> czasem nawet ruszają na podbój
> okolicznych przylądków
> wtedy milczą, bo nie znają języka
>
> ***(USTA)***

Ale ład kosmosu jest zarazem, by przywołać spożytkowane dawno określenie, „ładem serca", które - przypomnę przywołane już wyznanie - jest „czarne czarne czarne", ale jest też „centralą" z wiersza *serce*:

> organy peryferyjne są do ogarnięcia
> można zrobić mapę
> w skali zmieszanej, choć
> kresy na końcach palców odczuwają
> niedosyt sygnałów z centrali.
> to takie mrowienie.
> w centrum zamieszki.

Mapa ciała świata wydaje się stabilna, lecz rysująca ją ręka odczuwa w czubkach palców drgania dochodzące z „jądra ciemności", z serca. Przy tym, co potwierdza lektura całości zbioru, owe „zamieszki" trwają permanentnie, zaś nieznajomość języka uniemożliwia zrozumienie „przesłania w języku bestii". Integralność świata i integralność osoby nieustannie poddawane są próbie, wciąż narażone na rozpad. Widać to najwyraźniej w cyklu wierszy o smoku, w którego bohaterka tych wierszy nosi w sobie („pod językiem hoduję smoka"), co uniemożliwia jej wewnętrzną integrację: „język bestii" zagłusza, zaćmiewa język własny:

> mówią znajdź swój
> własny język
> a przecież on się nie chce
> oderwać ode mnie
> mój obcy
> za zębami

To napięcie między budzącym się językiem obcym, smoczym, kolonizującym mowę ludzką i własnym językiem pozwalającym na swobodę ekspresji stanowi o nośności i dynamice tej poezji, ale też określa kondycję świata i człowieka próbującego odnaleźć w nim wyspę spokoju, azyl chroniący przed bólem istnienia, jak w dystychu otwierającym wiersz *defilada*: „na wyspie zrobionej z szafy siedzę bezpiecznie/ a pod stopami ciasno mi krąży las". I znów skojarzenie - warto wspomnieć, że oberiuci, członkowie działającej w latach trzydziestych sowieckiej, zmiażdżonej przez władze grupy poetyckiej, określali poezję mianem „szafy" - w czasie jednego ze spotkań autorskich Daniił Charms siedząc na szafie czytał swe wiersze.

3.

W kolejnym tomie – *Wsobne maszynki* (2020) uwagę zwraca uwagę próba zmiany języka – to już nie język smoczy, lecz, co komunikuje tytuł jednego z utworów, „język wodnych owadów". I jest to język dość hermetyczny, trudny do przełożenia na język potocznej mowy – być może zresztą na takie próby zamknięty – a jednocześnie niezwykle spójny, jednorazowy. Uderza też jego nasycenie deminutywami, jak choćby w zapisie bez tytułu:

> drobno
> drobno
> drobniutko

Zdrobnienie pojawia się już w tytule zbioru: *wsobne maszynki*. W wierszu *samotność wsobnej maszynki* pojawia się wyznanie:

> o tym opowiedzieć – tylko sobie do brzucha.
>
> a brzuch jest słoną plażą. sól wymywa ciało.
>
> z pisaku wystają białe kości,
>
> w ustach się chowa słonolubny krab.

Opowieść o własnej samotności, →

** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej *** Migo

OMÓWIENIE

Odrębności i osobliwości zdaje się istotą tego tomu, zbioru wierszy skupionych, skoncentrowanych na sobie, zamkniętych w medytacyjnej przestrzeni monad. Samozwrotna narracja – „tylko sobie do brzucha" – jest zarazem gestem ustanawiającym suwerenność „maszynki": osoby, istoty, wiersza. Zarazem też w cytowanym wierszu – jeśli określenie „wiersz" jest tu jeszcze w tradycyjnej perspektywie funkcjonalne – mamy do czynienia z konsekwentnie spójną kreacją świata utworu: „słona plaża", „sól", „słonolubny krab", przy czym ów krab zagnieżdża się w ustach oczyszczonego do kości (białych jak sól) organizmu maszynki. Obraz jest pozornie niespójny choćby w odniesieniu do cielesności tytułowej bohaterki – rzecz w tym jednak, że owa cielesność zdaje się mieć odmienne od słownikowego znaczenie (co zresztą uzasadnia podtytuł zbioru: „różnica i powtórzenie"), co znajduje wyraz w wierszu *blaszki*:

aszki.
drobne w części przedniej; nieco większe w okolicach tylnego napędu.
otwór przedni generuje zestawy dźwięków
wybranych losowo.

Problem w tym, że organizm maszynki jest zarazem ludzki i nie-ludzki, organiczny i nieorganiczny, żywy i martwy – język wodnych owadów zdaje się zmuszać do dekonstrukcji dotychczas obowiązującego słownika: losowości dźwięków odpowiada za losowe z przekształcenia pól znaczeniowych. Wieloświat zarówno w wymiarze kosmicznym jak ziemskim wyraża się wieloma językami, co sprawia, że każdy komunikat – jak choćby ten w utworze *pancerzyki* - staje się ewokacją wieloznaczności:

zaczynają ciasno przylegać -
aszki, dlatego
oddychasz płytko, ucinasz dłuższe sekwencje.
jeszcze można tak.

Wszystko, co ogrania swym doświadczeniem zmiennokształtna – a zatem i wciąż inaczej odczuwająca bodźce świata - bohaterka-narratorka tej poezji, domaga się wciąż nowego wyrazu, który nie znajduje odpowiednika w językach dotąd istniejących, a zatem siłą rzeczy staje się niepochwytne w migotliwym i zmiennym „zestawie dźwięków". Język nie jest w stanie sprostać prawdzie przeżycia i odczuwania, co może najdobitniej wyrażone zostało w wierszu o niemieckim tytule *aufhebung*:

składam się w ostateczności
z uchylenia
blaszek

To „uchylenie", niekoniecznie tożsame, choć mocna spokrewnione z heideggerowskim „Afhebung" (anulowanie, zniesienie, unieważnienie) można skojarzyć z ogłoszonym w roku 1902 *Listem lorda Chandosa* Hugo von Hofmannsthala, którego nadawca pisząc do Francisa Bacona wyjaśnia, że porzuca swą twórczość pisarską, gdyż w żadnym ze znanych mu języków nie odnajduje słów zdolnych wyrazić jego przeżycia. Ta niemożność jest w końcu jednym z istotnych i trwałych doświadczeń poezji, której dążeniem było zawsze wyrażanie niewyrażalnego i która zawsze przeglądała się w lustrze milczenia. O tym też mówi narratorka wiersza *mówię w języku wodnych owadów*:

VIII

otwieram usta a one mi
płyną
zostają (ślady
na moich (ślady
blaszkach (ślady

Próbą przezwyciężenia kryzysu wyrażania staje się w tej poezji niedomówienie. Sam utwór staje się impulsem kreacyjnym otwierającym przestrzeń wieloświata, jak w *piosence 2*:

i nie wiesz kto przyszedł
z jakiej niepewności
czy jest częścią reguły
czy osobliwości

Niepewność stanowi tu punkt wyjścia, a tym samym usytuowania się w rzeczywistości pozbawionej aksjomatów. Dopiero spotkanie z innym, tym, „kto przyszedł", decyduje o tym czy w dialogu zastosowane zostaną jasno ustalone zasady, reguły, czy też zdani jesteśmy na swobodną improwizację, osobliwość analogiczną do tej, jaką w ewolucji wszechświata stanowiła era Plancka czyli okres od zera do 10^{-43} sekundy po Wielkim Wybuchu, gdy jeszcze nic nie zostało ostatecznie przesądzone, łącznie z obowiązującymi w naszym świecie prawami fizyki. Język innego, z którym wchodzi w relację język wiersza jest zatem bądź ukształtowany przez reguły (gramatyki, składni), bądź jest żywiołem, w zetknięciu z którym znaczenia utworu stają się nieprzewidywalne, a w każdym razie nieoczywiste. Tak jest w *przebitce*:

pamiętam o białku.
czasem jeszcze przychodzą bogowie
i każą mi umrzeć -
a przedtem się wstydzić.

Te dwa zdania zdają się nie mieć z sobą niemal nic wspólnego – związek między nimi jest tak rozluźniony, że prawie przypadkowy: wiąże je przede wszystkim fakt, że tworzą całość narracyjną, której sens określa tytuł utworu. Wedle słownika „przebitka" ma kilka znaczeń: „1. cienki papier używany przy pisaniu przez kalkę; 2. kopia dokumentu, zwłaszcza zrobiona przez kalkę; 3. pobicie atutem karty innego koloru; 4. w górnictwie: przekop łączący dwa biegnące równolegle wyrobiska; 5. w filmie: krótkie ujęcie, najczęściej zbliżenie, wmontowane do ujęcia podstawowego; 6. potocznie: nadwyżka ponad cenę podstawową". W tym wypadku chodzi przede wszystkim o w z a j e m n e przenikanie się dwóch wypowiedzi, ich współtworzenie świata przedstawionego w wierszu, w którym racjonalne (życie jest formą istnienia białka, jak dowodził Engels w *Filozofii przyrody*, a co stało się aforyzmem tekstu piosenki Agnieszki Osieckiej) przenika irracjonalne, profanum przenika sacrum, oba obrazy są niezbywalne wskazując na materialno-duchowy dualizm egzystencji, wiersz zaś jest tunelem, który łączy ze sobą te dwa wyrobiska tworząc przestrzeń poezji, jak w wierszu *w tunelu biegnę do ciebie*:

twoje szare tęczówki to tunele światła,
świata, który wrzał i kipiał, a mnie zupełnie
nie było, biegnę tunelami.
biegnę.

4.

Tom *na setkach wioseł* (2021) to dygresyjny poemat zakorzeniony w tradycji eposów antycznych:

Na setkach wioseł płynęłam do Troi
w falach czerwonych mórz pod stratum corneum
i pod sześcioma innymi pieczęciami. Miasto
świętuje pod łuną z perikarionu. Na naszym
czerwonym niebie czerwone ptaki. Troja
odpływa.

I tu już pojawia się problem słownikowy, w dodatku dotyczący słownictwa specjalistycznego, medycznego, nie każdy czytelnik bowiem musi wiedzieć, że *stratum corneum* to określenie zrogowaciałej, powierzchniowej warstwy naskórka, zaś *perikarion* to tyle, co ciało komórki nerwowej czyli neurocyt. Naskórek zatem to w tym utworze jedna z siedmiu pieczęci, zapewne pierwsza z tych, które z księgi zrywa Baranek w widzeniu świętego Jana:

Gdy Baranek otworzył pierwszą z siedmiu pieczęci
usłyszałem pierwsze z czterech Zwierząt mówiące
jakby hukiem gromu:
„Przyjdź!"
I ujrzałem:
Oto biały koń,
a siedzący na nim miał łuk.
Dano mu wieniec,
a on, zwycięzca, wyruszył by dalej zwyciężać.

Podróż zatem tu kreowana ma wymiar apokaliptyczny, co podkreśla zagęszczenie czerwieni, w szczególności czerwień mórz i niebios. Świętujące miasto to odpowiednik jądra komórki otoczonego łuną, której barwa, choć nie przywołana wprost, nasycona jest czerwienią – to Troja, do której jednak zbliżyć się niepodobna, gdyż miasto odpływa. Świat tu wykreowany to przestrzeń rozpadu - gruzowiska mitów, przerwanych narracji, spiętrzonych okropności (choćby takich jak bunt niewolników na dwumasztowcu La Amistad), jak w zamykającym całość fragmencie LXXVII:

I pędzisz się schronić. Zazwyczaj tracisz
podobieństwo. Przesz na powietrze
we wszystkie strony. W moich palcach strach
rozpędza krew rozbitków nad ranem.
Prześniłam kciuk Nerona, sukno czarnej śmierci,
piętrowe pokłady La Amistad, cienki śpiew
Little boya. Pod skórą gniazda, kokony, pisk.
Zaciskam pięści, włosy meduzy rosną

spomiędzy palców.

W pospiesznym skrócie wiersz przenosi czytelników z płonącego Rzymu Nerona poprzez stulecia znaczone zbrodnią i zarazami nękającymi ludzi aż po wybuch pierwszej bomby atomowej nad Hiroszimą (Little Boy) i Zagładę (nie przypadkiem przywołany w poemacie wiersz Władysława Szlengla) – próżno szukać schronienia, jak w *Spadaniu* Różewicza („człowiek współczesny/ spada we wszystkich kierunkach/ jednocześnie")

ecej *** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej **

czy w *Upadku* Camusa. Wszystko to rozgrywa się „pod skórą", pod powierzchnią ciała oddzielającą monadę osoby czy „bańkę informacyjną" od reszty świata, zaś intensywność doznań zwiększa wciągany (być może bezwiednie) narkotyk (jeśli przyjąć, że „włosy meduzy" to odwołanie do slangowego określenia kresek kokainy). Ale też na swój sposób narkotyczne, wizyjne działanie wywiera w całym poemacie medytacyjne stężenie narracji sprawiające, że swoistemu sprasowaniu ulega bieg historii i wielość kulturowych, tu wzajem się przenikających, doświadczeń. Zdawać by się mogło: „Że tu jest życie./ a tu tylko blaszki kapsydu" (fragment LIV), tymczasem ów kapsyd – czego trzeba się dowiedzieć ze specjalistycznych źródeł – to płaszcz białkowy chroniący DNA lub RNA wironu, cząstki wirusa czy bakteriofaga atakującego jądro komórkowe.

W całym liczącym 77 fragmentów utworze mamy do czynienia z przenikaniem się dwóch relacji – jedną z nich można określić mianem opowieści o ludzkich doświadczeniach, drugą zaś nazwać, za sprawą przywoływanej terminologii, „medyczną" diagnozą stanu rzeczy. Można też przyjąć, że Troja, owo komórkowe jądro cywilizacji, jest nośnikiem jej DNA, którego rozkład przez wirusa siłą rzeczy oznacza unicestwienie czy raczej transformację istniejącego ładu. Historia w obrazkach (*Historyinpictures* z fragmentu XLVI) rwie się, traci ciągłość: „Oś czasu pulsuje. Na górnym panelu./ Cisza". Spełnia się – lub może spełnić, co sugeruje konceptualistycznie zapisany i autotematycznie zorientowany fragment XLIV (żartobliwe nawiązanie do Mickiewiczowskiego „imienia 44"?) eksponujący możliwość interpretacji tekstu i wyznaczający pole możliwości odczytań znaczeń – puenta wiersza otwierającego utwór:

> Wcześniej oddechem strącał orły,
> a po tym ciosie nie powstał.
> Mózg jego wypełnił doliny wśród gór.
> Mogłam spokojnie w deszczu
> zasnąć na tylnym siedzeniu autobusu.
> Obudziłam się na pętli, spojrzałam przez ciemne okno,
> a potem znowu zasnęłam. Tym razem
> smok, co się z rzeki Kašaf wyłonił,
> ziemię ogołocił jak dłoń.

5.

Już we wstępnych wersach narratorka – choć niekoniecznie bohaterka – poematu zapada w sen i właśnie ten sen stanowi treść kolejnych segmentów opowieści, która odrzuca liniową logikę eposu antycznego.

Troja odpływa. Dokładniej mówiąc – rozpływa się, rozmywa w coraz bardziej wypłukanym z mitów świecie. Odyseja nie jest w nim możliwa, pozostają sekwencje migotliwych obrazów nie składających się w liniowo rozwijającą całość opowieści, zmiennych jak w kalejdoskopie, a jednak, paradoksalnie, tworzących spójną narrację, której perspektywę odnaleźć można w prześwitującej w kolejnych dygresjach apokalipsy nie traktowanej jednak jako nieunikniona konsekwencja biegu cywilizacji, lecz jako diagnoza istniejącego stanu rzeczy, który tok przemian może nieoczekiwanie odmienić. Nie ma tu żadnej konieczności, nic nie jest do końca przesądzone, ze złego snu można się obudzić ponownie, co nie musi oznaczać trwałego schronienia, może jednak otwierać szansę przetrwania. Mutacja – która już? - nie da się wywieść jako oczywistość, lecz pojawia się nagle i powoduje zmianę okoliczności, o czym mowa we fragmencie XLIII:

> ciało i umysł w nieustannej gotowością
> warunki związane z pogodą
> lub niesprzyjającym podłożem
> rekwizyty w ogóle się nie pojawiające
> w tym przypadku są to ziemniaki
> kierują ruchem tancerki
> wszystkie kształty mogą zmienić się w linie
> WE LOOK TO SENSE THE COMPOSITION

Troja odpływa. Ale nie wiadomo czy tracimy ją z oczu. A nawet jeśli, to pozostaje wciąż pamięć o Troi, ku której zmierza bohaterka utworu Matysiak, który w najnowszej poezji wraz z *Panem na alfabecie* Krzysztofa Mrozowskiego oraz *Palamedesem* Piotra Matywieckiego współtworzy małą konstelację poematów zakorzenionych w pamięci antyku i ową pamięć prześwietlających.

Autorka, wskazując na apokaliptyczny wymiar podróży nie przesądza jednak o jej katastroficznym charakterze, przeciwnie – apokalipsa, w tym wypadku Zagłada zajmująca centralne miejsce w całości narracji, nie oznacza końca świata, staje się jednym ze stanów porządku ludzkiego doświadczenia. Bliska jest tutaj stanowisku, jakie w 1945 roku w szkicu *Dążenie do klasyczności* sformułował Jarzy Zagórski: „Sądzę, że istnieje szansa, iż zburzenie środkowej i znacznej części wschodniej Europy może mieć dla ludzkości podobne znaczenie, jak upadek Bizancjum w XV wieku, a ściślej, że ludzkość wyjdzie z obecnej ruiny podobnie obronną ręką". Inaczej mówiąc: istnieje możliwość, że z tego snu, który stanowi treść poematu Matysiak, można się przebudzić. Co, oczywiście, nie znaczy, że tak się właśnie stać musi. Póki co, Troja jest wciąż widoczna, mity wciąż stanowią ważny punkt odniesienia. Zaś z biegiem czasu i powolnym mieszaniem oraz przenikaniem się kultur tych punktów odniesienia jest coraz więcej – stąd też pojawiające się w *Na tysiącach wioseł* odwołania do eposu irańskiego (*Szachname*), stąd przywołanie anonimowego opisu szlaków handlowych z Egiptu przez Morze Czerwone aż po Indie powstałego na przełomie I i II stulecia, także szereg innych, nie określonych wprost odniesień, jak choćby opowieści o wyspie psiogłowych czyli cynocefali, o których przekazy znaleźć można u Persów, Hindusów czy Zulusów (fragment XXV):

> Nie ma dla nich miejsca w naszych czystych (…)
> sercach. Wisieliśmy głową w dół, a oni
> zjadali nas po kawałku. Nie ma dla nich miejsca.
> Kuszą nas tylko małe błękitne drzwi.
> Za nimi siedem pieczęci. Noże, haki, psy.

Pieczęcie wciąż pozostają niezłamane, Księga wciąż pozostaje zamknięta. Być może wciąż nie wiemy co jest dobre, co złe.

Leszek Szaruga

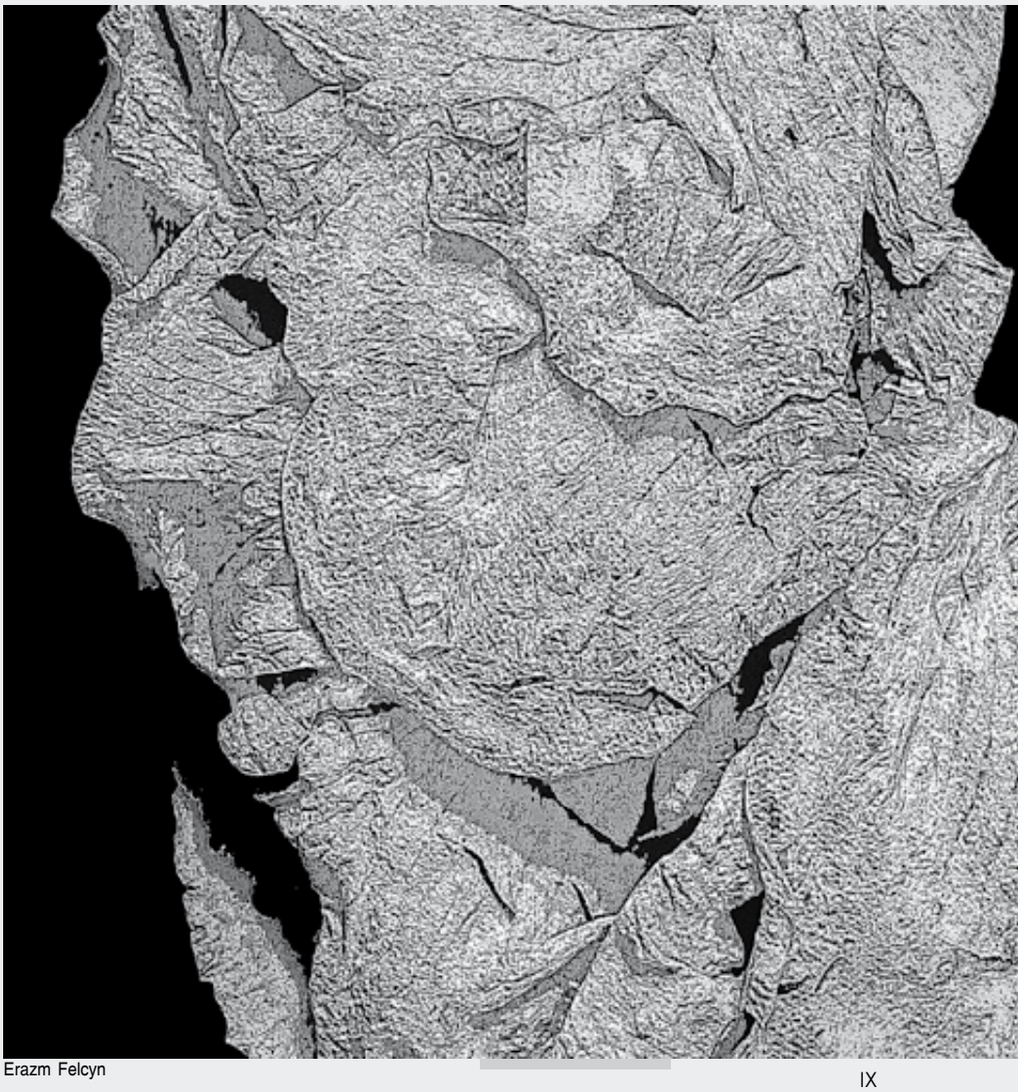

Erazm Felcyn

** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej *** Migo

Anna-Maria Tryba

Kobietą być, czyli o literackich noblistkach!

Oceniać sztukę nie sposób, lepiej ją doceniać. Jednakże istnieje mnóstwo nagród przyznawanych artystom za swoją działalność. Jedną z ich, chyba najbardziej prestiżową i pożądaną, jest literacka Nagroda Nobla. Literacki Nobel przyznawany jest od 120 lat, a zaszczyt ten spotkał 102 mężczyzn i tylko 16 kobiet. Skąd mogą wynikać te dysproporcje? Co wyjątkowego mają w sobie literackie noblistki? Te i inne pytania zadałam autorce książki „Literackie Noblistki Piętnaście lasek dynamitu" – Wandzie Michalak.

Anna-Maria Tryba: Pierwsze dość oczywiste pytanie, skąd pomysł na tę książkę? Pojawił się przed, czy po otrzymaniu przez Olgę Tokarczuk Nagrody Nobla?

Wanda Michalak: Olga Tokarczuk nie miała żadnego wpływu na powstanie mojej książki, bo w zasadzie ukończyłam ją już wiosną roku 2019, przed przyznaniem noblowskiego lauru autorce *Ksiąg Jakubowych*. Niemniej jednak to z jej powodu kilka miesięcy później, po sensacyjnych wieściach ze Sztokholmu, musiałam wznowić pracę nad *Literackimi noblistkami*, dopisując rozdział o kolejnej, piętnastej „lasce dynamitu". Muszę przy okazji wyznać, że mimo krążących pogłosek o szansach Tokarczuk na tę prestiżową nagrodę, naiwnie nie wierzyłam, że polska pisarka ją otrzyma, co oczywiście nie oznacza, że odmawiam jej literackiego talentu a nawet mistrzostwa. Po prostu myślałam, że nawet w naszej części świata są takie twórczynie, jak Valeria Skrinjar-Tvrz (rocznik 1928) ze Słowenii, autorka m. in. przejmujących *Sarajewskich grafik,* czy „nasza" Krystyna Miłobędzka (1932) – genialna poetka, i że one wreszcie powinny Nobla dostać. Cóż, Komitet Noblowski nie ma naturalnie obowiązku uwzględniać życzeń i skarg obserwatorów, choć musiał tłumaczyć się ze swoich decyzji po skandalu obyczajowym, który opisałam w *Literackich noblistkach*. Jednak całkiem inna niż Tokarczuk osoba – a mianowicie Elfriede Jelinek z Austrii – stała się impulsem do moich refleksji nad twórczością kobiet nagrodzonych najwyższym literackim laurem. Moja fascynacja tą właśnie artystką doprowadziła do wielomiesięcznego ślęczenia nad jej twórczością oraz nad dorobkiem jej koleżanek noblistek, co zaowocowało ponad pięciuset stronicową książką, o której teraz rozmawiamy.

Dlaczego to właśnie Jelinek wzbudziła we mnie chęć zbadania mechanizmu rządzącego przyznawaniem Nagrody Nobla? Zadecydowały o tym pozaliterackie konteksty. Urodziłam się wprawdzie kilka lat później niż austriacka noblistka, lecz doskonale pamiętam czasy, kiedy bardzo silne były wspomnienia o cierpieniach spowodowanych II wojną światową, występujące w niemal każdej rodzinie niegdyś żyjącej na okupowanych przez hitlerowskie Niemcy terenach. Autorka *Pianistki* wypowiada się artystycznie z rzadko spotykaną drastyczną ekspresją, uznałam jednak, że ma do tego prawo, ponieważ trudno w konwencjonalny sposób wyrazić ból osoby, która nie tylko straciła w wojnie ponad czterdziestoosobową rodzinę, ale i doświadczyła traumatycznych przeżyć w młodości. Przyznanie wielkiej nagrody Austriaczce przyjęłam z satysfakcją, tymczasem dwaj wybitni literaturoznawcy – prof. Knut Ahnlund, członek Akademii Szwedzkiej, oraz krytyk Marcel Reich-Ranicki – podali w wątpliwość wartość jej twórczości. Ahnlund zawiesił swoje członkostwo w Akademii, protestując przeciwko nagrodzeniu Jelinek, której zarzucał m. in. uprawianie pornografii, natomiast Ranicki oświadczył, że „żadna powieść nigdy się jej nie udała…". Wówczas postanowiłam sprawdzić, czy panowie mają rację, więc przeczytałam niemal wszystko, co Jelinek napisała, a co było w zasięgu mojej ręki i oczu. Następnie przestudiowałam utwory każdej z literackich noblistek, zastanawiając się nie tylko nad ich artystyczną wartością, ale i wpływem wywartym na historię kultury. Po wnioski z analizy twórczości Elfriede Jelinek i jej towarzyszek odsyłam do mojej książki.

Anna-Maria Tryba: Która z opisanych przez Panią noblistek jest Pani najbliższa i dlaczego?

Wanda Michalak: Trzeba zaznaczyć, że w roku 2020 przybyła nam kolejna „laska dynamitu" – Louise Glück z USA, którą można polubić za minimalistyczną, lecz pełną emocji poezję, poruszającą problem balansowania pomiędzy życiem a śmiercią, pokazany choćby w tomie *Ararat*. Jednakże spośród „Szesnastki" najbardziej lubię nagrodzoną za „niezapomniany opis skandynawskiego średniowiecza" Sigrid Undset (1882–1949), Norweżkę, autorkę m. in. *Krystyny, córki Lavransa.* Ta noblistka jest nie tylko autorką porywających książek o znanych, a także niezbadanych aspektach człowieczeństwa, lecz również wspaniałą nauczycielką, odsłaniającą zakryte rewiry europejskiej cywilizacji. Posłużę się cytatem z mojej książki:

Ustanowione w roku 1024 *Prawo św. Olafa*, norweskiego króla i świętego, obejmowały wszystkie sfery życia Norwegów. Królewski kodeks obowiązywał przez prawie pięćset lat, aż do Reformacji. Zakładał równość poddanych królewskich wobec prawa i możliwość wykupienia się z niewoli. Surowymi karami zagrożone były następujące czyny, powszechnie występujące: porzucanie w polu czy w lesie noworodków, zabijanie kalekich dzieci, stosowanie przemocy wobec kobiet, wielożeństwo i małżeństwa pomiędzy krewnymi. Nakazano odrzucenie pogańskich zwyczajów pogrzebowych.

Undset była osobą nieprawdopodobnie pracowitą, wychowującą sześcioro dzieci, w tym dwoje niepełnosprawnych, uprawiającą rozległy ogród, zatem piszącą głównie w nocy. Nagrodę Nobla przyznaną jej w roku 1928 przyjęła, lecz prawie całą oddała potrzebującym, przede wszystkim chorym dzieciom, a także pisarzom i organizatorom szkolnictwa. Ze stu sześćdziesięciu tysięcy koron szwedzkich sobie zostawiła jedynie tysiąc. Warto wspomnieć, że hojnością, co prawda o mniejszym zakresie, wykazała się także Wisława Szymborska.

Anna-Maria Tryba: Napisała Pani w książce, że nagrodę Nobla otrzymało do tej pory 101 mężczyzn i tylko 15 kobiet. Skąd wynika ta dysproporcja? Czy kobiety piszą „gorzej", czy ta nagroda wciąż w dużej mierze jest zarezerwowana dla panów?

Wanda Michalak: Zjawisko, które współcześnie nazywamy „dyskryminacją ze względu na płeć" ma swoją wieloletnią historię, ale ciągle trwa, także na polu literackim. Nie przybiera co prawda tak drastycznych i widocznych form jak na początku XX wieku, kiedy to sekretarz Akademii Szwedzkiej Carl David af Wirsén aż pięciokrotnie odrzucał nominację noblowską dla Selmy Lagerlöf, twierdząc, że tylko mężczyźni na Nobla zasługują, ale odnosi się do odmiennego mechanizmu selekcji. Kobiety na pewno nie piszą „gorzej", ale trudno im zaistnieć w literackim świecie, choć od niedawna można odnieść wrażenie, że obowiązuje zasada może nie tyle *parytetu płci, co dbałości o obecność kobiet wśród* osób uhonorowanych. Jednakże półżartem pół serio powiem, że literatura przeniosła się ze świątyni na ring, który rządzi się szczególnym prawem pięści, zatem, z natury rzeczy, słabsza istota ma mniejsze szanse. *Ekonomia prestiżu* Jamesa F. Englisha z University of Pennsylvania szczegółowo wyjaśnia bytowanie w wielkim literackim biznesie. Minęły czasy bezinteresownych opiekunów, takich jak profesor Federico de Onis, który wypromował przyszłą noblistkę Gabrielę Mistral czy profesor Walter Berendsohn, który pokazał światu Nelly Sachs. Bezwzględny wyścig wymaga przede wszystkim funduszy na tłumaczenia, reklamę, podróże, zdobywane w warunkach ostrej konkurencji. Znaczenie mają także uwarunkowania biologiczne, prokreacyjne, które instynktownie przesuwają twórczość kobiet na dalszy plan, a nie każda pisarka podejmuje heroiczny trud, za który Sigrid Undset zapłaciła przedwczesnym zgonem na wylew krwi do mózgu.

Ogromne piętno na kulturze wycisnęły ponadto zachodzące przemiany cywilizacyjne. Czy teraz noblistki z pierwszej połowy XX wieku zaskarbiłyby sobie uznanie?

Anna-Maria Tryba: Nagroda Nobla to marzenie większości naukowców czy literatów, Pani opisuje jednak wprost wiele afer politycznych, ale i seksualnych stojących za przyznawaniem tych nagród. Czy ta prestiżowa niegdyś nagroda traci coraz bardziej na znaczeniu? Znane są nazwiska osób, które odmówiły przyjęcia nagrody Nobla, chociażby Jean-Paul Sartre…

Wanda Michalak: Oglądałam ostatnio jeden z odcinków programu telewizyjnego „Kronos", w którym występują wybitni myśliciele i artyści. Jednak nikt z obecnych nie pamiętał nazwiska literackiego noblisty roku 2021, a przecież Abdulrazak Gurnah, reprezentant Tanzanii i Wielkiej Brytanii, został nagrodzony za opis traumy kolonializmu i skomplikowanego losu uchodźców. To chyba świadczy o obniżaniu się prestiżu Nagrody Nobla, mimo intensywnych starań o uzdrowienie Akademii Szwedzkiej.

Jean-Paul Sartre odrzucił literacki laur z powodów, powiedzmy, ideologicznych. Przyjęcie Nagrody Nobla uważał za czyn, który przystoi drobnomieszczaninowi, dla którego wolność nie ma żadnego znaczenia. Czystość intencji twórczych kazała Sartre'owi rezygnować z jakichkolwiek honorów. Natomiast stanowisko Petera Handkego, laureata Nagrody Nobla 2019, kontrastuje z postawą Sartre'a. Handke zwykł mawiać, że ten literacki laur jest farsą i powinien być zlikwidowany, po czym skwapliwie go przyjął. Jak widać, Akademia Szwedzka nie była pamiętliwa. Warto też wspomnieć Rosjanina Borysa Pasternaka,

ecej *** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej **

który nie odebrał nagrody z obawy przez represjami radzieckich władz. Po ponad trzydziestu latach przekazano ją synowi pisarza.

Anna-Maria Tryba: Lubi Pani gotować? Tym pytaniem chciałabym nawiązać do przepisów kulinarnych umieszczonych przez Panią pod każdym podrozdziałem. Czy te przepisy mają czytelnikom przywołać namiastkę kultury, z której wywodzi się dana noblistka, czy przywołać skojarzenie z tradycyjną rolą kobiety w domu…?

Wanda Michalak: Owszem, lubię gotować, szczególnie dla rodziny, ale to nie znaczy, że jestem w kuchni wyjątkową mistrzynią. Wiem jednak, że przygotowywanie posiłków, zwłaszcza wtedy, kiedy robi się to z własnej nieprzymuszonej woli, jest również – że tak to nazwę – aktem emocjonalnym; gotuję, bo, chcę, aby moi najbliżsi jedli to, co przygotuję najlepiej jak umiem: najzdrowiej, najsmaczniej, z najlepszych, najświeższych składników. Zresztą gotują, i to w ten sposób, nie tylko kobiety.

Ktoś powiedział, że poprzez przepisy chciałam pozyskać czytelników według porzekadła „przez żołądek do serca". Niezupełnie tak jest. Zamieszczony dodatek kulinarny wiele mówi o pisarkach, a także o bohaterach ich książek. W domu pierwszej literackiej noblistki, w muzealnej restauracji, ciągle serwują „Naleśniki Selmy Lagerlöf", natomiast przepis na pudding Alice Munro pokazuje, jak zamożna pisarka szanuje czerstwy chleb; z kolei w rozdziale o Szymborskiej podaję sposób przyrządzenia Kanapeczek Wisełki i wódki Kornelówki, którą pijał – z panią Wisławą i jej przyjaciółmi, partner pisarki i jej kolega po piórze – Kornel Filipowicz. Z powieści Undset wydobyłam średniowieczne potrawy i napoje, natomiast przepis na chińskie ciasteczka księżycowe, które jadają bohaterowie powieści Amerykanki Pearl S. Buck *Błogosławiona ziemia*, daje czytelnikom szansę poznania egzotycznego, choć bardzo pracochłonnego przysmaku. Pisarce Nelly Sachs „przygotowałam" świąteczny charoset spożywany w święto Pesach, natomiast kisielem żurawinowym, pochodzącym z kuchni i białoruskiej, i ukraińskiej, chciałabym poczęstować Swietłanę Aleksijewicz – z matki Ukrainki i ojca Białorusina. Stosuję także kulinarno-literackie fortele: w rozdziale o Nadine Gordimer, której mąż Reinhold Cassirer prowadził dom aukcyjny Sotheby's South Africa o wielkich obrotach, umieściłam przepis na chleb z ziemniaków i kukurydzy, najskromniejszy z możliwych, natomiast w daniu bohatera *Biegunów* Olgi Tokarczuk zauważam mięso niemile widziane na wegańskich salonach. A chilijskie przysmaki, pastel-de-choclo, nadziewany różnościami placek z kukurydzy, oraz mil chojas – tort kajmakowy, podaje piękna matka noblistki Gabrieli Mistral, śpiewająca i uśmiechająca się, jak w wierszu córki, „w trudnych i szczęśliwych chwilach".

Nie chciałam zatem portretować noblistek na tle kuchni, bo moja „książka kucharska" jest raczej komentarzem do ich życia i dzieła. Ma także kontrastować z królewską kartą bankietu noblowskiego, na której figurują frykasy typu: „tartaletki z ćwikłą i kozim serem, turbot z homarem i truflami, małże, zupa grzybowa z kawiorem, comber sarni z kurkami w sosie myśliwskim i gruszkowe terrine". W czasie przyrządzania „literackich" dań można słuchać – z audiobooków – dzieł noblistek. Szkoda, że jest tych nagrań za mało.

Anna-Maria Tryba: Serdecznie dziękuję za rozmowę!

Anna-Maria Tryba

Marek Jagliński

***

Paradoks – Na wojnach swoją krew przelewają najczęściej zagorzali pacyfiści.

***

Rachunek sumienia – Wyższa matematyka na paragonie fiskalnym z piekielnego sklepu.

***

Mieszkając w prozie życia możesz , być prędzej zbawiony niż mieszkając w poezji śmierci.

***

Chłopska filozofia buduje w nieskończoność cywilizację Arkadii.

***

Suma dwóch płci jest niezgodna z arytmetyką. 1 + 1 = 3

***

Całe życie możesz przeżyć w cieniu innych. Całą śmierć musisz umierać w pełnym słońcu innych.

***

Gdyby kózka nie skakała , to by koziołek miał cnotliwą żonę.

***

W zdrowym ciele , zdrowe ciele.

***

Był świetnym wodzirejem. Perfekcyjnie wodził wszystkich za nos.

***

Nie tylko analfabeci stawiają na nas krzyżyki.

***

Kukułka też może podrzucić ci zbuka do rodzinnego gniazda.

***

Tak długo szukał kijem dziury w całym , aż znalazł jego trzeci koniec.

***

Nawet rybie w wodzie też może zaschnąć w ustach.

***

Święci też mogą zaniemówić , tyle że oni nabierają w usta wody święconej.

***

Dobrym słowem można przepowiedzieć złe czasy.

***

Bezdomne wspomnienia zawsze śpią pod mostem straconego czasu.

***

Z dwóch grzybów w barszczu , jeden może być trujący.

***

Na drodze życiowej kiedy tańczysz na cienkiej linie, zawsze mogą poprosić cię o prawo jazdy do walca drogowego.

***

Prawdomówny - Mówił całą nagą prawdę i patrzył prosto w jej zamknięte oczy.

***

Bywa że i na loterii życia ślepy los ułaskawi czasami kozła ofiarnego.

***

Negocjator – Krętymi ścieżkami słów prowadził rozmowy pokojowe. W końcu wyprowadził wszystkich rozmówców w pole – minowe.

***

Diabeł brukuje nam piekło dobrymi chęciami. Anioł , zaś niebo dobrymi uczynkami.

***

Jeżeli miłość jest ślepa , to zrodzona z niej nienawiść ma sokoli wzrok.

***

Pomiędzy dobrem a złem biegnie cienka demarkacyjna linia obojętności.

***

ecej *** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej **

Maciej Kuczyński. Pisarz i wizjoner

Roman Warszewski

Właśnie minęły dwa lata od śmierci pisarza i podróżnika Macieja Kuczyńskiego. To postać wyjątkowa, a jednocześnie za życia absolutnie niedoceniona.Największy z wizjonerów pośród podróżników i największy podróżnik pośród wizjonerów – co do tego nie ma najmniejszej wątpliwości. Człowiek, którego myśl zostanie dopuszczona na salony dopiero w dość odległej przyszłości

Mogę to powiedzieć z całą odpowiedzialnością, bo jak rzadko kto poznałem poglądy i ścieżki, którymi podążało myślenie **Macieja Kuczyńskiego**. A nie ze wszystkimi tym się dzielił, bojąc się, iż ujawnienie jego przekonań może kosztować go członkostwo w polskim oddziale *Explorers Club* (gdzie – jak mówił – szczególnie ostrzył sobie zęby na niego długoletni szef tej instytucji, prekolumbijski archeolog – **prof. Mariusz Ziółkowski**). Korespondowaliśmy ze sobą i wymienialiśmy poglądy na wiele spraw przez blisko 30 lat. Dołożyłem też swą niewielką cegiełkę – swego czasu, w szybkim terminie w roku 2005, w wydawnictwie KOS udało się wydać jego niecodzienną autobiografię *Podróż*. A poza tym – połączyły nas… halucynogeny! Nie, spokojnie, nie ćpaliśmy do spółki, ale – i jego, i mnie przez wiele lat interesowało to, w jaki sposób rytualne aplikowanie halucynogenów wpływało na poszerzenie świadomości i jak tzw. ludom tubylczym pomagało w czerpaniu wiedzy z ponadczasowej skarbnicy istniejącej gdzieś ponad naszymi głowami.(1)

Pięć podstawowych prawd

Kuczyński, dzięki temu, że podróżując po całym świecie przez kilkadziesiąt lat, utrzymywał kontakt z wieloma ludami, niemającymi świadomości, iż istnieje coś takiego jak kultura zachodnia, doszedł do **czterech podstawowych wniosków** – a każdy z nich potrafił udowodnić, sięgając do swoich doświadczeń i bardzo szerokiej wiedzy – głównie biologicznej.

Po pierwsze – **istnieje zdecydowany prymat ducha nad materią**. Materia posiada bardzo grubą i absolutnie podstawową *podszewkę duchową*. Nasza materialna egzystencja jest zaledwie małą łódeczką, pływającą na bezdennym oceanie duchowości.

Po drugie – dzięki tak powszechnej obecności tkanki duchowej, **wszystko ze wszystkim pozostaje we Wszechświecie połączone**. Przyroda i my jesteśmy rodzeństwem; my – ludzie, wszyscy jesteśmy ze sobą spokrewnieni. To przecież oczywiste – całe życie miało swój początek wśród organizmów, które rozmnażały się przez podział. Wszyscy i wszystko wyrasta z tego substratu.

Po trzecie – **dzięki stosowaniu substancji halucynogennychludzie od najdawniejszych czasów byli w stanie pozyskiwać wiedzę i mądrość**, którą dużo później, w innych częściach świata (i w bardzo okrojonej, fragmentarycznej postaci) zaczęli zyskiwać dzięki rozwojowi nauki.

Po czwarte – owa **możliwość wglądu w poznanie**, powstająca dzięki zażywaniu czy to ayahuaski, halucynogennych grzybków, czy różnych odmian kaktusa **doprowadziła wiele plemion na świecie** (głównie w Ameryce prekolumbijskiej) **do pozyskania wiedzy na temat mechanizmów genetycznego dziedziczenia.** Podwójny wąż, lub wąż dwugłowy, po tylekroć pojawiający się w różnych wierzeniach, jest – według Kuczyńskiego – egzemplifikacją helisy DNA, którą dla świata zachodniego dopiero wlatach 50. XX wieku odkryli **Francis Crick** i **James Watson** (za co, jak wiadomo, otrzymali Nagrodę Nobla w dziedzinie biologii).

Po piąte – z trzeciego i czwartego wynika, że **istnieje ponadczasowa skarbnica mądrości i wiedzy** (przez niektórych nazywana Kroniką Akaszy), **do której czarownicy, szamani lub osoby o ponadprzeciętnej wrażliwości zyskują dostęp** – czy to na drodze medytacji, czy to halucynogennego transu.

Podziemne (i przyziemne) początki

Powyższe stwierdzenia mogą dziwić, jeśli zdamy sobie sprawę z tego, że stały się one wynikiem myślenia człowieka o wykształceniu ścisłym, politechnicznym. Maciej Kuczyński z zawodu był bowiem architektem oraz inżynierem i wiele lat spędził nad deską kreślarską. W jego przypadku w całej rozciągłości spełniło się jednak powiedzenie, że humanista nie musi umieć myśleć w sposób ścisły; natomiast człowiek o umyśle ścisłym obowiązkowo MUSI być humanistą. Kuczyński humanistą był w stu, dwustu, a może wręcz trzystu procentach. Dodajmy – humanistą o ponadprzeciętnej wrażliwości.

Dziwić może także to, iż tak *odlotowe* przemyślenia wyszły od osoby blisko związanej z ziemią, a nawet – z… podziemiami. Kuczyński swą podróżniczą karierę zaczynał od speleologii. Powojenne losy rzuciły go do Krakowa, a stamtąd był już tylko rzut beretem do Jury Krakowsko–Częstochowskiej i Tatr. Stąd wspinaczka skałkowa, speleologia oraz innowacyjne wprowadzanie do tej ostatniej nowoczesnych technik. W portretującym Kuczyńskiego artykule z miesięcznika *Poznaj Świata* z września 2007 roku **Anna Lenar** pisała: *To on kładł w Polsce podwaliny pod nowoczesne taternictwo jaskiniowe, czyli pokonywanie trudnych pionowych jaskiń z użyciem sprzętu alpinistycznego i specjalnych technik. To było wprowadzenie nie tylko nowego sprzętu, lecz także zasad pracy zespołowej (…) Kuczyński uczynił z tego sztukę.*

On sam prawdziwe znaczenie swojej podziemnej eksploracji zrozumiał dopiero po latach. Konfrontację z ciemnością uznał za podświadome ścieranie się z *Nieznanym* – z tym, czego nie widać. Natomiast wychodzenie na powierzchnię, było dążeniem do jasności – do światła i do poznania. Pisał: *Jaskinia* [to] (…) *symbol Nieznanego*. (…) [Nieznane] *ucieleśnione, zmaterializowane w skale, w ciemności i wodzie* (…). *Niewiadome, Niepoznane, Zakryte. Ciemny, mroczny, zagadkowy obszar tego wszystkiego, co jeszcze nie zostało odsłonięte, ujrzane, poznane* (…), *co pozostaje schowane, tajemnicze i nieprzeniknione. Co zawsze było wyzwaniem dla psychiki, nie tylkoHomo sapiens, ale wszystkich zwierząt, z wbudowanym w nią od początku istnienia nakazem, instynktem, popędem odkrywania, wchodzenia, wdzierania się, poznawania, objaśniania, zrywania zasłony…*

Powrót wuja Karola

Pochodził z patriotycznej rodziny. Jego ojciec, **Stefan**, zginął w Katyniu, a sam, jako kilkulatek, w Powstaniu przenosił broń do kryjówek oraz informacje dla walczących pod niemieckim ogniem. Wyrobił sobie wtedy przekonanie, że nic złego nie może mu się przytrafić, które następnie na wielu kontynentach towarzyszyło mu przez całe życie. Podróże były niejako wpisane w jego życiorys od najwcześniejszych lat. Wystarczy powiedzieć, że ojciec Kuczyńskiego zaangażowany był w stworzenie linii lotniczej na trasie: Warszawa – Buenos Aires. Gdyby nie wojna, na pewno ten piękny projekt dałoby się zrealizować. Słowem – nie tylko podróże, także odloty, które w późniejszym jego życiu odegrały tak ważną rolę…

Miał też bardzo zacnych krewnych i przyjaciół związanych z ważnymi postaciami. Jego stryj, **Wacław Kryński** był adiutantem **Marszałka Piłsudskiego** (który raz pogłaskał go nawet po pięcioletniej głowie podczas spaceru w Alejach, obok Belwederu). Później przyjaźnił się z **Rafałem Unrugiem** – bratankiem admirała i z **Wiesławem Maczkiem** – bratankiem generała. Z **Pawłem Czartoryskim** (a jakże, z tych Czartoryskich) chodził po tatrzańskiej grani, a z **Jerzym Potockim** (jak wyżej) nocował w śnieżnej jamie na Hali Gąsiennicowej.

Było też jedno ważne, choć dość kameralne wojenne zdarzenie, związane z jego babcią. Pewnej nocy, wydało się jej, że zobaczyła w mieszkaniu swego syna, **Karola**, który brał udział w Powstaniu. Kuczyński relacjonuje: – *Nagle rozległ się głos babki: „Karol wróciłeś?" (…) Babka otwierała kolejne drzwi w mieszkaniu, pytając: „Karol, gdzie jesteś? Co się stało? Przed chwilą cię przecież widziałam". – „Musiało ci się przyśnić" – powiedziała matka, lecz babka dalej była pewna, że przed chwilą widziała syna. Po kilku dniach przyszła wiadomość, że tego wieczora wuj został śmiertelnie raniony na barykadzie na Wolskiej i zmarł przeniesiony do szpitala…*

W drodze, ciągle w drodze

W ten naturalny sposób, jako młody chłopak uznał istnienie niewidzialnej rzeczywistości duchowej, a gdy raz to się stało, pojawiały się inne zdarzenia, które wzmacniały tę hipotezę. Sprzyjały temu podróże, w czasie których wielokrotnie ocierał się o śmierć własną lub innych. Automatycznie pojawiały się przemyślenia na temat ludzkiej natury i tego, co w niej jest najważniejsze.

Po eksploracji jaskiń w Tatrach polskich i słowackich, kolej przyszła na jaskinie Węgier, Bułgarii, Czechosłowacji, Kuby i Francji. Następnie kierował ekspedycjami kalibru największego – do najgłębszej ówcześnie znanej jaskini Gouffre Berger w Alpach i do najgłębszej jaskini Ameryki – San Augustin w Meksyku. Jako pierwszy penetrował jaskinie w Dżungli Lakandonów i kierował ekspedycją w Andy chilijskie oraz peruwiańskie. W czasie jednej z nich uczestniczył w wejściu na dziewiczy szczyt Cerro Solo i w zejściu do najgłębszej jaskini w Peru Racasmarca. →

** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej *** Migo

Los – raz tu, raz tam – przerzucał go między różnymi ekstremami. Zakładał bazę polskich polarników na lodowej pustyni Spitsbergenu a potem kilkakrotnie uczestniczył w wyprawach poszukujących szczątków dinozaurów na środkowoazjatyckiej pustyni Gobi. Jednak jego największym eksplorerskim osiągnięciem okazało się zbadanie największych na świecie jaskiń kwarcytowych na wenezuelskim płaskowyżu Sarisarinama. Owo zdarzenie, określone jako speleologiczne odkrycie XX wieku, utorowało mu drogę do Nowego Jorku, do mającego tam siedzibę międzynarodowego *Explorers Club*.

Podszewka świata

Co najciekawsze, zanim do tego doszło, moment przyjęcia do tej organizacji wielokrotnie widział w swojej wyobraźni. To było kolejne przełomowe doświadczenie. Szybko doszedł do wniosku, że *myślowe obrazy i wyobrażenia, to, co ezoterycy nazywają wizualizacjami, jeśli zostają poparte odpowiednim działaniem, przenikają do rzeczywistości i mieszają się w niepojęty, ale niewątpliwy sposób z planem materialnym – że mają udział w jego kształtowaniu (…), nieustannie płynąc gdzieś w podszewce świata i kształtując fale rzeki życia. Zresztą lepsze niż do fal wydaje mi się porównanie mozaiki wydarzeń do kry pływającej po morzu. Przy brzegu lodowe płyty są ściśnięte i unieruchomione. **To teraźniejszość**, nic nie można już w niej zmienić (…). Fakty, ludzie i czyny zwarli się, zakleszczyli, unieruchomili. Lecz czym dalej od brzegu, w głąb morza, tym pływające płyty pozostają w luźniejszych układach. Czym bliżej horyzontu, tym większa swoboda, tym łatwiej je przesuwać (…). **To przyszłość**. Elementy zdarzeń już w niej istnieją, teraźniejszość z nich musi się złożyć, ale w jaki sposób, to nie jest jeszcze przesądzone. Tam można jeszcze wszystko zmienić, z czym większym wyprzedzeniem, czym dalej od brzegu teraźniejszości (…). Tam do skutecznego działania wystarczają nawet małe siły (…) tak jak myśl lub marzenie, działające jak słaby, lecz trwały, uparty powiew wietrzyka, zdolny przesuwać nawet ciężkie płyty, rozległe pola lodowe (…).* Słowem – to, o czym kiedyś myśleliśmy i co widzieliśmy tylko oczami wyobraźni, w przyszłości może się ziścić.

Dalej jeździł i pisał. Pisanie z czasem stało się dla niego najważniejszą czynnością. W literaturze wybrał – można powiedzieć – ścieżkę środka. Jakby celowo nie chciał być zbyt awangardowy, bo pragnął być szeroko czytany i to mu się udało, bo łączny nakład opublikowanych przez niego książek przekroczył 160 tys. egzemplarzy! (patrz ramka – przyp. red.)Poza tym, jak sam przyznawał, by sięgać po najwyższe literackie diapazony, brakowało mu odrobiny szaleństwa, które zdaje się być do tego niezbędne. Skłaniał się więc bardziej ku pisaniu – nazwijmy to – rzemieślniczemu. Na całość poszedł dopiero w swej autobiografii – wspomnianym już wcześniej tomie*Podróż*.

Bez wsparcia legionów

Pisanie wymagało skupienia, samotności. Nie uciekał przed nią. Mimo że jak rzadko kto cenił działanie zespołowe (czego nauczyły go speleologiczne i wysokogórskie wyprawy) pisał: *W samotności jest coś pięknego i jakiś sens głęboki, bo wiąże się ona z odrębnością. (…) Samotność nie jest zabójcza, nie jest siłą niszczącą. Przyjęta i zrozumiała, staje się podporą, okazuje się siłą, przy które siły czerpane z innych źródeł są zaledwie odmianami słabości. (…) Samotność daje siłę prawdziwą. Nie ma nic bardziej wzmacniającego, budującego niż pewność, że stoi się naprzeciw Wszechświata, słońc, galaktyk, obłoków materii, siłowych pól, potoków promieniowania, oceanów, lasów oraz wulkanów (…) i trwa się, o dziwo, nadal się istnieje, nawet bez wsparcia legionów, nawet bez bratniej czy też kochającej duszy.*

Odkrywał, żestan osamotnienia i owo przekonanie, że Wszechświat dzieli się tylko na dwoje: ja i reszta. Ja, jądro, i to, co na zewnątrz, dookoła. Postawiony wobec nieodwracalności rozdziału, (...) nie cofałem się przed jego zrozumieniem, wniknąłem weń całym sobą i okazało się wtedy, że stan opuszczenia, zrozumiany do głębi, przynosi ratunek miast unicestwienia.

Śladami Ruperta S.

Do czego takie penetrowanie własnego wnętrza i świata zewnętrznego doprowadziły?

Do przekonania, że świat ożywiony i jego ewolucja opiera się na niematerialnych wzorcach z substancji takiej samej jak myśl – obecnych w całej przestrzeni Wszechświata. Pisał: *Światli biolodzy już o tym wiedzą, począwszy od **Ruperta Sheldrake'a**, który spróbował uporządkować dawne podejrzenia, lecz nie wiem, czy dożyję chwili, gdy stanie się to kanonem nauki. (...) Życie jest tkaniną utkaną z wielu nitek, a większość ma swój początek w naszych własnych czynach, decyzjach, kaprysach, zachciankach i postanowieniach. Żadna nitka, żadne źdźbło nie wyrasta bez pierwszego ziarna, bez pierwszego razu. Pierwszego pomysłu, zamiaru, olśnienia, rozmowy, ale i papierosa, kieliszka, uderzenia, oszustwa, kradzieży, rezygnacji, ucieczki, pierwszego podłego czynu. Dlatego błędna jest postawa **spróbować wszystkiego, korzystać z wolności, bo krótkie jest życie**. Każda pierwsza próba coś zapoczątkowuje, a ty nigdy nie wiesz, czy będziesz miał siłę zerwania tej nici, która się wysnuje, zaplącze (...), zamieni się w linę i zapanuje nad Tobą* [i cię] *zniewoli (...) Dlatego bacz pilnie, jaką nitkę chwytasz!*

Duchowa kanwa rzeczywistości

W jego przypadku sprawdziło się to w stu procentach. Raz pochwycona nić duchowości już go nie opuściła – on zresztą też jej nie puścił. Potem niekiedy zarzucano mu, że całe życie w zasadzie pisał jedną książkę; że w jego dziele jest wiele powtórzeń i nawrotów do tych samych wątków. Odpowiadał na to, że to tylko po części prawda. Kolejne tomy dopisywał w miarę tego, jak do przodu posuwały się jego badania, odzwierciedlając w nich dokonujący się postęp. A poza tym – snuł opowieść o rzeczach trudnych i często zaskakujących. By przekonać do nich Czytelników, trzeba było do pewnych tematów powracać.

W zachodnie kulturze – pisał – *sprawy transcedentalne są tak dalece odsunięte od życia codziennego (...), jakby jedna sfera z drugą nie miały żadnych punktów stycznych (...). O ile chętnie rozprawiamy o korzeniach historycznych, narodowych, rodowych, kulturowych, o tyle niemal nigdy o najważniejszym: o naszym związaniu z transcedentalnym obszarem, o subtelnych korzeniach, którymi w nim tkwimy, o duchowej kanwie, na której osnute jest ciało, myśl, emocje i uczucia. Tym różnimy się skrajnie od **dzikusów**, którzy stale żyją z przekonaniem takiego związania i bliskiej obecności świata duchowego. Puszczańscy Indianie, których zaufanie zyskałem, mówili mi o nieopuszczającej ich **świadomości ciągłego zanurzenia w niewidzialnej substancjizaludnionej przez inteligentne byty**, z którą przenika się świat rzeczy, roślin, zwierząt i ludzi. Wiedzieli, czym jest radio, więc czynili porównanie tego innego wymiaru do fal radiowych, które choć też niewidzialne, przenikają nas, stale obecnew przestrzeni, a ujawniają się, gdy włączymy odbiornik.*

Najdalsza podróż

Ów wymiar duchowy *odbieramy* najlepiej po włączeniu – niczym radia – odmiennego stanu świadomości: w ekstazie świętych i ultrasensów. W transach szamanów i czarowników.

Tam – rzecz jasna – także się udał. To był kolejny krok. Jeśli zaszło się aż tak daleko, nie można było go nie wykonać. Więc pił wywar z ayahuaski, palił halucynogenne grzybki, żuł peyotle i – doświadczając wszystkiego na własnej skórze – coraz lepiej rozumiał, o czym opowiadają mu tubylcy. Jak naprawdę wygląda świat.

Udał się w najdalszą podróż, która dała mu zrozumienie, czym jest życie i otaczająca nas rzeczywistość. Usłyszał głos, który potwierdził to wszystko, do czego doszedł już wcześniej:

Tu, na Ziemi, tylko śnimy,
Tylko śnić tu przychodzimy,
Nie jest prawdą, że żyjemy na ziemi,
Nasza ziemia jest inna
Tu przybywamy tylko po to, żeby spać,
Tylko śnić tu przychodzimy
Nasze prawdziwe miejsce
jest całkiem inne...

To wtedy przed jego oczami pojawił upierzony wąż, który tak naprawdę był wężem podwójnym, a potem – już na jawie – gorączkowo zaczął zagłębiać się w prekolumbijskie meksykańskie kodeksy – głównie te stworzone przez Misteków. I na styku sfery, której istnienie przeczuwał, i ujrzał ją po zażyciu halucynogenów, oraz tego, co zobaczył w staromeksykańskich księgach, dokonał WIELKIEGO ODKRYCIA!

Odkrywanie jest najpierw jak majaczenie – zapisał później – *jest (...) spotkaniem z czymś, co jeszcze przed chwilą nie istniało. Jest darem losu dla odkrywcy. Jest chwilą gwałtownego, wybuchowego wprost wzrostu dla człowieka. Dokonując odkrycia, przyłącza*[on] *nowy obszar (...), wzrasta o nową wiedzę, jego świadomość pęcznieje (...). Umysł musi się uporać z nową wizją świata.* Z czymś ważnym – często bardzo ważnym.

Znów – to był właśnie ten przypadek!

Zaczął rozumieć, o czym prekolumbijscy Meksykanie opowiadali w swoich kodeksach. Mówił mi potem: – *Gdy się przekonałem, że staromeksykańskim **xica pitao mani**, czyli **zwierzęciem z naczynia boga** jest podwajający się wąż, żyjący tam, gdzie rodzą się dzieci, w jądrze komórki (czyli w **zapoteckim drogim kamieniu**), zrozumiałem, że wąż uosabia samopodwajające się pasmo DNA, w jaju; a dalej, gdy upewniłem się, że w wizjach szamańskich najczęstszym stworem, który po wejściu w trans się ukazuje, jest wąż (a raczej dwa splecione ze sobą węże), zaczęło we mnie kiełkować zrozumienie prawdziwej roli węża w mitologiach świata. Zadałem sobie pytanie, czy Prawąż starożytnych, zawsze obecny w akcie Stworzenia, nie jest pasmem podwójnej helisy Watsona i Cricka, intuicyjnie wykrytym przez pra-pra-pra-wtajemniczonych? Po dalszych badaniach, porównaniach i po kolejnych rozmowach z szamanami, nie miałem wątpliwości, że jest właśnie tak jak myślałem.*

Walka do końca

Dostojny Francis Crick odpisał mu, że to niemożliwe. Ale czy można było spodziewać się innej opinii od umysłu tylko ścisłego i tylko

ecej *** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej **

skoncentrowanego na swojej wąsko pojętej dziedzinie?

Maciej Kuczyński o akceptację swojej obrazoburczej koncepcji walczył do końca życia. Zyskał aprobatę **Jeremiego Narbyego**, **Jacquesa Moabita** i **Juana Amaringo** – uznanych badaczy odmiennych stanów świadomości. W roku 2016– znów w KOS-ie (mało brakowało, by książkę wydał prowadzony wtedy przeze mnie Fitoherb, jaka szkoda, że nie udało mi się przekonać moich mocodawców i że do tego nie doszło) – opublikował porywającą książkę *Rok938, w którym Mistekowie odkryli kod genetyczny*.

To, do czego doszedł, z wielkim trudem przebija się do świadomości. Ale – spokojna głowa – w końcu się przebije.

Gdy przed dwoma laty dotarła do mnie wiadomość o jego śmierci, ogarnął mnie ogromny smutek. Po **Zdzisławie Smektale** – pisarzu oraz nieodżałowanym **Marku Rymuszko**, była to kolejna niepowetowana strata w gronie Osób, z którymi miałem silną intelektualną więź. Odszedł jeden z nielicznych ludzi, z którym na wiele tematów mogłem rozmawiać całkiem otwarcie, nie obawiając się, że mnie wyśmieje. Potem, pośród tego smutku, przypomniałem sobie, jak Maciej Kuczyński kilka lat wcześniej zareagował, gdy powiedziałem mu, że zmarł mój Ojciec. Powiedział wtedy:

– Panie Romanie, głowa do góry, przecież tu tylko śnić przychodzimy, a prawdziwa nasza ziemia jest całkiem gdzie indziej...

Roman Warszewski

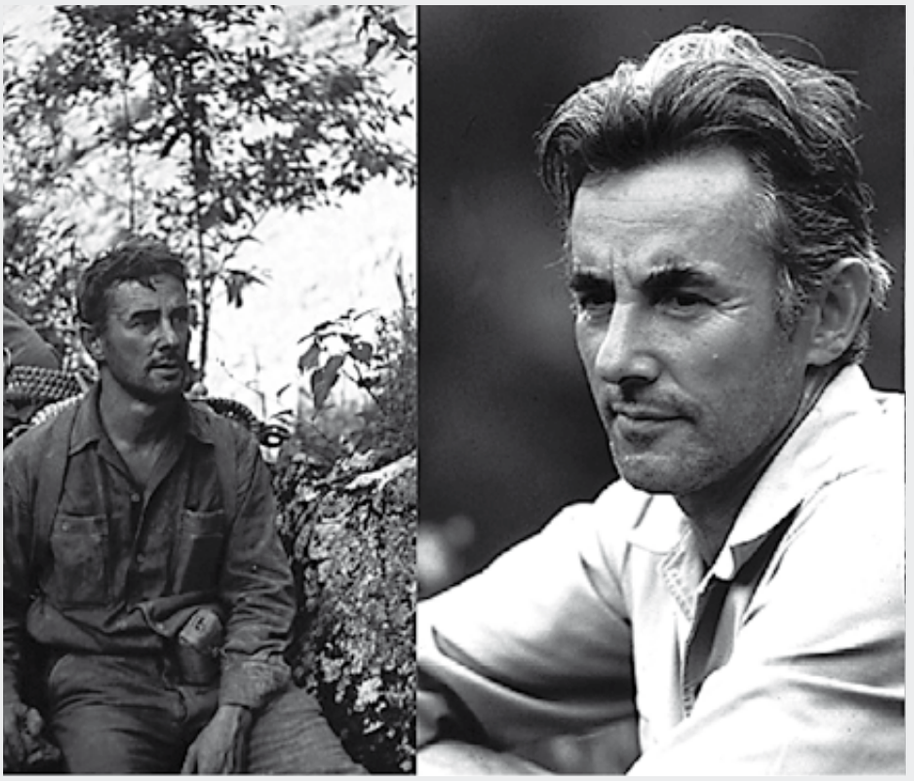

Najważniejsze książki Macieja Kuczyńskiego:

Czeluść, Warszawa 1972, seria Dookoła Świata, Iskry

Zwrotnik Dinozaura, Warszawa 1977, seria Dookoła Świata, Iskry

Tajemniczy Płaskowyż, Warszawa 1981, seria Dookoła Świata, Iskry

Czciciele Węża, Warszawa 1990, Iskry

Dysk z Atlantydy, Warszawa 1992, Aries

Atlantyda. Jej tajemnice i odkrycia, Warszawa 1994, Aries

Życie jest myślą, Warszawa 1997, Alfa

Wielcy Zdobywcy, Warszawa 1998, ABC Future

Życie spadło z nieba, Warszawa 1999, Alfa

Tatrzańskie dramaty, Warszawa 1999, ABC Future

Podróż, Katowice 2003, KOS

Wodospad, Grójec 2010, Wydawnictwo SOL

Rok 938, w którym Mistekowie odkryli kod genetyczny, Katowice 2013, KOS

Ponadto Maciej Kuczyński opublikował 16 pozycji dla młodzieży, w tym słynną ***Atlantydę – wyspę ognia*** (Nasza Księgarnia, 1967), która przez pewien czas należała do kanonu lektur szkolnych. W książkach tych próbował budować to, co nazywał *Pozytywną Sagą* – przeciwwagę dla typowej dla polskiej literatury narracji pełnej klęsk i niepowodzeń. Uważał, że młodzież tego bardzo potrzebuje.

(1) Maciej Kuczyński z dużym entuzjazmem przyjął moją koncepcję zaprezentowaną w książce *Tajna misja Eldorado (Tower Press,* 2005*)*, zgodnie z którą mit o Złotym Mieście i Złotym Królu w Ameryce prekolumbijskiej powstał przez to, że po zażyciu wywaru z ayahuaski, w czasie transu, wiele elementów z otoczenia tubylcy postrzegali w złotych barwach. Pan Maciej wspomina o tym m.in. w swojej książce *Wodospad* (SOL, 2010). Następnie koncepcję tę wykorzystał do zrozumienia natury złotych barw Arki Przymierza, o czym jest mowa w zakończeniu *Roku 938*... (Żydzi na pustyni też tańczyli wokół Arki pod wpływem halucynogenów, które *pozłacały* im rzeczywistość).

Roman Warszewski

** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej *** Migo

Milena Tejkowska

...USQUE AD MALA

kobiety o twarzach jak jabłka
które za długo leżały
już się nie rumienią
jak robiły to wiosną latem
pachniały jesienią
leżą niechciane nieapetyczne
pozbawione słodyczy
jędrnego ciała wilgoci
już nikogo nie skuszą
nie namówią do grzechu
swoją mądrość zachowają dla siebie
dobro i zło zostaną w nich nierozpoznane
nie uwięzną nagłym wzruszeniem
w gardle mężczyzny
który adam
szeptałby ich imię dla nikogo
skulone wysuszone
nie toczy ich robak
nie dotyka pragnienie
niczyje połówki
cymes oszukany
są jak szkatuła w której skarb ukryty
kapsuła tajemnicy sensu
sczezłe złoto hesperyd
marzną bez dotyku rąk ust
kurczą się maleją
bez śladu
zachłannych zębów
bez ślubu ze śliną
globus cruciger bezkrólewia
stare panny ich pestki nie będą rodziły
żadnego sporu
żadnej wojny za ich przyczyną
ich pomarszczona skóra
ich miąższ bez pożądania
ciemne piegi na pobladłych policzkach
przyjmie je ziemia
całun śnieżny okryje
nie zmartwychwstaną
w humus się rozpadną
i znikną nie krzykną

kobiety o twarzach jak jabłka
które za długo leżały
czasem tylko spojrzą na nie z trwogą
młode kwiaty jabłoni
całe w różowej nadziei
w zielonych sukienkach
roześmiane czekające na miłość
niewierzące w przemijanie

WSZYSTKIE JESTEŚMY DRZEWAMI

Smukłe panny młode niecierpliwe
i drżące w zielonych sukienkach,
w białokwietnych wiankach,
z różowymi kwiatuszkami rumieńców.
Wiatr frywolny plącze welon
z listków lekkich koronek.
Chór sfrunął z chmur i wśród piór
furkotu marsza gra weselnego.
Kukułka wróży szczęśliwe godziny.

Krzyk bażanci z zarośli się podnosi.
W niebieskiej pościeli składają korony.
Pęcznieją rozkwitłe poślubione
ptakom, pszczołom i pragnieniom.
Mokną potem roześmiane rozedrgane
w letnich strugach deszczu kochane.

Brzęczą o brzasku brzuchy ciężarnych.
Pod ciężką blachą słońca brzemienne pękną,
rodząc słodkie owoce wplątań słonecznych
palców w wichurę włosów zielonych.
Dojrzałe zboża ukołyszą dzbany malachitu.
Puste uwolnione ramiona zbledną, osłabną.

Wiatr targa wyblakłe złudnie złote suknie,
babie lato pajęczyną mota pudermantle,
odziera z resztek wiotkich wstążek zielonych.
Wyciągają ku niebu nagie szarzejące ramiona.
W otwarte gniazda jak w umarłe usta
słońce wkłada ostatnią gorejącą monetę.
Szeregi szarych płaczek zasnuwają zimny błękit.

Wkrótce śnieżny całun opadnie na dawnopiękne
ciała podniebnych panien, kwitnących kochanek,
odurzonych narzeczonych czerwcowego księżyca –
teraz podobne wdowom z kikutami kostniejących wspomnień.

***

Smakuję po omacku ciepłe jeszcze słowa,
tęsknymi na skórze palcami pisane wiersze.
Nad nami lampa księżyca milknie perłowa.
Pulsują krwi krople czerwone jak żeńszeń.

Słowa pachną ciężką słodyczą omdlenia.
Biorę je na język powoli, jak hostię ostrożnie,
rozgryzam jak pestkę gorzką pustkę istnienia,
w dal wypluwam trującą samotność, w próżnię.

Rozpuszczam słowa w Twoich ustach.
W oczy twe patrzę zupełnie niesmutna.

Przeglądam się w nich jak w wielkich lustrach,
z których zdjęto pożałobne głuche płótna.

ecej *** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej **

Krystian Medard Manteuffel

...BYŁO, MINĘŁO, POWRACA

(NIEDOKOŃCZONA ROZMOWA Z TADEUSZEM K.-C.[1])

...to nie tak być miało (3)
przyjaciołom z tamtych lat

...jest nie tak; na białym sztandarze rozsypane
niegdyś spójnie krwią wypisane litery.
Głosu Boga nie słychać w kakofonii fałszów.
Więdną bukiety poezji pisanej na świadectwo prawdy.

Żywimy się ścierwem tamtych, dawno zapomnianych,
powstałych z ich wielkości i zatraconym z własnej pychy;
z ruin wygrzebujemy ich miraże dopisując im chwałę i czyny.

Jawimy się, by z sybillińskich źródeł czerpać słodkie soki,
płynące z krynicy, której nie ma, lecz chcemy w nią wierzyć
ciągle jeszcze, zanim piasek klepsydry nie zasypie nam mózgów.

Niezgoda dana nam była od Boga, a teraz boi się podać nam ręki,
stworzonym po to zaledwie, by krzyknąć i oddać się wiatrom;
za późno strach nas przenika i chce się nie klękać lecz zakląć...

2010

A z ciężkich moich grzechów jeden najlepiej pamiętam:
Jak przechodząc raz leśną ścieżką nad potokiem
Zrzuciłem duży kamień na wodnego węża zwiniętego w trawie.
I co mnie w życiu spotkało było słuszną karą,
Która prędzej czy później łamiącego zakaz dosięgnie.

CZESŁAW MIŁOSZ - „RUE DESCARTES"

„Rue Descartes"... Ulica nie jest wystarczająco długa dla długich rozmyślań nad losem banity, ale można wejść do polskiej restauracji „Cracovia" i zalać robaka, gdy myśl ciąży. Ta paryska ulica z polskością nie ma poza tym nic wspólnego. Jednak, skoro tu jesteśmy, możemy odkryć, że sam Kartezjusz leży w krypcie pobliskiego opactwa Saint-Germain-des-Prés obok naszego króla Jana Kazimierza, który po abdykacji otrzymał tam posadę opata. Mezalianse w kryptach bywają rebusem dla potomnych. Szedł Miłosz tą ulicą wielkiego filozofa, którego przemyślenia inspirowały wielu? Także Herberta? Miłoszowi przypomniał się tam grzech zabicia stworzenia, które na jego rodzinnej Litwie otaczane jest szczególnym kultem.

Ale wokół mnie jest grudzień 2010. Kto pamięta taką zimę? Tyle śniegu! Paweł wyjechał dziś rano do Polski. Aby mógł wyjechać z podwórka trzeba było odkopać jego subaru. Także tutaj, w Szwabii, nikt nie pamięta takiej śnieżnej zimy. Owszem, była taka w roku 1619. Kartezjusz, który podczas „Wojny Trzydziestoletniej" zaciągnął się do wojska bawarskiego księcia Maksymiliana I., w drodze z Frankfurtu do Ulmu utknął na kilka tygodni w śniegu. Gościł go jakiś miejscowy chłop w swojej chałupie przez kilka tygodni. Niemcy mówią, że to właśnie tutaj i wtedy rodziło się w jego głowie sławne twierdzenie „*cogito ergo sum*" („myślę więc jestem"). Kartezjusz zaczynał już wątpić w koniec zimy. Wątpił, a więc myślał i myśląc utwierdzał w sobie wiarę w istnienie, skoro myśli. Tak oto wątpiąc można zasłużyć sobie na kryptę. Stąd do Polski mamy z Pawłem, on i ja, tę samą prostą drogę, ale w Polsce drogi zaczynają się wikłać. A choć zdawało się, że zostawiliśmy dość czytelnych śladów, czasami trudno je odnaleźć; nawet ślady tych, którzy szli z nami, odbijają nagle od drogi, którą razem szliśmy.

Droga Kartezjusza. Descartes Straße. *Rue Descartes*. Kiedy on to napisał. Kto? Miłosz. W 1980, spacerując ulicą Kartezjusza i rozmyślając o swoim grzechu.

*

To musiał być 1957, październik. Ach, te polskie październiki. Tadek wrócił z Warszawy. Był tam, aby demonstrować przeciwko zamknięciu „Po prostu". Co za gówniana sprawa. Młodzi byliśmy. Uważaliśmy siebie za socjalistów! Egzystencjalistów? To było cholernie modne wtedy. Wierzyliśmy w odnowę, w możliwość „socjalizmu o ludzkiej twarzy". Tak samo, jak tamci z redakcji „Po prostu". Jeszcze w marcu przepisywaliśmy kolegom wiersz Herberta[12], a teraz biją ludzi na ulicy za to chyba, że zachłysnęli się sekwencją z programu Kołakowskiego: „...eh, co tu dużo mówić! Socjalizm jest to naprawdę dobra rzecz" i apelem Herberta do tych „ze szczytu schodów", aby zeszli, pogadali i (w domyśle) się przyłączyli. No i zeszli. Tłuką nas pałami. Ale o tym kiedy indziej. Tadek przywiózł z Warszawy te dwa eseje wydane w roku 1955 w Paryżu: „*Zdobycie władzy*" i „*Zniewolony umysł*". Chodził cały w sobie, gdy opowiadał o tym, co się działo w Warszawie. A ja wertowałem te dwie książeczki. Tyle mówiliśmy o tych esejach wierząc w sacrum tego, co ukazywało się w Paryżu. Nie wierzyłem, że kiedykolwiek będę trzymał w ręku jakąś książkę z „Instytutu Literackiego". Tadek pozakładał stronice, na których Miłosz opisywał straszne sceny z Powstania Warszawskiego. Nienawiść ludzi, matek, do powstańców. Nienawiść powstańców z AK do tych z AL. Oskarżenia Rządu Londyńskiego za tragedię. Miłosz przyrównywał ich do Rosjan, którzy czekali za Wisłą na wykrwawienie się powstania.

- Widzisz Krystian! A my mieliśmy go za patriotę. Miłosz to zdrajca. On nie jest Polakiem!

- A ty? Kto ty jesteś?

Tadek odwrócił głowę, sam urodził się w Wilnie. Potem znów spojrzał na mnie z kwaśnym uśmieszkiem.

- Polak mały.

Nie, nie skończyła się nasza przyjaźń na tym. Wiele razy jeszcze tłumaczyliśmy sobie Miłosza. Tadek miał wiele ambitnych marzeń. Nie wierzył już jednak, że uda mu się przebić. Chciał naśladować Hłaskę. Był bokserem. Mieszkał na Stodólnej. Ja w drugim końcu Włocławka, na Wiejskiej, która nazywała się wtedy ulicą Feliksa Dzierżyńskiego. Spotykaliśmy się najczęściej w księgarni „Domu Książki", którą prowadził nasz wspólny przyjaciel, Tadek Włodkowski. Przychodziła tam Danka (Maria Danuta Betto), Roland Mielke z Agnieszką, Jeremi Chyżewski ze swoją Barbarą, Bogdan Borowy z Hanią, Zbyszek Majewski i jeszcze kilkoro fascynatów literatury, którym *coś tu nie pasowało, których coś niepokoiło*. Na zapleczu księgarni Tadek miał zawsze kieliszek siwuchy, odłożone nowości, także te drukowane na powielaczu.[23] Nie, Miłosza chyba nie miał. Herberta tak, wtedy jeszcze zaliczaliśmy go do wierzących w reformowalność dyktatury kojarząc go sobie z „*Po prostu*", a „*Po prostu*" z „polskim modelem socjalizmu". O Miłoszu mogliśmy sobie tylko pogadać, jak Polak z Polakiem. Mieliśmy o nim różne zdania i bywało ostro. Każdy coś tam wiedział, gdzieś coś czytał, gdzieś coś słyszał. Gdy w 1974 Herbert odkrył Kartezjusza, spersonifikował sekwencję filozofa dla swojej poezji i wydał „*Pana Cogito*", Tadek przysłał mi z Lublina ten zbiór z wypisanym na stronie tytułowej fragmentem z „*Posłania Pana Cogito*": „*...pójdą na twój pogrzeb i z ulgą rzucą grudę / a kornik napisze twój układzony życiorys / i nie przebaczaj zaiste nie w twojej mocy / przebaczać w imieniu tych których zdradzono o świcie.*"

Sięgnąłem do wiersza Herberta, odnalazłem słowa, które zacytował Tadek, i czytałem dalej: „*strzeż się jednak dumy niepotrzebnej / oglądaj w lustrze swą błazeńską twarz*". Wtedy zacząłem myśleć o tym, że chyba źle zaszeregowałem Herberta.

*

Rok 1981. Z prasy niezależnej: „*Powstał Społeczny Komitet Powitalny Czesława Miłosza. W jego skład wchodzą...*"

Naszej wrodzonej, ludzkiej pysze wystarcza niejednokrotnie jej selektywny stosunek do obrazu objawionego, to znaczy do wydarzenia, które powraca w retrospekcji; pozytywny, jeśli dostrzegamy z miejsca jej wielkość, wtedy skłonni jesteśmy też uznać nasze współuczestnictwo w jej powstaniu, negatywny – jeśli bądź nie jest on nam przychylny, niewygodny, lub nie znajdujemy sposobu na wykazanie naszego udziału w jego powstaniu, (choć bardzo byśmy chcieli!), a wtedy najlepiej uczynić wszystko, aby pomniejszyć jej znaczenie lub wręcz okpić, wytrzeć z pamięci. Bywa, że obrazem tym jest człowiek i jego dzieło.

Bydgoszcz. To musiał być 10 czerwca 1981 roku. Wieczór, mały pokoik w kamienicy nad Brdą, na stole rozrzucona bibuła i gazety; i tu i tam piszą o Miłoszu. Już piszą. Widać, że mocno ocenzurowane to wszystko, ale musieli napisać, przecież mamy znów laureata Nagrody Nobla. Miłosz wpadł do kotła tamtego czasu jako ogółowi nie znany emigrant z Nagrodą Nobla, a wyskoczył z niego, jak Wania z wrzątku w rosyjskiej bajce, w postaci WIESZCZA. Ciało powróciło wtedy wprawdzie jeszcze do Kalifornii, jego duch pozostał przecież w kraju. No i obiegowe cytaty z jego dzieł; te też pozostały i korzystaliśmy z nich w naszej pracy.

Już wtedy było dla nas jasne, że Miłosz nie był dla wszystkich czytelny. Na pewno nie jako eseista, a i jako liryk tylko wybiórczo. Wokół nazwiska Miłosza utworzył się nimb. Powtarzane były cytaty z jego eseistyki →

** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej *** Migo

i z wierszy, często jednak zdeformowane, bo źle zrozumiane. Ludzie byli przeświadczeni, że wiersz wyryty na pomniku poległych stoczniowców napisał poeta właśnie jako protest na użycie siły przez władzę w Gdańsku, może w Poznaniu, a może w Radomiu. Nie prostowaliśmy tego. Tak współtworzyliśmy ten nimb. Potrzebny był nam wieszcz! Stefan[34] wrócił z Warszawy, gdzie brał udział w powitaniu Miłosza. Jarek[45] dał nam egzemplarze *„Zdobycia władzy"* i *„Zniewolonego umysłu"* wydrukowane drobnym drukiem na powielaczowym papierze gdzieś w jakiejś zakonspirowanej drukarni. Miłosz ciągle jeszcze tylko w drugim obiegu. Ciągle niedostępny dla ludzi. Patrzę na kolegów, koledzy na mnie. Ile potrzebuję czasu na przeczytanie i zrobienie konspektów? Nie potrzebuję dużo, bo znam. Pisałem akurat konspekty z *„Polskiego Państwa Podziemnego 1939–1945"* Władysława Bartoszewskiego.

- Przecież nie przerwę tego z powodu Miłosza! Poza tym, ludzie, przeczytajcie to wpierw sami.

Może ktoś się na mnie obruszył. Nie wiem. Nie wiem też czy ktoś przeczytał któryś z tych esejów. Potrzebny był nam wieszcz. Obwieściliśmy przybycie do kraju „człowieka wielkiej mądrości i głębokiego człowieczeństwa" cytując na wstępie zdanie, które padło w KUL -u przy mianowaniu Miłosza doktorem honoris causa: „jeden z największych wśród twórców współczesnej kultury". Tytuł raportu o przybyciu oczekiwanego wieszcza, wydrukowany koślawymi czcionkami na kradzionym papierze, brzmiał: *„Poeta pamięta"*. „Ten wiersz (*„Który skrzywdziłeś" - sic!*) – kończył kolega redakcyjny – znalazł się na Pomniku Poległych Stoczniowców w Gdańsku, pomniku, który od grudnia ubiegłego roku jest pamięcią nas wszystkich". Stefan w swoim reportażu z powitania Miłosza umieścił w krótkim tekście tyle informacji o patriotycznej postawie wieszcza zesłanego nam przez opatrzność i tak celnie wybrane cytaty z emigracyjnych publikacji wyklętego poety, że byłem zakłopotany moją indolencją w tym temacie. Po uważnym przejrzeniu prozy Miłosza zaczęła jawić mi się seria bryków, kontynuująca te robione z „Polskiego państwa podziemnego 1939 -1945". Był to przecież dalszy ciąg tego, co Bartoszewski kończył na roku 1945, a Miłosz zaczynał obrazem zniewolenia Polski przez jej „wyzwolicieli". I tak też postanowiłem dalej to ciągnąć. Nie zdążyłem przed 13 grudnia, a potem...

Nie ma na świecie narodu, który w sprawach kształtu struktur swojego państwa byłby jednomyślny. Ale tylko wśród tych narodów istnieje wzajemne poszanowanie, gdzie istnieje przyzwolenie na niejednomyślność. Mój ojciec chwalił się, że wyzwalał pod wodzą Piłsudskiego zgrabioną ziemię polską, ale nie wyniósł dobrych wspomnień z rozwoju demokracji w rządzonej przez niego wolnej Polsce. Mój teść, wiejski nauczyciel i chłop dla którego ziemia nie była tylko metaforą matki, ale kochał ją, jak rodzicielkę, musiał być w opozycji w latach sanacji, ukrywać się przed okupantem, i cierpieć poniżenia po wojnie. Gdy byliśmy razem w zakonspirowanym pokoiku redakcyjnym nad Brdą, byliśmy jeszcze razem, gdy wychodziliśmy nad brzeg rzeki, chyba tylko jedna łuczniczka znała nasze myśli. Wyczerpanie dawało o sobie znać. Kto dłużej wytrzyma. Nie było wątpliwości, że władza trzyma się ledwie na nogach. Ale nie było pewne, czy padnie, czy w desperacji straci opamiętanie. Zmęczonym i zaczynającym wątpić ludziom opozycji sił dodawała poezja i papież. Gdy opuszczałem Polskę, nic nie było jeszcze pewne, a wszystko możliwe. Gdy po latach wróciłem w biografiach moich kolegów ważniejsze okazały się nagrody za twórczość zaangażowaną w latach siedemdziesiątych od słów zakazanych pisanych z zaciśniętymi ustami; nie dość, że nie był to żaden konkurs, a więc nie ma nagrody, to dziś trudne są już do odczytania na pożółkłym papierze nasze teksty, a jeszcze trudniejsza do pojęcia staje się ich treść. Więc, co chciał właściwie powiedzieć poeta w wierszu na pomniku trzech krzyży, że „poeta pamięta"? Którzy byli w komitecie powitalnym, teraz blokowali jego godny pochówek.

Jest nie tak, jak być miało.
„Miej, o Panie,
Zmiłowanie –
Już my razem!" –
Zygmunt Krasiński (z „Psalmu żalu")

*

Gdy wyjeżdża się z kraju i człowiek nie wie, czy jeszcze do niego powróci, to zabiera się ze sobą jedną rzecz, której żaden celnik nie odbierze: obraz zapisany w pamięci. Jest na tym obrazie wszystko, co zakotwiczyło w sercu: jakiś krajobraz, jacyś ludzie, jakieś wydarzenia. Jest w nim ostatnia i wieczna wiara w ujrzenie tego raz jeszcze w rzeczywistości, w spełnionej nadziei.

Tymczasem w Niemczech obie te prace, sztandarowe dla zrywu świadomości w Europie za żelazną kurtyną, były znane i komentowane dość szeroko. Ukazały się drukiem i w wydawnictwie ogólnodostępnym już w roku 1953, a ich tłumaczem był Alfred Loeple. Karl Dedecius przetłumaczył i wydał w tym samym roku 1959 małą antologię *„Lektion der Stille" (Lekcja ciszy)* z wierszami Przybosia, Różewicza, Miłosza i Leca. Reich-Ranicki opublikował w roku 1980 esej *„Aura Poezji"*. Czołowy niemiecki krytyk zastanawiał się nad związkiem decyzji Szwedzkiej Akademii Nauk z aktualną wówczas sytuacją w Polsce: *„Czy ma to związek z owymi zdumiewającymi i niepokojącymi, ale też godnymi podziwu wydarzeniami, które od wielu miesięcy mają miejsce w ojczyźnie Miłosza? (...) Z literaturą wszystko to, co ma miejsce między Gdańskiem a Katowicami, nie ma w ogóle nic wspólnego. Czy naprawdę nic? Czy w kraju tym istnieje jednak jakiś tajemniczy związek między poezją a rzeczywistością?"*[56]

Nazwisko **Miłosz** było więc w Niemczech znane, gdy tam przybyłem i na tej fali działali tam nasi *ambasadorzy* literaccy, wielu Niemców wymieni jego nazwisko obok nazwiska **Wojtyły**, **Wałęsy**, czy nawet obok coraz poprawniej wymawianego słowa „Solidarność". Każdy umieści go zaraz przy nazwisku **Grassa**, gdy zapytamy o nazwiska literackich laureatów Nagrody Nobla. Wielu skojarzy go z **Giedroyciem**, z Polską emigracyjną i z jej twórczością. Niektórzy skojarzą sobie nazwisko Miłosza nawet z walką polskiej opozycji demokratycznej drugiej połowy dwudziestego wieku. Tak. I to ważne. Nie zapominajcie jednak, że i dzisiaj w Polsce nie sięga po eseje Miłosza przeciętny obywatel. Po poezje też nie. Nie pytajcie więc o niego pierwszego napotkanego Niemca. Każdy Niemiec, który interesuje się literaturą, ucieszy się mogąc wam zaimponować znajomością nazwiska i niektórymi tytułami jego utworów (czasami bardzo zmienionymi przez tłumaczy). Lecz, błagam, nie mówcie im, że Miłosz, to nie był ten **Miłosz**, chociaż to był ten **Miłosz**, ale to wcale nie był nasz **Miłosz**. To jest już zbyt nasze, polskie, aby was zrozumieli nawet wtedy, gdy macie dobrze opanowany język niemiecki! *„Verführtes Denken"* i *„Das Gesicht der Zeit. Menschen in der Mühle der Zeitgeschichte"* mówiły Niemcom o ich rodakach za murem berlińskim. Los rozdzielonego murem narodu niemieckiego był przecież w kategoriach etycznych i moralnych gorszy jeszcze od naszego losu. A jednak żaden z ich pisarzy nie zdobył się na taki krzyk protestu, na pokazanie Niemca o *zniewolonym umyśle*, na pokazanie wolnej *części narodu, innego* oblicza tego samego narodu, ale w czasie, który biegł inaczej; człowieka w młynie czasu zniewolenia. Tłumaczenia **Alfreda Loeple** przenikały więc za mur berliński. *To jakby o nich był film*. Komentując w roku 1980 przyznanie Nagrody Nobla **Czesławowi Miłoszowi**, **Marcel-Reich Ranicki** dostrzegł szerszą aniżeli tylko polską wymowę tego eseju: *...każdemu, kto chciałby zrozumieć, co dzieje się w głowach pisarzy, intelektualistów w NRD, należy koniecznie polecić książkę Miłosza, choć nie ma w niej ani słowa o NRD.*[67] To był rok 1980. Nie zapominajmy tego, gdy słusznie podkreślamy dziś *decydujący wpływ polskiej „Rewolucji Solidarnościowej" na obalenie „muru berlińskiego"*.

Dwadzieścia lat później w Moskwie obradowała międzynarodowa konferencja PEN. Czwartego dnia przemawiał Günter Grass. Mówił o roli pisarza wobec przemocy, jak niegdyś **Tomasz Mann** w obliczu innego totalitaryzmu. Sięga po przykład… *„...tylko nielicznym autorom powiodło się, po obfitych w następstwa chybieniach, znaleźć własny obszar intelektualny. Chcę wymienić jednego z nich, polskiego poetę Czesława Miłosza, który wydaną 1953 książką „Zniewolony umysł" wywarł na mnie, wtedy jeszcze młodego, szukającego własnej drogi, znaczący wpływ. (...)"*

Dla nas, patrzących dziś z dystansu na protesty, które miały miejsce przy okazji pogrzebu Czesława Miłosza „na skałce", wywołanie tego tematu w eseju przez Reicha-Ranickiego i podchwycone przez media niemieckie, musiało wywołać zakłopotanie.[78] Gdy pytają mnie o co chodzi, nie rozumiem; mój język niemiecki jeszcze dziś pozostawia wiele do życzenia. *Oni też potrzebowali wieszcza. Wszystkie najważniejsze utwory były przetłumaczone i wydane przez najbardziej postępowe wydawnictwa niemieckie.* Dziś dopiero uświadamiam sobie, że mój obraz Miłosza stworzyłem sobie na gruncie źródeł niemieckojęzycznych. Prasa literacka z Polski docierała do mnie wybiórczo, według gustów moich przyjaciół. *A te różniły się bardzo; mieliśmy już wszak demokrację, już nie było cenzorów, zastąpiła ich przynależność partyjna redaktorów naczelnych. Kolega, który w roku 1981 oczekiwał ode mnie konspektów ze „Zniewolonego umysłu", protestował pod Skałką przeciw jego pochówkowi wśród godnych.* I tylko do dziś towarzyszą mi daleko od Polski te dwie konspiracyjne broszurki, numery naszych „Wolnych Związków", ten papier pożółkły, te litery gęsto i koślawo sadzane jedna przy drugiej. A chociaż obydwa eseje w całości przeczytałem w wydaniu paryskim otrzymanym od Tadka, to nie to paryskie z 1955, ani nie to stuttgarckie z 1953, lecz to bydgoskie jest do dziś ze mną wszędzie, gdzie ja jestem.

*

Jest rok 1999. Wydawnictwo „ZNAK" przygotowuje kolejne wydanie dzieł sędziwego poety polskiego. Czesław Miłosz sięga w posłowiu pamięcią do tamtej chwili „na Niedźwiedzim Szczycie" w pracowni nad Pacyfikiem:

„(...) Był to okres, kiedy moje nazwisko jako poety było w Ameryce nieznane i niekiedy przedstawiano mnie jako tłumacza poezji Herberta. (…) Tak więc w latach siedemdziesiątych, kiedy nikt (ani ja) upadku komunizmu nie mógł przewidzieć, zwracałem się ku przyszłości, ta jednak ma to do siebie, że szybko nas dogania i jakiekolwiek

ecej *** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej **

przepowiednie są zbędne. Przeniosłem się myślą poza następne sto czy dwieście lat, a tu nie tylko komunistyczny totalizm minął, ale i moja wzmianka o moich prawdopodobnych ustrojach teokratycznych znalazła karykaturalne potwierdzenie w państwach wojującego islamu. Tak czy owak, zaglądanie w przyszłość nie jest istotną treścią książki."

Dla ścisłości: chodzi tutaj nie o „*Zdobycie władzy*", to komentarz do „*Ziemi Ulro*". Ale to był rok 1999, Polska jest wolna, od kilku lat rząd wybierany jest w systemie demokratycznym i tylko, klątwa skrzywdzonego węża zamyka Miłoszowi usta i poeta odkłada pióro, gdy rzeczywistość wymaga dalszego rozdziału jego eseju o zdobyciu władzy. Czy jest jeszcze komuś potrzebny wieszcz? Późno dostrzegłem tę drugą stronę naszej roboty z lat osiemdziesiątych. A jednak w moich coraz częstszych i dłuższych powrotach do Kraju staję się sentymentalny i wychwytuję echa tamtego czasu, gdy jeszcze nic nie było pewne i wszystko było możliwe. Więc co to jest, co tak boli!? Wszędzie, gdziekolwiek jestem, wschodzi dla mnie słońce i wszędzie zachodzi, a droga stąd do Polski, choćby najbardziej zaśnieżona, jest jedna, prosta. Dopiero w Polsce rozwidla się i kluczy. I tylko do tej śnieżnej ciszy nad wzgórzami Jury Szwabskiej nie docierają niewybredne epitety zwaśnionych obozów politycznych wolnej Polski, walczące o moją duszę.

W roku 1981 podczas wykładów dla międzynarodowego grona studentów na Harvardzie powraca Miłosz do źródła słów Herberta z „Posłania Pana Cogito" i mówi słowa, które wcale nie do nich były skierowane: „*...Wiem, że nie dla was wiedza o Smoleńsku czy Saratowie. / Co i lepiej. Kto może, niech unika / Współczucia, tego bólu wyobraźni...*".9

*

- Widzisz, Tadek. A mówił, że przyszłość nie jest istotną treścią jego twórczości. I on i Herbert, i ty i ja, marzyliśmy o socjalizmie z ludzką twarzą. Przeszło, minęło. Opady śniegu jakby zelżały. Mój syn dojechał już do Polski i pewnie kluczy teraz jej zawiklanymi drogami; niektóre są nieprzejezdne. Ja pojadę wiosną. Pójdę na twój grób. Położę odłamek skalny z fosylią, tą skamieniałą pamięcią.

Niemcy, Wyżyna Szwabska, Dolina Lenningen, grudzień 2010
Krystian Medard Manteuffel

Cz. Miłosz - „Świadectwo poezji. Sześć wykładów o dotkliwościach naszego wieku.", Czytelnik, 1987. Wykład III

1. 1 Chodzi tutaj o Tadeusza Kwiatkowskiego-Cugowa. Urodził się w Wilnie w roku 1940. Był synem oficera Wojska Polskiego zamordowanego w Katyniu. Poeta, prozaik. Dzieciństwo i młodość przeżył we Włocławku.
2. 2 Zbigniew Herbert - „Ze szczytu schodów"; „Po prostu", nr 12, (12. marzec 1957). Wiersz był skonfiskowany przez cenzurę, zresztą tak samo, jak wcześniejszy artykuł programowy Leszka Kołakowskiego „Czym jest socjalizm". (Polecam artykuł prof. Andrzeja Lama: „Na przykładzie jednego wiersza"; „Latarnia Morska", 2(10)2008.) i inne prace tego autora publikowane w „Latarni Morskiej".
3. 3 Trochę inaczej przypomina to sobie Tadeusz w swojej książce „Stodólna 40", str. 212. Miałem z nim rozmawiać jeszcze na ten temat, ale... odszedł.
4. 4 Stefan Pastuszewski
5. 5 Jarosław Wenderlich
6. 6 „Frankfurter Allgemeine Zeitung" (10.10.1980)
7. 7 „Frankfurter Allgemeine Zeitung" (10.10.1980)
8. 8 Mowa o eseju: „Wo man Dichter wie Könige bestattet"; esej o roli pisarza w Polsce powstał na podstawie dwóch prelekcji wygłoszonych przez Marcela Reicha-Ranickiego w programie Radia Heskiego („Hessische Rundfunk") 17 i 24 lutego 1959 roku. W druku ukazał się po raz pierwszy w zbiorze „Definitionen. Essays zur Literatur" pod redakcją Adolfa Frisé; wydanego przez: „Verlag Vittorio Klostermann", Frankfurt am Main, 1963. Potem wielokrotnie przywoływany przez wielu autorów publikacji na temat literatury polskiej.

** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej *** Migo

Teodozja Świderska

ZAPACH WOLNOŚCI

W szafie została suknia
jeszcze ją zdradza
zapach minionych chwil
Wybrana kiedyś
od pierwszego wejrzenia
Podszyta ciepłem
unosiła się lekko ponad
i przez próg – niejeden
przenoszona
Dziś się nie zatrzyma na niej
czyjś wzrok ani ręka
– żaden dotyk
I pokój jest wolny
na uśpionych meblach
tylko krawat jak wykrzyknik
wysunął się z własnej pętli
Wciąż stoją obok siebie
męskie buty i szpilki
bez stóp – które porwał
zapach wolności

COŚ SIĘ STAŁO?

Nic – nic
to tylko
jakieś marzenie
złudzenie chyba
może pragnienie które niosło
leciutko nad ziemią
trzymało prosto
Roztrzaskało się właśnie
Uleciało –
nim doszło

Skulona nadzieja

DONKISZOCIK

Z kim ty tak walczysz – wciąż
szabelką wywijasz wichrzysz
łopoczesz ramieniem tniesz
powietrze na oślep nie trafiasz
w sedno słowa nie dotrzymujesz
rzucasz po kątach rękawice
potwarze po twarzach i profilach
(nie)wirtualny błędny rycerz

Miało być słodko – cookies plus
jest zniesmaczenie – ansa
w twej głowie wróg i wiatrak
wyimaginowany

Don – kichać nie można na ludzi
wciąż panuje korona/wirus

7.03.2020

OBLICZA ZARAZY

Zaraza panuje
nie można swobodnie oddychać
– zdarza się że i pod respiratorem
oddech ustaje

I mechaniczna asfiksja się zdarza
gdy szyję zatrzymanego
policjant przygniata kolanem
(ponad osiem minut)
mimo słyszanych słów
Nie mogę oddychać

WYZNANIE MNISZKA

Miałem jedno życiowe zadanie
przenieść ziarno na dobry grunt
– temu służą diaspory mniszka
Jak Tukidydes płynący z odsieczą
walczyłem z wiatrem sterując
swym spadochronem – jednak
spadłem na beton

LUDZKI PROJEKT

Ludzie budują między sobą
coraz wyższe bariery
nie chcą tych zza miedzy –
gardzą nimi albo się boją

A słońce jedno dla wszystkich
oświeca bezstronne dni –
choć kryć się musi za murem
(jakby ze wstydu)
jego cieniem obrzuca
raz jedną stronę – raz drugą
Dzieci całego świata ciekawe siebie
chcą się razem bawić beztrosko i radośnie
jak w różowym czasie wspólnych huśtawek

Zawsze
patrzy się na nie z nadzieją
że wyrosną na Ludzi

6.03.2021

ecej *** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej **

Marek Wawrzkiewicz

Okruchy

Zapewne wszyscy to przeżyliśmy: wędrówki daremne, ale konieczne. Zostają w nas tak, jak niespełnienia – najtrwalej. A dokąd nas prowadzi pamięć? Czy na pewno do prawdy? Po co nam ta nieużyteczna prawda? A pamięć – wątlejąca – czy nam nie kłamie?

* * *

Grzegorz z Rotterdamu, długa nocna rozmowa telefoniczna. Przekonuje mnie, że nie warto zajmować się światem, że trzeba się z nim kontaktować tylko „powierzchniowo". Prawdziwy świat jest w nas, trzeba patrzeć w siebie i w sobie siebie budować. Oponuję tym, co mi ślina na język przyniesie: bez uczestniczenia w świecie nie byłoby wielkiego malarstwa, muzyki, poezji; to wszystko daje nam świat. Nie, powiada Grzegorz, patrz tylko w siebie.

Może i tak. Jest na to sposób – Alzheimer. Mam kilku znajomych. Żyją we własnym świecie, ich kontakt ze światem realnym jest coraz słabszy. Może na swój sposób są szczęśliwi?

* * *

Spośród kilkunastu tomików wierszy, podarowanymi mi z dedykacjami przez Tadka Śliwiaka, nie wygrzebię tego wiersza, jednego z wielu, do których nie przywiązywał wagi. Ale pamiętam jego początek:

Matko Boska, jak zimno jest w Bratysławie o piątej rano…

Tadzio był wędrowniczkiem, jeździł po całej Polsce z wieczorami autorskimi, bywał na poetyckich spędach, pisał wiersze dla poznanych tam dziewczyn. Pojechał i do Bratysławy. O, w tamtych czasach była to wyprawa zagraniczna, można było o niej długo opowiadać. Zapamiętałem: o piątej rano w Bratysławie jest bardzo zimno. Matko Boska! Zakamarki pamięci…

Jerzyna jeden ze swoich wczesnych wierszy opatrzył mottem z Eliota: *kozioł kaszle na wzgórzach.* W Eliocie jestem biegły, ale nie mogę znaleźć wiersza, z którego Zbyszek wziął to motto. Przegadałem z nim tysiące godzin – nigdy nie mówił o wielkim angielskim poecie.

Żegnałem Zbyszka na Powązkach w końcu listopada. Spadł śnieg. A dwa tygodnie wcześniej ukazał się ostatni jego tomik, miał tytuł „Saneczki". Potem sobie mimowolnie skojarzyłem: jest taki fragment „Ziemi jałowej"

A gdy byliśmy dziećmi, gośćmi arcyksięcia,
Mego kuzyna, brał mnie na saneczki.
Nie zapytam Zbyszka, czy czytał często „Ziemię jałową".

Magadan, połowa marca. Było już tylko minus 32 stopnie, a miejscowi mówili, że czuje się wiosnę.

Dwadzieścia kilka lat temu znajomy zaprosił mnie do swojej mazurskiej chałupy na skraju lasu. Luty tamtego roku był wyjątkowo ciepły i roślinność pomyślała o wiośnie. A w końcu miesiąca przymroziło solidnie, w nocy było przeszło minus dwadzieścia. Obudziły mnie huki armatnie. To pękały drzewa, bo zamarzały w nich przedwczesne soki.

Rok pięćdziesiąty pierwszy, może drugi. Późny wieczór, olbrzymi księżyc. Jeździmy z bratem na łyżwach, na stawie obok domu. Matka wybiega z krzykiem żebyśmy wracali, bo jest prawie minus czterdzieści. Chyba byliśmy spoceni.

W telewizji zapowiadają, że jutro będzie siarczysty mróz – minus sześć, a może i siedem. Tak, lepiej nie wychodzić z domu.

To tyle o klimacie.

* * *

Cukrzejący, złożeni w glukozie,
nadęci w wacie
śmierdzącej jak tłuszcz w Grasse,
wielka kostropata dupa, srająca muchami,
pierdząca imperializmem,
super urynał, gnojówka, sracz bez kloaki,
mniej hałaśliwy……r, ……..Episcopus
……..sis

Nie, to nie młody poeta próbujący zaszokować czytelnika obrzydliwościami. To Pieśń 15 Ezry Pounda.

Pieśń 3 nie jest w porównaniu z innymi bardziej pouczająca, ale jednak wpędza w kompleksy. Bo nie wiedziałem, że Buccentaro to klub wioślarski w Wenecji, że paniski to bożkowie o cechach koźlich, że Nec Spe Nec Metu to motto znajdujące się w komnatach Izabelli d"Este Gonzaga (1474 -1539) w pałacu książęcym w Mantui.

Zwierzyłem się kiedyś śp. Krzysiowi Boczkowskiemu, świetnemu tłumaczowi poezji anglosaskiej, że potwornie się męczę usiłując zrozumieć pieśni Pounda. Powiedział: - daj sobie spokój, przeczytaj trzy, może cztery. Reszta to grafomania.

To tylko cyta
t z Boczkowskiego.

* * *

Poeta chiński Jidi Maija powiedział o mnie: - mój stary przyjaciel. Przymiotnik nie odnosił się do mojego wieku, określał stopień zażyłości. A widzieliśmy się drugi raz w życiu. Potem widzieliśmy się jeszcze dwa razy, w dalszym ciągu byłem stary.

A propos: rok 1987, pierwsza podróż do Chin. Przyjechałem do nadmorskiego miasta na południu kraju i wkraczając do hotelu poczułem się prowincjuszem – w takich luksusach jeszcze nie mieszkałem. W pokoju włączyłem telewizor. W moim kraju były dwa programy telewizyjne, tu przeszło dwadzieścia. Uczucie prowincjonalności jeszcze się pogłębiło. Na ekranie mecz piłki nożnej. Składna gra, dużo dobrych główek. Ale zaraz: zawodnicy stawiając mur nie zasłaniają rękami podbrzuszy! Popatrzyłem uważniej – grały kobiety, mecz Chiny – Japonia (2:1). W moim kraju futbol kobiecy dopiero raczkował. Prowincja. I mój pierwszy Bond (być może pokazywano film w wewnętrznej, hotelowej telewizji). Pamiętam: James Bond – a grał go bodajże Roger Moore – spada niemal pionową stalowa rurą w dół, jakieś sto metrów. Ląduje na ugiętych wytwornie nogach, a pierwszą jego czynnością jest poprawienie fryzury.

Trudno w to uwierzyć: nie oglądam tych filmów.

* * *

Nie widziałem się z nim dziesięć lat, ale wspólny znajomy zapewnił mnie niedawno, że on żyje. Liczę – za kilka miesięcy skończy 93 lata.

Początek naszej znajomości był burzliwy. Przyjechał do Warszawy jako członek ważnej delegacji pisarzy radzieckich. Uczestniczyliśmy w suto zakrapianym bankiecie, ale ponieważ było mało, kilkuosobowe grono wylądowało w jego hotelowym pokoju. I ja, wychowany na Sienkiewiczu, wdałem się w dyskusję. A on historię Ukrainy widział krańcowo inaczej. Do mordobicia nie doszło, ale było blisko. W późniejszych latach do motywu nauczyciela, Polaka, który bił go linijką po łapach, wracał wielokrotnie.

Dmytro Pawłyczko, jeden z największych poetów ukraińskich, wspaniały tłumacz polskiej poezji, przez dwa lata ambasador Ukrainy w Polsce.

Pokazał mi kiedyś odręczny list od Jarosława Iwaszkiewicza, który dziękował mu za to, że Dmytro towarzyszył mu w podróży sentymentalnej po krainie jego dzieciństwa i młodości. List był zatytułowany: „Drogi mój Pawłyczko". I był tam fragment, który przytaczam niemal dosłownie. Pisał Pan Jarosław o tym, że zawstydzają go i bardzo krępują te wszystkie hołdy i podkreślenia, że jest on taki wielki. – A ja – pisał – najlepiej wiem, ile we mnie jest małości.

Zapamiętałem to.

Staliśmy na peronie dworca kijowskiego, rozmawialiśmy o poezji i o Iwaszkiewiczu. Zacząłem recytować „Uranię". A Dmytro natychmiast wyrecytował z pamięci swój świetny przekład tego wielkiego wiersza. Wiersz kończy się słowami:

Pogrzeb mnie, ratuj, daj swoje korony,
Bym także był Uranią, nicością i sosną.

* * *

Mogło to być w końcu lat siedemdziesiątych. Pracowałem wtedy w reakcji miesięcznika „Poezja", którego szefem był Bohdan Drozdowski. Przygotowywaliśmy numer monograficzny poświęcony Broniewskiemu. Bohdan skądś wiedział, że po poecie zostały materiały – dzienniki? pamiętnik? wiersze? – z okresu wojny polsko bolszewickiej. I delegował mnie, abym poszedł do wdowy Wandy i spróbował przynajmniej kilka tekstów od niej wyciągnąć. On sam nie mógł tam pójść, bo bywał u Broniewskiego i z nim wypijał, był więc na indeksie. Po pertraktacjach telefonicznych udałem się z bukietem kwiatów do willi przy Dąbrowskiego na Mokotowie. Przez nobliwą damę zostałem potraktowany cienką herbatą i po kilku minutach kurtuazyjnej rozmowy wyłuszczyłem cel wizyty. Dama słuchała z kamienną twarzą. Po czym mnie w dystyngowany sposób opieprzyła: skąd takie wiadomości? kto to powiedział? kto za tym stoi? I zakończyła →

** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej *** Migo

rozmowę stwierdzeniem, że nic takiego nie ma i, co więcej, nie będzie.

Jakiś czas później przeczytałem książkę – wspominali poetę pisarze. I wszyscy, od lewego do prawego, mówili o Broniewskim dobrze. I wszyscy o wdowie po poecie mówili źle. Czytałem to z wielka aprobatą.

* * *

Jeszcze raz Bohdan. W końcu lat siedemdziesiątych pojechałem z żoną do Abchazji, nad Morze Czarne. Za mieszkaliśmy w domu pisarza w Gagrach. Po dwóch dniach zjawił się tam Drozdowski z ówczesną żoną. Spotykaliśmy się tylko przy posiłkach, choć mieszkaliśmy na tym samym piętrze. Małżonka Bohdana była potwornie zazdrosna i nie lubiła, jak się on pospolituje. Ale w przeddzień naszego wyjazdu Bohdan zapukał do moich drzwi i na korytarzu poprosił, żebym jego nowe, tu napisane wiersze, zawiózł do Warszawy. Zapytałem dlaczego, skoro sam za trzy dni wraca. Wyjaśnił, że ma przeczucie: jego samolot się rozbije, a on chciałby, żeby po nim coś pozostało. Tydzień później w redakcji oddałem mu wiersze. Pamiętam jedną linijkę z sonetu dedykowanego żonie (spróbowałby komu innemu…)

Ślad twoich bucików na tatrzańskim śniegu…

* * *

Kilkanaście lat temu świetny pisarz Michaił Kurajew wydał to szkiców pod tytułem „Podróż z Petersburga do Leningradu i z powrotem". Jest tam rozdział poświęcony prawodawstwu z czasów Piotra I. Misza twierdzi, że w tamtych czasach carscy juryści napisali: mąż, który naprawdę kocha żonę, powinien ją bić przynajmniej raz w tygodniu. Interesujące, że prawo to, choć nie powszechnie stosowane, obowiązuje do dziś i w Polsce. W innym miejscu Kurajew wspomina o liście cara do urzędników. Otóż Piotr Wielki upomina ich, że nie dość dokładnie wypełniają ukaz zobowiązujący do wyrywania nozdrzy łapówkarzom, malwersantom, kłamcom państwowym, że operacja ta jest stosowana w stopniu nieledwie symbolicznym. W naszym kraju taki przepis prawny nie istnieje.

* * *

Przyznaję: na początku przyjmowałem te definicję bezrefleksyjnie, wątpliwości przyszły później. „Socjalizm realny". Znaczyło to, że jest inny socjalizm, socjalizm nierealny. Który lepszy? Czy od realności mamy dążyć do nierealności? Czy ten nierealny jest jednocześnie tylko teoretycznym, a praktycznie jest taki, jaki jest, niewiele mający wspólnego z nauką?

W początku roku osiemdziesiątego wezwano do Komitetu Centralnego redaktorów naczelnych pism społeczno-kulturalnych na naradę w sprawie nowej polityki partii, którą to politykę mieliśmy propagować. Dziś nazywa się to „przekazem dnia". Jako szef miesięcznika „Nowy Wyraz" i ja tam byłem. Wysłuchaliśmy wskazań. I zabrał głos naczelny „Życia Literackiego" Władzio Machejek – a bardzo on się jąkał. Powiedział, że my tu, w Warszawie nic nie wiemy o prawdziwym życiu, a on wie, bo jeździ w rodzinne strony, w okolice Miechowa. Tamże wypijają z dawnym sąsiadem „pół litry", a że jest mało, to sąsiad wysyła syna po następną flaszkę. Syn wsiada na motor i jedzie kilkanaście kilometrów do zaprzyjaźnionej meliny. Więc Władzio mówi do sąsiada: - A wygoń sobie! (chodzi o samogon). Na to sąsiad: - Nie chce mi się. I konkluzja Władka: - Kochani, jak tak, to ten ustrój musi pierdolnąć.

* * *

Jego prozatorskie księgi uległy sprawiedliwemu zapomnieniu. Niewielu pamięta artykuły wstępne do „Życia literackiego", zawsze słuszne politycznie i zawsze pisane polszczyzną zgoła fantastyczną. Ale zapomniano mu też, że kierowana przez niego redakcja była schronieniem i źródłem zarobku wielu wybitnych poetów, prozaików i krytyków, którzy, delikatnie mówiąc, znani byli z niezbyt entuzjastycznego stosunku do ustroju – Szymborska, Otwinowski, Filipowicz, Flaszen i inni. Machejek roztaczał nad nimi parasol ochronny.

Na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych w siedmioosobowej grupie redaktorów naczelnych pism literackich pojechałem do RFN na zaproszenie Karla Dedeciusa. Już pierwszego dnia Władek poprosił gospodarza o powiadomienie redakcji pewnego pisma wychodzącego we Frankfurcie, że on tu jest i spodziewa się honorarium za opublikowane opowiadanie. Po powrocie do Darmstadtu z wojaży już czekało honorarium w imponującej wówczas wysokości 250 marek. Wieczorem popijałem z Władziem w jego pokoju hotelowym. Powiedział mi o tym opowiadaniu, ale poprosił o dyskrecję. Ale ponieważ tyle już lat minęło…

W czasie okupacji wielkie szkody zaborcom czynił samotny partyzant. Nie mogły go odnaleźć w przepaścistych lasach wielkie obławy, torturowani chłopi nie potrafili wskazać kryjówki partyzanta. Zdesperowani Niemcy wysłali na straceńczą misję żołnierza z karnej kompanii, komunistę. I ślad po obydwu zaginął. Minęło wiele lat i przypadkiem odkryto w głębi lasu ziemiankę, a w niej dwa splecione męskie kościotrupy – po odznakach rozpoznano, że to partyzant i komunista.

Powodem, dla którego Władek prosił mnie o dyskrecję było to, że czasopismo wydawała organizacja gejowska.

* * *

Kilka lat temu pewna telewizja poprosiła mnie o wywiad – wspomnienie o Jerzym Putramencie. Udzieliłem wywiadu, ale się nie ukazał – bo mówiłem o Putramencie nie tak, jak się o nim mówiło – jako o krwawym, komunistycznym oprawcy.

Nigdy nie ceniłem twórczości tego pisarza zbyt wysoko, a już wydawane co roku dzienniki (pamiętniki?) „Pół wieku" były lekturą uciążliwą, Ale przecież napisał znakomite opowiadanie „Święta kulo". Może przez choćby tylko jedno powiadanie pisarz powinien zostać w historii literatury? Może wystarczy jeden esej, jeden wiersz, kilka mądrych aforyzmów?

Jerzy Andrzejewski miał cenzuralny zakaz druku. Ale jednak całymi latami ukazywał się co tydzień w „Literaturze" kierowanym przez Putramenta, felieton pisarza.

Andrzej Waśkiewicz był nie tylko kronikarzem i badaczem najnowszej poezji, miał też wielką wiedzę o historii literatury. Opowiedział mi – nigdy tego nie sprawdziłem, ale nie mam powodu, żeby Andrzejowi nie wierzyć – taka oto historię.

W pewnym okresie władze państwowe i partyjne postanowiły zweryfikować ideologicznie członków Związku Literatów Polskich i nieprawomyślnych z organizacji usunąć. I najbardziej demokratyczny ze wszystkich prezesów Związku potulnie na to przystał. Ale zaprotestował Zarząd Główny na czele z Jerzym Putramentem i akcji zaniechano.

Może już pora wspomnieć dobrym, choćby anegdotycznym słowem, „pisarzy wyklętych".

* * *

Sięgam do jeszcze głębszej sztolni pamięci.

Stefan Krzywoszewski (1866 – 1950) był w okresie międzywojnia dość znaczną postacią literacką – pisał, wydawał, działał, wystawiał swoje sztuki. Z różnym powodzeniem – o jego dramatach Boy-Żeleński pisał kpiąco, a nawet zgryźliwie. I nie był w swoich sądach odosobniony.

Krzywoszewski w roku 1947 wydał dwutomowe wspomnienia pt. „Długie życie". Kiedy je pisał mógł mieć lat siedemdziesiąt, może siedemdziesiąt kilka. A co ja mam powiedzieć?

Tzw. mężowie stanu, celebryci, działacze, artyści: daty urodzeń – późne lata osiemdziesiąte, dziewięćdziesiąte – istna przepaść pokoleniowa. Iwaszkiewicz odszedł w wieku 80 lat.

Wczoraj mój przyjaciel Andrzej D. wyznał telefonicznie, że właśnie skończył lat 61, Andrzej W. jest jeszcze młodszy, Majka pojutrze skończy 69, Agnieszce stuknęło 51. A ja z tymi gówniarzami rozmawiam jak z rówieśnikami. Litości!

* * *

Hańba! W drugiej połowie lat siedemdziesiątych brałem udział w literackim spędzie na Śląsku. Nie pamiętam okazji: katowicki Zjazd ZLP, może Rybnickie Dni Literatury? Po porannych i popołudniowych oficjalnościach wieczorem odbywały się spotkania autorskie. Do jednej z kopalń pojechaliśmy w trójkę: Julian Przyboś, Tymoteusz Karpowicz i ja, jako młody poeta. Sala pełna była wygalowanych górników, którzy z nader umiarkowanym zainteresowaniem słuchali naszych mów i wierszy. Po godzinie sala westchnęła z ulgą, a my udaliśmy się do olbrzymiego dyrektorskiego gabinetu ozdobionego uginającym się od zakąsek stołem. Towarzyszyło nam dwudziestu szczególnie ugalowanych górników. W oczach mieli apetyt.

W kącie gabinetu stało coś przypominającego katafalk. Katafalk przykryty był zielonym suknem. Dokonano odsłonięcia – były to skrzynki z wódką.

Karpowicz był abstynentem, Pan Julian umoczył usta, a ja byłem młodym poetą i mi nie wypadało. Po kilkudziesięciu minutach opuściliśmy biesiadę, a nie byliśmy energicznie zatrzymywani.

Prestiż literatury polskiej radykalnie zmalał.

* * *

Znałem ja od dawna, ceniłem i lubiłem, ale spotykaliśmy się rzadko. A tego dnia, kilkanaście lat temu, zobaczyłem ja na korytarzu Domu Literatury, Była młodsza o trzydzieści lat i biło od niej światło. Krzyknąłem: - pani Ludmiło, jak pięknie pani wygląda! A ona spuściła oczy i powiedziała: - Och, panie Marku, bo jestem taka zakochana… Miała wówczas 82 lata.

Pewna pani opowiedziała mi o wizycie u swojej koleżanki, z którą nie widziała się rok. Stanęła w drzwiach jej domu, a koleżanka zakrzyknęła: - Boże, jaka jesteś zakochana…

Od kobiet bije światło. Niekiedy kobiety są światłem.

Czy światło może być mroczne?

Marek Wawrzkiewicz

ecej *** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej **

** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej *** Migo

Monika Telka

***

Daję ci do ręki kwadrat.
Zrób z nim co chcesz;
Tylko go nie przekształcaj
Nie będzie już wtedy kwadratem.
Możesz na nim spać. Jeść.
Patrzeć na niego w deszczowy dzień
Tylko nie wzbudzaj w nim pożądania życia

***

Miłości zimna mgła przed oczami człowieka
Od zawsze
Tej mgły wiecznej
Więcej niż siły ogarną ludzkie
Więcej niż czas
I niepewność są w stanie zabrać

I łudzi i śmieszy, poniewiera po ziemi
Aż i z tą mgłą opadnie także nadzieja
I powiek ciężkość
stanie się nie do zniesienia

***

Na liściu klonu
Jak na dłoni
Zapisane przeznaczenie
i czas
spędzony
na ziemi

wołanie
z głębokości…
o cud życia w pełni

***

można spłonąć

i nie dowiedzieć się
niczego więcej nad to, że
rozpocząłeś krąg śmierci
jak ćma udręczona
pragnieniem światła
zamknięta w rękach opatrzności

i w pragnieniu tym żal
ogromny
bo ono wieczorne, czyli ulotne
i na krańcu rzeczywistości

jak daleko w tym oddaleniu
stanąć z sobą, nie obok?

Miniaturka

Gałązka nad okiem twoim
błękitu pełnym

I gałązką ta chwila
między nami

ugina się w nieodwracalny
łuk czasu

Kruchy, drobny
Niepowtórzony

***

odurza mnie myśl
o ruchu we wszechświecie
poznaję tam Boga
i cudze marzenia zaczepione o aury i chmury
niedokończone westchnienia
niewypowiedziane miłości
- to stamtąd przylatują świetliki

a tu, już południe
i zmęczony sen
oddech, co wciąż gdzieś się wymyka…

Postczas

W praczasie
rosły domy z miłości
radosne obłoki okalały ziemię ciepłym uściskiem
wyrastały drzewom gałęzie do ramion podobne
a czas zasysał przestrzeń w wieczności.

I minął praczas,
jak mijają ludzkość komety

Dziś
dachy dziurawią sztywne niebo
które zasłania wyobraźni nieskończoność w miłości
kikuty drzew
stają nad ziemią jak nad grobem
skostniałe i chropowate
boją się ruszyć i nie zapaść na zawsze
mija je czas
i ludzkie dzieci

aż i one przeminą…

ecej *** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej **

PLAKAT ARTYSTYCZNY
ERAZM FELCYN

Fundacja ŚwiatłoLiteratury

Migotania

Małgorzata Borzeszkowska

Porządki

Posprzątaj noc, odkurz ją po horyzont,
zetrzyj białą plamę, mleczną
drogą niech płynie obłok i czysta księżycowa struga.
Posprzątaj noc z okruchów, pyłu, wrzasku
i szumów
syren, rybich zapachów i czyjejś niepotrzebnej obecności.
Nadmiaru świateł, dźwięku przebitych tłumików
i niechcianych kroków na schodach.
Niech noc będzie jak czarna atłasowa narzuta albo chusta,
spod której wyciągniemy się za uszy
jak króliki z cylindra,
by na chwilę ukryć się i zagubić
zanim odnajdzie nas dzień, skulonych
w króliczej klatce,
z czerwonymi oczami
i połamanym księżycem w łapie.

Zanim marchewka i kij stanie się jedno.

PLAKATY POETYCKI

Fundacja ŚwiatłoLiteratury
Migotania